

Elizabeth Lowell

Przekłete złoto

Prolog

Sedona

Czwartek, 30 października

Srebrna tarcza niemal pełnego księżyca nie pozwalała zasnąć Virgilowi O'Connerowi. Nie przeszkadzało mu to. Miał osiemdziesiąt jeden lat i już dawno uznał, że lepiej obserwować wszelkie odcienie mroku arizońskich nocy niż dać się schwytać w ich mocny uścisk i budzić się z krzykiem.

- Przepraszam, że je zabrałem - szepnął w noc. - Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam...

Ciemność nie odpowiedziała. Nigdy nie odpowiadała.

Serce mu załomotało, potem się uspokoiło. Virgil wziął głęboki oddech. Nie poczuł ulgi. Chciał umrzeć, ale jeszcze nie teraz. Dopiero wtedy, gdy zmarli mu wybaczą, że tknął ich święte złoto.

Naszyjniki ze splecionych złotych łańcuchów, gładkie, mocne i giętkie jak niegdyś on sam.

Opaski na ramiona, szerokie jak rozstawione palce Virgila, lite złoto pokryte symbolami tak niesamowitymi i pięknymi, że aż włos jeżył mu się na karku.

Zapinki do płaszczy wielkości dłoni, zapinki rzeźbione w kształcie zwierząt, lecz przerażająco ludzkie.

Maska, która była czymś więcej niż wyobrażeniem twarzy

Kształty bogów albo demonów, albo od dawna martwych snów.

Dwadzieścia siedem wyrobów ze złota. Pięknego złota.

Śmiercionośnego złota.

Virgil oblał się zimnym potem. Odruchowo sięgnął po miękki szlafrok, ale jego ciepło nie mogło złagodzić chłodu, jaki przenikał do szpiku kości.

Krzyczał, choć czuł się martwy.

- Nie - powiedział chrapliwie. Nie chciałem tego. Nie sprzedałem ani jednej sztuki, nawet, kiedy potrzebowałem pieniędzy. Pracowałem na dwa etaty. Harowałem. Mogłem to wszystko przetopić albo... albo...

Głos przerodził się w chrapliwy szept. Virgil wiedział, że duchy nie słyszą jego słów. Nic był medium. Nic potrafił dotrzeć do swoich prześladowców, żeby im wytłumaczyć, że jest niewinny.

Chyba, że weźmie ich złoto w ręce. Tym razem bez rękawiczek. Nic nie będzie chroniło jego ciała. Złoto o wielkiej mocy zetknie się ze skórą.

Zadrzał. Kiedyś dotknął tego złota gołymi palcami. Dawno temu i już nigdy potem tego nie zrobił. Nawet nie chciał myśleć o dotykaniu przeklętego kruszcu. Ale wciąż na nowo przeżywał każdą mroczną chwilę nocy sprzed wielu lat, kiedy, kierując się wskazówkami zmarłego stryja, pożyczył wykrywacz metalu z wojskowych magazynów i pojechał na wykopaliska do Wielkiej Brytanii, gdzie jeszcze rozbrzmiewały echa II wojny światowej.

Święte dąbrowy, do których nie śmieli się zapuszczać ani Rzymianie, ani Anglowie. Dziewięć wzgórz. Sześć zagajników. Trzy skały podobne do ludzkich postaci. Jedna wiosna. Trzy razy trzy razy trzy złote przedmioty.

Gwałtownie pokręcił głową. Nie chciał pamiętać. Wspomnienia rozdzierały mu serce, tak jak tamtej nocy: ból przeszywał każdą cząstkę jego ciała i duszy.

- Trzymaj się - szepnął do siebie. - Jeszcze tylko do jutra. Do północy. Wtedy wreszcie

zrozumieją, dlaczego to zrobiłem.

Albo będzie musiał umrzeć.

Wszystko jedno, życie czy śmierć. Oby tylko to złoto przestało go zabijać.

- Trzymaj się. Jutro. O północy.

Rozdział 1

Los Angeles

Piątek, 31 października, rano

Risa Sheridan wprawdzie tylko czasami udzielała konsultacji międzynarodowej firmie Rarities Unlimited, ale nie miała nic przeciwko lotom z Las Vegas do Los Angeles na kilka godzin. Nigdy nie wiedziała, jakie skarby zostaną przyniesione przez klienta do głównej siedziby firmy, aby Rarities mogła „kupić, sprzedać, wycenić, ocalić”. Pewność miała, co do jednego: że będzie badać przedmioty liczące sobie co najmniej czterysta lat, a przeważnie o wiele starsze; specjalizowała się w starożytnej biżuterii.

Tym razem jednak szybko straciła zapał, bo po drugiej stronie podwójnych drzwi z kuloodpornego szkła, prowadzących do biur Rarities, zobaczyła Shane'a Tannahilla. Chociaż opuściła Las Vegas wcześniej od swojego szefa, przegonił ją w drodze do Los Angeles.

Shane stał z jedną ręką w kieszeni czarnych spodni, drugą przetrzymywał kurtkę z miękkiej skóry, którą przewiesił sobie przez ramię. Na szyję założył już plaketkę z napisem: „Gość”. Miał ciemne, starannie przystrzyżone włosy, a jego kanciasta twarz nie zdradzała emocji i tylko mrużył swoje nefrytowe oczy. Oparty o stanowisko wartownika, czekał na Risę.

Nie należał do cierpliwych.

Cholerne korki w L.A., zakłęta w duchu.

Nie jej wina, że w Vegas zatrzymano samolot do przeszukania. A w Los Angeles na Sepulveda przewróciła się cysterna z benzyną, tarasując najłatwiejszy wyjazd z lotniska, więc na już i tak zatłoczonych ulicach zapanował chaos.

No i się spóźniła.

Była zirytowana. Puls jej przyspieszył, ale nie zawahała się ani na moment i nie zwolniła kroku, nawet nie sprawdziła, czy jej krótkie czarne włosy nie są potargane albo czy ekscentryczna niebieska marynarka się nie pogniotła. Inna kobieta pewnie oblizałaby wargi, żeby błyszczały, albo wciągnęła brzuch, albo wypięła biust, żeby świetnie wyglądać dla Shane'a Tannahilla.

Ale nie Risa.

Musiała walczyć o swój sukces zawodowy. Uwielbiała posadę kuratorki wyrobów ze złota dla Złotego Runa, centrum rozrywki Shane'a w Las Vegas. Nie zamierzała stracić wszystkiego, co osiągnęła, tylko z powodu jego przystojnej twarzy i zabójczego uśmiechu. Już wolała się narażać szefowi niż go podrywać.

Etyka pracy Shane'a była prosta i niezmienna: żadnych kłamstw, kradzieży i romansów. Nie tyka swoich pracowników i kropka. Ale jeśli kobieta nie chciała się z tym pogodzić, a on był zainteresowany bliższymi relacjami, znajdował jej inną posadę. Tylko wtedy wszyscy dobrze się bawili.

Shane mógł być superinteligentny, czarujący, bogaty albo wkurzający, lecz Risie bardziej zależało na pracy niż na seksakrobacjach z jakimkolwiek mężczyzną. Nawet z jednym z tych nielicznych, którzy w ogóle ją interesowali.

Tu chodzi o zakazany owoc, wmawiała sobie z przekonaniem. Żaden facet nic wydaje się już taki seksowny, kiedy się z nim budzisz. Albo raczej, kiedy się z nim nie budzisz.

Strażnik zwolnił automatyczne zamki. Drzwi się otworzyły.

Risa posiała umundurowanemu mężczyźnie promienny uśmiech.

- Dzień dobry, Jersey. Jak tam twój kciuk?

Zwalisty drągał się zarumienił.

- Kto ci powiedział?

- Hm - mruknęła. Nie chciała, żeby Shane wiedział, jak często gawędziła z S.K. Niallem. Shane przyjaźnił się z dwojgiem szefów Rarities, ale nic miało to wpływu na ich układ zawodowy. Nie byłby zadowolony, że jego kuratorka rozmawia z Niallem („pamiętaj, chłopie, że moje nazwisko pisze się inaczej niż nazwa tej cholernej rzeki”) kilkanaście razy w tygodniu. Złote Runo akurat nie przeprowadzało z Rarities takiej liczby transakcji, która by uzasadniała częste komunikowanie się pracowników obu firm. Ale Risa czuła się samotna, a Niall był w szczęśliwym związku z Daną Gaynor, drugą szefową Rarities.

- Niesamowite, że aż tak mocno wyróżnałem kciukiem w szufladę biurka - wymamrotał Jersey.

- Tak, Dana powinna używać dzwonka, żeby ostrzegać o swoim nadejściu - odparła Risa współczującym tonem, starając się nie uśmiechać.

Shane nawet się nie silił na poważną minę. Wyszczrzył zęby w zniewalającym uśmiechu, który przyciągał mężczyzn i kobiety jak światło ćmy. Jersey zarumienił się jeszcze mocniej.

- Przyzwyczajasz się do obchodów Dany - powiedziała Risa. Cisnęła torebkę na pas transmisyjny i przeszła przez bramkę do wykrywania metali. Maszyna nie zapiszczała. - Wszyscy mężczyźni w końcu się do tego przyzwyczajają.

- Tak proszę pani. - Patrzył na monitor, który pokazywał zawartość torebki Risy. Nie było w niej niczego niezwykłego. Wykrywacz metali nie uruchomił alarmu. Podobnie jak wykrywacz azotanów i innych związków chemicznych. Oczywiście nie spodziewał się, że coś nadzwyczajnego się zdarzy. Nie w przypadku konsultanta. Ale nie płacono mu za osobiste oceny. Musiał skanować wszystkie wchodzące tu osoby, a do tego grona zaliczali się również Dana Gaynor i S.K. Niall.

Shane wziął torebkę i szybko rzucił Risie.

Chwyciła ją zwodniczo leniwym ruchem. Nie tylko on miał dobry refleks.

- Dzięki - zwróciła się do Jersey. - Coś jeszcze?

- Tylko to. - Podał przepustkę na długim łańcuszku. - Nowe przepisy. Założyła łańcuszek z kolorowym kawałkiem plastiku stwierdzającym, że jest konsultantką.

- Od kiedy?

Shane uprzedził odpowiedź Jersey:

- Od kiedy ktoś wystosował pogróżki pod adresem połowy Rarities Unlimited.

- Grożono Danie? - zapytała Risa zaskoczona.

- Nie, Niallowi.

- Ho, ho! - Risa zrobiła głęboki wydech. Niall był współwłaścicielem, ale też szefem ochrony Rarities Unlimited. Dana posiadała drugą połowę firmy i zajmowała się działem sztuk pięknych. Ktokolwiek to zrobił, okazał niezwykłą głupotę. Swoimi ciemnoniebieskimi oczami wnikliwie sondowała szefa. - Kiedy?

- Trzy dni temu. - Shane ruszył w kierunku windy na końcu szerokiego, krótkiego korytarza. - Czeka ją w separacie numer dwa.

Risa dostosowała tempo do długich kroków szefa. Żałowała tylko, że przez to trochę zadziera jej się dopasowana spódnica. Ale nie mogła pozwolić, żeby mężczyzna miał nad nią przewagę.

- O co się wściekł ten ktoś?

- Miał tacę starorzymskich kamei do wyceny - odparł Shane. - Okazało się, że większość z nich to falsyfikaty. Takie orzeczenie mu się nie spodobało, więc zaczął wrzeszczeć i przeklinać. Niall zjawił się szybko i wyprowadził klienta. To również facetowi się nie spodobało. Powiedział, że przyśle kogoś, kto nauczy Nialla dobrych manier.

- Głupi, głupszy, najgłupszy, - Pokręciła głową na myśl o braku inteligencji klienta. Nie mówiąc już o elementarnym rozgarnięciu. - Niall nie ma takiej postury jak Jersey, ale jest o wiele bardziej umięśniony.

Shane uniósł kąciki ust, a w jego oczach zatliły się iskierki złośliwego humoru.

- I bardziej wredny. Założę się, że w każdym przypadku.

- Nic zaprzeczę. - Risa doskonale wiedziała, jak daleko można się posunąć we wrednym postępowaniu. Dorastanie w skrajnej nędzy sprawiło, że potrafiła odróżniać tych, którzy byli wredni, od tych, którzy byli twardzi. Trzeba było nauczyć się szybko i trafnie oceniać ludzi i sytuacje, bo inaczej płaciło się wysoką cenę.

Shane dyskretnie zerknął na kuratorkę. Wyglądała bardzo profesjonalnie w ciemnej, szytej na miarę spódnicy i luźnej niebieskiej bluzce z lśniącego materiału. Gładkie, czarne włosy miała starannie ułożone, makijaż delikatny, a ponętne kształty niemal zakryte, no i jeszcze te usta, którym nie oparłby się chyba żaden mężczyzna. Z powodu ciała Risy i jej kuszących ust omal nie postanowił, że jej nie zatrudni. Jednak przyjrzał się inteligentnym oczom kobiety i przypomniał sobie, jaką ambicją tchnęło jej curriculum vitae.

Risa uosabiała wszystko, czego pragnął. Kiedy prosił Nialla, żeby ten znalazł mu godną zaufania osobę, która będzie kuratorem wystaw złota i zgodzi się zamieszkać w Las Vegas, w najśmielszych marzeniach nie mógł przypuszczać, że Niall przyśle mu Risę.

Shane zatrudnił ją, chociaż wiedział, że pewnie będzie tego żałował. A potem zachowywał maksymalny dystans w stosunku do swojej nowej kuratorki.

Biorąc jednak pod uwagę charakter jej pracy, ten dystans nie dawał całkowitego bezpieczeństwa. Przygotowania do pokazu Złoto Druidów sprawiały, że od miesiący deptali sobie po piętach. Niejeden raz myślał, żeby znaleźć innego pracownika, a wtedy mógłby uprawiać seks z kuratorką. Ale potrzebował fachowych porad Risy i jej błyskotliwej inteligencji bardziej niż romansu, dlatego krążyli wokół siebie jak zdeorientowane psy, które nie wiedzą, czy mają się gryźć, czy lizać.

Ogólnie Shane czuł ulgę, że Risa próbuje go zrazić do siebie. Bywał też jednak poirytowany, że zachowuje w stosunku do niego taką samą ostrożność, jak on w stosunku do niej. Zastanawiał się, dlaczego Risa wciąż się wycofuje. Na pewno nie z obawy, że straci jedyną dobrą posadę w okolicy. W zeszłym roku znane prywatne muzeum i dwóch zamożnych kolekcjonerów zaproponowało jej pracę. Wiedział o tym, bo przebił ich oferty, żeby zatrzymać Risę.

Ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że powinien ją puścić. Naprawdę nie potrzebował kłopotów.

Risa zapukała do drzwi separatki - bezpiecznego, neutralnego miejsca, gdzie nabywca mógł się spotkać ze sprzedawcą i nie bać się oszustwa czy wręcz rabunku. W tym przypadku to Shane kupował, a przynajmniej taką nadzieję miał klient Rarities.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Risa do Dany i Nialla, którzy przeglądali papiery na długim, metalowym stole, który stał na środku pomieszczenia. - Najpierw przeszukiwano samolot w Las Vegas, potem na Sepulveda wywróciła się cysterna z benzyną.

- Oboje powinniście się czuć zaszczyceni - stwierdził Shane.

- Dlaczego? - zapytała Dana, unosząc głowę.

- Jestem jej szefem, ale mnie nie przeprosiła.

Risa zmrużyła oczy. Nie powiedziała ani słowa.

Niall odchrząknął. Między Shane'em i Risą były tarcia od samego początku, ale ostatnio kiedy przebywali razem w jednym pokoju, atmosfera stawała się gęsta. Shane westchnął cicho i postanowił, że zacznie szukać Risie nowej posady. Jeśli ona szybko się nie zwolni, na pewno ją wyrzuci. Po stronie plusów Shane był znany z tego, że dawał szczodre odprawy. Może na to liczyła.

- Dlaczego miałaby cię przeproszać? - zapytała Dana, energicznie układając dokumenty. - Chwilowo to Rarities płaci za jej czas, nie ty.

- Auu, boli - syknął Shane.

- Kiedyś to pojdziesz, chłopie - odparł Niall, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. - Ta dama potrafiłaby nauczyć zadawania ciosów nawet miecz.

Shane uniósł brew, a Niall beztrząsco rozsiadł się na krześle.

- Zakładam, że mówisz tak z doświadczenia.

- Masz rację. - Niski, burkliwy głos kontrastował z wyrazem jego rozbawionych, błękitnozielonych oczu. Poruszył barczystymi ramionami i dotknął guzików koszuli. - Chcesz zobaczyć moje blizny?

- Nie sądzę, żeby jego serce to wytrzymało - odparła Dana. - A Risa jest o wiele za młoda na taki męski pokaz.

- Hej, mam trzydzieści jeden lat - zawołała Risa z wyraźnym arkansaskim akcentem. - Dostatecznie dużo, żeby nic pozwalać facetom na pokazywanie „blizn”.

Dana wybuchnęła śmiechem; teraz wydała się Risie znacznie młodsza niż w rzeczywistości.

- No dobra - odezwał się Niall. - Skoro nie jesteś zainteresowana męskim striptizem, to może popatrzysz na starą biżuterię ze złota?

Nie czekając na odpowiedź, odsunął krzesło i podszedł do długiej aluminiowej gabloty na końcu stołu. Skrzynka miała rozmiary opakowania na kij do gry w polo. Na drugim końcu stołu stała podobna, mniejsza skrzynka.

- Włączyć nagrywanie - powiedziała Dana do kogoś.

- Włączone - odparł głos z kratki w suficie.

- To Faktoid? - Shane wyciągnął rękę w stronę kratki.

- Nie - odparł Niall. - Nasz guru od badań naukowych ma dzisiaj wolne.

- Z Gretchen? - uśmiechnął się Shane. Joe-Bob McCoy, zwany Faktoidem, miał obsesję na punkcie swojej szefowej, dyrektorki działu badań. Gretchen Miller była od niego dwa razy starsza i o połowę grubsza. Wyglądała jak prawdziwa walkiria.

- Ona pracuje teraz z Ianem Lapstrakiem i Lawe'em Donovanem - powiedziała Dana. - Chodzi o spadek po rodzice Rutherbyeh.

- Szkoda - stwierdził Shane. - Mam dla Faktoida świetne menu do wypróbowania na kolejnej randce z Gretchen, zakładając, że kiedyś zdoła ją namówić na kolejną randkę. Te potrawy gwarantują, że kobieta jego marzeń będzie go pożądała.

Niall prychnął.

- A cóż to takiego, ostrygi na dwanaście sposobów?

Dana wywróciła ciemnymi oczami. W kwestiach biologicznych mężczyźni okazywali się niezwykle prości.

- Coś bardziej skomplikowanego - odparł Shane. - Po pierwsze, zestaw świec w otoczeniu agatów.

- Po co? - zagadnął Niall.

- Skuteczny, sprawdzony na przestrzeni wieków afrodyzjak.

Dana cicho parsknęła.

Ale Shane mówił dalej.

- Koktajl z krewetek, zupa selerowa, sałatka z endywii, halibut z papryką i jałowiec. Oczywiście, wino. Benedyktynka i czekolada na deser. A potem czeka cię noc marzeń.

- Dla takiej nocy zjadłbym nawet endywię - mruknął Niall.

Dana rzuciła mu spojrzenie, które sugerowało, że będzie pamiętała jego słowa i wykorzysta je przeciw niemu. Nie znosił endywii. Na myśl o benedyktynce i czekoladzie Risa cicho jęknęła.

- Wykańczasz mnie. Na lunch dostaję tylko marchewki i seler.

- Dlaczego? - zapytał zaskoczony Shane.

- Ten sam powód, co zawsze. Jeśli będę się objadała i przestanę się mieścić w ubrania, nie starczy mi pieniędzy na nowe.

- Czy sugerujesz kolejną podwyżkę po tej, którą musiałem ci dać, żeby...

- Kłóćcie się prywatnie przerwała mu Dana. Potem zwróciła się do Risy: - Klient życzy sobie, żebyś dokonała oceny „na zimno”. Tylko oględziny wzrokowe.

- Zimna ocena gorących towarów? - zagadnął Shane. Dana zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Pochodzenie tych przedmiotów jest absolutnie bez zarzutu. Kolekcjoner nie chce tylko inwestować w pełną wycenę, jeśli po wstępnych oględzinach biżuteria okaże się warta mniej, niż mu sugerowano.

Shane uśmiechnął się i zmierzwił sobie grzywkę.

Dana ignorowała go, chociaż miała słabość do mężczyzn, którzy byli błyskotliwi, przystojni i umieli twardo obstawać przy swoim.

Niall otworzył pierwszą aluminiową skrzynkę. W przegródkach lśniła złota biżuteria. Risa natychmiast zapomniała o wszystkim dokoła. Wpatrywała się w zawartość skrzynki.

- Pierwsze wrażenie. Oczywiście, to celtycki wyrób - odezwała się po dłuższym milczeniu. - Style i techniki od lateńskiego do śródziemnomorskiego. Datowanie od V wieku przed naszą erą do V wieku naszej ery. Datowanie poszczególnych przedmiotów potrwa kilka dni. Potrzebne będą dokładne porównania stylistyczne z eksponatami w muzeach, opublikowanymi referatami, katalogami aukcyjnymi, kolekcjami w Internecie i tak dalej. Większość mojej dokumentacji jest w Las Vegas, bo powiedziałeś, że potrzebujesz tylko szybkich oględzin.

- Jeśli klient poprosi o szczegółową ocenę, czy będziesz potrzebowała przedmiotów, czy wystarczą ci w wersji elektronicznej? - zapytała Dana.

Risa zmrużyła oczy i uważnie obejrzała kolekcję raz jeszcze.

- Sprawdziłaś pod mikroskopem, czy nic ma na nich rowków zrobionych przez współczesne maszyny?

- Klient zapewnił mnie, że nie ma żadnych - odparła Dana. - Oczywiście, sprawdziliśmy to. Nasz ekspert niczego nie zauważył.

- W porządku. - Risa odetchnęła. - W takim razie zaczęłabym od wersji elektronicznej, a do oryginałów przesłałabym tylko w razie problemów.

Dana skinęła głową.

- Zanotowałam.

- Na razie - ciągnęła Risa - z dziewięciu przedmiotów w tej skrzynce na jednym wyraźnie widać ślady niedawnej naprawy. Stopy złota po prostu do siebie nie pasują. Na dwóch rzeczach są ślady po znacznie starszych naprawach, ale to tylko wstępne oględziny. Niektórym eksponatom na pewno przydałaby się naprawa, ale nie dziwnego. Bardzo prawdopodobne, że mają po dwa tysiące lat.

- Myślisz, że to autentyki? - zagadnęła Dana. - Znowu jest to niewiążąca opinia słowna, oparta wyłącznie na oględzinach wizualnych.

Risa odczekała, aż zostaną nagrane prawne sformułowania, a potem powiedziała:

- Nie zauważyłam niczego, co by podważało ich autentyczność. Na razie.

Ale też nie widziała niczego ekscytującego, żadnego eksponatu, który, jak to określał jej szef, zapierałby dech w piersiach.

A właśnie takiego przedmiotu potrzebował Shane na uroczyste otwarcie swojej nowej galerii w sylwestrowy wieczór. Risa jeszcze nie znalazła niczego, co stanowiłoby ukoronowanie wystawy Złoto Druidów. Zastanawiała się, ile jeszcze Shane da jej czasu. I kto dodatkowo prowadził dla niego poszukiwania.

Wprawdzie Shane zbił fortunę na hazardzie, ale nigdy nie zostawiał niczego przypadkowi.

Rozdział 2

Los Angeles

Piątek, 31 października, rano

- Czy klient zgodził się na manualne oględziny eksponatów? - Risa zmarszczyła brwi.

Dana skinęła głową.

- Tak, ale już je sfotografowaliśmy, prześwietliliśmy rentgenem i zeskanowaliśmy. Zrobiliśmy nawet XRF i SEM.

Nie czekając na pytanie Shane'a, Risa przetłumaczyła.

- Fluorescencja rentgenowska, żeby określić skład stopu metali, i skanowanie elektronicznym mikroskopem, żeby wychwycić wszystkie szczegóły.

- Wyniki są poddawane obróbce cyfrowej - ciągnęła Dana - i mogą być reprodukowane w trójwymiarze, więc jeżeli wolisz nie ryzykować i nie dotykać tych przedmiotów...

Śmiech Risy zagłuszył pozostałe słowa Dany.

- Ależ ja uwielbiam badać starożytną biżuterię. A złoto wysokiej jakości nie reaguje łatwo na kwasy na ludzkiej skórze, więc nie muszę nosić rękawiczek, kiedy przeprowadzam krótkie badanie.

- Dlaczego badanie złota jest dla ciebie ważne, oprócz tego, że sprawia ci przyjemność? - zapytał Niall.

- Nic nie zastąpi dotyku: ani fotografia, ani trójwymiarowa reprodukcja komputerowa, ani hologram, ani elektroniczne skanowanie, ani wykresy lub raporty. U ludzi jedynym czulszym organem niż opuszki palców jest język. Subtelność wykonania niektórych przedmiotów znacznie przewyższa to, co potrafią odkryć ludzkie oczy i palce.

- Więc liżesz złoto? - zapytał Niall z niedowierzaniem. W odpowiedzi rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

Shane leniwie przymknął powieki. To była jedyna widoczna reakcja na myśl o tym, że Risa dotyka jakiegoś przedmiotu językiem. Z pewnością wizja bardziej interesująca niż wszystkie leżące na stole złote przedmioty. Wprawdzie miały wartość historyczną, ale jeśli chodziło o wzbudzenie emocji, pozostawiały wiele do życzenia.

A on potrzebował właśnie silnych emocji. Chciał wyrzucić wrażenie na publiczności. Musiał mieć coś, co dotarłoby do widzów, mimo ich ignorancji i typowego dla XXI wieku znudzenia, i do głębi nimi wstrząsnęło. To mogłoby trwać kilka sekund, ale przez ten czas zwiedzający uświadomiliby sobie, że od tysięcy lat ludzie tacy jak oni żyli, śmiali się, pragnęli, kochali, płakali, umierali i tworzyli, ciągle tworzyli.

Fakt, że taki eksponat zwiększyłby ruch w kasynach kompleksu Tannahill Inc., byłby miły, ale nie dlatego Shane poszukiwał wartościowych wyrobów ze złota. Mówiąc wprost, pogardzał

szabrownikami i hienami żerującymi na starożytnych kulturach, Tylko dwie osoby uświadamiały sobie, jak wielka jest jego pasja - Dana i Niall. I Shane dbał, żeby ten stan rzeczy nie uległ zmianie.

Im mniej ludzie o nim wiedzieli, tym łatwiej było osłabić ich czujność.

- Masz jeszcze coś do pokazania? - zapytał. - Te eksponaty mi nie odpowiadają. Na pokazie Złota Druidów będzie pełno sław, polityków, panienek z wyższych sfer, a więc mnóstwo bezguścia.

- Shane sugeruje - odparła Risa - że w Las Vegas jest bezguście niższych klas, ale jest też blichtr i ostentacyjne bezguście najbogatszych. Żaden z tych eksponatów nie zrobi wrażenia na znudzonym turyście.

Ale mówiąc te słowa, Risa z szacunkiem muskała palcami chłodną, uszkodzoną powierzchnię czegoś, co mogło być torquesem uprzywilejowanego dziecka albo ofiarą dla któregoś z czterystu celtyckich bóstwek. Dla niej nawet najbardziej niezgrabnie wykonany przedmiot zasługiwał na szacunek, choćby dlatego, że przetrwał, podczas gdy tyle innych zaginęło.

Dana machnęła ręką na to wyjaśnienie i spojrzała na Shane'a. Spodziewała się, że przyjaciel okaże zniecierpliwienie. I właśnie dlatego nalegała, żeby to Rarities opłaciła koszty przejazdu i pracy Risy.

- Spokojnie, mój drogi. Ona jest tutaj dla nas, nie dla ciebie. - Zwróciła się do Nialla. - Może zabierzesz go do sutereny i pobawisz się z nim pistoletami.

To było polecenie, nie prośba.

Shane wybuchnął śmiechem i podniósł ręce, jakby chciał się poddać filigranowej brunetce.

- Tak pięknie łapiesz przynętę, Dano. Trudno się temu oprzeć.

- Walcz z pokusą- zaproponował Niall, a jego oczy zdradzały, że cała ta sytuacja bardzo go bawi.

Dana wymamrotała coś o mężczyznach albo zaklęła po francusku*. Nikt jej nie poprosił o powtórzenie.

Uśmiechając się, Risa wzięła do ręki mały torques, obręcz noszoną na szyi.

- Sądząc po wadze, jest wydrążony. Prawdopodobnie pochodzi z grobowca albo był ofiarą dla ducha strumyka, bagna lub rzeki. Po kolorze domyślam się, że został wykonany ze stopu srebra i złota, podobnego do stopów ze skarbcą odnalezionego w Snettisham w Anglii, który datuje się na połowę I wieku przed naszą erą. Nawet jeśli tak jest, to jeszcze nie stanowiłoby stuprocentowego dowodu pochodzenia tego przedmiotu, bo zawartość grobów i skarbców odkopywano, przetapiano i przerabiano od niepamiętnych czasów.

- Ale raczej oceniałabyś, że pochodzi z celtyckiej Brytanii, mniej więcej z I wieku przed naszą erą? - zagadnęła Dana.

- Jeśli to się pokrywa z twoimi wynikami XRF... Tak - przerwała Dana. - Żaden z tych wyrobów nie pasuje do wykresów XRF współczesnych, dziewięcio-, czternasto- i osiemnastokaratowych stopów złota.

Risa skinęła głową, nie odrywając wzroku od torquesu.

- Technika wykonania nie jest tak zaawansowana jak w przypadku znalezisk ze skarbców Snettisham z I wieku przed naszą erą. Tu brzegi nie mają żadnych zdobień. Może torques nie został ukończony. A może został. Tego nigdy się nie dowiemy. Możemy tylko oceniać to, co mamy w rękach, a nie to, co mogło się zdarzyć.

- Ale jest podobny do wyrobów ze Snettisham? - naciskała Dana.

- Został wykonany z elektum. Podobnie jak przedmioty ze Snettisham. Na razie tyle mogę stwierdzić.

Risa wyjęła torques i obróciła tak, żeby kamera w górze dobrze go ujęła. Niezdarne

wykonanie przedmiotu było teraz lepiej widoczne.

- To wydrążona rurka ze złota, którą niezbyt elegancko uformowano w mały naszyjnik - powiedziała Risa. - Jako złoty wyrób sprzed wielu stuleci ma zarówno wartość wewnętrzną, jak i zewnętrzną. Jako przykład sztuki jubilerskiej z wieku żelaza w Brytanii... - Wzruszyła ramionami. - Pospolity. Bardzo pospolity. Każde dobre muzeum ma coś takiego w magazynach: przedmioty, które czekają, aż zainteresuje się nimi jakiś naukowiec.

Dana kiwnęła głową, a jej krótkie ciemne włosy aż zalśniły. Klient bez ** zbieżność ang. „men” - mężczyźni i fr. „merde” - cholera (przyp. red.).

wątpienia miał nadzieję na więcej, ale to już był jego problem. Ona kupowała, sprzedawała, wyceniała i chroniła kulturowe artefakty, które napływały do Rarities Unlimited.

- Inne przedmioty cechuje podobna wartość artystyczna. - Risa zręcznie umieściła torques w szufladce i wzięła, na chybił trafił, kolejny wyrób. - Ta półokrągła brosza służyła do spinania szat i płaszczy, żeby nie zsuwały się z ramion. Wiele takich brosz wykonywano z żelaza albo brązu. Wikingowie woleli srebro, bo właśnie jego mieli najwięcej. Celtowie we wcześniejszych czasach i innych rejonach tradycyjnie wykorzystywali złoto.

Niall popatrzył na broszę. Nie dostrzegł żadnego elementu, za którego pomocą można byłoby przyczepiają do stroju. Nawet ostrego szpicu do przekłuwania materiału.

- Nie rozumiem, jak to można było przypiąć do ubrania.

- Część ze szpilki została ułamana - wyjaśniła Risa, odkładając przedmiot na miejsce. - Zapewne rozmyślnie, kiedy brosza była zakopywana albo wrzucana do wody.

Niall już miał zapytać, po co niszczy się rzecz, zanim się ją zakopie albo ofiaruje bogu. Ale zauważył świdrujące, zniecierpliwione spojrzenie Dany, i zamknął usta. Nie musiał tego wiedzieć. Wystarczyło, że Risa miała taką wiedzę.

Zawsze mógł ją o to zapytać później.

- Dwie z pozostałych brosz są podobnie uszkodzone. - Risa delikatnie dotykała biżuterii. - Trzy małe opaski pochodzą z późniejszego okresu, po tym jak Rzymianie zaczęli wywierać wpływ na brytyjsko-celtyckie style. Wydaje się, że zostały wykonane ze szczerzego złota. - Kolejno podnosiła przedmioty i ważyła je w dłoni. - Nie są wydrążone. Tu również technika jest toporna. Brakuje tym wyrobom poloru śródziemnomorskich złotników, którzy przybyli z Rzymianami do Brytanii. Nie mają też prezencji wyrobów najlepszych celtyckich złotników.

- Zdefiniuj prezencję - powiedział Shane.

W pierwszej chwili Risa pomyślała, że akurat on na temat prezencji powinien wiedzieć wszystko.

- Nie da się jej zdefiniować. Jeśli istnieje, to ją wyczuwasz. Jeśli jej nie ma... - Wzruszyła ramionami.

Zaczął zadawać kolejne pytanie, ale Risa mu przerwała.

- Omówię to z tobą później, jeśli będziesz chciał. Tymczasem po prostu zerknij w lustro. - Na widok zdumionej miny Shane'a wyzywająco uniosła podbródek. - Mężczyźni. *Merde*.

Dana wybuchnęła tenorowym śmiechem.

- Chcesz coś jeszcze dodać na użytek urzędzeń nagrywających?

Na policzkach Risy wykwitł rumieniec, gdy przypomniała sobie, że wszystkie słowa i gesty są w tym pomieszczeniu rejestrowane.

- Ogólna surowość, prostota i częściowe uszkodzenia przedmiotów skłaniają mnie do opinii, że to nie fałszyki. Po prostu nie są dość dobre, by przyciągnąć uwagę i pieniądze, które byłyby dla fałszerzy należytą rekompensatą za ich umiejętności, czas i materiały.

- Czy wydałabyś słowną, niewiążącą opinię na temat wartości kolekcji, jeśli miałyby być sprzedana w całości?

- Czy te przedmioty stanowią część jednego skarbu, znalezione w tym samym miejscu i czasie?

- Nie - odparła Dana.

- W takim razie tracą na wartości.

- Mój klient jest tego świadomy.

- Obecnie, przy założeniu, że pochodzenie tej biżuterii nie jest podejrzane, uważam, że jej wartość w sumie wynosi od siedemdziesięciu pięciu do stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Te przedmioty raczej nie zwabią większego muzeum. Jeśli znajdziecie kolekcjonera biżuterii, który interesuje się wyłącznie celtyckimi wyrobami ze złota, może uzyskacie korzystniejszą cenę. Intensywnie wpatrywała się ciemnoniebieskimi oczami w Shane'a. - Kolekcjonerzy potrafią być nieobliczalni. Zapłacą tyle, ile jest dla nich warta dana rzecz.

Shane błysnął zębami w pozbawionym ciepła uśmiechu.

Niall zakaszła, zamykając wieko. Potem wziął kolejny aluminiowy pojemnik, o połowę mniejszy od pierwszego. Otworzył go i odwrócił ku Risie.

Wyczuła, że Shane nieruchomieje. Zerknęła na niego, ale nie dostrzegła żadnych emocji na jego twarzy.

Mimo to wiedziała, że postanowił kupić ten przedmiot jeszcze przed wysłuchaniem jej fachowej porady.

Merde.

Naprawdę nie znosiła takich sytuacji.

Ten przedmiot przynajmniej zasługiwał na to, by eksponować go z dumą w kolekcji Złotego Runa. Oczywiście pod warunkiem, że nie był dziełem fałszerza, nie pochodził z kradzieży lub jego rodowodu nie splamiła krew. Gdyby budził podejrzania, ją i szefa czekałyby niezłe kłótnie i przepychanki. Shane uważał, że jej kryteria solidnego rodowodu są zbyt sztywne. Wiele domów aukcyjnych podzieliłoby jego zdanie.

Dzieciństwo i młodość Risy były tak pełne skaz, że domagała się, aby pochodzenie eksponatów pozostawało poza wszelkim podejrzeniem.

Shane miał niewinną przeszłość, dlatego wydawał się bardziej tolerancyjny.

Nigdy nie został przyłapany na posiadaniu czegoś, do czego nie miał prawa własności.

Odsunęła smutne wspomnienia z dzieciństwa, które spędziła jako sierota w Arkansas, i skupiła uwagę na leżącym przed nią przedmiocie.

- Tylko oględziny wizualne czy mam wziąć go do ręki? - zapytała.

- To samo, co przy poprzednim zestawie - odparła Dana. Risa uśmiechnęła się, kręcąc powoli głową.

- O, ten bardzo się różni od poprzedniego. Ma prezencję.

Shane spojrział na nią z ukosa.

Zignorowała go i skoncentrowała się na torquesie. Z ulgą stwierdziła, że ten złoty wyrób nie ma w sobie żadnej niepokojącej mocy, którą czasem wyczuwała w rzeczach - zwłaszcza kiedy znalazła się pośród ustawionych na sztorc głazów w Walii, i to pomimo tego, że nie było tam żadnych artefaktów. Ale nie lubiła o tym myśleć, ani tego, że czasem uświadamiała sobie, iż bardzo różni się od innych ludzi.

Wzięła głęboki oddech. Lepiej wrócić do rzeczywistości, zamiast rozpamiętywać utracone dzieciństwo i wspominać dziwny dębowy zagajnik w Walii.

Krąg torquesu był podzielony na trzy równej długości łuki. Zewnętrzna krzywizna każdego z nich była ozdobiona kołem ze szprychami, umieszczonym na środku łuku. Każde z kół było z kolei podzielone na trzy części złotymi gałkami, rozmieszczonymi w równych odstępach.

- Klasyczny, trzyczęściowy projekt - zawyrokowała Risa. - Celtowie uwielbiali potrójne

motywy na długo przed nastaniem chrześcijaństwa. - Ostrożnie wyjęła torques z szufladki. - Sądząc po wadze, nie jest wydrążony. Nie potrafię stwierdzić gołym okiem, czy to szczerze złoto, czy tylko żelazo pokryte dość grubą warstwą złota.

Dana cicho odezwała się do mikrofonu przy kołnierzyku.

- Dział badań?

- Rdzeń żelazny - odezwał się głos z kratki na suficie. - Informacja zweryfikowana przez Rarities.

- Wspaniale - parsknęła Risa.

- Czy nie byłby bardziej wartościowy niż szczerze złoto? - zapytał Niall.

- Jeśli chodzi o własności metali, czyste złoto jest bardzo miękkie - odparła z roztargnieniem. - Można bez większego trudu zmieniać jego kształt, ale równie łatwo go traci. Co gorsza, takie złoto nie zatrzymałoby ciosu mieczem zadanego znienacka, od tyłu, a przecież pierwotnie torquesy prawdopodobnie właśnie temu służyły. Fakt, że żelazo jest pokryte złotem, pozwala sądzić, że ten torques należał do kogoś z rodziny królewskiej albo o wysokim statusie społecznym i że ta osoba była albo kobietą, albo miała szyję grubości ołówka. Piękny. Po prostu przepiękny. Powiodła opuszkami palców po całym torquesie. - Hm. Tak. Jest tutaj... i jeszcze tutaj.

Shane znów pomyślał o języku Risy. Poirytowany rosnącym požądaniem wobec pani kurator, zmusił się do skupienia uwagi na złotym wyrobie.

Risa popatrzyła na Dane.

- Przypuszczam, że mamy do czynienia z czopowym połączeniem na każdym końcu łuku.

- Proszę cię, mów po angielsku - wtrącił Shane. Ton jego głosu sprawił, że Risa zmrużyła oczy.

- Chodzi o sposób łączenia części zewnętrznych z wewnętrznymi.

Niall prychnął szyderczo.

Risa znowu zwróciła się do Dany.

- Tego rodzaju spojenie było znane i stosowane w wieku żelaza. Dzięki niemu jeden łuk można usunąć z torquesu, tak że pozostałe dwie trzecie pierścienia dają się przesunąć wokół szyi. Potem zaciskano torques na spojeniach i nieszczęśnik mógł tylko pomarzyć o zdjęciu obręczy.

- Musiało uwierać - zauważył Shane. - Status przeważnie uwiera.

Rzucił Risie rozbawione, ale pełne aprobaty spojrzenie. Pragmatyzm i błyskotliwa inteligencja podwładnej fascynowały go nie mniej niż jej wspaniałe ciało.

I to go martwiło. Romanse nie opierały się na inteligencji i pragmatyzmie. Były szybkie, chciwe i namiętne, inteligencja liczyła się w prawdziwym związku.

Zły pomysł.

Związki nie bardzo mu wychodziły. Jedyne, w jakich pozostawał, były relacjami rodzinnymi i sprowadzały się w przypadku ojca do walki, w przypadku matki do smutku, a poza tym do ogólnego zniechęcenia.

„Gdybyś tylko spróbował, jakoś porozumielibyście się z ojcem. Tylko spróbuj, Shane. Spróbuj. Proszę. Zrób to dla mnie”.

Ta często powtarzana przez matkę prośba rozbrzmiewała we wspomnieniach Shane'a jak echo udręczonej duszy. Jako doświadczony mężczyzna potrafił ją ignorować. Nawet dla matki nie zamierzał znosić destrukcyjnej arogancji ojca. Koniec, kropka. Koniec życia rodzinnego.

I początek prawdziwej edukacji Shane'a.

Wegetowanie na ulicy mogło nauczyć człowieka wszystkiego tego, czego nie nauczyły go studia z biznesu na Uniwersytecie Stanforda.

- Co do wieku - ciągnęła Risa, lekko wodząc palcami po chłodnej powierzchni zabytkowego

złota - wiem przynajmniej o jednym torquesie, który jest podobny pod względem stylu i wykonania. Ten torques znaleziono w Marne, we Francji. Pochodzi z IV wieku przed naszą erą.

- Wstępne oszacowanie wartości? - zagadnęła Dana.

- Przy dobrym, bardzo dobrym pochodzeniu, zaczęłabym od trzystu tysięcy dolarów i miałabym nadzieję na znacznie wyższą stawkę. Do pół miliona dolarów. Może nawet jeszcze wyższą. Zależy, czy będzie publiczna aukcja, gdzie rywalizujący ze sobą kolekcjonerzy lubią podbijać ceny, czy prywatna sprzedaż zainteresowanej osobie.

- To jest na sprzedaż? - wtrącił bezceremonialnie Shane.

- Tak - odpowiedziała Dana.

- Mogę? - spytał, ale już wyciągał rękę po złoty przedmiot. Risa podała mu torques.

Na moment zamknął oczy i napawał się ciężarem, strukturą, powierzchnią tego okazu starożytnej biżuterii. Nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego ma takie dziwne podejście do kolekcjonowania antycznych klejnotów. Ale zawsze tak postępował. Nie kupował nawet najbardziej okazałych eksponatów, jeżeli rozczarowały go w dotyku.

Kiedy otworzył oczy, były zielone jak królewski nefryt. Przeszywał Risę wzrokiem, aż zjeżyły jej się włoski na karku. Odwróciła się od niego tak szybko, że omal nie straciła równowagi.

- Przekaż swojemu klientowi, że po zweryfikowaniu pochodzenia eksponatu ma ofertę trzystu tysięcy...

- Czterystu - rzucił bezceremonialnie Shane.

- Czterystu tysięcy dolarów - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Jeśli nie odpowiada mu, że jestem jednocześnie wyceniającym i nabywcą, Tannahill Inc. zapłaci za niezależną wycenę.

- Jasne - odparła Dana. W myślach podsumowała zlecenie dla Rarities i uśmiechnęła się. - Nie będzie protestował. Nalegał, żebyś to ty była rzeczoznawcą.

- Pewnie dlatego, że chciał zwrócić uwagę Shane'a - stwierdziła Risa z lekkim rozgoryczeniem. Sama nie była dostatecznie znana, żeby oceniać wyroby tak dużego kalibru, jakie oferowano Shane'owi.

- Bez wątpienia - zgodziła się Dana. - Wszędzie na świecie każdy, kto ma do sprzedania kunsztowny przedmiot ze złota, słyszał o Shanie Tannahillu i Złotym Runie.

- Dzięki temu moje życie jest interesujące - mruknęła Risa.

- Kupowanie tych wszystkich wspaniałości, co? - zagadnął Niall.

- Nie, zmaganie się z tymi „wspaniałościami”, które wyszły z rynsztoka i kurczowo trzymają złoto.

Rozdział 3

Sedona

Noc Halloween

Książka, którą Virgil trzymał na kolanach, była ciężka; zawierała uczone treści oraz mnóstwo pięknych rysunków i kolorowych zdjęć sztuki celtyckiej. Nie musiał jej kartkować, bo doskonale pamiętał treść. Stanowiła część okazałej kolekcji, dzięki której zdobył wiedzę o złotych wyrobach, przechowywanych przez niego pod łóżkiem w trzech skrzynkach po amunicji z czasów II wojny światowej. Wszystkie jego dawne adresy, zapisane na skrzynkach, tworzyły niemal rytualną listę miejsc, z których kiedyś uciekł.

Ale już nie uciekał. W końcu zrozumiał, że nie ucieknie przed czymś, co jest niepojęte.

Na swoje ostatnie miejsce pobytu wybrał pełen duchów południowy zachód. Miał nadzieję, że

postawienie skrzynek ze złotem pośrodku trzech pochyłych kamieni, które znalazł u podnóża pobliskiego klifu, w jakiś sposób... zwróci to złoto.

A on sam się wyzwoli.

Kiedy ten plan spalił na panewce, Virgil wcisnął skrzynki pod łóżko i zaczął czytać książki, szukając wskazówek, które pozwolą mu kontrolować coś, co żyło w jego złocie. To również się nie udało, ale nadzieja była nieustanna. I niezbędna.

Wciąż czytał. Musiał znaleźć klucz do uwolnienia się od klątwy złota druidów.

Kiedyś próbował nawet wrócić do walijskiej jaskini, do miejsca, gdzie odkopał skarb ponad półwieku wcześniej. Złoto, święte złoto, dwadzieścia siedem sztuk stanowiących esencję druidycznych rytuałów, w których życie kończyło się i zaczynało. Królowie czekali, podczas gdy druidzi przemawiali do bogów, ustalając z nimi wędrówkę Słońca i Księżyca. Baeltane w maju, kiedy na ziemię znowu spływało ciepło i światło nadziel, i Samhain w listopadzie, kiedy kolejny raz rozpoczynała się pora zimna i rozpacz.

Samhain, kiedy rzeczywistość zlewała się z tym co nierzeczywiste w niesamowitą całość.

To właśnie w porze Samhain wrócił do Walii, aby znowu odszukać dziewięć wzgórz, sześć dębów, trzy pochyłe głazy, jedną małą gałązkę. Tym razem nie zabrał wykrywacza metalu. Nie szukał złota. Szukał rozgrzeszenia.

Nie znalazł ani ukojenia, ani czarnej gałązki pośrodku kamieni. Miejsce, które z łatwością odnalazł podczas wojny, zniknęło w czasach pokoju. Pokonany, z ciężką nad nim klątwą, uciekł do Ameryki. I tam pozostał. Mimo upływu czasu i przeczytania wielu książek nie czuł się ani odrobinę mądrzejszy. W żadnej z ksiąg nie odkrył niczego, co mogłoby się równać z dwudziestoma siedmioma przedmiotami znalezionymi w grobowcu druidów. W żadnej ze współczesnych fantazji na temat odzianych w białe szaty kapłanów nie znalazł niczego, co posiadałoby moc starożytnych. Druidów, którzy leczyli chorych i potrafili sprawić, że zdrowi zapadali na choroby; rozmawiali z bogami i mieli większą władzę niż królowie; nie robili różnic między sobą i rzeką, dębem lub jeleniem, bo dla nich wszystko było świętą, nie przerwana jednością.

I cała ta moc skupiała się w rytualnych artefaktach, które on ukradł. Czuł się skazany.

Odłożył książkę i patrzył niespokojnie na ciężki złoty torques. Poskręcane złote łańcuchy lśniły chłodno w księżycowej poświacie, sączącej się przez okno. Było tak jasno, że można by czytać, jeśli miało się młode oczy, ale nie dość jasno, żeby dostrzec czerwony odcień na wielkich skalistych twarzach, które majaczyły tuż za jego zaniedbanym domkiem.

Turyści płacili ciężkie pieniądze, żeby dać się przewieźć w różowych jeepach albo zakurzonych odkrytych furgonetkach po wyboistej krainie. Nigdy nie potrafił tego zrozumieć. Słońce świeciło równie ładnie w wielu innych miejscach. Niebo miało równie niebieski kolor. A mimo to ludzie przybywali do Sedony, żeby stać w ścisku z innymi i człapać po zatłoczonych szlakach energetycznych, wydeptanych już przez tysiące wyznawców New Age.

Virgil próbował nawet sam chodzić po tych szlakach, jeszcze w czasach gdy myślał, że zdoła się pozbyć choćby części pecha, który go prześladował, odkąd nielegalnie udał się na dwudniową wyprawę do Walii. Ale chociaż jeździł do wielu miejsc mocy i bardzo się starał otworzyć na inną rzeczywistość, zawsze wracał szlakiem z tym samym bagażem rzeczywistości, z którym przybywał.

Z czasem odkrył channeling. Jednogodzinna sesja kosztowała więcej niż wizyta w luksusowym burdelu, ale on miał już prawie siedemdziesiąt sześć lat i nic potrzebował dziwek. Poza tym używanie kanału było o wiele łatwiejsze niż samotne przedzieranie się do najodleglejszych i najbardziej energetycznych miejsc - o nich nie wspomniano w kolorowych ulotkach po dziesięć dolców za sztukę, niewartych nawet papieru, na którym je wydrukowano.

Używanie kanału przychodziło mu znacznie łatwiej niż dotykanie tego cholernego złota i słuchanie własnych krzyków przyzywających piekielne moce.

Wskazówki zegara zacięły się i uderzyły w siebie z trzaskiem jak końce wachlarza.

Północ. Halloween.

Samhain - czas, kiedy zacierały się wszelkie granice.

To musiało być teraz.

Po dwóch próbach przemógł się i wziął torques w rękę. Skóra gwałtownie mu ścierpła w zetknięciu z zimnym złotem. Był pewien, że gdzieś w oddali słyszy grzmot, którego ryk dociera do wszystkich zakątków Walii, że przez jego zaciśniętą rękę przetacza się błyskawica i parzy, pali, niszczy...

Własny krzyk wyrwał Virgila z transu. To musiało być samo piekło. Już kiedyś je widział... Teraz przerażała go myśl, że spędzi w nim wieczność.

- Nie dam rady sam - powiedział do ciemności. - Potrzebuję kanału.

Przez kilka minut trzymał głowę w rękach, wpychał drżące palce w gęste białe włosy i zbierał siły, by znowu zmierzyć się z ciemnością.

Przynajmniej tym razem lady Faulkner będzie z nim.

Ta myśl dodała mu odwagi. Zaraz zadzwoni pod numer, który dobrze pamiętał, chociaż inne rzeczy już dawno wyleciały mu z głowy. Ale nie zapomniał wszystkiego. Chociaż bardzo się starał, nie mógł wymazać z pamięci piekła - sprzedałby własną duszę, żeby o nim zapomnieć.

O ile jeszcze miał duszę.

Nie był w stanie się ruszyć; tylko ręce mocno mu dygotały, jak zawsze ostatnimi czasy. Czekał, aż medium podniesie słuchawkę i odpowie na pytania o stan jego duszy.

Rozdział 4

Camp Verde, Arizona

Noc Halloween

Nieubłagany dzwonek telefonu w końcu obudził zamroczoną narkotykami Cherelle Faulkner. Usiadła naga na łóżku i patrzyła nieprzytomnie przez posklejane tuszem rzęsy. Za oknem, które zasłaniała tylko gruba warstwa kurzu, było widać wyblakły neon motelu - ciągle mrugał, jakby naśladował wolne bicie serca, i reklamował wynajem pokojów na noc, na tydzień albo na miesiąc.

Telefon wciąż dzwonił.

Wsunęła ręce w utlenione włosy i kopnęła śpiącego obok mężczyznę.

- Na miłość boską, Tim! Odbierz ten cholerny telefon!

- Do diabła - mruknął Tim Seton. - Posłuchaj samej siebie. I mnie ciągle gadasz, żebym trzymał gębę na kłódkę w towarzystwie przygłupów.

- Jedyńm przygłupem w tym łóżku jesteś ty, a wiemy, że dupki nie mają uszu, więc nie muszę trzymać gęby na kłódkę, prawda?

Tim odwrócił od niej swoją przystojną twarz i znowu zasnął. A telefon dzwonił nadal.

Cherelle syknęła jakieś przekleństwo i przeczołgała się po Timie, żeby zobaczyć na wyświetlaczu, kto dzwoni.

- Virgil - mruknęła. - Cholera.

Virgil O'Conner był jednym z ich najlepszych przygłupów. „Klientów”, poprawiła się po cichu. Płacił gotówką. Z góry. Nie wyklócał się, nie było odrzuconych czeków, nie było żadnych

kłopotów z kartą kredytową. Żałowała, że nie mają jeszcze pięćdziesięciu takich gości jak on. A co tam, nawet pięciu to już byłoby coś. Przy takiej klienteli i przy odrobinie szczęścia w Vegas mogłaby się nieźle urządzać jak jej przyjaciółka z dzieciństwa, Risa.

Cherelle przypominała sobie dawne dobre dni, kiedy dwie sprytnie arkansaskie sieroty trzymały się razem...

Telefon dzwonił i dzwonił.

Otrząsnęła się z sennych wspomnień, przywołała swoje wcielenie medium, jakby nakładała niewidzialne szaty, i podniosła słuchawkę. Przemówiła ściszym, łagodnym głosem.

- Dzień dobry, Virgil. Wyczuwam, że przeżywasz trudne chwile.

- Muszę się z panią zobaczyć.

- Pozwól, że sprawdzę...

- Nie - przerwał jej. - Teraz, lady Faulkner. Póki jeszcze ciemno. To złoto mnie zabija.

Przygryzła język, żeby nie zakląć.

- Złoto, tak? Czyżbyś znowu zasnął nad obrazkami w jednej ze swoich starych książek?

- Mam lepsze rzeczy. Proszę szybko przyjechać. Przekona się pani.

- Virgil... - „Jest środek nocy, kretynie”. Zaciśnęła zęby, odgarnęła włosy z oczu i powiedziała ostrożnie: - Dobrze, ale będę musiała cię poprosić o podwójną stawkę. Przykro mi, takie jest...

- Jeżeli dojedzie tu pani przed świtem, dam cztery setki - przerwał.

- Gotówką?

- Tak. - To były jego ostatnie pieniądze, ale wcale się tym nie przejmował. Jeśli jego znajoma nie zdoła dokonać cudu, to następnego już nie będzie. - Ale musi się tu pani pojawić szybko.

Cherelle przełknęła ślinę.

- Będę przed świtem. Spokojnie, Virgil.

Zanim klient zdążył zareagować, cisnęła słuchawkę na widełki i potrząsnęła swoim partnerem tak mocno, że rozczochrała jego blond pasemka.

- Ruszaj tyłek i w drogę. Virgil ma dla nas cztery duże banknoty.

Tim otworzył jedno piękne niebieskie oko.

- Kogo mamy zabić?

- Ha, ha. Nie wolno ci nawet zdeptać karalucha. Musisz skłonić swojego więziennego kumpla, żeby zrobił to za ciebie.

Otworzyło się drugie niebieskie oko. Tim uśmiechnął się jak porcelanowy anioł.

- To się da zrobić.

Prychnęła z obrzydzeniem. Zgarbiła się i przeczołgała na drugą stronę łóżka.

- Rusz tej swój seksowny tyłek i wyłaż z pościeli. Musimy być u Virgila przed świtem.

- Socksowi nie spodoba się, że nie będzie nas, kiedy...

- Niech się pieprzy.

- Hej, ty zawsze się czepiasz mojego kumpla.

- Nigdy się go nie czepiałam, nawet kiedy zaoferował mi setkę za zrobienie loda.

Tim zaśmiał się drwiąco i przeciągnął. Lubił dokuczać Cherelle. W ten sposób kompensował sobie to, że nawet w połowie nie był tak inteligentny jak ona. Socks też, chociaż lubił się przechwalać. W porównaniu z Cherelle okazywali się tępakami. Ale to nic.

Myślenie to męczące zajęcie.

Dlatego zostawiał je Cherelle, chyba że chodziło o coś bliższego zainteresowaniom kolegi, jak podwędzenie telewizora czy odtwarzacza DVD. O takich rzeczach nie mówił Cherelle. Strasznie by się wkurzyła, że Socks okrada klientów. Nie wszystkich, co to, to nie. Nawet on wiedział, że to byłoby głupie. Tylko kilku, kiedy wyjeżdżali na zimę: tych, którzy mieli tyle telewizorów, że nic zauważyliby braku jednego lub dwóch.

Tak czy owak, to wina Cherelle. Gdyby nie była taka skąpa, nie musiałby kombinować z Socksem. Ale ona ubzdurała sobie, że oszczędzi sporo szmalu i wyprowadzą się w bezpieczne miejsce, gdzie nikt ich nie rozpozna i gdzie nie będą musieli ciągle nerwowo oglądać się za siebie. Ostatecznie więc miał szczęście, jeśli dostał od niej pięćdziesiątkę raz na tydzień i mógł wypić trochę piwa z Socksem i...

- Timothy Setonie, tyłek w troki i fora z wyrka!

- Suka, suka, suka - powiedział cicho, żeby nie usłyszała. - Już, już się podnoszę! - Potem zerknął na swoją poranną erekcję i wybuchnął śmiechem. - Podnosi się każda część mojego ciała. Co ty na to?

Spojrzała tak, że wszystkiego mu się odechciało.

Tęsknym wzrokiem popatrzył na swoją opadającą poranną chwałę. Cóż, trudno. Przecież nie wyczerpał zapasów. A gdyby ona nie chciała następnym razem, znajdą się inne.

Pogwizdując, poszedł do kabiny prysznicowej, którą Cherelle w końcu posprzątała w zeszłym tygodniu. Najwyższa pora. Na podłodze było tyle brudu, że aż go łaskotał w stopy.

Rozdział 5

Las Vegas Noc Halloween

Lobby kasyna Najśmielsze Marzenie wystrojem przypominało halloweenową tartinkę. Dominował tu czarny aksamit i neonowy oranż. Najbardziej fotogeniczne znakomitości wśród hazardzistów dzielnicy Strip krążyły wokół fontanny z szampanem i zanurzały czarne kryształowe kielichy w musującym, pomarańczowym winie. Gail Silverado, właścicielka Najśmielszego Marzenia, słynęła ze swojej dorocznej halloweenowej fety. Impreza zaczęła się hucznie i rozkręcała z minuty na minutę. O trzeciej nad ranem hałas był już nie do zniesienia i miał się robić coraz gorszy w miarę upływu czasu, aż w końcu o świcie bąbelkowa fontanna zostanie opróżniona.

Ale do tego momentu zostało jeszcze sporo godzin. Gail częstowała wszystkich uśmiechem jaśniejszym od sztucznych pereł, które podkreślały jej nieskazitelną figurę. Trzymała już dziesiąty kieliszek szampana - z każdego pociągała zaledwie łyk i dyskretnie spoglądała na zegarek. Wciąż miała jeszcze kilka minut, zanim zostanie wezwana w sprawie służbowej.

Gdyby nie to, że była umówiona na to spotkanie, najchętniej by się stąd wyrwała. Buty na seksownych wysokich obcasach były zaprojektowane dla młodszej kobiety, a nie dla takiej, która przez większość swojego pięćdziesięciokilkuletniego życia wywijała dobrze utrzymanym tyłkiem przed każdym zamożnym mężczyzną. Krótko mówiąc, Gail czuła, że pada z nóg.

Ale jej okolona błyszczącymi piórami twarz cały czas rozpływała się w uśmiechu. W Las Vegas było tyle młodego mięsa, że kobieta po trzydziestce musiała mieć się na baczności. Ale nawet gdyby Gail konkurowała ze sforą psów, i tak zdecydowałaby się na mordercze treningi i regularne konsultacje u chirurga plastycznego. Po prostu odczuwała potrzebę wyglądanania o piętnaście lat młodziej. A jeszcze lepiej o dwadzieścia.

- Shane! - zawołała i posłała mu megawatowy uśmiech. - Bałam się, że nie przyjdiesz.

Shane pomachał jej ręką i zaczął się przedzierać przez barwny tłum przebierańców. Były tu diabły, anioły piekielne - w tym przypadku może nawet rzeczywiste - i więcej „showgirls” niż na wybiegu Lido, a także podobni do gadów kosmici z głowami, na których widok uciekłyby sama Meduza.

- Powinam kazać Carlowi wyrzucić cię stąd - zwróciła się do Shane'a, ale jej spojrzenie wyrażało aprobatę.

- Dlaczego miałybyś na mnie napuszczać swojego szefa ochrony? - krzyknął Shane. Hałas na przyjęciu osiągnął ogromne natężenie. Wielu ludziom to się podobało, ale nie jemu. Był tu w interesach, nie dla przyjemności, i cały ten zgiełk trochę mu przeszkadzał

- Bo nie jesteś w kostiumie, złotko - odparła Gail, trzymając ręce na wąskiej talii.

Shane spojrział na siebie, jakby zdumiony, że wciąż jest w tej samej skórzanej kurtce, kremowej koszuli z wypuszczonym kołnierzykiem i czarnych spodniach, które włożył na spotkanie w Rarities.

- Jestem przebrany!

- Za kogo?

- Za samca z XXI wieku, z gatunku *Homo sapiens*.

Gail wybuchnęła śmiechem.

- Punkt dla ciebie. Ty z pewnością nie jesteś normalny.

Popatrzył na tłum wprawnym okiem. Rozpoznawał ochroniarzy bez względu na to, jak nieprawdopodobne było ich przebranie. Tylko oni nic nie pili. Tak samo było na górze, na wybiegach schowanych za kratami w sufitych i za weneckimi lustrami. Pracownicy ochrony chodzili nad głowami gości i stali przy każdym świetliku, a kamery cały czas rejestrowały. W Najśmielszym Marzeniu, podobnie jak w innych dużych kasynach, wszystko było nagrywane i archiwizowane cyfrowo. Wprawdzie nagrania częściej odtwarzano jako pliki na minidyskach, ale i tak wszyscy mówili „taśmy”.

- Ale tłum! Kto dzisiaj na bożym dyżurze? - zapytał leniwie Shane, mając na myśli ochroniarzy na górze.

- Ten, kto przegrał losowanie.

Gail najwyraźniej dała znak obsłudze, bo jakaś panna podeszła do Shane'a i zaproponowała mu, co tylko dusza zapagnie. Gestem odprawił wydekoltowaną dziewczynę z długimi nogami, której piersi podskakiwały jak wypełnione wodą balony. Shane zerknął na nią, ale nie miał pojęcia, za co się przebrała.

- Wpadłeś tylko na chwilę i nie zdążysz nic wypić ani zjeść, prawda? - zagadnęła Gail, kiedy odprawił dziewczynę serwującą drinki.

- Właśnie przyleciałem z L.A. Jestem zbyt zmęczony, żeby dobrze się czuć w twoim tłumie.

Gail wcale mu nie wierzyła. Doskonale wiedziała, jaką niespożytą energię ma ten mężczyzna. Zastanawiała się tylko, jak znowu zaciągnąć go do łóżka. Od ostatniego razu upłynęło wiele lat.

Z początku myślała, że Shane przestał do niej dzwonić ze względu na różnicę wieku. Stopniowo zaczęła sobie uświadamiać, że chodzi o coś gorszego. Po prostu nie chciał od niej niczego więcej oprócz przyjemnego, ale przelotnego romansu.

Skoro nie miała wyboru, musiała obyć się w łóżku bez niego. W Vegas było wielu jurnych samców. Ale dobijało ją to, że Shane nie zorientował się, jak idealną parę mogliby stworzyć, zwłaszcza w interesach. Był jedynym mężczyzną, jakiego знаła, który potrafił przeprowadzać kalkulacje tak szybko jak ona, i to bez pomocy komputera. W mgnieniu oka rozgryzał zawiłości księgowo i oceniał, czy wszystko jest w porządku. Ona też.

Razem sprawowałyby niepodzielne rządy w Vegas.

A ten, kto rządził w Vegas, kontrolował największą pralnię pieniędzy na świecie. A kiedy kontrolowało się taką pralnię, miało się dostęp do dyskretnie oferowanych, fantastycznych możliwości.

Z tłumy za Shane'em wyłonił się barczysty, emanujący siłą celtycki wojownik w pełnym rynsztunku. Shane odwrócił się, jakby miał oczy z tyłu głowy. Uważnie patrzył na hełm,

skórzaną koszulę, naramienne opaski z połączanego metalu, kolczyki, miecz i niezwykle włochate uda.

- Cześć, Carl. - Shane wyciągnął rękę. - Fajny hełm.

Carl Firenze uśmiechnął się, ściskając mu rękę.

- Gail mi go wybrała. Żeby łatwo było mnie znaleźć w tłumie.

- Akurat! Ona odnalazłaby cię nawet w stadzie rozpędzonych bizonów.

Szef ochrony roześmiał się, puścił rękę Shane'a i popatrzył na swoją przełożoną.

- Telefon do pani. - Sprawdził ekran małego komputera, dzięki któremu miał dostęp do najważniejszych wydarzeń w Najśmielszym Marzeniu. - Z Berlina.

Gail czekała właśnie na ten sygnał, ale teraz nagle ogarnęła ją niechęć. Czasami nie decydowała się na pewne rozwiązania, bo nie lubiła palić za sobą mostów.

Chociaż - żeby osiągnąć obecny status multimilionerki - musiała w przeszłości spalić za sobą bardzo dużo mostów.

- Dzięki, Carl. - Zwróciła się do Shane'a. - Nadal nie ma szansy, żebyśmy zostali partnerami w interesach?

Shane ujął jej idealnie wypielęgnowaną dłoń. Lubił Gail i szanował jej zmysł do interesów. Instynkt podpowiadał mu jednak, że wiązanie się z tą kobietą byłoby poważnym błędem. Przykre doświadczenia nauczyły go, żeby nigdy nie lekceważyć wewnętrznego głosu.

Musnął wargami pachnący policzek.

- Wiesz, że lepiej funkcjonujemy jako przyjaciele i konkurenci niż jako partnerzy.

Przymknęła swoje wyraziste, leszczynowe oczy. Może oceniała sytuację, a może wyrażała żal.

- Hm, tak sądzę. Tylko że... a tam, cholera. Nie da się walczyć z przeznaczeniem, prawda?

Ścisnął i puścił jej rękę.

- Sprzedasz mi swoją złotą kolekcję? - zapytał. - Przecież nie bardzo pasuje do stylu Najśmielszego Marzenia.

- Ani myślę. - Gail wiedziała, że Shane tak naprawdę interesował się tylko jej złotem, ale nie chciała przyznać nawet przed samą sobą, że właśnie dlatego rywalizowała z nim, ilekroć na rynku pojawił się jakiś złoty wyrób. Po prostu pragnęła zwrócić na siebie jego uwagę.

Pocałowała go mocno w usta.

- Zobaczymy się później, złotko - mruknęła. - Muszę się umalować, bo zaraz będę miała międzynarodową wideokonferencję.

Z odrobiną nostalgicznego żalu Shane patrzył, jak Gail tanecznym krokiem wpływa w kolorowy, hałaśliwy tłum. Była niesamowitą osobą, ale chciała więcej, niż mógł jej dać, a on chciał od swojej kobiety nie tylko seksu i wspólnego prowadzenia interesów. Nie wiedział dokładnie, czego pragnie, ale wiedział, że czegoś mu brakuje, kiedy jest z Gail.

Uśmiechnął się ironicznie do własnych myśli. I jemu czegoś brakowało. I jej chyba też.

Może jednak stanowili dobraną parę.

Instynkt znowu mu podpowiadał, że to absurd. I nawet nie spierał się z wewnętrznym głosem.

Wziął zimną krewetkę z tacki i zaczął ją żuć, idąc w kierunku głównego kasyna, które okalało lobby. Po drodze pozdrawiał wołających go ludzi, nawet tych, których nie rozpoznawał. Nie lubił publicznego aspektu bycia cudownym dzieckiem Las Vegas, „królem Midasem”, „człowiekiem z dwudziestoczekaratowym szczęściem”, jak nazywały go media, które potrzebowały kolejnego krzykliwego artykułu, żeby przedzielić reklamy. Nie przepadał też za niekończącymi się spekulacjami plotkarskich pism o jego randkach z wszystkimi ładnymi kobietami na wschód od Pacyfiku, ale zdawał sobie sprawę, że to nieuniknione w przypadku kawalera, który jest właścicielem największego i najbardziej dochodowego kasyna w Las Vegas.

Poza tym plotki na temat jego życia stanowiły bezpłatną reklamę dla Złotego Runa.

Elektroniczny aparat zawieszony przy jego pasku dyskretnie zawibrował. Shane wyłączył swój zwykły numer pagera, więc wiedział, że ten sygnał jest bardzo ważny.

Wyciągnął aparat wielkości dłoni i rozkodował przewijając się na ekranie wiadomość. Napisał ją nadzorca stolików do gry w bakarata. Jeden z japońskich „wielorybów” - tych, którzy potrafili stracić nawet milion dolarów na hazardzie miał świetną passę. Wygrał już sześćset tysięcy i nie poprzestawał na tym. Czy Shane chce zmienić rozdających przed zakończeniem zmiany, w nadziei, że świetna passa „wieloryba” zostanie przerwana?

Wysłał przeczącą odpowiedź. Złote Runo już od dawna nie notowało dużej wygranej dla gościa z Japonii. Na dłuższą metę darmowa reklama zrekompensuje straty.

Przeglądał spis odebranych wiadomości, nie zważając na tańczący dookoła tłum. Risa kilkakrotnie próbowała się z nim skontaktować. Chciała porozmawiać, ale nie aż tak bardzo, żeby wystukać alternatywny kod.

Bystra dama. Jak zawsze.

Otworzył elektroniczną wiadomość - portugalski szef kuchni zdenerwował się z powodu skorupiaków, które dostawcy Złotego Runa codziennie przysyłali z portów morskich na całym świecie. Za dużo małży z Penn Cove miało popękane skorupki. Zielone małże z Nowej Zelandii były szare, bostońskie za duże, przegrzebki za małe. Świeże ostrygi smakowały jak gile z nosa.

Shane parsknął śmiechem. Zawsze miał podobne zdanie o surowych ostrygach. Uważał, że gorsze od surowych ostryg były tylko gotowane ostrygi.

Kciukiem wcisnął odtwarzanie kolejnej wiadomości. Tym razem skarżył się steward od win. Francuski dostawca coś kombinował, włoski przysyłał gorsze marki. Cena win z Napa nijak się miała do ich jakości. Czy Shane rozważy zastąpienie ich wytwornymi trunkami z południowej półkuli?

Zniecierpliwiony Shane przygryzł wargi, żeby nie zakląć. Problem z prowadzeniem Tannahill Inc., a zwłaszcza Złotego Runa, polegał na tym, że jego ludzie pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę i oczekiwali, że on również żyje takim rytmem. Jednak w przeciwieństwie do swoich pracowników Shane nie poprzestawał na jednej ośmiogodzinnej zmianie. Pracował dwie zmiany, a czasem i dłużej.

Powinien przekazywać więcej obowiązków innym. Ale jakoś mu to nie wychodziło.

Odczytał trzecią wiadomość i się uśmiechnął. Nowa zapora, którą niedawno zabezpieczył komputerowe centrum Tannahill Inc., nie tylko zatrzymała cztery próby włamań, ale wysłała uroczego wirusika; Shane zaprojektował go tak, żeby rozchodził się tą samą ścieżką, której używali hakerzy. Teraz co najmniej czterech hakerów patrzyło na kupy złomu, w jakie zamieniły się ich kosztowne komputery.

Gnijcie w piekle, pomyślał z satysfakcją. Powinien założyć firewalla kilka miesięcy temu, ale nie miał czasu. Liczył, że nic ważnego nie prześlizgnie się przez starą zaporę.

Umiejętności informatyczne, które przekazał mu ojciec - i których użył później, żeby się z tym draniem porachować - często się przydawały. Gdyby nie to, że Shane'a bardziej interesowali ludzie niż elektronika, pewnie zanurzyłyby się w komputerowy świat i już nigdy nie wypłynął na wierzch. Tworzenie nowych sposobów komunikacji człowieka z komputerem wprawiało go w fascynujący błogostan. Jego umysł bardziej poruszały dziwne drobiazgi, na przykład artefakty ze złota opierające się upływowi czasu.

- Shane!

Risa szła w jego kierunku, przepychając się przez tłum. Miała na sobie to samo ubranie, co w L.A., czyli od czasu powrotu była równie zajęta jak on. Pomyślał z rozbawieniem, że ona też powinna więcej zadań zlecać innym osobom.

- Co tutaj robisz? - zapytał.

- Swoją robotę. A ty nie odpowiadasz na pager - stwierdziła lakonicznie, choć też była ciekawa, dlaczego jej szef przyszedł na halloweenowe przyjęcie swojej dawnej kochanki. Oczywiście za nic by o to nie spytała.

Zwłaszcza jego.

- Wyłączyłem go - odparł Shane. - Chciałbym zauważyć, że dzień pracy dawno minął, nawet mój. Co jest nie tak?

- Sprawdzałam pochodzenie tego eleganckiego torquesu, który obstawiasz.

Shane z niedowierzaniem spojrzął na zegarek. Minęła trzecia rano, a Risa sprawdzała pochodzenie artefaktu!

- To muszą być złe wieści - stwierdził. - Kiedy się śpieszysz, zawsze masz złe wieści.

Risa niecierpliwie zmierzwiła sobie krótkie włosy. Wiedziała, że jej wygląd pozostawia wiele do życzenia. W przeciwieństwie do irytującego pana Tannahilla, potrzebowała więcej niż pięć, sześć godzin snu na dobę. Siedem godzin to było dla niej niezbędne minimum.

- Posłuchaj - powiedziała, starając się przekrzyczeć zgiełk. - Przecież wynająłem mnie, żebym sprawdziła...

- Wiem, po co cię wynająłem - przerwał jej. - Wyduś w końcu, o co chodzi.

- Ten torques mógł być częścią skarbu, który skonfiskowali Niemcy, kiedy okupowali Paryż podczas II wojny światowej.

- Mógł? To najgorsze, na co cię stać?

- Daj mi więcej czasu - wycodziła przez zęby.

- Jak się ma więcej czasu, to podejrzane jest pochodzenie każdego przedmiotu z publicznej lub prywatnej kolekcji na całym świecie. - Mimo kłótliwego tonu Shane był gotów kontynuować dyskusję. - No dobrze, dobrze. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Teraz zdobądź dla mnie ten torques.

- Ale...

Zgodnie z oczekiwaniami Shane'a kilkoro gości przysunęło się do nich, żeby posłuchać, o co kłóć się niesławny król Midas i jego często fotografowana kuratorka.

- Pochodzenie jest warte tyle, ile papier, na którym je wydrukowano - powiedział dobitnie. - Pokaż mi dokument, który stwierdza, że torques został zagrabiony przez nazistów z francuskiego muzeum.

- Nie mam żadnego dokumentu.

- To nie marnuj mojego czasu. Własność to dziewięć dziesiątych prawa, pamiętasz?

- A jeśli znajdę dowód po tym, jak kupisz torques? - zapytała.

- Najpierw zdobądź dowód.

Kątem oka Shane zauważył znaczące spojrzenia tych, którzy podsłuchiwali. Czołowy gwiazdor tabloidów zyskał kilka kolejnych punktów karnych. Krążyły już o nim pogłoski, że kupuje złote wyroby podejrzanego pochodzenia. Jeśli wierzyć plotkom, to złoto było tak gorące, że mogło mu poparzyć dłonie.

Większość ludzi w to wierzyła.

Shane podejrzewał, że jego kuratorka również.

Ta myśl bawiła go, ale też irytowała. Rozumiał, dlaczego odczuwa rozbawienie. Irytacji nie potrafił pojąć. Z wyjątkiem dwóch, trzech przyjaciół nie dbał o to, co myśli o nim świat. Nie podobała mu się myśl, że wbrew wszelkim jego intencjom i zdrowemu rozsądkowi, Risa miałaby się stać jedną z osób, na których opinii mu zależy.

Wziął ją pod ramię. Wyglądało to jak grzecznościowy gest kogoś, kto chce pomóc kobiecie przedrzeć się przez gęsty tłum. Risa czuła jednak wyłącznie stalowy uścisk jego palców.

Pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Skończmy rozmowę na osobności. A może zamierzałaś stanąć w najbardziej publicznym miejscu w Las Vegas i obrzucać mnie błotem?

Zaczerwieniła się, z gniewu, nie z zakłopotania.

- Posłuchaj no, Złoty Chłopcze, chodzi także o moją reputację. Pracuję dla ciebie.

- Temu można zaradzić.

Ciągnąc za sobą rozwścieczoną Rise, Shane szedł w kierunku ruchomych chodników, które łączyły Najśmielsze Marzenie i trzy inne megakasyna. W tym Złote Runo.

Rozdział 6

Las Vegas Noc Halloween

Kiedy Gail Silverado otworzyła drzwi swojego prywatnego gabinetu, po raz kolejny uświadomiła sobie, co łączy Las Vegas i Hollywood. Po pierwsze, w obu miastach ludzie grali o duże stawki. Po drugie, kobiety zajmowały pozycję leżącą pod mężczyznami. Niektórym przedstawicielkom płci pięknej udawało się wyszarpać miejsca na szczycie, ale te przypadki stanowiły wyjątek.

I właśnie dlatego Gail była jedyną kobietą na spotkaniu najbardziej wpływowych ludzi w kasynowej branży Las Vegas - oczywiście nie licząc Shane'a Tannahilla. Ale akurat właśnie z jego powodu zwołano to spotkanie.

Król Midas po prostu nie przepadał za grą zespołową.

To utrudniało życie pozostałym właścicielom megakasyn w mieście. Zamiast podzielić rynek między konkurentów i osiągać większe zyski, Shane wprowadził kosztowny element uczciwości i prawdziwej konkurencji z korzyścią dla klientów. No i wygrywał. W końcu okazało się, że ten nowy dzieciak na Strip ma największe zarobki.

Przez pierwszy rok Gail nie miała nic przeciwko konkurencji. Zajmowała przyzwoite drugie miejsce. Ale teraz spadała na trzecie miejsce, a w planach miała kosztowną modernizację. Duże nakłady sprawiały, że akcjonariusze robili się nerwowi. Ponieważ miała tylko czterdzieści pięć procent udziałów w Najśmielszym Marzeniu, wiedziała, że albo musi zacząć generować większe zyski, albo rozejrzeć się za innym zajęciem.

- Dobry wieczór, panowie. - Zamknęła za sobą drzwi, popatrzyła na swoich czterech gości. - A może powinnam powiedzieć: dzień dobry?

Mężczyźni rozproszeni w jej przytulnym gabinecie byli przebrani, i to tak dokładnie, że nie rozpoznaliby ich ani przyjaciele, ani wrogowie. Zresztą o to chodziło.

French Henkle, właściciel Say Paris!, miał na sobie zgrzebne szaty franciszkanina. Zdjął jutową maskę i zrzucił kaptur, odsłaniając gęste, jasne włosy. Leniwie stuknął maską o włoską kanapę z czerwonej skóry. Niedawno skończył trzydzieści dwa lata. Był najmłodszy w tym pokoju i jako jedyny wśród zebranych miał dzieci. Zanim Shane Tannahill osiągnął status najlepiej sytuowanego mężczyzny w Vegas, doprowadził ojca Frencha do bankructwa. French nie mówił nikomu, jak wspomina to, co stało się kilkanaście lat wcześniej.

Najbliżej Frencha siedział John Firenze. Przebrał się za czarodzieja - a może za Zorro. Tak czy inaczej, kostium zakrywał niemal całą jego postać. John był wujem Carla, bezdzietnym rozwodnikiem, i szefem Rzymskiego Cyrku, jednego z pierwszych wielkich kasyn, jakie zaczęto budować w Vegas. Chociaż w ciągu ostatnich trzydziestu lat Rzymski Cyrk modernizowano trzykrotnie, nigdy nie zdołał przyciągnąć najbogatszych klientów. Z pewnością nie był

podejrzaną spelunką, ale to nie tu napływały grube ryby międzynarodowej finansjery. Rzymski Cyrk wciąż zarabiał najwięcej pieniędzy na dostarczaniu rozrywki mniej zamożnym - na automatach i rewiach, w których występowały kobiety odziane wyłącznie w pióra.

W pokoju znajdował się jeszcze uśmiechnięty Mickey Pinsky. Wyglądał jak tania dziwka w niebotycznie wysokich szpilkach, błyszczącej sukience z fioletowego jedwabiu, z wypchanym biustem i zadkiem, w platynowej peruce, która dodawała mu kilka centymetrów wzrostu. Bez kostiumu i makijażu przypominał siwiejącego dżokeja światowej klasy. Kiedyś zresztą startował w wyścigach, zanim jego koń nie przewrócił się na samym starcie. Był trzykrotnie rozwiedziony i podobno nadzwyczaj hojnie obdarzony przez naturę, a przy tym bezpłodny. Reprezentował posiadaczy kilku „rodziny kurortów”, którzy zainwestowali duże pieniądze w nadziei, że w Vegas niedługo przyjdzie moda na rodzinną rozrywkę w stylu Disney World.

Pinsky i jego poplecznicy boleśnie przekonali się, że większą kasę robi się na alkoholu, automatach i wyszukanych pokazach rewiowych, a nie na gumie do żucia, konkursach skateboardowych i szarlotce. Kilka lat temu kompleksy rozrywkowe ogromnym kosztem podniosły się z upadku i przeobraziły w kurorty dla singli, którzy czuli się szczęściarzami. Pinsky odnotował lekkie ożywienie w interesach, ale wciąż musiał bardzo się wysilać, żeby nie ugrzęznąć w bagnie dawnych błędów. Odpowiadało mu wszystko, co napędzało mu klientów ze Złotego Runa.

Najbardziej wpływowy człowiek w tym gabinecie był też najstarszy. Pięćdziesięcioośmioletni Richard „Rich” Morrison żenił się czterokrotnie. Jego obecna żona była bogatą suką z Teksasu z politycznymi wpływami, które Rich potrafił dobrze wykorzystać. Dziś wieczorem przebrał się za hippisa. Nawet nieźle wyglądał. Co prawda peruka z czarnych dreadów niezupełnie pasowała do lat sześćdziesiątych, ale fantastycznie zakrywała jego siwiznę. Do tego miał jeszcze sztuczną brodę, dzięki której stał się zupełnie nierozpoznawalny.

Rich był prezesem i menedżerem Białej Koniczyny, drugiego pod względem zysków kasyna w Las Vegas. Przez wiele lat zmagał się z Shane'em na polu biznesowym. Ostatecznie przegrał. Między innymi dlatego przybył na to spotkanie. Może w końcu dopisze mu szczęście. Niepokoił się tylko, że Gail niechętnie odegrała swoją rolę w wystawieniu Tannahilla.

- Ponieważ wszyscy nadal tutaj jesteście - powiedziała Gail - zakładam, że uznaliście, że niczego w tym pomieszczeniu nie nagrywam.

W odpowiedzi usłyszała chrząknięcia i burknięcia. Tu nikomu nie wolno było niczego nagrywać. Żaden z tych mężczyzn nie lubił być rewidowany przez Carla, ale każdy się na to godził, bo nie chciał zostać bohaterem nagłówków: „Taśmy prawdy: ważniacy z Vegas spiskują przeciw królowi Midasowi”.

Zwłaszcza że oddział federalny strasznie nękał wielkie kasyna w poszukiwaniu brudnych pieniędzy z triady Czerwonego Feniksa. A ta grupa miała do wyprania ogromne sumy. Rich był gotowy pomóc i miał nadzieję, że Cail również jest gotowa, ale żadne z nich nie chciało wpaść w pułapkę zastawioną przez federalnych.

Właśnie dlatego Rich zorganizował to spotkanie.

- Może ktoś chce dla pewności mnie zrewidować? - zapytała Gail, podnosząc ręce nad głowę. Powoli i zuchwale, z wdziękiem tancerki wykonała obrót.

Rich patrzył na Gail w obcisłej sukience, podkreślającej ponętne kształty i miał ochotę jej dotknąć ot tak, dla przyjemności. Pozostali mężczyźni odczuwali podobną pokusę, ale żaden nie podniósł się z miejsca.

- Masz więcej do stracenia niż my - stwierdził Rich. - Zarabiasz naprawdę sporo.

- Ale znacznie mniej niż Tannahill - odparowała Gail. Odrzuciła maskę i oparła się plecami o czarne stalowe biurko w kształcie półkola. Patrzyła na Richa ze spokojem sugerującym, że wiele

już w życiu widziała i nie da się nabrać na żadne sztuczki. To spotkanie było twoim pomysłem. Rozdawaj karty.

- Mam plan, jak złamać Shane'a Tannahilla.

- Ja też - mruknął Firenze. - Po jednej kości za każdym razem. Henkle wywrócił oczami.

- Jezu, znowu wspomnienia dawnych dobrych czasów. Daj sobie spokój, John. Jesteś za młody, do cholery, żeby pamiętać lata, kiedy mafia rządziła w Vegas. Tylko Rich może coś na ten temat powiedzieć, a przecież nawet nie był...

- Zamknij się, French - przerwał mu spokojnie Mickey Pinsky. - Wysłuchajmy Richa.

Henkle uśmiechnął się i zrobił taki gest, jakby zaklejał sobie usta taśmą.

- Każdy człowiek ma słabość - zaczął Rich. - Słabością Tannahilla są wyroby ze złota. Jest całkowicie pochłonięty swoim nowym pokazem, którym ma zamiar otworzyć sylwestra, i za wszelką cenę chce przyćmić pokaz Najśmielszego Marzenia Fabergego.

- No i? - wtrącił się Firenze.

- Naszemu pieścioszkowi nie idzie najlepiej - powiedział Rich. - Wciąż się rozgląda za nowymi nabytkami. Gail nieźle mu w tym przeszkadza. Zdobyła sporo naprawdę dobrych okazów; często nawet nie wiedział, że któraś z tych rzeczy pojawiła się na rynku.

Wyraz twarzy Gail nie zmienił się, ale w duchu gorączkowo się zastanawiała, w jaki sposób Rich dowiedział się o jej prywatnym współzawodnictwie z Shane'em.

- Co nam to daje? - zapytała.

- Uganiając się za złotem, nie pilnuje interesów tak uważnie jak zazwyczaj. Jeśli mądrze to rozegramy, może popełnić błąd.

- Jak duży?

- Da się wystawić federalnym i dwa razy będzie liczony. Najpierw zadbamy o to, żeby został złapany z trefnymi przedmiotami ze złota.

- Jak to zrobimy? - zapytał Pinsky z uśmiechem na ustach. Propozycja najwyraźniej mu się spodobała.

- Gail na pewno będzie miała kilka pomysłów - odparł Rich obojętnym tonem. - Kupiła część złotych wyrobów z nie całkiem legalnych źródeł. Nie powinna mieć kłopotu z zakupem większej ilości trefnego towaru.

Zmrużyła oczy, niezadowolona, że Rich wie tak dużo, ale skinęła głową na znak aprobaty.

- Myślałam już o tym, żeby wcisnąć Shane'owi kilka nielegalnych cacek, ale wbrew swojej reputacji zatrudnia bardzo czujną kuratorkę. Wszyscy mówią, że Shane kupuje trefne rzeczy, ale nikt nie może go na tym przyłapać i to się nie zmieni, dopóki ta kobieta ma pełne rozeznanie.

Tym razem Rich był zaskoczony.

- Jak ona się nazywa?

- Risa Sheridan.

- Sprawdzę ją. Jeśli coś na nią znajdziemy, będziemy mieli haka i na niego.

- Świetnie - powiedziała niecierpliwie Gail. - Ale nawet jeśli złapią Shane'a z trefnym towarem, nie zostanie aresztowany, a już na pewno nie pójdzie siedzieć. Już nieraz dostał po łapach. Wtedy po prostu zwraca wyroby, godzi się ze stratą i nadal skutecznie wykańcza nasze kasyna.

- Dlaczego nie mieliby go aresztować? - zagadnął Henkle. Popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Chyba pamiętasz prawdziwe nazwisko Shane'a?

Henkle zamrugął.

- Hm, nie.

- Na litość boską, French, czy ty kiedykolwiek oglądasz coś poza pornosami? - burknął

Pinsky.

- A co to ma wspólnego z... - zaczął Henkle.

- On nazywa się Merit - przerwała mu ostro Gail. - Tannahill to panięskie nazwisko jego matki.

Henkle sprawiał wrażenie, że nie rozumie, o co chodzi, ale po chwili skrzywił się i mruknął:

- Tak, teraz sobie przypominam. Jest spokrewniony z Sebastianem Meritem.

- Bingo - parsknęła Gail z ironicznym uśmiechem. - Shane jest dzieckiem Merita. Jedynym. Nie ma siły, żeby pierwszy miliarder Ameryki pozwolił swojemu potomkowi pójść do więzienia, nawet jeśli rzeczywiście nie rozmawiają ze sobą od wielu lat. Chyba że można uznać za rozmowę publiczne wydzieranie się na własnego syna i sugerowanie, że jeszcze wróci do niego na kolanach i będzie błagał o ponowne przyjęcie do rodziny.

Rich uśmiechnął się lekko. Ta pogrożka znalazła się na pierwszych stronach gazet na całym świecie w Dniu Ojca, kiedy odkurzano klip, w którym Merit publicznie wyzywa syna.

- No to kicha. Henkle zmarszczył czoło. - Skoro Shane ma tyle pieniędzy, dlaczego doprowadził do bankructwa Błękitną Klacz, zanim zarobił miliony? Mógł kupić kasyno ojca za gotówkę, którą Merit trzyma w domowym sejfie.

- Shane nie chciał pieniędzy rodziny - wyjaśnił Rich, drapiąc się po głowie, która go swędziła pod peruką. - Najwyraźniej nie rekompensowały koszmaru obcowania z tym draniem Meritem. Ale niedaleko pada jabłko od jabłoni. Tannahill odziedziczył po ojcu zarówno smykałkę do interesów, jak i wredny charakter.

- To jeszcze jeden powód, dla którego trefny towar nie wystarczy, żeby pogrążyć Shane'a - podsumowała Gail. - On nie ucieknie i nie będzie unikał złej prasy. Burza w mediach tylko zwiększy frekwencję w Złotym Runie. Turyści lubią myśleć, że ocierają się o prawdziwych naciągaczy. Większość ludzi złopiących teraz darmowego szampana na dole jest święcie przekonana, że należymy do mafii.

- Mimo wszystko gdyby Tannahill dał się przyłapać na gorącym uczynku, jego wizerunek złotego chłopca bardzo by ucierpiał - odparł Pinsky. - Zamiast go wychwalać, media porządnie go obsmarują.

- Nic mu nie będzie - odparła spokojnie Gail.

Rich skinął głową. On również uważał, że zła prasa nie zaszkodzi Tannahillowi.

- Mówiłeś o dwukrotnym liczeniu - zwrócił się Firenze do Richa. - Na czym miałyby polegać nokaut?

- My będziemy psuć Tannahillowi jego wielki pokaz złota i wciskać mu trefne towary, a on, pochłonięty pracą, nawet nie zauważy, co dzieje się naprawdę.

- Tak? A co miałyby się dziać?

- Właśnie to będzie mówił, kiedy federalni dorwą się do niego i oskarżą go o pranie pieniędzy. Gail pokręciła głową.

- Nie będzie.

Rich uśmiechnął się złowrogo.

- Zobaczmy. Jeśli człowiek natknie się na kaczkę w sezonie łowieckim, to przecież wolno mu do niej strzelać.

Popatrzyła na Richa ze sporym zainteresowaniem.

- Zamieniam się w słuch. Podobnie zareagowali pozostali goście.

Sedona

Noc Halloween

Reflektory samochodu ciągle trzęsły się i podskakiwały. Dziesięcioletni ford bronco z trudem pokonywał wyboistą drogę. Koleiny tworzyły kręty, suchy parów, który zasilał wodą Bobrzą Zatokę, ilekroć spadło dużo deszczu. Tym razem deszczu nie było. Po jesiennych burzach zostały tylko grudy błota.

Z każdej skały i szczeliny wypęzły cienie, jakby wyganiane światłem księżycy w pełni. Jawory wynurzały się z nocy jak białe duchy. Nagle na drodze ukazał się kamień; wystawał z nawierzchni niczym biały ząb.

- Uważaj! - wrzasnął Tim.

Cherelle bez problemu ominęła przeszkodę. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy podróżowała „autostradą” starego O'Connera tak często, że pamiętała tu każdą nierówność.

Mimo to bronco trząśł się tak mocno, że Timowi szczękały zęby.

- Chryste Panie - narzekał Tim. - Zwolnij.

- Powiedział, że da cztery setki, jeśli dojedziemy przed świtem.

- Jeśli się wcześniej nie rozwalimy - mruknął Tim pod nosem.

- Posłuchaj no. Wbij sobie do tej ślicznej, tępej główki, że potrzebujemy pieniędzy. Drukarz wrzeszczy na nas, żebyśmy mu zapłacili za ulotki i wizytówki. Przekroczyliśmy limity na wszystkich kartach kredytowych. Opony na tym złomie są łyse. Zalegamy z czynszem i mamy tylko ćwierć baku benzyny.

Tim burknął coś, jakby ją przedrzeźniał.

- Virgil ma pieniądze - ciągnęła Cherelle. - Gotówkę. Jeśli chce, żebyśmy przyjechali przed świtem, to przyjedziemy.

Tim ziewnął przeciągle.

- Wiesz co, ostatnio kiedy wchodzisz w rolę medium, strasznie się wkurzasz. Rozchmurz się trochę.

Żałowała, że nie może. Po prostu nie potrafiła być wesoła; za każdym razem kiedy wkładała biały strój do channelingu: długą, przezrystą koszulę i spódnicę, jej dłonie robiły się zimne, a serce zaczynało bić dwa razy szybciej, jak w latach dziecińczych, kiedy wносиła rzeczy ze sklepi-ku. Czuła przypływ adrenaliny; strach mieszał się z radością.

Ten aspekt pracy nie przeszkadzał Cherelle. Nienawidziła jednak przerażających wizji, które wpływały na jej psychikę. Channeling ją zmieniał. Za dużo widziała. Za dużo słyszała, czuła.

Można było robić show na niby dla przygłupów. Ale jeśli pokaz stawał się prawdziwy, to już zupełnie co innego.

I tak było w przypadku Virgila.

Słyszała szepty, zawodzenie, krzyki. Widziała płonące ogniska, noże ociekające krwią.

Jezu Chryste, czuła się tak strasznie, że najchętniej wróciłaby z piskiem do zakonnic, które przed wieloma laty strachem i przemocą próbowały zrobić z niej grzeczną dziewczynkę.

Cherelle z przykrością uświadomiła sobie, że zaczyna wariować jak Virgil. Może szaleństwo było zaraźliwe.

Bronco wjechał w kolejną dziurę tak gwałtownie, że Tim wyrznął głową w szybę.

- Co ty, do cholery... - wrzasnął.

- Zamknij się - przerwała mu bezceremonialnie. - Ty nie musisz nic robić. Tylko sobie stoisz, pozujesz na mądrego i bajerujesz kobiety. A ja sypiam z diabłem i wysłuchuję krzyków potępionych.

Tim spojrzął na nią z ukosa, lekko spłoszony.

- Hm, Cher, dobrze się czujesz?
- Fantastycznie, do cholery, a co? - warknęła.
- Dziwnie się zachowujesz.
- Jestem medium, pamiętasz? Powinam się dziwnie zachowywać.
- W takim razie świetnie ci to wychodzi.

Już miała mu powiedzieć, co myśli o jego kretyńskich komentarzach, ale zauważyła dom starszego człowieka. Z całej siły zacisnęła palce na kierownicy i wjechała na wyboisty podjazd.

Wysiadła, trzasnęła drzwiczkami i zachłysnęła się powietrzem. Na linii widnokregu na wschodzie niebo było niemal bezbarwne. Nie czekając na Tima, ruszyła błotnistą ścieżką, wysadzaną kolorowymi rzeczonymi kamieniami, które w ciemności wydawały się czarne. W starym domu paliło się tylko jedno światło. Domyśliła się, że to w pokoju dziennym, który często służył Virgilowi za sypialnię.

Drzwi otworzyły się, gdy Cherelle była jeszcze w połowie drogi. Złote światło wypełzło ku niej jak prostokątny jezior. Z determinacją godną aktorki, która wchodzi na scenę, szykowała się do odegrania swojej roli.

Czas na przedstawienie.

Wychudzony, kościsty mężczyzna, niewiele wyższy od Cherelle, podszedł do niej na zeszywniałych nogach. Jak zwykle miał na sobie kilka starych koszul, a na nich jeszcze obszerną czarną kurtkę. Włożył też wojskowe spodnie z czasów, gdy mundury robiono z wełny, i buty, równie twarde i zapiaszczone jak grunt wokół jego domu. Jedyne, co zaskoczyło Cherelle, to widok taniej drewnianej skrzynki, którą Virgil niósł pod pachą.

Zanim zdążyła otworzyć usta, żeby wypowiedzieć grzeczną i mdłą formułkę, wepchnął jej do ręki zwitek banknotów.

- Czteryście - powiedział.

Gdyby przystanęła i zaczęła przeliczać gotówkę, zepsułaby nastrój. Poza tym Virgil nigdy ich nie oszukał. Dlatego Cherelle wymamrotała coś pod nosem i przekazała zwitek. Ti mówi.

- Widzę, że masz dziś wielką potrzebę - zwróciła się do Virgila. I zaraz przygryzła wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Szczerze mówiąc, nie dostrzegała zbyt dużej różnicy między prostytuowaniem się a channelingiem. W obu profesjach chodziło głównie o to, żeby zrobić gościowi dobrze, bez względu na to, jak bardzo był żaloszny. - Czy nie byłoby wygodniej w środku? - zapytała bez większej nadziei.

- W środku to na nic - odparł niecierpliwie. - Ruszajmy już. Świt nadchodzi.

Jeszcze nie skończył mówić, a już skierował się na wzgórze za domem. Stromy, najeżony skałami szlak prowadził do podnóża urwiska, którego czerń kontrastowała z blaskiem księżyca i gwiazd. Stawiał krótkie, ale zdecydowane kroki. Nawet nie wyjął z kieszeni podręcznej latarki. Znał drogę do miejsca mocy, które lady Faulkner odkryła na terenie jego posiadłości. A przynajmniej pozwalał jej myśleć, że odkryła. Zaprowadził ją kiedyś w tę okolicę i czekał; był ciekaw, czy kobieta przejdzie próbę. Nikomu innemu to się nie udało.

Lady Faulkner spisała się doskonale.

Od razu zorientowała się, że Virgil ma miejsce mocy. I to diabelnie dobre. Powiedziała mu, że gdy pierwszy raz dotknęła trzech dużych czerwonych skał na grzbiecie wzniesienia, miała wrażenie, że poraził ją prąd. Jak trzech pochylający się nad nią pijani mężczyźni, głowy tłoczyły się u podnóża o wiele większego i wyższego klifu. Piaskowiec ciągnął się kilkanaście kilometrów wzdłuż małego potoku.

Ale kiedy Virgil zamieszkał w tej okolicy, zaczął grzebać pod klifem. Znalazł trochę skorup, resztki murów i sterty kamieni, które kiedyś tworzyły domy. Teraz już nie chodził tam myszkować. Ciężko było mu się ruszać, a duchy w tych miejscach nie miały mu do powiedzenia

niczego, czego by już nie wiedział.

Ludzie umierali. Nikt się tym nie przejmował.

Rozdział 8

Sedona

1 listopada, wczesny ranek

Idąc krok w krok za starym człowiekiem, Cherelle czuła ulgę, że jest tak jasno. W blasku księżycowej poświaty białe szaty aż lśniły. Spódnica i koszula falowały przy najmniejszym ruchu. Przyglądom mogły się wydawać ładne i nastrojowe, ale z pewnością nie zapewniały dość ciepła o tej porze, w wysokim cedrowym lesie wokół Sedony.

Chciała, żeby ten strój budził skojarzenia z aniołami, ale przypominała raczej goblina w pogniecionym prześcieradle. Było jej strasznie zimno. Czuła się jak trup. Włoski na skórze jeżyły jej się jak sierść na grzbiecie podwórkowego psa. Klnąc pod nosem, roztarta sobie ramiona. Zastanawiała się, czy Tim pamiętał, żeby jej przynieść kurtkę. Wątpiła w to. Był gorszy od dzieciaka. Jeśli ona sama o czymś nie pomyślała, nikt jej nie wyręczył.

Miała serdecznie dosyć niańczenia każdego ładnego dzieciucha, jaki się nawinął.

Po cichu przypominała sobie, że nie będzie całe życie biedna. Prędzej czy później, zrobi jakiś duży numer i zgarnie majątek, który gdzieś na nią czeka. Nie wiedziała konkretnie, co to będzie, ale czuła, że jej się uda. Miała wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby nie wegetować całe życie.

To ona wpadła na pomysł, że można zarobić kupę forsy na channelingu po tym, jak Tim wrócił z darmowych sekswakacji w Sedonie z garścią banknotów i mnóstwem lekko nieświeżych tekstów o rozmowach z duchami. Przez rok, pracując ciężiej, niżby chcieli, ona i jej ładny chłoptaś rozkręcili firmę channelingową. Nie były to wielkie pieniądze ani też nie nędzne.

Wszystko szło dobrze, dopóki nie pokazał się dawny więzienny kumpel Tima. Socks naprawdę zalał jej za skórę. Ciągle namawiał Tima do rozrywek, a przecież mieli tyle roboty.

Nie obwinała Tima. Ciągła praca była dla przygląpów. Ale harowała, bo wierzyła, że już niedługo jeden z tych kretynów, którzy przyjeżdżali do Sedony w poszukiwaniu miejsca mocy, okaże się dość bogaty, by się nią zaopiekować, i dość młody, by jeszcze miewać erekcje. Kiedy to się stanie, Tim i to głupie oszustwo z channelingiem przejdą do historii. Albo może Tim pierwszy będzie miał szczęście i znajdzie sobie bogatą starszą panią, która uwierzy w rozmowy z kulistymi piorunami lub czymś innym, co akurat było modne. Wtedy Cherelle zacznie żyć na koszt Tima, a przy okazji spokojnie pogłąda sobie zaprzyjaźnionych z tą starszą damą bogatych mężczyzn.

Sama myśl o takim dniu była równie wspaniała jak zażycie kokainy. I jedno, i drugie dawało jej uczucie odlotu. Któregoś dnia odleci. Zrobi krok nad krawędzią i będzie lecieć, lecieć, lecieć.

Uśmiechnięta, rozmarzona Cherelle wpadła na Virgila. Podtrzymał ją chudą, ale zdumiewająco silną ręką. Mimo tej pomocy musiała oprzeć dłoń o chłodny kamień, który był wysoki jak przeciętny mężczyzna. Natychmiast cofnęła rękę, jakby dotknęła grzechotnika. Nienawidziła tych kamieni. Bardzo się ich bała.

- Dziękuję - wyszeptła. - Energia jest tutaj tak silna, że zapominam o bożym świecie. - Ta cholerna ścieżka mogłaby być choć trochę oświetlona, pomyślała. Ale tę uwagę, niepasującą do klimatu miejsca mocy, zachowała dla siebie.

Za jej plecami pojawił się Tim.

- Wszystko w porządku?

- Idealnie - skłamała, dygocząc.

Nie mogła już dłużej udawać. Bolał ją żołądek, po plecach spływał zimny pot. Omal nie posikała się ze strachu jak przedszkolak, kiedy Virgil przyprowadził ją tu po raz pierwszy. Nie wiedziała, co czeka w mroku między trzema kamieniami, ale na pewno nie chciała mieć z tym do czynienia.

Patrzyła, jak Tim podchodzi i opiera się o jeden z głazów. Czekał, aż ona zacznie przedstawienie. Nie czuł więcej niż ta skała. Prawdopodobnie nawet mniej.

Ten chłopak był śliczny i mogłaby się z nim pieprzyć non stop, ale miał iloraz inteligencji mączki kukurydzianej.

Virgil potrząsnął nią lekko.

- Nadchodzi świt, lady Faulkner.

- Oczywiście. - Zauważyła, że Virgil nie trzyma już drewnianej skrzynki. Rozejrzała się dookoła i gwałtownie drgnęła. Skrzynka stała w kręgu między kamieniami. W księżycowej poświacie widać było, że szczeliny między listewkami świecą. - Co... - zaczęła, ale zaraz przerwała. Naciągacze nie zadawali przyglądom żadnych pytań. - Zakładam, że chcesz porozmawiać z Merlinem.

- Tak.

Matko Boska, znowu to samo. Cherelle przygryzła wargi, żeby nie zdradzić irytacji i znużenia. Miała dość robienia ciągle tych samych rzeczy. Zastanawiała się, czy to samo czuły broadwayowskie gwiazdy, kiedy powtarzały przedstawienie co wieczór, a we środy i niedziele dwukrotnie.

- Wielu ludzi pragnie się skomunikować z Merlinem - odparła, siląc się na spokojny ton. - Odkryliśmy jednak, że on rzadko wykazuje wolę komunikowania się z nimi.

- Do diabła, wiem. Niejedno pseudomedium zapewniało mnie, że ma bezpośredni dostęp. Bzdury. Żaden z nich nie potrafił powiedzieć, co jest w skrzynkach pod moim łóżkiem.

Kiedy do Cherelle dotarł sens słów Virgila, miała ochotę krzyknąć wniebogłosy. Jemu chodziło o odgadywanie myśli, a nie o pogawędkę z mitycznym czarodziejem.

A ona nie potrafiła czytać w myślach.

- Łatwo będzie dotrzeć do kogoś innego na dworze króla Artu... - zaczęła.

- Merlin - przerwał jej Virgil. - Tylko on ma moc. Chodźmy. Marnujemy czas. To musi się stać przed świtem, kiedy one wszystkie są zwoływane z powrotem do piekła.

Przez chwilę Cherelle nie wiedziała, o czym Virgil mówi. Potem przypomniała sobie, że jest Halloween, kiedy duchy są podobno uwalniane po zmroku i wracają do swoich zimnych nor o świcie. Zastanawiała się, czy Virgil wierzy także w latające miotły i tańczące muchomory.

Znowu musiała przygryźć wargę, żeby nie roześmiać się staremu człowiekowi prosto w twarz.

- Pan O'Conner ma rację - wtrącił z uśmiechem Tim.

Tylko Cherelle dostrzegła złośliwy grymas na pięknych ustach kochanka.

Życie rozbitej osoby w świecie pełnym przyglądów nie było łatwe.

Tim z trudem stłumił ziewnięcie.

Miała ochotę kopnąć go w jaja. Wszystko zawsze zostawiał na jej głowie.

- Oczywiście - powiedziała łagodnym głosem, chociaż była wściekła i ciągle czuła gęsią skórę.

Naprawdę nie znosiła tego miejsca. Jakoś musiała odgadnąć, co jest w skrzynkach pod łóżkiem Virgila. Potem mu to „przekáže” prosto od Merlina i wyniesie się stąd do wszystkich diabłów.

Zadygotała. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy po raz ostatni zobaczy to przerażające

miejsce we wstecznym lusterku samochodu.

Pokręciła głową, tak że zafalowały jej jasne, długie do łokci włosy. Okrążyła drewnianą skrzynkę i stanęła na małym skrawku ziemi między trzema głazami. Przeklinała swoją bogatą wyobraźnię za to, że tak silnie odczuwała zimno i ciemność, i bezdenną pustkę pośrodku tych kamieni. I miała wrażenie, że spada w głąb studni.

Robiła to już raz jako dziecko. I nie była to miła chwila. Channeling ostatnio przypominał jej o tamtym wydarzeniu. Sprawiał, że dostawała mdłości.

Chrzanić przeszłość, mówiła sobie. Wyrwałam się z biedy i jestem na dobrej drodze do zrobienia dużych pieniędzy. I już żaden motelowy palant z nieświeżym oddechem i brudnymi łapami nie będzie się na mnie gapił, prosił o zapłatę z góry albo o zrobienie mu łoda pod stołem.

Jeden dobry numer i będzie urządzona na całe życie. I nie przepuści wszystkich pieniędzy jak kretyńka. Miała dość oleju w głowie.

Jeden dobry numer.

Tylko jeden.

Cherelle z determinacją trzymała się swojego marzenia, nie zważając na coraz większe mdłości. Zmusiła się do zamknięcia oczu i rozpoczęcia przedstawienia. Stopniowo zaczynała inaczej oddychać. Brała coraz głębsze wdechy, aż w końcu poczuła zawroty głowy, i powoli wypuszczała małe ilości powietrza przez zęby. Większość ludzi robiła takie show na siedząco, ona jednak nie lubiła sadzać tyłka na gołej ziemi. Kiedyś przywiozła sobie koc, ale poczuła swędzenie, jakby usiadła na mrowisku.

Stała więc i robiła kolejne wdechy i wydechy, aż odgłos oddychania zaczął przypominał szmer spadającej wody, szept fraz, które opisywały spływający na nią snop białego światła. Głosy spowijały ją, otaczały, przemawiały do niej...

No dalej, dalej, pomyślał Virgil, niecierpliwie zerkając na horyzont na wschodzie. Otwórz ten cholerny kanał.

To była dla niego najtrudniejsza część całego procesu. Czekanie, czekanie, czekanie, żeby się dowiedzieć, czy to się zdarzy dziś, czy w końcu będzie wolny od klątwy druidów, która niszczyła wszystko, czego się dotknął, odkąd znalazł skarb. Nigdy nie powinien uwierzyć swojemu stryjowi, jechać do Walii i wykopywać tego cholernego złota. Nic, absolutnie nic dobrego mu ono nie przyniosło, tylko kłopoty.

- Wyczuwam obecność... - zaczęła Cherelle niskim, nieswoim głosem. Zbliży się, duchu. Nie pragniemy niczego złego, nie zapytamy o nic, co jest zakazane. Chcemy tylko...

Tim zakrył pięścią ziewnięcie i starał się nie słuchać paplaniny Cherelle. Nie rozumiał, dlaczego tak bardzo nie cierpiała odstawiać show na tej kupie skał. Za dnia czy w nocy, między głazami czy w stylowych apartamentach, przedstawienie zawsze wyglądało tak samo. Nakładała na siebie upiorny strój, dużo mamrotała, mówiła przygłupom to, co chcieli usłyszeć, a potem jechała do domu z pieniędzmi, których starczyło na opłacenie czynszu i trochę piwa. Wielkie mi rzeczy. Sam by to robił, ale nie mógłby się powstrzymać od śmiechu. Gadanie z Merlinem, Melchizedekiem albo Marilyn Monroe - co za bzdury.

Zacisnął zęby, żeby znów nie ziewnąć. Kurczę, wystawanie po nocach nie było dla niego. Właśnie dlatego nigdy nie został włamywaczem pełną gębą. Za bardzo przypominało to pracę. Oszustwo z channelingiem przynajmniej było łatwiejsze niż buszowanie po mieszkaniach, no i gliniarze nie dobierali się człowiekowi do tyłka.

Nikt nie uchwalił żadnych ustaw przeciw pomaganiu przygłupom, nawet jeśli byli stuprocentowymi przygłupami.

Wepchnął ręce do kieszeni. Żałował, że Cherelle nie kazała mu zabrać marynarki. Wiatr nie wiał zbyt mocno, ale i tak od czasu do czasu Tim dygotał z zimna. Posępnie zerkał na drewnianą

skrzynkę. Zaczął się zastanawiać, dlaczego ten stuknięty stary pierdziel wepchnął włączoną latarkę do zamkniętej skrzynki. Tylko marnował baterie, a kosztowały prawie tyle samo, ile papierosy.

- ...poczuć cię, ale nie słyszę twojego głosu - szeptała Cherule. - Wyczuwam twoją moc. Pomóż mi, proszę.

Tim z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Jak tylko zejda z tej za-fajdanej skały, już on da jej coś, co będzie mogła poczuć i usłyszeć. Miał na zbyciu okazały ładunek.

- ...nie wiem, czego chce Virgil - powiedziała wyraźnie. - A ty wiesz?

Stary człowiek zamarł i pochylił się do przodu.

- Ach, oczywiście - mruknęła. - Ma coś, co należy do ciebie. - Przestała mówić. Jej zęby szczęknęły. Zadygotała raz, drugi, a potem jej ciało przeszył dreszcz. - Zbyt ciemno - powiedziała niecierpliwie. - Nie słyszę cię. Zabierasz światło! Proszę, proszę, pomóż nam!

Virgil czekał w niemal bolesnym napięciu. Musiała być już blisko. Jeszcze nigdy nie sprawiała wrażenia tak bardzo... przerażonej.

- Nie... słyszę... cię - powtarzała łamiącym się głosem. - Proszę, pomóż mi. Proszę. Nie chcemy wyrządzić krzywdy... Pomóż mi oczyścić kanał, Merlinie. Pomóż... mi.

Virgil nie mógł już dłużej tego słuchać. Ta sesja przypominała wszystkie inne - była do niczego. Szybko wyjął z tylnej kieszeni znoszone skórzane rękawiczki i wciągnął je na ręce. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Ale musiało.

Dziś wieczorem uda jej się oczyścić kanał. Już on o to zadba.

Cherule miała zamknięte oczy i walczyła z okrzykiem, który wzbierał w głębi jej ściśniętego gardła. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżała, było coraz gorzej. Teraz miała wrażenie, że jest dwiema osobami naraz. Jedna z tych postaci obserwowała wszystko z rozbawieniem, druga jak wystraszone dziecko pragnęła uciekać do mamy. Ale mamy nie było. Nigdy. Była tylko ciemność, panika i wściekłość schwytanego w potrzask zwierzęcia... Cherule chciała...

Kawałek metalu, tak lodowaty, że aż parzący, uderzył w jej dłoń. Światło i mrok eksplodowały. Potem nastąpiła nicość. I Cherule sama stała się nicością.

Rozdział 9

Sedona

Wczesny ranek

Cherule nadal krzyczała, aż Tim uderzył ją tak mocno, że wytoczyła się z cienia trzech pochyłych głazów. Potknęła się i upadła na kolana. Roztrzęsiona zgięła się w pół i starała nie zwymiotować żółci, która ścisnęła jej gardło, tak jak wszystkie tłumione przez całe życie krzyki.

- Jak ty wpadasz w szal, to naprawdę nie ma żartów. - Tim patrzył na nią nieufnie. Podniósł gruby naszyjnik ze złota, który Virgil dał Cherule, wepchnął go do drewnianej skrzynki i zatrzasnął wieko. - No, jazda. Musimy się stąd wynieść, zanim zrobi się całkiem jasno, bo ktoś może nas zobaczyć.

- Co...? - Podniosła głowę i gwałtownie nią potrząsnęła, potem się rozejrzała. - Gdzie Virgil?

- A gdzie miałyby być? Walnęłaś go tak mocno, że leży gdzieś w połowie szlaku. - Wprostował ją. - Dlaczego to zrobiłaś?

Znowu potrząsnęła głową, ale nic jej się nie przejaśniło.

- Co zrobiłam?

- Zabiłaś go.

- Nie zabiłam!

- Akurat. Sam widziałem. Dał ci to cacko ze złota, a ty grzmotnęłaś go tak, że się nakrył nogami.

- Cacko ze złota? O czym ty, do diabła, mówisz?

Tim niecierpliwie wsadził rękę pod drewniane wieko i wyszarpnął ze skrzynki gruby złoty krąg. W pierwszych promieniach słońca było widać metal wyrzeźbiony w formie plecionki. Światło przenikało złoto, a cenny kruszec promieniował blaskiem.

- O tym. - Wepchnął jej złoty przedmiot pod nos.

Cherelle powoli skoncentrowała wzrok na naszyjniku. Otworzyła szeroko oczy. Widziała podobne okazy biżuterii w jednej ze starych ksiąg Virgila. Takie rzeczy uwielbiano w muzeach, a to oznaczało, że mają wartość.

I że w grę może wchodzić duża suma pieniędzy.

Tim wsadził naszyjnik z powrotem do skrzynki, położył rękę na plecach Cherelle i pchnął ją mocno.

- No, dalej. Musimy się stąd wydostać.

Razem pobiegli stromym, wąskim szlakiem. Dookoła nich pierwsze włócznie brzasku odpychały ciemność. Wschód słońca nie poprawił nastroju Cherelle. Pomiędzy smugami jasnego światła pozostawały ponure pasma mroku. Były czarniejsze od dna studni.

- Jesteś pewien co do Virgila? - zapytała.

Tim zepchnął ją ze ścieżki, pociągnął przez zarośla i włączył latarkę starszego mężczyzny.

- A jak myślisz?

W mroku, przygwożdżony wąską belką, Virgil leżał na plecach, z otwartymi oczami, martwym wzrokiem wpatrzony w świt. Otaczały go zarośla.

- Myślę, że nie żyje - stwierdziła Cherelle, wycofując się na ścieżkę. Tim tyle się w życiu napatrzył na nagłe zgony, że nie miał problemu z rozpoznawaniem nieboszczyków.

- O tak. On już jest padliną.

Cherelle ciężko odetchnęła i zmusiła się do koncentracji. Naprawdę zabiła Virgila.

Co za syf.

Z drugiej strony, nie był jej pierwszą ofiarą. Już kiedyś załatwiła jednego gościa. Gliniarze uznali go za ofiarę porachunków między dilerami narkotyków. Poza tym wcale nie zamierzała nikogo pozbawić życia, ani teraz, ani poprzednio. Po prostu tak się stało.

I zanim ktoś się natknie na zwłoki, nie zostanie z nich zbyt wiele. Kojoty wyły tu na każdej grani i ciągle buszowały w ciemności, szukając pożywienia.

O tak. On już jest padliną, pomyślała ponuro.

- Co jest jeszcze w tej skrzynce? - zapytała Cherelle.

- Nic. Chodź już.

- Musi tam być coś jeszcze. Wiem to.

- Są gliniarze, ot co. Chcesz dać się złapać z truposzem, proszę bardzo. Ja się stąd zmywam.

- Zaczekaj. Tam jest złoto. Do jasnej cholery, tam jest jeszcze złoto! Zaczął mówić Cherelle, że całkiem zwariowała, ale zobaczył jej uparte spojrzenie, zacięte usta i wiedział, że nie będzie go słuchała.

No i fajnie. Pieprzyć ją.

Tim ruszył ścieżką, nie oglądając się za siebie.

- Skrzynki - mruzczała Cherelle do samej siebie. - Virgil mówił coś o skrzynkach. Co to takiego było? Myśl, do cholery! No, myśl!

„Żaden nie potrafił mi powiedzieć, co jest w skrzynkach pod moim łóżkiem”.

Pod jego łóżkiem.

Cherelle zeszła ze ścieżki i minęła Tima. Szła tak szybko, że nie mógł za nią nadążyć. Frontowe drzwi domu Virgila były otwarte. Jak zawsze. Mężczyzna, który jeździł do miasta starym rowerem i nosił ciuchy gorsze niż łachmaniarz, nie miał najmniejszego powodu, żeby zamykać drzwi na klucz.

Ruszyła prosto do sypialni, która była tuż przy salonie. Sądząc po wyglądzie łóżka, Virgil nie spał w nim ostatniej nocy. Teraz udał się na wieczny spoczynek.

Ta myśl przypominała jej o dopiero co przeżytym koszmarze, kiedy otoczona czarną nicością, wciąż przytomna, darła się wniebogłosy. Z ponurą miną szybko uklękła i zajrzała pod łóżko. Buty, jakiś zmięty materiał: może bielizna albo szmata do wycierania podłogi. Kurz.

I dwie drewniane skrzynki.

Wyciągnęła pierwszą z brzegu, otworzyła i zauważyła błysk złota. Natychmiast zatrzasnęła wieko.

- Co ty tu wyrabiasz, do diabła? - zapytał stojący w drzwiach Tim. Widział tylko, że Cherelle jest na czworakach i wsadza gdzieś głowę, wystawiając przy tym tyłek. - Włamywałem się do tylu miejsc, że od razu mogę ci powiedzieć, że marnujesz tutaj czas. On nawet nie nosił zegarka, na miłość boską.

- Marnuję czas, tak? - zagadnęła Cherelle. Podniosła wieko drugiej skrzynki. Na moment przestała oddychać, potem uśmiechnęła się. - Cóż, ty marnuj czas po swojemu, a ja będę robiła to, co mi się podoba.

Postawiła jedną skrzynkę na drugą i podniosła obie. Dopiero za drugim razem udało jej się dźwignąć na nogi. Skrzynki ze złotem nie były tak wielkie jak jej chciwość, ale ważyły dość sporo.

Odrzuciła głowę do tyłu, wybuchnęła śmiechem i zataczając się, powędrowała do drzwi. Nareszcie. Nareszcie się udało.

Duży numer.

Teraz musiała tylko wymyślić, jak to trefne złoto zamienić na bezpieczną gotówkę

Rozdział 10

Las Vegas

1 listopada, wczesny ranek

Starannie skrywając zniecierpliwienie - nogi wchodziły jej w tyłek - Gail Silverado pożegnała się z Mickeyem Pinskyem i Johnem Firenze'em, z Frenchem Henkle'em i Richem Morrisonem. Kiedy Rich ociągał się z dołączeniem do swoich trzech towarzyszy, posłała mu olśniewający uśmiech.

- Zapomniałeś o czymś? - zagadnęła.

- Tylko zadzwonić do swojej żony, a nie wziąłem komórki. - Uśmiechnął się lekko. - Pozwolisz, że skorzystam z twojego telefonu? Nie wiem, na którym przyjęciu mam się z nią spotkać.

- Proszę bardzo. Dobranoc panom. Sugeruję, żebyście pojechali osobnymi windami.

Zamknęła drzwi swojego zewnętrznego gabinetu i odwróciła się do Richa. Nic nie mówiąc, przeszła do prywatnego salonu i zamknęła drzwi za swoim gościem.

- Naprawdę zapomniałeś zabrać komórkę? - zapytała.

- A jak myślisz?

- Cóż, mam szampana i lód, jeżeli chcesz coś uczcić.

Roześmiał się i znowu poczuł żal, że jego obecna żona, mająca tak ważne znajomości w świecie polityki, dała jasno do zrozumienia, że jeśli będzie ją zdradzał, odetnie mu kutasa. Wiedział, że jego przyrodzeniu nic nie grozi, ale zależało mu, żeby nie stracić szansy na stanowisko szefa Komisji Kontroli Gier stanu Nevada. Wolał władzę niż kobiety, nawet tak utalentowane jak Gail.

- Miałem dziś rano wieści od wspólników - powiedział. Gail właśnie podchodziła do lodówki, gdzie trzymała szampana.

- Dobre wieści?

- Żłoty chłopiec wreszcie zainstalował nowy firewall. Zatrzymała się i obejrzała przez ramię - odruchowo, ale z dużą elegancją.

- To źle.

Rich podrapał się w głowę. Nie rozumiał, jak kobiety mogą nosić peruki.

- Ale nie aż tak bardzo. Skończyli instalację i codziennie przelewali pieniądze z konta w Szanghaju na jego konto z dochodami za automaty i stoliki do gry w bakarata.

- Ile wsadzili forsy, zanim zostali odcięci?

- Dziesięć milionów. Może piętnaście. - Rich wzruszył ramionami. - Marne grosze w porównaniu z tym, co mają przepuścić przez nasze kasyna, ale to w zupełności wystarczy, żeby udupić Tannahilla. Prawdopodobnie nie będzie siedział w więzieniu, ale Komisja Kontroli Gier już nigdy nie wpuści go na teren Nevady.

Gail pochyliła się, otworzyła lodówkę pod barkiem i wyciągnęła butelkę szampana Crystal.

Jesteś pewien, że zostawili dość śladów, żeby prześledzić szlak tych pieniędzy z powrotem na konto Czerwonego Feniksa?

- O tak. Ci chłopcy trenowali u najlepszych hakerów w Stanach. Tannahill od tygodni płaci podatki stanowe i federalne od tych mafijnych pieniędzy, a resztę zatrzymuje dla siebie jako czysty zysk, absolutnie wolny od podejrzeń.

Gail z wprawą otworzyła szampana i wciągnęła do nosa wonną mgiełkę, która pojawiła się nad butelką.

- No to go mamy. - Nalała wytwornego trunku do dwóch kieliszków i podała jeden z nich Richowi. - Pytanie tylko, kiedy bierzemy faceta w obroty.

- Podrzuciłem trochę anonimowych plotek oddziałowi FBI, który zajmuje się triadą Czerwonego Feniksa. To nie powinno potrwać długo. Nawet federalni w końcu załapią.

Zadźwięczało szkło.

Rozdział 11

Las Vegas

1 listopada, wczesny ranek

Większość dużych kasyn umieszczała w lobby coś, co przyciągało i bawiło gości. Tam, gdzie dekoratorom wewnątrz brakowało wyobraźni, poprzestawano na gigantycznych kompozycjach z kwiatów. W innych kasynach zdarzały się wysokie na sześć metrów i szerokie na dwadzieścia metrów akwaria albo zalatujące chlorem sztuczne rzeki, które błyszczały od monet wrzucanych przez gości, albo też szklane kwiaty, wyrastające z sufitu, o rozmiarach boiska futbolowego.

Złote Runo eksponowało... złote runo, i był to spektakularny widok. O każdej porze dnia i nocy wokół repliki mitycznego runa, za którym kiedyś łowcy skarbów wędrowali na kraj świata,

zbierał się tłum.

Shane był pragmatykiem, ale miał duszę poety. Wierzył, że mit runa ma korzenie w zwyczajnej rzeczywistości. W dawnych czasach poszukiwacze złota wyflukiwali piasek w drewnianych korytach. Dzięki pergaminowi ułożonemu na dnie, złote grudki nie wylewały się razem z brudną wodą, co zapewniało górnikom godziwy zarobek. Pod koniec dnia albo tygodnia górnicy zamykali koryto i wytrząsali złoty pył, który osadzała na runie przepływająca woda.

Żeby przyciągnąć ludzi do swojego nowego megakurortu, Shane kupił największą na rynku owczą skórę i zaprojektował koryto podobne do skrzynek używanych do wyflukiwania złota przed dwoma tysiącami lat. Rozpostarł skórę w poprzek strumienia, tak aby runo przesiewało złoty pył, którego całe wiadro Shane wlał do czystej wody. Potem włożył to wszystko do wielkiego akwarium, włączył pompy i czekał.

Przez kolejne minuty, godziny, dni, tygodnie, owcza skóra niestrudzenie filtrowała niemal niewidoczne złote odrobinki. Kiedy gęsta wełna nie mogła już udźwignąć więcej złota, zaczynała bajecznie połyskiwać.

I pozostawała zawieszona w zbiorniku z czystą wodą: wielka, kosmata rzeźba ze złota, za której sprawą do kasyn Złotego Runa napływały nowe pokolenia łowców skarbów. - Dzień dobry, panie Tannahill.

Shane odwrócił się do Susan Chatsworth, jednej z jego czterech asystentek. Jako była oficer policji Susan przekazywała mu informacje z działu ochrony. Ponieważ miała dzieci w wieku szkolnym, pracowała w jego kasynie na dziennej zmianie. Jej mąż, kapitan policji Las Vegas, pracował w różnych porach, lecz mimo to ich małżeństwo dobrze funkcjonowało.

Susan nie była w służbowym uniformie. Miała puszyste, długie do ramion włosy, jedwabną bluzkę, dzinsy i sandały na rzemyki. Wyglądała jak roześmiana klientka kasyna. Ale w dużej torbie nosiła walkie-talkie, aparat z funkcjami komputera i komórki oraz pistolet.

- Dzień dobry, Susan - odpowiedział Shane. - Czy już sprząś lody ze swojego dywanu?

Zaśmiała się i pokręciła głową.

- Niezła impreza. Zapomniałam, ile hałasu może narobić grupa piszczących dwunastoletnich dziewcząt. I dziękuję za płytę kompaktową, którą dał pan Amelii na urodziny. Skąd pan wiedział, że teraz każda nastolatka uwielbia Swivel Jack?

- Udało mi się zgadnąć.

Susan pokręciła głową. Akurat. Jej szef nie bazował na zgadywankach.

- Prosiła mnie, żebym pana ucałowała i uściskała, więc proszę się czuć tak, jakbym to zrobiła.

- Miły początek dnia.

Zaczął iść, a ona pomaszerowała za nim. Shane słynął wśród personelu z tego, że niezapowiedziany krążył po rozmaitych częściach swojego kompleksu rozrywkowego. Zjawiał się wszędzie, czy to w toalecie, czy w łoży dla VIP-ów, w dzień i w nocy, w dni robocze i świąteczne. Nie pamiętano, żeby jego kamienne, zielone oczy kiedykolwiek coś pominęły.

- Jakieś pilne sprawy? - Nie patrzył na Susan, zadając pytanie. Jego uwagę zaprzętał ruch w lobby: kolejki osób meldujących się i wymeldowujących z hotelu, ochrona VIP-ów, tłum wokół połyskującego runa i pusty styropianowy kubek, który stanowił niepożądany widok na jednym ze stolików do kawy. Spodziewał się, że śmieć zostanie natychmiast uprzątnięty.

- Chwilowo tylko jedna - odparła Susan. - Analizował pan wczorajsze wpływy?

- Tak. - Od przeglądu utargu kasyna z ostatniej doby Shane zaczynał każdy dzień, nawet jeśli był to ranek po całonocnej pracy.

- W takim razie wie pan, że wczoraj mieliśmy sześć dużych wygranych na automatach Solid Gold Slots.

- Tak. - Nieprawdopodobne, ale nie niemożliwe. Hazard to przecież gra prawdopodobieństwa,

które było dziwnym przypadkiem na krótką metę, ale całkowicie wiarygodnym w dłuższej perspektywie.

- Przejrzałam taśmy - powiedziała, mając na myśli cyfrowe nagranie wszystkiego, co się działo w kasynie. - Podejrzewam, że jesteśmy naciągani przez jakąś specekipę.

Shane przyrzekł sobie, że sam sprawdzi te nagrania.

- Oszustwo elektroniczne? Magnetyczne? Mechaniczne?

- Stawiałabym na magnetyczny reset wypłaty.

Chrząknął. Bez względu na to, jak bardzo chroniło się „mózg” automatu, zawsze znalazł się magik, który potrafił się przedrzeć przez zaporę. A był to zazwyczaj dawny pracownik zajmujący się programami zabezpieczającymi automaty.

Będzie musiał sprawdzić dane swojego personelu.

- Czy ta ekipa wróciła dzisiaj? - zapytał.

- Nie widziałam ich.

- Zdobądź zdjęcia tych ludzi i zamieść je na gorącej linii.

Skinęła głową. Z biznesowego punktu widzenia, kasyna w Las Vegas konkurowały ze sobą; w rzeczywistości współpracowały w sprawach bezpieczeństwa.

- Nie ma więcej kradzieży na czwartym piętrze? - Shane omiół wzrokiem podekscytowany tłum przy stole z craps.

Kierownik sali znajdował się dokładnie tam, gdzie trzeba: w punkcie, skąd było widać obsługę craps i tłoczących się ludzi. Krupierka też pilnie wykonywała swoje obowiązki: bacznie obserwowała wszystko, co działo się na środku stołu, zgarniała kości i zwracała je osobie wykonującej rzuty. Naprzeciwko krupierki stała osoba, która mówiła rozdającemu - w tym przypadku rozdających było dwóch ze względu na duże zainteresowanie grą- komu i ile trzeba zapłacić. Jakaś podniecona kobieta w wieczornej sukni z poplamionej białej satyny, z rozmazanym makijażem, chuchała na kości, szeptała do nich, w końcu rzucała je na zielone sukno. *Lesjeia sontfaits*.

- Kolejne oczy węża! - zawołała krupierka. - Ta dama ma świetną passę!

Kobieta wrzasnęła, potem zaczęła skakać i patrzyła, jak rozdający przesuwają żetony. Stos plastikowych krążków przed nią zrobił się dwa razy większy. Odczekała chwilę, potem znów chwyciła kości przysunięte zakręconą laską.

Stłoczeni ludzie nachylili się nad stołem i w podnieceniu oglądali spektakl.

Shane i Susan szli dalej.

- Nie, proszę pana - powiedziała. - Miał pan rację. Jeden z urzędników pracujących za dnia kopiował elektroniczne klucze szyfrujące i przekazywał je kumplom. Głupiec. Choćby nie wiem ile pieniędzy dostali od pasera, i tak nie zrekompensuje im to czasu spędzonego w więzieniu.

- Tak to jest z oszustami - mruknął Shane. - Zawsze zakładają, że są zbyt sprytni, żeby dać się złapać.

- Fakt. Akurat ta sztukmistrzyni przekonała się, że gliniarze czekają na nią na parkingu dla pracowników.

Shane nie zapytał, czy sprawę załatwiono dyskretnie. Dobrze płacił ochronie, więc miał pewność, że bajkowej aury Złotego Runa nie zakłócą niegustowne elementy rzeczywistości. Nie bez powodu w tym kasynie nie zamontowano zegarów, radia ani ekranów telewizyjnych, z wyjątkiem pomieszczenia, gdzie obstawiano zakłady sportowe. Nie było też telefonów, które przypominałyby graczom, że trzeba zadzwonić do domu; nie podłączono nawet kanału z prognozą pogody w telewizorach w pokojach gościnnych, bo to sugerowałoby istnienie świata zewnętrznego. Niewypowiedziane przesłanie było jednoznaczne: wszystko, czego potrzebujesz, jest tutaj.

- Coś jeszcze? - zagadnął Shane, kiedy szli między dwoma rzędami stołów do black jacka. W zależności od zainteresowania, wstęp kosztował od pięciu baksów na łebka do trzech tysięcy. Kiedy popyt był duży, rosła cena gry. Na dwóch stołach dyskretnie ustawiono tablice z napisem: „zarezerwowane”. Były przeznaczone dla dwóch braci z Argentyny, którzy lubili grać obok siebie i płacili za ten przywilej po trzy tysiące dolarów, bo lubili akurat te stoły i jeszcze dwie rozdające blondynki z obsługi. No i tracili naprawdę dużo pieniędzy, dlatego Shane z zadowoleniem spełniał ich wszystkie kaprysy.

- Na razie nic innego - powiedziała.

- Nie podoba mi się sugestia kryjąca się w tym zdaniu.

Wzruszyła ramionami.

- Te dwie grube ryby z Japonii narobiły sporo szumu, kiedy tam weszłam dziś rano.

- Szumu w pozytywnym czy negatywnym sensie?

- Och, w końcu każdy z nich stracił po milionie dolców, jak przystało na małe, pocziwe wieloryby, ale...

- Stracili? - przerwał Shane. - Dopiero co usłyszałem, że przynajmniej jeden z nich wygrał.

- Dobra passa została przerwana około czwartej nad ranem. Teraz jesteśmy dwa miliony do przodu. Ale oni wciąż byli ululani whisky i gotowi do działania.

- Po to jest nasz pokój gościnny.

Przytulne pomieszczenie znajdowało się w dyskretnym miejscu i miało dobrze wyciszone ściany. Niejeden VIP sypiał tam po długiej nocy hazardu albo alkoholowej libacji. Dla tych, którzy mimo upojenia nie chcieli rezygnować z partyjki, grę przenoszono w zaciszne miejsce na uboczu.

- Nie chcieli odejść od stołu. W końcu krupier zaproponował, że pójdzie z nimi na śniadanie złożone z marynowanej ryby, gotowanego ryżu, morskich wodorostów, a potem jeszcze zagrają w bakarata - ciągnęła Susan. - I oczywiście zażądali jeszcze whisky.

- Gdzie są teraz wszyscy?

- Kiedy ostatnio sprawdzałam, kucharz przydzielony przez pana Japończykom robił sushi. Krupier próbował się nie udławić marynowaną rybą, a jednocześnie rozdawał ważniakom karty do kolejnej przegranej partii bakarata.

- Który krupier? Finnigan?

- Jak się pan domyślił?

- Tylko on umie sobie radzić z ważnymi osobistościami; ma dość uroku, żeby usuwać je z widoku publicznego, kiedy się upiją, no i żelazny żołądek, skoro jadł marynowaną rybę o czwartej nad ranem, żeby dotrzymać grającym towarzystwa. Włóż mu do koperty tysiąc dolarowy czek. Czasami ci, którzy przegrywają, zapominają dać napiwek.

Susan otworzyła boczną kieszeń torby i szybko nagrała kilka słów na dyktafon.

- Coś jeszcze?

- Dowiedz się, dlaczego inne kasyna nie poinformowały nas, że w mieście jest nowa speckipa.

- Może zostaliśmy zaatakowani jako pierwsi.

- Może. Wkrótce się przekonamy.

Susan znowu nagrała krótki tekst.

- Co z tym pożarem śmieci? - zapytał.

- Kierowca autokaru palił papierosa i wrzucił niedopałek do kosza.

- Były kierowca autokaru.

- Tak, od szóstej rano - potwierdziła.

Shane zrobił kolejny obchód kasyna. Zauważył, że trwa dobra passa kobiety grającej w craps,

a tłum się potroił. Nic tak nie przyciągało ludzi, jak ktoś, kto dużo wygrywał. Uśmiechnięty, ruszył w kierunku kuchni. Było ich sporo. Złote Runo dysponowało nie tylko czynnym dwadzieścia cztery godziny na dobę i świetnie zaopatrzonym bufetem, ale także pięcioma restauracjami światowej klasy, z których każda miała osobny personel z humorzastymi kucharzami na czele.

Zanim nastała era megakasyn, w Vegas serwowano tanie jedzenie w dużych porcjach, i to właśnie na nim kasyna traciły najwięcej. Teraz było zupełnie inaczej. Przynajmniej w dzielnicy Strip. Tu restauracje, podobnie jak hotele, miały przynosić zyski, no i oferować cztero- i pięciogwiazdkową kuchnię. Stanowiła ona część luksusowego przeżycia, jakie największe kurorty oferowały zamożnej, międzynarodowej klienteli. Ponieważ przeciętny gość zatrzymywał się w Vegas zaledwie na trzy dni i grał tylko dwie godziny dziennie, trzeba było zadbać, żeby miał pod jednym potężnym dachem absolutnie wszystko - jedzenie, rozrywki, centrum handlowe na najwyższym poziomie i luksusowe spa.

A wszystkie korytarze prowadziły z powrotem do kasyna.

Złote Runo nie było pod względem rozkładu wyjątkowe. Mnóstwo kurortów świadomie kierowało ludzi do miejsca, gdzie uprawiano się hazard. Zyski z hotelu, rozrywki, centrów handlowych i jedzenia zależały od pory roku albo stanu gospodarki, ale ta zasada nie dotyczyła gier hazardowych. Wystrój wnętrz nie był aż tak ważny. W Vegas, tak jak w Monte Carlo, chodziło przede wszystkim o hazard.

- Co się stało z kobietą, która twierdziła, że ruchome schody ruszyły tak gwałtownie, że upadła? - zapytał Shane, kiedy zjeżdżali służbową windą do pomieszczeń kuchennych.

- Przejrzeliśmy taśmy. Zobaczyliśmy, jak klientka „upada” dwa albo trzy razy, aż w końcu udało jej się przyciągnąć uwagę... i zaczęła się zabawa.

- Zabawa. - Wygiął wargi.

Spodziewał się oszustów karcianych i szachrajów, małych i dużych kanciarzy. W końcu to Las Vegas. Ale korowód goniących za karetką prawników i starszych ludzi wykonujących starannie wyreżyserowane upadki w nadziei na inną wielką wygraną bardzo drażnił Shane'a. Za każdym razem cała heca kończyła się tak samo, a mimo to do ludzi wciąż nie docierało, że w Złotym Runie wszystkie pomieszczenia, oprócz toalet i pokoi dla gości, są stale monitorowane.

Shane zerknął na zegarek. Miał wrażenie, że czas zleciał bardzo szybko, i w myślach starał się zaplanować to, co powinien zrobić. Nawet gdyby mógł rozciągnąć rozkład dnia do granic, nie zdąży tego ranka skontrolować pomieszczeń kuchennych. Za dziesięć minut miał spotkanie ze swoją kuratorką. Spotkanie, które nie zapowiadało się przyjemnie i które, jak sądził, nie będzie krótkie.

Risa wciąż jeszcze nie przedstawiła mu głównego eksponatu na potrzeby jego pokazu Złoto Druidów. Potrzebował złotych artefaktów, dzięki którym mógłby skutecznie konkurować z wystawą Faberge, pokazem, który miał zostać otwarty w Najśmielszym Marzeniu w noc sylwestrową. Fakt, że Gail po raz kolejny wydaje mnóstwo pieniędzy, byleby tylko uprzykrzyć mu życie, nie mógł przysłonić rzeczywistości. Shane potrzebował czegoś wyjątkowego.

Od Risy oczekiwał, że to coś dla niego zdobędzie.

Rozdział 12

Camp Verde

1 listopada, rano

Na postrzępionej, kordonkowej narzucie, którą Chelle przykryła pogniecioną pościel, leżały

Isiąące złote przedmioty. Dwadzieścia siedem niezwykłych i niesamowitych okazów.

- Jak myślisz, do czego używali tej dużej, starej rzeczy? - mruknęła pod nosem, wpatrzona w przedmiot, który robił największe wrażenie.

Była to ciężka rzeźba ze złota w kształcie wygiętej tyczki z totemem. U podstawy znajdowała się twarz mężczyzny, powtórzona trzykrotnie w układzie spiralnym, odchodzącym od podstawy z drewnianym rdzeniem. W miejscu, gdzie twarze zaczynałyby się owijać wokół siebie, żeby powtórzyć motyw wzorniczy, zaczynał się kolejny spiralny układ: coś, co przypominało trzy ptaki z długimi szyjami lub węże; te zwierzęta przechodziły w trzy wilki, a wilki zamieniały się w potrójnego, agresywnego byka; na końcu wyrastał potrójny ptasi łeb, którego ślepiami były ludzkie czaszki, a z grubych dziobów zwisały bezwładne ludzkie ciała.

- Jezu, nie wiem, co oni brali, ale to musiało im nieźle popieprzyć w mózgach - stwierdziła Chelle, rozcierając ramiona pokryte gęsią skórą. - Ho, ho.

Niesamowita tyczka z totemem została wykonana ze złota. Co prawda połowa była wypełniona drewnem, ale sam metal ważył ze dwa, dwa i pół kilo. Ten przedmiot i złota obręcz, którą Chelle zdzieliła starego Virgila, stanowiły mniej więcej jedną czwartą wagi całego skarbu. Złoty nóż o dziwnym kształcie, z pochwą wysadzaną klejnotami, również nie był lekki.

Na resztę skarbu składała się głównie biżuteria - opaski na ramiona albo bransolety, pierścieni z wyrytymi symbolami i fantastyczne zapinki, duże jak dłoń Chelle. Tylko jeden z tych przedmiotów był wysadzany kamieniami. Inne pokrywała emalia, która świeciła równie intensywnym blaskiem jak kamienie szlachetne. Chelle próbowała rozczytać wzory i napisy, ale tylko rozboleła ją od tego głowa.

Niepotrzebnie się wysilała. Łupała ją w skroniach jeszcze od sesji channelingu z Virgilem.

Czuła się nieswojo, ale przynajmniej przedmioty nie parzyły ją w ręce jak wtedy, gdy tłukła starego mężczyznę. Nie chciała jednak rozpamiętywać zdarzeń sprzed kilku godzin, więc skoncentrowała uwagę na skarbie.

Sześciu obróżek lub też obręczy na szyję pewnie używano jako naszyjniki, ale diabelnie trudno było je włożyć i zdjąć. Znalazła jeszcze statuetki przedstawiające zwierzęta albo demony, albo części ludzkiego ciała. Każda mieściła się w dłoni Chelle, ale niektóre miały tak drobne wzory, że nie mogła ich rozszyfrować.

Najbardziej zafascynowała ją ciężka rzeźba, przypominająca totem, i jeszcze przedmiotem podobnym do złotego dzbanuszka z wieczkiem na zawiasach, dziwacznie rzeźbionym sztyletem w złotej pochwie i maską mężczyzny albo boga, albo diabła, którego ponure, puste oczodoły ciągle ją obserwowały, bez względu na to, gdzie stanęła w motelowym pokoju.

Nieźła jazda. Chelle doszła do wniosku, że te wyroby są równie dobre, a może i lepsze od wszystkiego, co oglądała w książkach Virgila.

A to dawało perspektywę zarobienia naprawdę porządných pieniędzy.

Rozmyślając o fortunie, patrząc na złoto, bawiła się długim, jasnym kosmykiem, stanowiącym część jej niewyszukanej fryzury - trzy czwarte włosów miała spięte, reszta opadała swobodnie, zachęcając mężczyzn do dotykania pasemek i skóry właścicielki. Kosmyk, który teraz nawijała sobie na palec, zazwyczaj leżał w zagłębieniu między piersiami, dobrze widocznym dzięki wydekoltowanemu czerwonemu swetrowi. Mocno rozciągnięta góra swetra odstaniała stanik Chelle, a dół był wetknięty w dzinsy tak obcisłe, że w każdej chwili mogły pęknąć. Przez cienką podeszwę zniszczonych białych pantofli czuła każdy okruc, na jaki weszła.

W roztargnieniu wodziła palcami po brzuchu i pośladkach. Wciąż miała ciało, które przykuwało uwagę mężczyzn i sprawiało, że chętnie stawiali jej drinka albo oferowali skręta. Prawdę mówiąc, chętnie zażyłaby teraz trochę białego proszku. Głowa jej pękała. Nawet zwykły, tani crack byłby dobry.

Fatalnie, że skończyła się kokaina. Oczywiście dla dwojga i tak by nie wystarczyło. Tim nie będzie zadowolony, że ją wypaliła, ale trudno.

Cherelle wyrzała przez okno na parking, gdzie szczeliny na chodniku przypominały czarne węże na wyblakłym od słońca makadamie. Tim powinien już wrócić ze śniadaniem, i z Socksem. Potem przyjdzie czas rozliczeń. Socks będzie chciał jednej trzeciej, a ona nie zamierzała dać mu aż tyle. To była jej zdobycz, nie jego.

On nikogo nie zabił.

Gwałtownie odwróciła się od okna i poszła do łazienki. Nie chciała myśleć o tych chwilach, kiedy wrzeszczała pośrodku nicości. Nie słyszała żadnego dźwięku, ale była pewna, że krzyczy. Wypalenie cracku i zapicie go wódką odpędzało wspomnienia. Na jakiś czas.

Nie zamierzała zabić Virgila. Do diabła, nawet nie pamiętała, że popełniła morderstwo.

Ale nie ulegało wątpliwości - był martwy.

- Hm, teraz już nic nie mogę zrobić powiedziała Cherelle swojemu odbiciu w matowym lustrze. - Muszę myśleć o sobie, do diabła z innymi. Nawet z Timem.

Podeszła do łóżka i zaczęła rozkładać złote przedmioty. Cherelle była chciwa, ale nie głupia. Zostawiła dwanaście sztuk dla Tima, włącznie z atrakcyjną opaską na ramię, naszyjnikiem, trzema najmniejszymi zapinkami i czymś, co wyglądało jak sztuczny penis. Niechętnie dołożyła cztery figurki dla Socksa. Sporo ważyły i łatwo mieściły się w dłoni.

Część należną Timowi wsadziła do jednej z małych, drewnianych skrzynek. Resztę złota zawinęła w brudne ubrania i włożyła do podniszczonej walizki na kółkach. Miała dość rozumu, by zdawać sobie sprawę, że zabranie całego złota nie uszłoby jej na sucho. Może Tim nawet by się zgodził, żeby to ona przetrzymywała cały skarb do momentu transakcji z paserem, ale nie Socks. Ten przypominał zawziętego psa.

Dlatego postanowiła rzucić mu złotą kość.

Kiedy zamknęła pełną złotą walizkę w bagażniku, włożyła zapasowy klucz w stanik. Ciągle gubiła klucze, więc wszędzie upychała dodatkowe. Było to łatwiejsze niż włamywanie się do własnego apartamentu albo uruchamianie swojego samochodu „na krótko” za każdym razem, gdy miała zaćmienie mózgu i zapominała, gdzie coś położyła.

Otworzyła drugą, mniejszą walizkę i postawiła na podłodze obok chwiejącego się stolika. Rozejrzała się, sprawdzając, czy nie zapomniała o czymś ważnym. Od razu rzuciła jej się w oczy sterta świeżo wydrukowanych ulotek reklamujących Tima jako doradcę duchowego, a ją samą jako medium. Uśmiechając się pogardliwie, zepchnęła ulotki ze stołu. Spadały na cały pokój; jedna wylądowała nawet w walizce Cherelle.

Na tę barwną kartkę cisnęła buty i czekoladowe batony, potem jeszcze podpaski, szampon, bieliznę, kosmetyki, szczoteczkę do zębów: wszystko, co miała. Kiedy skończyła, przycisnęła kolanami wieko walizki, żeby ją domknąć. Tylko jedno kółko było jeszcze sprawne, ale lepsze to niż nic. Cherelle otworzyła drzwi i wytoczyła skrzypiącą walizkę na parking.

Tim i Socks podjechali dokładnie w momencie, gdy wpychała walizkę na tylne siedzenie wozu. Socks jeździł pontakiem firebirdem, ale częściej oglądał go od spodu niż od środka. Fioletowy, błyszczący samochód miał grube opony, no i niezły zryw. Sam Socks - średniego wzrostu, korpulentny - nie przyciągał uwagi aż tak bardzo. Miał ciemne włosy i oczy, no i był święcie przekonany, że spotkanie z jego penisem jest wielkim zaszczytem dla każdej kobiety.

Tim wysiadł, trzymając trzy kubki z kawą i torebkę z pączkami.

- Już gotowa?

- Spakowałam tylko swoje rzeczy - podkreśliła. - Chcesz spakować swoje, to bierz się do roboty.

Mocno ją pocałował.

- Wiedziałem, że powinienem cię zerznąć, kiedy wróciliśmy dziś nad ranem. Jak długo chodzisz bez rypanka, robisz się strasznie jędzowata.

Demonstracyjnie go odepchnęła, potem sięgnęła do krocza Tima i ścisnęła go tam, gdzie lubił i jak lubił.

- Uważaj z tą kawą - wrzasnął Socks, zatrzasnął drzwi pontiaka. - Zapłaciłem za nią pięć baksów.

Gdyby nic nie powiedział, Cherelle poprzestałaby na żartobliwym uścisku. Ale ponieważ Socks ciągle usiłował skłócić ją z Timem, oparła się o kochanka i zaczęła gorące pieszczoty. Jak zawsze, zareagował z godną podziwu prędkością. Bez wątpienia to, co najlepsze w tym chłopaku, znajdowało się poniżej jego pasa.

- Daj mi to. - Socks wyrwał przechylającą się tackę z kawami z rąk Tima i podszedł do otwartych drzwi motelu. - Chcesz ją posuwać na parkingu, droga wolna. Ja tam jem śniadanie.

Cherelle polizła wargi Tima, powoli pogładziła go po czułym miejscu i szepnęła ochryplym głosem:

- Chcesz?

- A czyja kiedyś nie chciałem?

- Nie. - Rzeczywiście to rekompensowało wiele, włącznie z jego bezmózgowiem... przeważnie. Cherelle cofnęła się, ale przedtem jeszcze raz ścisnęła mu krocze. - Jak tylko pozbędziemy się Socksa, porządnie ci obciągnę.

- Hm, on jedzie z nami do Vegas.

Nie była zaskoczona. Ani zadowolona. Zmrużyła oczy i skrzyżowała ręce pod piersiami.

- Powiedziałeś mu.

Tim przestępował z nogi na nogę. W końcu wzruszył ramionami.

- Cholera, przecież to mój kumpel.

Czasami Cherelle zastanawiała się, jak bliskim kumplem był poczciwy, stary Socks, ale nie starała się tego dokładnie ustalić. Tacy piękni mężczyźni jak Tim często zmieniali upodobania. Na szczęście zawsze starczyło mu energii dla niej, więc może z Socksem łączył go tylko „okolicznościowy” związek jak chłopców w szkole albo żołnierzy, którzy zaprzyjaźniają się pod wpływem ekstremalnych warunków.

- Nie było go z nami zeszłej nocy - przypomniała.

- Wciąż jesteśmy mu coś winni za skręty.

Syknęła przez zaciśnięte zęby. Kokaina była głównym powodem, dla którego wytrzymała z Socksem. Nigdy nie miał kłopotu ze zdobyciem koki, no i nie kazał im płacić za nią nie wiadomo ile.

- Dostanie pieniądze. Zawsze dostaje.

Socks wysunął głowę z motelowego pokoju.

- Hej, myślałem, że masz mi do pokazania coś fajnego.

- Możesz sobie pomarzyć - mruknęła Cherelle, ale ruszyła w kierunku pokoju. To było w stylu Socksa, drzeć się na parkingu, wpytując o kradzione złoto. Tim miał pewne braki w myśleniu, ale Socks czasami przejawiał skrajny idiotyzm. Gdyby nie znajomości, już dawno ktoś by go załatwił.

- Dochodzisz? - zapytał niecierpliwie Socks.

- Pytasz o nasze pożycie seksualne? - odparowała Cherelle.

- Co?

- Nic - zawołał Tim. - Ona po prostu lubi sobie pożartować.

Cherelle mruknęła coś do siebie, zostawiła Tima za sobą i przemknęła do pokoju. Podnosiła kolejne zakryte kubki z kawą, aż natknęła się na jedyny pełny. Pociągnęła łyk i omal nie opluła

Socksa. Zero cukru i zero śmietanki, a przecież doskonale wiedział, jaką kawę lubiła. To, że on i Tim pili kawę bez dodatków, nie znaczyło, że ona też musiała.

- Gdzie to jest? - zapytał Socks. - Tim chce jeszcze skrętów, a ja nie ruszę palcem, dopóki nie dostanę zapłaty za ostatni raz.

- W skrzynce. - Wskazała drewniane pudełko na podłodze przy rozgrzebanym łóżku.

Socks trącił skrzynkę nogą.

- To wszystko? Tim mówił, że są trzy.

- Nie były zapełnione, więc przełożyłam wszystko do jednej. Łatwiej nosić.

- Hm. - Socks z powątpiewaniem popatrzył na skrzynkę. - Nie wygląda, żeby było tego dużo.

Tim powoli wszedł do pokoju i wepchnął do buzi pączka. Czuł, że będzie się dobrze bawił. Uwielbiał patrzeć, jak Cherelle robi z kogoś totalnego dupka - pod warunkiem że tą osobą nie był on sam. A co do złota, wiedział, że dostanie swoją działkę, bez względu na to, czy ma je ona, czy Socks.

- Jak pełne jest niepełne? - zapytał Socks.

- Jak pełne jest niepełne? - przedrzeźniała go. - No proszę, mamy tu pieprzonego filozofa.

- Co? - nachmurzył się Socks. Tim zareagował tak samo.

W takich chwilach brakowało jej Risy. Kiedyś często padały na podłogę i śmiały się z rzeczy, których nikt inny nie załapywał.

- Posłuchaj... - Cherelle pokazała skrzynkę. - To jest połówka Tima.

Socks otworzył wieko i zaczął wysypywać zawartość na podłogę.

- Zaczekaj! - wrzasnęła. Co za palant. - Jak będziesz rzucał tymi rzeczami, stracą na wartości, więc w razie czego nie przychodź jęczeć, że połówka Tima nie jest warta tyle ile moja.

Zanim zaczęli się kłócić na dobre, Tim wziął skrzynkę i wypakował jeden przedmiot po drugim na łóżko. Dwanaście sztuk. Kilka opasek na ramię i małych statuetek, obręcz na szyję, zapinki z czerwonym elementem, pierścione. To mogła być połowa łupu, ale Cherelle nie pozwoliła mu tknąć niesionych przez siebie skrzynek, więc nie miał pewności. Poza tym to bez znaczenia. Cokolwiek posiadała, przeważnie stawało się jego własnością. Nawet kiedy była maksymalnie wkurzona, nie mogła się doczekać, aż położy rękę na jego dżojstiku.

- Dziwaczny ten złom. - Socks oglądał wyroby. - Złoto?

- Tak - odparł Tim.

- Jesteś pewien?

Tim zerknął na Cherelle, która szybko skinęła głową. Znow odwrócił się do Socksa.

- Jeśli ona jest pewna, ja też. To złoto.

- Skąd wiesz? - zagadnął Socks Cherelle.

- Ja wiem dużo rzeczy.

Socks nie miał żadnego argumentu, więc znowu zajął się łupem.

- Muszę pojechać do jednego ze znajomych wuja, żeby to upłynnić. Czyli do Vegas. Mój łącznik w Sedonie spyla tylko sprzęt, który można podłączyć.

- Vegas, co? - zagadnął Tim. Cherelle już od dawna marudziła, żeby zostawił ten śmietnik i pojechał do Las Vegas, gdzie ciągle coś się dzieje. - Świetnie. Nie widziałem całej wieki swojej mamy.

Socks miał serdecznie gdzieś matkę Tima.

- Pakuj to i bierzemy tyłki w troki.

- Dostaniesz lepszą cenę, jeśli poczekaasz, aż dowiem się co nieco o tych przedmiotach - powiedziała szybko Cherelle.

- To znaczy? - zainteresował się Socks. Tim zaczął pakować złoto.

- Oglądałam podobne rzeczy w książkach - wyjaśniła Cherelle. - Za to złoto można dostać

więcej niż cenę skupu.

Socks tylko na nią spojrzął.

- Ile czasu potrzebujesz, żeby się rozeznąć? - zapytał Tim.

- Tyle, ile będzie trzeba - odparowała.

- Posłuchaj, nie zamierzam czekać, aż wrócisz do szkoły, zdobędziesz tytuł i...

- Nie muszę. Znam kogoś, kto już ma tytuł.

- Kogo?

Cherelle się zawahała. Przez wszystkie lata od czasu do czasu kontaktowała się z Risą, ale zawsze robiła to sama. Przyjaciółka na pewno nie ucieszyłaby się, gdyby na progu jej domu stanął taki skurczybyk jak Socks. Zwłaszcza teraz, kiedy stała się kobietą z klasą, prawie naukowcem.

- Kogoś.

Socks wzruszył ramionami.

- Rób, co ci się podoba. Ja nie będę czekał.

Zwróciła się do Tima, który sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- To jest nasza wielka szansa - powiedziała spokojnie. - Mam dosyć zarabiania dwóch centów na dolarze, bo Socks nie zna ani jednego pasera, który by go nie robił w trąbę. Po prostu mi zaufajcie. Nie pożałujecie. Kiedy zrobię swoje, będziecie mieli wystarczająco dużo, żeby kupić sobie całą wannę skrętów.

Tim zmarszczył brwi. Nienawidził sytuacji, w których musiał stawać między kochanką a więziennym kumplem. Popatrzył na Socksa. Przyjaciel miał zacięty wyraz twarzy.

- Słuchaj - zaczął Tim. Odsunął dwie figurki od reszty złotych przedmiotów. - Tyle jesteśmy ci krewni za skręty, a ty jeszcze dorzucisz nam trochę za stuprocentowo czysty towar, dobra?

Socks popatrzył na złoto.

- Daj mi jeszcze jedną sztukę.

Cherelle jęknęła.

Tim wziął opaskę i zabrał z powrotem jedną z figurek.

- Proszę. Ta rzecz jest warta tyle, ile tamte dwie. Socks przygryzł dolną wargę i obejrzał resztę złota.

- Dobra, ale jedziesz do Vegas ze mną. Mam dosyć wleczenia się za gruchotem Cherelle.

- Jasne - zgodził się Tim. - Zresztą radio w jej samochodzie i tak nie działa.

Cherelle patrzyła smętnie, jak Socks zawija dwa przedmioty w zatłuszczone serwetki i wpycha je do plecaka. Naprawdę nie chciała się rozstawać z żadną częścią skarbu. Mimo swoich buńczucznych wypowiedzi wcale nie wiedziała, ile to złoto jest warte. Może będzie potrzebowała całości, żeby wydostać się z syfu, w którym żyła.

Nucąc pod nosem, Tim owijał swoje złoto w szorty, skarpetki i co tylko wyciągnął z torby na brudne rzeczy, czyli swojego bagażu. Potem zaczął wpychać dziesięć sztuk zdobyczy do plecaka, z którym się nie rozstawał. Osiem zmieściło się bez problemu. Dziewięć już nie.

- Ostrożnie! - zawołała Cherelle. - Jeśli zniszczysz tę opaskę, nie będzie tyle warta. I zapinka. I...

- Masz. - Tim wcisnął jej w rękę dwa owinięte w bieliznę przedmioty. - A teraz przestań mi truć dupę, dobra?

- Hej! - odezwał się niezadowolony Socks. Już traktował to złoto jak swoją własność, choć wolał głośno o tym nie mówić. Odkąd Tim spiknął się z Cherelle, nie można było tak łatwo nim dyrygować. Cherelle to była twarda suka.

- Spoko, chłopie. - Tim uśmiechnął się swobodnie. - Ona też jedzie do Vegas. Zgadza się, słoneczko?

- Ale teraz ona ma najwięcej złota - zauważył Socks.

Za późno. Cherelle już złapała dwa okazy należące do Tima i włożyła je do swojego obszarpanego plecaka.

- Do zobaczenia w Vegas, chłopcy. Tam gdzie zawsze, tak? Motel w pobliżu domu twojej mamy?

- Tak. - Tim chwycił Cherelle, wtulił twarz w jej piersi i wydał kilka bulgoczących odgłosów.

- Tylko się nie spóźnij.

- No nie - mruknął Socks. - Ta suka ma najwięcej złota.

- Będę na czas - obiecała Cherelle, ignorując Socksa.

Tim podniósł swój plecak jedną ręką, drugą złapał bagaż kumpla.

- Chodź. Jedźmy zobaczyć się z paserem w Vegas. Musi być lepszy niż ten gość w Sedonie.

- Ale ta suka ma najwięcej złota!

- No rusz się, człowieku - warknął Tim. - Jak zrobimy to po twojemu, nieźle się uszarpiemy. A tak w najgorszym wypadku dostaniemy trochę forsy od razu i o wiele więcej później. Jaki masz problem?

Socks wciąż jeszcze próbował wyjaśniać swoje obawy, kiedy Tim uruchomił silnik samochodu.

Rozdział 13

Las Vegas

2 listopada, ranek

W pokoju z białymi ścianami i perskim dywanem panowała cisza, którą od czasu do czasu mącił tylko szelest papieru. Shane wolno przewracał kartki w jednym z katalogów, które dała mu do przejrzenia Risa. Na jej biurku nie stały żadne fotografie w ramkach, w przepastnej szufladzie nie było poutykanych prywatnych listów, a wśród piór nie wałały się zapomniane kolczyki: nic tu nie wskazywało na to, jak wygląda życie Risy poza godzinami pracy. Jej gabinet w kasynie wyglądał identycznie. Nie chciała pamiętać o przeszłości.

W wieku szesnastu lat nauczyła się, że jeśli chce osiągnąć zamierzony cel, nie może się rozpraszać. Nie żałowała żadnej chwili, jaką poświęciła na pracę. Udało jej się wyrwać z nędzy. I odkryła świat zabytkowej biżuterii. To był jej raj, oaza piękna. Czuła podniecenie za każdym razem, gdy otwierała książkę, oglądała kolejny cenny eksponat.

I jeśli czasami, bardzo rzadko, pojawiał się zimny, niepokojący oddech przeszłości, kiedy obracała w palcach stary przedmiot ze złota, jakoś to znosiła... podobnie jak brutalne wspomnienia. Nie miały najmniejszego znaczenia tu i teraz. Liczyła się tylko praca, klucz do piękniejszego świata niż ten, z którego Risa się wywodziła.

Uwielbiała swoją pracę.

I martwiła się, że ją straci.

Zerknęła na zegar na ścianie. W odróżnieniu od większości pomieszczeń w kompleksie Złote Runo, jej gabinet miał wbudowany mechanizm pokazywania czasu. Risa poznała ten zegar aż nadto dobrze. Właśnie spędziła najdłuższe dziewięćdziesiąt minut swojego życia, czekając na wymówienie, bo nie znalazła żadnego porwijącego eksponatu, dzięki któremu Shane mógłby przyciągnąć tłumy na wystawę Złoto Druidów.

Nie żeby pięknie wykonane i zabezpieczone alarmem szklane gabloty były puste. Znajdowały się w nich bardzo ciekawe - w kilku przypadkach wręcz wyjątkowe - artefakty z terenów całej Europy, reprezentujące styl celtycki. W nowym pokazie Shane chciał się skoncentrować na znaleziskach ze skarbców Irlandii, Szkocji, Walii i Anglii.

Niestety, większość cennych dzieł dawnej sztuki przeszła na własność Korony, a potem została przetopiona, bo monarchii zależało na wybiciu jak największej liczby królewskich monet. Wojny drogo kosztowały, a Anglicy byli ambitni i poza tym nie szanowali starożytnych wyrobów. W ciągu wieków zawartość skarbców, których istnienia nie zadeklarowano Koronie, potajemnie przetapiano na sztaby złota.

Pod koniec XVIII wieku, kiedy posiadanie zabytków stało się modne, właściciel ziemi - niemal zawsze arystokrata - mógł zatrzymać w rodzinnej kolekcji wszelkie odnalezione skarby, zamiast je przetapiać. Istniała więc niewielka szansa, że w końcu znajdą się w muzeum, żeby mogli je badać tacy ludzie jak Risa. Częściej były przekazywane z pokolenia na pokolenie i w końcu o nich zapomniano.

Poczula nieprzyjemne burczenie w brzuchu. Próbowwała nie zwracać na nie uwagi, ale stawało się coraz głośniejsze.

Shane oderwał wzrok od katalogu aukcyjnego, który oglądał pod fluorescencyjnym światłem. Tak czy owak, wołał popatrzeć na Risę. Jakość muzealna, ale nie starożytna. Oddychająca, żywa i...

- Jesteś głodna? - zagadnął.

- Dlaczego tak myślisz? Ale fakt, że nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam coś w ustach.

- Wczoraj rzucili nam orzeszki podczas lotu z L.A.

- Wiem. Zjadłeś moje.

- Spałaś.

Nie chciała, żeby rozmowa toczyła się w tym kierunku, bo obudziła się wtedy z głową na jego ramieniu, a on wpatrywał się w nią żarłocznie. W każdym razie takie odniosła wrażenie. Nie była do końca pewna, bo na jego twarzy zaraz pojawiła się czujność.

Naprawdę będzie musiała porozmawiać z Niallem o pracy dla Rarities. Wtedy mogłaby wyrzucić Shane'a Tannahilla ze swoich myśli. Jakiś romans bardzo by jej posłużył. Jeśli chodziło o mężczyzn, w życiu Risy od dawna panowała posucha. Ale wszystkich, którzy zapraszali ją na randkę, podświadomie porównywała z Shane'em, a zestawienie zawsze wypadało na ich niekorzyść. To nie było sprawiedliwe, ale co mogła poradzić.

Kiedy w końcu zakosztowała zakazanego owocu, przekonywała się, że to nie to. Potem nie pozostawało jej nic innego, jak się otrząsnąć i żyć własnym życiem.

- Czy to zamglone spojrzenie oznacza, że zgadzasz się na moją propozycję zjedzenia owoców? - zapytał.

Przez chwilę czuła paniczny strach, że Shane potrafi czytać w jej myślach. Ale zaraz uświadomiła sobie, że tylko proponował przekąskę.

- Tak. Zdecydowanie

- Dobrze. Jeszcze trochę i przestalibyśmy się słyszeć przez to burczenie w żołądkach.

Podczas gdy Shane przekazywał szefowi kuchni zamówienie przez telefon, Risa krążyła po długim pomieszczeniu, gdzie w specjalnie skonstruowanych gablotach lśniły rozmaite wyroby ze złota. Teoretycznie ten pokój był jej królestwem, ale ostatnio Shane niepostrzeżenie się w nim zadowił. Odkąd wrócili z L.A., niemal sypiał w jej gabinecie. Stał zamyślony nad gablotami jak kura, która ma za mało kurcząt. Potem suszył Risie głowę, że nie znalazła niczego ciekawszego. Zwłaszcza w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu minut wyraźnie dawał do zrozumienia, że sprawiła mu zawód, bo nie dostarczyła prawdziwie spektakularnego eksponatu.

Jedyne pocieszenie, że żaden z pozostałych współpracowników Shane'a, oficjalnych i nieoficjalnych, nie wypadł pod tym względem lepiej od niej.

Owszem, to, co dla niego znalazła, miało wysoką jakość. Na przykład pięknie wykonany ryngraf. Nabyła go na prywatnej aukcji. Zapewne stanowił oznakę sprawowania ważnej funkcji.

Noszony na piersiach mężczyzny musiał się prezentować wspaniale, zwłaszcza jeśli był spięty z obu stron wspaniałą złotą broszą. Fakt, nie miała tych brosz, a stan ryngrafu pozostawiał wiele do życzenia. Ale wszystkie przedmioty, które już zdobyła, były niesamowite.

No i miały wspaniałe rodowód.

Szkoda tylko, że w Irlandii znajdowały się lepsze ryngrafy... Od razu pomyślała o sześciu, siedmiu wspanialszych okazach. Shane nigdy nie zadowolął się jednak drugim miejscem, a co dopiero siódmym czy ósmym. Przeważnie podziwiała i rozumiała jego ambicję. Ale czasami ta jego cecha doprowadzała ją do szału. Przez ostatnie trzy miesiące odczuwała głównie irytację.

Znowu usłyszała burczenie w swoim żołądku.

Wmawiała sobie, że to dobrze. Już i tak miała obfite kształty, które podobały się tylko w magazynach dla panów. O wiele bardziej wolałaby być wątłą chudziwą, którą wszyscy projektanci ewidentnie mieli na myśli, przygotowując kolekcje.

Bezwiednie wygładziła ciemny materiał spodni na biodrach, marząc, żeby były mniej zaokrąglone. Cóż mogła poradzić? Wkładała ubrania w spokojnych tonacjach i unikała obcisłych albo prześwitujących rzeczy. Co prawda luźne bluzki zakrywały piersi, których zazdrościły Risie inne kobiety. Ona sama oddałaby jednak ten atut bez wahania, ale tylko razem z krągłością bioder.

Cherelle zawsze szydziła z Risy, że ta wstydy się figury, za którą wiele babek, nie wyłączając Cherelle, gotowych bytoby zabić. Gdyby Risa chciała zrobić karierę jako striptizerka albo naga tancerka dla ciężko dyszących mężczyzn, ze swoją figurą świetnie by się do tego nadawała. Ale ona chciała być traktowana poważnie zarówno przez mężczyzn, jak i przez kobiety, a to oznaczało podkreślanie przymiotów umysłu, a nie ciała. Właśnie tak postępowała. I tego zamierzała się trzymać.

Najwyraźniej jej taktyka okazała się skuteczna, bo Shane chyba w ogóle nie dostrzegał kobiety w swojej kuratorce. Podejrzewała, że gustował w dziewczynach typu: wychudzone modelki.

Westchnęła.

Ten cichy odgłos zdekoncentrował Shane'a. I nic dziwnego. Kiedy Risa była w pobliżu, prawie nie odrywał od niej wzroku. Piekielnie go to irytowało. Może powinien przyjąć od Gail propozycję ostrego seksu.

Natychmiast odrzucił tę myśl. Nie miał ochoty na łózkowy maraton z Gail. Z Risą, owszem.

Ale nie mógł liczyć na coś takiego.

- A co z Jenkinsem? - zapytał lakonicznie.

Risa zamrugnęła i przestała myśleć o burczącym żołądku.

- Zrobił kolekcjonerski wypad do Irlandii.

- Dobrze. Kiedy wraca?

- To nie ma znaczenia. Pojechał za pieniądze Silverado. Cokolwiek znajdzie, ona będzie miała pierwszeństwo.

Shane zacisnął wargi. Fakt, że Gail postanowiła sobie, że sprzątnie mu sprzed nosa każdy godny uwagi celtycki wyrób ze złota, zaczynał bardzo go denerwować. Teraz, w ramach typowych dla siebie, irytujących zagrań, podkupiła jego najlepszego dostawcę celtyckich artefaktów. A świadomość, że robiła to wyłącznie, żeby drażnić Shane'a, nie pomagała mu łatwiej znosić skutków jej działań.

Przynajmniej Rarities odmówiła Gail, podając jako powód konflikt interesów z jednym z „najważniejszych” klientów. Gdyby taka firma jak Rarities działała przeciw niemu, praktycznie nie mógłby zdobywać wartościowych przedmiotów. Właśnie dlatego co roku płacił Rarities zaliczkę. Jeżeli tylko słyszeli o interesującym znalezisku ze złota, natychmiast go o tym

informowali. A ponieważ mieli kontakty na całym świecie, często mógł pierwszy przyjrzeć się wyrobom, które dopiero co pojawiały się na rynku.

Często, ale nie zawsze. Jeżeli dana osoba chciała ukryć tożsamość przed Rarities, Shane mógł dyskretnie wypłacić nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za informację prowadzącą do nabycia wyrobów ze złota o muzealnej wartości.

- Nic nowego z domów aukcyjnych? - zapytał.

- Nic.

W milczeniu wyjął z kieszeni szczerozłote pióro i zaczął obracać je między palcami. Typowa karciana sztuczka, rozgrzewająca palce przed tasowaniem. Kiedy pióro dotarło do środkowego palca Shane'a, metal szczerknął w zetknięciu ze złotym celtyckim pierścieniem, należącym kiedyś do jednego z pradziadów po kądzieli. Symbole wyryte na metalu były wyraźne, co wskazywało, że przed Shane'em przez wiele stuleci nikt nie nosił tego pierścienia.

- Pan Tarlov nadal jest zainteresowany ustaleniem szczegółów wypożyczenia jego kolekcji rzymsko-celtyckich zapinek - powiedziała Risa.

Jedyną odpowiedzią był szczerk metalu, gdy Shane szybko obracał pióro w wypielęgnowanej dłoni.

- Erik i Serena Northowie zgodzili się, żebyś wystawił ich wspaniałą złotą kartę z *Księgi Uczonych* - dodała Risa. - To będzie pierwszy publiczny pokaz tego dokumentu. Z pewnością przyciągnie tłumy, biorąc pod uwagę, że odkryciu karty towarzyszyła atmosfera tajemnicy i grozy.

Znowu rozległ się szczerk.

W gruncie rzeczy nie oczekiwała od Shane'a odpowiedzi. Chciał, żeby Tannahill Inc. była wyłącznym właścicielem eksponatów Złota Druidów. Wręcz na to nalegał, robiąc wyjątek tylko dla tej jednej strony. Zgodził się pokazać na wystawie tę mocno zafoliowaną, ozdobioną wspaniałymi ilustracjami kartę, ponieważ reprezentowała ostatnią fazę rozkwitu celtyckiej sztuki. Dla Shane'a decydującym czynnikiem było to, że nic podobnego do tej strony nie zostało dotychczas odkryte. A państwo Northowie nie chcieli sprzedać okazji za żadną cenę. Musiał więc go wypożyczyć. Takie rozwiązanie nie satysfakcjonowało Shane'a, ale było lepsze niż nic.

- Posłuchaj - zaczęła po chwili Risa, masując sobie nasadę nosa. - To, co już jest w tym pomieszczeniu, wiele muzeów bardzo chciałoby mieć w swoich gablotach.

On nadal wodził pióro między palcami. Patrzył przed siebie. Wiedziała, że wcale jej nie ignorował. Po prostu rozważał dostępne warianty z szybkością, inteligencją i pragmatyzmem, co podziwiała jeszcze bardziej niż jego smukłe, wysportowane ciało.

Kolejny raz usłyszała brzęk metalu. Potem pióro zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

Przygotowywała się psychicznie na decyzję Shane'a.

- Jeżeli będziemy musieli - mruknął - weźmiemy od Sotheby's złocony hełm z późnego wieku żelaza. Nie uważam, żeby miał dostateczną prezencję, jak to określiłaś, by pociągnąć wystawę, ale jeśli zestawisz go z inkrustowaną złotem rękojeścią żelaznego miecza, który kupiłem w zeszłym roku, te dwa eksponaty przykują uwagę tłumów na kilka chwil. Szkoda, że klinga jest tak mocno zardzewiała. Gdyby na afiszu nie było napisane, że to miecz, nikt nawet by się nie zorientował, co to takiego.

- Nie jest taki zły.

- Miecz czy hełm?

- Miecz.

- Każdy znawca celtyckich wyrobów doceni wartość tego eksponatu. Ale zwykły gość z ulicy tylko zmarszczy brwi i wzruszy ramionami. Zgadnij, jaka jest proporcja naukowców do zwykłych gości w Vegas.

Risa nawet się nie siliła na zgadywanki. Ale rozumiała, dlaczego Shane myśli z niechęcią o wystawianiu niezdarnie wykonanego hełmu, powleczonego cienką warstwą złota. Wiedziała, że zestawienie hełmu z mieczem z epoki króla Artura wywrze większy wpływ, niż gdyby pokazywano te przedmioty oddzielnie.

- Jeśli odpowiednio wyeksponujemy hełm - powiedziała - będzie się wydawał przede wszystkim groźny, a nie prymitywnie wykonany.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Prymitywnie wykonany - powtórzył. - Urocze. Dopilnuj, żeby ten opis pojawił się w katalogu. Ludzie będą się ustawiali w kolejkach, byle tylko mogli rzucić okiem na takie чудо.

Risa poczuła, że ma wypieki na policzkach.

- Znam się na tym, co robię, panie Tannahill.

- Shane.

- To twój dobry bliźniak. W tej chwili rozmawiam z tym złym.

Roześmiał się. Ze wszystkich, których zatrudniał, tylko ona się z nim nie patyczkowała. To była jedna z jej wielu pociągających, a jednocześnie irytujących cech.

- Zakładając, że zapłacimy więcej, niż ten hełm jest wart...

- Przecież to aukcja, prawda? - przerwała mu ironicznie.

- ...i w końcu staniemy się jego właścicielami, jak byś go wyeksponowała, żeby osiągnąć maksymalny efekt?

- Na tobie. Zamrugał.

- Co? Słucham?

- Przynajmniej w katalogu. Nie oczekuję, że będziesz stał w lobby półnagi, w pozłacanym hełmie, a grupy turystek będą się ślinić na twój widok.

- Półnagi? Cóż za rozczarowanie. Myślałem, że celtyccy wojownicy mieli na sobie tylko błękitną farbę podczas bitwy.

- Tylko nieliczni szli nadzy. Prawdopodobnie najwyżsi rangą wojownicy. Niektórzy sądzą, że pomalowani na niebiesko Celtowie byli druidami, ale większość uważa, że druidzi stanowili elitę intelektualną, a nie wojenną.

- Samurajowie byli jednym i drugim.

- Trafna uwaga. Nie będę stała na przeszkodzie, jeśli zechcesz wetrzeć wapno we włosy, rozebrać się do rosołu i pomalować na niebiesko...

- Nie - przerwał jej szybko. - Nie zrobię tego nawet na okładkę katalogu.

- Ojej, jaka szkoda - odparła przeciągle. - To byłaby prawdziwa sensacja: włosy sterczałyby ci jak u jeżowca albinosa, miałbyś na całym swoim cudownym ciele błękitną wysypkę, a swoje rodowe klejnoty zakrywałbyś pozłacanym hełmem.

Shane kręcił głową, usiłując nie chichotać. Bezskutecznie. Myśl, że mógłby zakrywać krocze hełmem i mieć niebieską wysypkę, była równie niedorzeczna jak samo pozowanie nago.

To również lubił w Risie. Potrafiła go rozśmieszyć.

- A poważnie... - Przechyliła głowę na bok i obserwowała go uważnie. Jesteś owłosiony na klatce piersiowej?

- Co?

- Czy jesteś...

- Tak - przerwał jej. - A ty?

Zignorowała jego pytanie.

- Dobrze. Ujęcie górnej części ciała. - Pokazała jego mostek. - Elegancko inkrustowana rękojeść miecza umieszczona diagonalnie na twojej włochatej piersi, złoty hełm podkreślający kamienne, zielone oczy i ciemny zarost... o tak. Dzięki temu kobiety ścieliłyby się potrójną war-

stwą wokół parkingu.

- Zaczynam się czuć jak kawał miecha.

- Teraz wiesz, co czuje hostessa.

- Nigdy nie tykałem takich dziewcząt, więc muszę ci uwierzyć na słowo.

Shane był znany z tego, że trzymał ręce z dala od obsługi, więc Risa tylko uśmiechnęła się dyskretnie i mówiła dalej.

- Oczywiście, celtyccy wojownicy przeważnie nosili wąsy, które opadały im na kąciki ust i spływały po podbródku. Ale - dodała - zawsze moglibyśmy znaleźć kudłatego psa i...

Zadzwoił telefon Risy, więc Shane nie musiał już wysłuchiwać jej prowokacyjnych żartów. Zafascynowany patrzył, jak rozmawiała: zawsze poruszała się swobodnie, trochę leniwie. Musiał to być wpływ jej dorastania na południu; słyszał go też w głosie Risy, kiedy się z kimś droczyła.

- W czym mogę pomóc?- spytała.

Zauważył, że wyraz jej twarzy się zmienia: doświadczała rozmaitych emocji tak szybko, że nie umiał ich odczytać. A potem pojawiała się zimna maska profesjonalizmu.

- Hej, miło, że dzwonicz. Ja też chciałabym z tobą pogadać, ale teraz jestem w pracy. Oddzwonię później, dobrze? - Risa odwróciła się plecami do Shane'a. - Lunch? Jasne. - Zerknęła na zegar. - Za godzinę. Bar jazzowy przy lobby.

Risa ostrożnie odłożyła słuchawkę. Zanim odwróciła się z powrotem do Shane'a, postarała się przybrać obojętną minę. Telefony od Cherelle zawsze budziły w niej mieszane uczucia. Spędziły ze sobą wiele lat i miały mnóstwo wspólnych wspomnień. Risa nie była pewna, czy przetrwałaby dzieciństwo bez Cherelle.

A mimo to wyrosły na zupełnie inne osoby.

Miłość i poczucie winy, których Risa doświadczała w związku z Cherelle, sprawiały, że tęskniła za ich dziecięcym śmiechem, za czymś, co już nigdy nie miało wrócić.

- Klient? - zagadnął spokojnie Shane, ale mierzył ją czujnym wzrokiem.

Instynktownie czuł, że za godzinę jego kuratorka nie będzie się zajmowała interesami kasyna. Tłumaczył sobie, że nie powinna go martwić myśl, iż Risa umówiła się z kimś na lunch. Przecież sam zachęcał ją do aktywności w branży prywatnej wyceny, choćby po to, żeby mieć orientację w nowościach na rynku starego złota.

A jednak jej reakcja na ten telefon obudziła w nim niepokój.

Risa coś ukrywała.

Przed nim.

- Nie, nie klient. - Otworzyła jedną z siedmiu ksiąg aukcyjnych. - Patrzyłeś na figurkę w kwadracie 18B? Co prawda jest tylko pozłacana, ale bardzo wytworna.

Shane posłusznie spojrział na statuetkę.

Ale tak naprawdę myślał tylko o chwili, kiedy będzie sam oglądał materiał z kamery, rejestrującej obraz z baru jazzowego tuż przy lobby Złotego Runa.

Rozdział 14

Las Vegas

2 listopada, południe

- Mówiłeś, że zaczekasz na Cherelle...

Socks nie pozwolił Timowi dokończyć zdania. - Gównu mówiłem. Tylko ty gadałeś.

Trzymając cały czas nogę na gazie, Socks gwałtownie wjechał na skrzyżowanie w momencie,

gdy światło zmieniło się na czerwone. Po obu stronach zaczęły trąbić klaksony. Socks wystawił za okno środkowy palec.

- Nie powinienes przejeżdżać na czerwonym, kiedy mamy crack w samochodzie - oburzył się Tim. - Nie marzy mi się powrót do mamra.

- A ty kto jesteś? Moja stara? Tylko gędzisz i gędzisz. Nic innego nie umiesz robić. Poza tym towaru jest tyle, co kot napłakał. Wypaliliśmy prawie wszystko godzinę temu, pamiętasz?

Przy następnym skrzyżowaniu znowu włączyło się czerwone światło. Socks zastanawiał się, czy też nie śmignąć, choćby po to, żeby usłyszeć skrzeczenie Tima, ale z prawej wjeżdżała właśnie furgonetka wypełniona budweiserem. Tutejsi powiesiliby go, gdyby nie dostali browaru.

Tim wyjrzał przez okno i pożałował, że nie zażył więcej koki. To była najgorsza dzielnica Los Angeles: w rynsztokach wały się śmieci, a żelazne kraty zabezpieczały okna i drzwi.

- Nie ma jak w domu - mruknął z goryczą.

Socks czuł się całkiem dobrze na tych brudnych ulicach. Tutaj człowiek miał proste zadanie: rób innym to, czego oni nie zdążą zrobić tobie. Socks wychowywał się niedaleko stąd.

Tim również pochodził z tych stron, ale nie podobało mu się tu tak jak Socksowi. Różnica wieku pięciu lat sprawiła, że poznali się dopiero w więziennej celi. Tim trafił za kratki za karciane oszustwa i posuwanie piętnastolatka. Socksa wsadzili za to, że obrabował całodobowy sklep. Obaj narzekali, że są pechowcami, bo przyłapano ich na czymś, co robili wszyscy inni.

Po drugiej stronie jakaś dziwka wypatrzyła jaskrawofioletowy samochód. Miała na sobie bardzo kusą skórzaną spódniczkę, buty na monstualnych koturnach i obcisłą bluzkę do pępka, która była kiedyś biała. Mocno kołysząc biodrami, przeszła ulicę, pochyliła się i wsadziła głowę przez otwarte okno od strony kierowcy.

Socks przyjrzał się jej walorom i podziękował. Wyglądała na pięćdziesiąt lat, a miała pewnie najwyżej dwadzieścia pięć. Zauważył ślady po igłach na brudnych palcach u nóg i puste spojrzenie. To nie było dla niego wielkim problemem; po prostu nie czuł się dostatecznie napalony, żeby brać ćpunkę. Na pewno nie po tym, jak widział ocierającą się o Tima Cherelle. Może Socks nie był tak przystojny jak jego przyjaciel, ale wiedział, że nie ustępuje mu ani trochę pod względem wyposażenia.

Porównywanie się ze współtowarzyszami - o tak, w więzieniu robiło się to bardzo często.

Światło zmieniło się na zielone. Socks zjechał z głównej ulicy. Minął kilka przecznic i skręcił pod dwa wypłowieale od słońca bungalowy, ze szczególnie zasłoniętymi oknami. Każdy z tych domków miał ganek od frontu, z markizą. Przed bungalowem po lewej siedział starszy mężczyzna na wózku inwalidzkim, a u jego stóp leżał pies.

Odkąd Tim sięgał pamięcią, pan Parsons zawsze tkwił w tym miejscu ze swoim kudłatym kumplem. Tak samo było z chwastami i kurzem. Po prostu stanowiły nieodłączny element tej okolicy.

Dwa malutkie domy stały stłoczone między dwupiętrowym apartamentowcem, pamiętającym stare dobre czasy, i jednopoziomowym, skromnym centrum handlowym, które nadal funkcjonowało, pewnie tylko dzięki stoisku z alkoholem.

Dwaj mężczyźni w średnim wieku siedzieli na parkingu apartamentowca i pili z butelek owiniętych w brązowy papier. Chuda, nerwowa staruszka schodziła z drugiego piętra z kundlem na smyczy. Ominęła pijących tak szerokim łukiem, jakby uważała, że alkoholizmem można się zarazić.

Tim popatrzył na nieogolonych facetów i pomyślał, że przynajmniej jego ojciec nie zalicza się do meneli. Nie miał okazji przypatrzeć mu się z bliska, ale wiedział, kim jest jego ojciec. W przeciwieństwie do Socksa. Jedyna rodzina, o jakiej Socks wspominał, składała się z nędznych wyrzutków, którzy pracowali dla mafii jeszcze w czasach, kiedy odgrywała duże znaczenie w

Vegas.

- Daj mi swój towar - powiedział Socks, wyciągając paczkę fajek z rękawa T-shirta. Zapalił ostatniego pomiętego papierosa, wyrzucił opakowanie przez okno i wydmuchnął dym na tablicę rozdzielczą. - Spotkamy się tutaj, kiedy pogadam z paserem.

- Zatrzymam swój towar, aż zobaczę, ile dostaniesz za swój.

- Ale z ciebie cipa. Zwyczajna cipa - burknął Socks coś z obrzydzeniem.

- Pieprzę cię.

- Akurat. To ty byłeś królową więziennego bloku.

Tim chwycił papierosa i szybko się nim zaciągnął. Papieros, choć dość mocny, smakował równie okropnie, jak wyglądał. Tim nie był uzależniony od nikotyny tak bardzo jak Socks, ale od czasu do czasu lubił zapalić. Wciągał dym głęboko, a potem oddał papierosa Socksowi.

- Cherelle ma więcej rozumu niż my dwaj razem wzięci - stwierdził, wypuszczając duże kłęby dymu. - Na twoim miejscu czekałbym, żeby dostać więcej pieniędzy.

- Ale nie jesteś mną.

Tim wzruszył ramionami.

- Dlaczego pozwoliłeś, żeby przechowywała część twojego towaru? - zapytał Socks jęczącym głosem. - Było tego trzy skrzynki, a ja mam tylko dwie gówniane sztuki.

- Ona ma dość brania groszy od twoich paserów za towar warty tysiące. - To nie była do końca prawda, ale co tam. Gdyby Cherelle wiedziała o wszystkich bajeranckich sprzętach elektronicznych, które ukradli razem z Socksem, a potem dostali nędzne pieniądze, na pewno wrzeszczałyby wniebogłosy.

- Cena robienia interesów - stwierdził Socks. I oczywiście jeszcze porządny udział dla niego. Czego Tim nie wiedział, nie mogło mu zaszkodzić. Socks był bankrutem, a pieniądze, których się spodziewał za złoto, pewnie nie poprawiłyby jego sytuacji finansowej na długo. - Daj mi to, co masz w plecaku.

Tim poruszył się niespokojnie, jakby nagle bagaż na jego kolanach zrobił się bardzo ciężki. Sięgnął do klamki.

- Hej, koleś! - Socks chwycił Tima za ramię. - Jedna, najwyżej dwie sztuki, dobrze? Nie mam szmalu, a nawet najbardziej syfiasty pokój kosztuje tu pięćdziesiąt dolców. Chcę jakiejś ładnej kobiety, pięć działek białego proszku, butelkę bourbona, jeszcze stek i deser podany przez kelnera z klasą, pojmujesz? Żyjemy jak bity z nędzą przewalające burgery. Trzeba trochę poszaleć.

Tim pomyślał, co powiedziałyby Cherelle. Ale to kwestia przyszłości; może uda mu się ją udobruchać. Socks był tu i teraz, a Tim nie znosił walki.

- Niech to cholera! - Tim wyciągnął z plecaka dwie wypchane skarpety. Nie wiedział, które okazy podaje kumplowi. I wcale go to nie obchodziło. Miał tego sporo, więc mógł zamknąć usta Socksowi. - Nie waż się przynieść mniej niż czterysta dolarów.

- Czterysta! Pogięło cię?

- Czterysta. Słyszysz, co mówię?

- Tak, tak, tak. - Socks niespecjalnie się przejął żądaniem kumpla.

- Mówię serio. - Z plecakiem w ręku Tim wygramolił się z samochodu. Potem wyjął swoją torbę z tylnego siedzenia. - Cherelle myśli, że załapaliśmy się na dużą rzecz. Nie chcę niczego zepsuć. Ta kobieta ma wredny język.

Socks podniósł ręce i uśmiechnął się współczująco.

- Wiem, co masz na myśli, chłopie.

- I przynieś z powrotem moje skarpety - dorzucił Tim, wyprostowując się. - Nawet jeśli będą bardzo brudne, pralka mojej mamy na pewno sobie z nimi poradzi.

- A co ja miałbym robić z twoimi skarpetkami, do diabła?

Tim wybuchnął śmiechem. Socks zawdzięczał swoją ksywkę temu, że nigdy nie nosił skarpetek. Tim nigdy nie poznał jego prawdziwego nazwiska. Dla takich ludzi jak Socks liczył się tylko uliczny pseudonim.

- Kiedy będziesz miał gotówkę? zapytał Tim.

- Zadzwońię do twojej matki.

Tim spodziewał się takiej odpowiedzi. Pomachał i ruszył do frontowych drzwi zaniedbanego bungalowu.

Socks obserwował go przez chwilę. Zanim pojawiła się Cherelle, Tim był wyluzowanym, mało wymagającym facetem. Potem zaczął się zmieniać. Ale teraz... teraz Socks był w znacznie gorszym położeniu w tym trójkącie. Tim wykonywał rozkazy tej suki i ignorował kumpla, którego kiedyś słuchał. Wiecznie kłócili się ze sobą jak stare małżeństwo.

Najbardziej niepokoiło Socksa wrażenie, że w tej walce stoi na przegranej pozycji.

Rozdział 15

Las Vegas

2 listopada, 12.30

Cherelle przez dłuższy czas wpatrywała się w symbol Złotego Runa zawieszony w zbiorniku wypełnionym wodą. Tłumy ludzi kłębiły się wokół niej, szepcząc i cmokając z zachwytem na widok runa, a ona marzyła tylko o tym, żeby rozbić ten zbiornik i tarzać się w błyszczącym pyłe, aż cała będzie ze szczerego złota. Fajnie byłoby mieć złote oczy, a nie tak powszechne, jasnoniebieskie.

- Hej, Max, spójrz! W sylwestra urządzają wielki pokaz złota. Musimy tu wrócić.

Cherelle zimnym wzrokiem zmierzyła kilka osób w średnim wieku, bo przerwali jej fantazję. Potem zauważyła ulotkę, którą kobieta machała przed nosem męża. Na kolorowych zdjęciach hipnotycznie połyskiwało złoto.

- Gdzie pani to dostała? - zapytała.

Turystka pokazała jej uchwyty wokół dużego kwadratowego piedestału, który podpierał zbiornik.

Cherelle przepchnęła się do tego miejsca, złapała ulotkę i zaczęła ją gorączkowo czytać. Potem znowu popatrzyła na zdjęcia. Złote przedmioty nie wyglądały dokładnie tak jak te, które przywiozła, ale były trochę podobne.

Na dole kartki, obok stylowej fotografii, widniał napis: „Dr Risa Sheridan, kurator”.

Cherelle wepchnęła ulotkę do torebki i przygryzła wargi. Powinna zmienić strój na bardziej wyszukany. Ale nie miała nic czystego, a nie chciała siedzieć z uliczną, biedną zgrają w pralni przy motelu i patrzeć, jak jej ciuchy robią salto w suszarce. Miała na to zbyt wiele klasy.

A co tam. Nie ona jedna w Złotym Runie miała na sobie dzinsy i sandały na obcasach.

Rzuciła jeszcze jedno tęskne spojrzenie na połyskującą owczą skórę i wolno ruszyła do baru Róg Gabriela. Lokal wyglądał jak błyszczący palec w kasynie okalającym lobby. Risa wolała nie spotkać się ze swoją dawną przyjaciółką na terenie Złotego Runa, ale Cherelle naciskała, bo z kolei nie chciała, żeby Risa zobaczyła ją w nędznym motelu. Zawsze starała się sprawiać wrażenie, że świetnie sobie radzi, lepiej niż Risa. Jeszcze kilka lat temu nie byłoby to zbyt dalekie od prawdy.

Ale niedługo stanie się prawdą. Do diabła, zdobędzie markowe ciuchy jak jej dawna przyjaciółka, i jeszcze seksowną bieliznę, i wygodne buty. Potem wypali z Tomem furę cracku i

będą się pieprzyć do upadłego.

Gdy tylko Cherelle usiadła przy barze, zjawił się barman. Machnęła ręką, żeby sobie poszedł. Nie miała pięciu dolarów na szklankę wody mineralnej. Dobrze ubrana prostytutka siedząca kilka miejsc dalej obrzuciła ją nieprzyjemnym spojrzeniem. Cherelle lekko pokręciła głową na znak, że kobieta nie musi się niczego obawiać. Cherelle nie zamierzała konkurować z nią o napalonych facetów.

- Na pewno niczego pani nie chce? - zagadnął barman, zerkając na nią znacząco.

- Byłoby miło, złotko. - Pochyliła się, żeby dobrze się przyjrzał temu, czego nie dostanie. - Ale nie jestem z branży. Czekam tu na przyjaciółkę.

- Jeśli zmieni pani zdanie, proszę pytać o Chudego Johna. Spojrzała na barmana: wysoki, szczupły, po czterdziestce. Bardziej przypominał nauczyciela niż barmana.

- No cóż, na pewno jesteś do rzeczy, to fakt.

Mrugnął do niej i podszedł do mężczyzny, który właśnie zajął miejsce przy barze.

Cherelle zastanawiała się, która godzina. Jej zegarek nie chodził, a w pobliżu nie zauważyła żadnego zegara. Zobaczyła Risę. Przyjaciółka szła przez lobby w stronę Rogu Gabriela. Miała na sobie miękkie szare spodnie, marynarkę, bluzkę w żywym odcieniu błękitu - ubiór, który dobitnie świadczył o jej klasie i zamożności. Na jej szyi połyskiwał srebrny łańcuszek z kartą identyfikacyjną. Zanim opuściła lobby, podbiegł do niej boy hotelowy. Zawróciła do recepcji, gdzie ktoś natychmiast podał jej słuchawkę.

Obserwując, jak ludzie krzątają się wokół jej przyjaciółki z dzieciństwa, Cherelle zrozumiała, że Risa jest w tym wytwornym kasynie dobrze znaną i bardzo ważną osobą. W dodatku wyglądała tak dobrze, że Cherelle czuła gorycz w ustach.

To dlatego od kilku lat nie odwiedzała Risy. Nie znosiła uczucia zazdrości w stosunku do wielkookiej, zbuntowanej sieroty, która wyrosła na piękną i wpływową kobietę.

Beze mnie nie dałaby rady tego osiągnąć, przypomniała sobie Cherelle z goryczą. Teraz ona ma wszystko, a ja nic.

Jest mi coś winna.

Rozdział 16

Las Vegas, 2 listopada, 12.30

Niebieskie oczy Mirandy Seton wydawały się zgaszone jak jej marzenia. Oprócz alkoholu miała w życiu tylko jedno źródło przyjemności: człowieka, który przed chwilą stanął w jej garażu z pustym żołądkiem i torbą pełną brudnych ciuchów. Wkładając ubrania do wiekowej pralki, raz po raz przytulała syna.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, Timmy! Powinieneś zadzwonić. Usmażyłabym kotlety i upiekła twoje ulubione ciasteczka.

Tim poklepał matkę po chudym ramieniu i pocałował ją we włosy. Była drobna i bardzo się postarzała. Nawet zwinięty w kłębek na kuchennej ladzie syjamski kot sprawiał wrażenie pechowej istoty.

- Mamo, nie powinnaś pozwalać, żeby ten złośliwy drań tak cię traktował - powiedział ze złością.

Jej wargi zadrżały, na moment zastygły w uśmiechu. W jej szeroko rozstawionych, dziecinnych oczach stanęły łzy. Miała na koncie dużo pieniędzy przekazanych przez ojca Tima,

ale czekała z ich wypłaceniem, aż syn dorośnie i będzie mógł zająć się obojgiem.

Zdawała sobie sprawę, że to może być długie czekanie. Ale teraz nie miało to znaczenia. Jej piękny chłopiec wrócił do domu.

- Nie mów tak o swoim tacie - wymamrotała. - Jestem tu szczęśliwa, a on dał mi najlepszą rzecz w życiu. Ciebie.

Tim nie czuł już złości. Zresztą nigdy nie potrafił gniewać się zbyt długo. Kiedyś zameczał matkę tak uparcie, że w końcu wyjawiała imię jego ojca. Ale przez następne cztery dni piła, płakała i ciągle prosiła, żeby obiecał, że nigdy, przenigdy nie skontaktuje się ze swoim tatą.

Kiedyś może i kochała tego mężczyznę, ale zawsze budził w niej przerażenie.

Kiedy Tim dowiedział się więcej o swoim ojcu, zrozumiał, dlaczego matka nie chciała za bardzo podskakiwać. Nie biorąc pod uwagę publicznego wizerunku tego faceta, był tylko podłym, cynicznym sukinsynem, przed którym matka rozstawiła nogi.

- Ach, nie zaczynaj. - Tim przytulił Mirandę. - Jak tylko Socks odda to, co jest mi winien, pójdziemy na obiad do twojej ulubionej restauracji. Co ty na to?

Chociaż natychmiast powiedziała: „Nie marnuj na mnie pieniędzy”, znowu zaczęła się uśmiechać.

Kiedy torba z ciuchami została opróżniona, Miranda otworzyła plecak Tima - tam też wsadzał swoje brudne rzeczy. Nagle jej palce natknęły się na coś twardego, zawiniętego w materiał. Chwyliła przedmiot i położyła pod światło gołej żarówki tuż nad pralką.

- A to co takiego? Nosisz jakąś broń? - Miranda najbardziej bała się, że Tim znowu wyląduje w więzieniu. Za pierwszym razem ojciec Tima strasznie ją zaatakował, że pozwoliła, aby jego syn tak nisko upadł. Jednak nie zagroził, że przestanie płacić pieniądze.

Być może płacił, bo obawiał się zemsty ze strony syna. Albo dlatego, że nie miał innych dzieci. Nie należał do ludzi szczególnie czułych lub kochających, ale na pewno lubił posiadać, nawet syna, którym nie mógł się pochwalić.

Tim złapał skarpetę, zanim matka zdążyła wytrząsnąć z niej statuetkę.

- To jakiś syf, który Cherelle zabrała od przyjaciela. Idź, usmaż mi jajecznicę, a ja wsadzę resztę ciuchów do pralki.

Miranda zawahała się, niepewnie przyglądała włosy i szczerzej owinęła się wypłowiałą różową podomką. Gdyby wiedziała, że syn ją odwiedzi, włożyłaby coś ładniejszego. Albo przynajmniej nie chodziłaby w piżamie.

- Jesteś pewien? - zagadnęła. - Wiesz, ile trzeba nasypać proszku?

- Mamo, skończyłem już trzydziestkę. Umiem uprać kilka ciuchów. - Tyle tylko, że tego nie lubił. Ale przeważnie potrafił zbajerować Cherelle miłymi słówkami, żeby za niego wyprała albo posprzątała.

- Ta twoja leniwa dziewczucha zmusza cię, żebyś sam sobie prał, co? - W głosie Mirandy brzmiała nuta irytacji i triumfu: żadna kobieta nie traktowała jej syna tak dobrze jak ona sama. - Ty harujesz na dwóch etatach, żeby było co do garnka włożyć, a ona tylko leży, obżera się czekoladą i gapi na seriale.

Tim puścił tę uwagę mimo uszu.

- Ha - burknęła. - Powinieneś ją wykopać na ulicę i znaleźć sobie kobietę, która potrafi zadbać o mężczyznę.

- Takie kobiety już się nie rodzą, mamo.

- Ha.

Miranda z uśmiechem pognęła do domu, przepędziła kota z lady i zaczęła gotować dla swojego chłopca.

Rozdział 17

Las Vegas, 2 listopada, 13.00

Risa odwiesiła słuchawkę, zaklęła pod nosem i szybko ruszyła do Rogu Gabriela, żeby znowu ktoś z nieodpowiednimi wyrobami ze złota jej nie przeszkodził. Nie chciała, żeby Cherelle musiała czekać. Byłoby to niegrzeczne, a poza tym dałoby Cherelle szansę zrobienia tego, co wychodziło jej najlepiej - przyciągnięcia uwagi.

Risa miała nadzieję, że przyjaciółka będzie wyglądała dobrze, nie tak jak podczas ich ostatniego spotkania. Wtedy, na widok zabiedzonych twarzy Cherelle, Risie ścisnęło się gardło. Zastanawiała się, czy Cherelle kiedykolwiek skojarzyła, że to przyjaciółka z dzieciństwa postawiła jej tamtego dnia lunch i wrzuciła do samochodu pięć dwudziestodolarowych banknotów.

Nawet jeśli Cherelle na to wpadła, nigdy potem o tym nie wspominała.

- Hej, malutka. - Cherelle uśmiechnęła się od ucha do ucha na widok Risy. - Jak się masz?

Risa uściskała Cherelle i cofnęła się o krok.

- Wszystko dobrze, dużutka. Hej, wyglądasz... - Na zmęczoną, zgorzkniałą, złą, pomyślała, ale dokończyła: - Dokładnie tak jak ostatnim razem, a to było cztery lata temu. Jaki jest twój sekret? Kobiety po trzydziestce powinny wyglądać na swoje lata.

- No cóż... - Cherelle wygładziła niewidoczne fałdy na obcisłych dżinsach i mrugnęła do mężczyzny, który śledził wzrokiem ruchy jej rąk. - Dieta seksualna dobrze na mnie działa.

Risa na moment przestała się uśmiechać. Cherelle nigdy nie robiła tajemnicy ze swoich licznych przygód miłosnych. Wręcz przeciwnie. Zupełnie jakby naprawdę wierzyła, że każdy facet, jakiego miała, dodawał jej uroku. Kiedy były młodsze, nie odgrywało to aż tak dużego znaczenia. No, ale to było dawno temu, wielu mężczyzn temu.

Risa chciała, żeby choć jeden z nich uczynił Cherelle szczęśliwą.

- Muszę spróbować tej diety - odparła pogodnym tonem. Wzięła Cherelle pod ramię. - Chodź do mojego biura. Zamówiłam dla nas lunch, ale muszę odbyć kilka rozmów. Chcesz coś z baru?

Cherelle się zawahała.

- Ja stawiam - powiedziała Risa, dając znak barmanowi. Jeśli portfel Cherelle był w takim samym opłakanym stanie, jak jej ciuchy, nie miała pieniędzy na jedzenie i picie w luksusowych restauracjach.

- Dla mnie cosmopolitan. Duży, podwójny - zwróciła się Cherelle do Chudego Johna. Kiedy zaczynała popijać w barach, cosmopolitan był najbardziej wytwornym drinkiem. Zdawała sobie sprawę, że młodzi i piękni pijają teraz coś innego, ale nie orientowała się, jaki to może być trunk.

Barman skinął głową i popatrzył na Risę.

- A dla pani?

- Jest pan nowy, prawda?

- Tak, przyjęto mnie w tym tygodniu. Uśmiechnęła się.

- Witam na pokładzie. Nazywam się Risa Sheridan, jestem kuratorką Shane'a Tannahilla. Proszę odesłać zamówienie do mojego gabinetu. Sally wie, jak tam dojść. - Wskazała kobietę ubraną w kostium beatnika z lat pięćdziesiątych, która rozmawiała z klientem.

- A ty zamówiłaś sobie coś do picia? - zapytała Cherelle. A może trzymasz gdzieś butelkę?

- Ostatnio mało sypiam. Gdybym wypila alkohol, zaryłabym twarzą w talerz z sałatą.

- Och, malutka, co się z tobą dzieje? Dawniej dotrzymywałaś mi towarzystwa.

- Miałaś rację. Od edukacji zgnił mi mózg.

Cherelle zachichotała szyderczo.

- Anie mówiłam.

- O tak. - I to wiele razy. „Daj sobie spokój z tymi bzdetami dla kujonów. Twoja mała mama nauczy cię wszystkiego, czego będziesz potrzebowała”.

Ta edukacja trwała jakiś czas.

Ale kiedy Cherelle skończyła szesnaście lat i wyjechała z miasta z handlarzem narkotyków, Risa odkryła, że uwielbia książki, zwłaszcza te, które opisywały świat poza Johnson Creek w stanie Arkansas.

Szesnastoletnia Risa miała ogromne szkolne zaległości. Nadrobiła wszystko w rok, dzięki swojej inteligencji, samodyscyplinie i pełnej poświęcenia nauczycielce, która nie miała rodziny. Umiejętności pedagogiczne pani Stinton, jej wiara i słowa zachęty, a także czternastogodzinne dni nauki i rady dotyczące sposobu ubierania się i robienia makijażu sprawiły, że Risa przeistoczyła się z zapatrzonej w Cherelle łobuzicy w utalentowaną studentkę, prowadzącą samotniczy tryb życia.

Ta zmiana stworzyła przepaść między Risą i jedyną osobą, która naprawdę się o nią troszczyła w dzieciństwie: Cherelle Faulkner.

Tyle wspólnych wspomnień...

Risa i Cherelle były jak siostry. Cherelle nauczyła Risę jeździć na rowerze, malować usta i oczy. Powiedziała jej, skąd się biorą dzieci, i jak zadbać o to, żeby nie zajść w ciążę. Parodiowała snobów tak fantastycznie, że Risa niemal sikala ze śmiechu i przestała się przejmować tym, że nazywano ją białą biedotą, bo ubierała się w ciucholandach, miała dziurawe tenisówki i korzystała z darmowych jadłodajni.

Cherelle nauczyła ją też wagarowania, fałszowania usprawiedliwień i podprowadzania towarów z całodobowych sklepów przy autostradzie.

I to właśnie Cherelle odciągnęła od piętnastoletniej Risy jakiegoś studenta, a potem kopnęła chłopaka w najczulsze miejsce, wrzeszcząc, że jej przyjaciółka nie jest dziwką.

Wkrótce po tej smutnej nocy Cherelle opuściła miasto z jednym ze swoich facetów. Risa płakała, jakby straciła całą swoją rodzinę.

Bo właściwie tak było.

Jej przybrana matka zmarła, zanim Risa skończyła sześć lat. Mężczyzna, którego nazywała „tata”, nawet nie chciał mieć dziecka. Risa pojechała do ciotki. Sara Lisa potrzebowała zasiłków, więc przyjęła siostrzenicę. Nie żeby była niedobrą opiekunką. Nie biła Risy i nie odmawiała jej posiłków. Po prostu w tygodniu ciągle pracowała, a w weekendy dużo piła.

Potem zastępczy rodzice Cherelle wprowadzili się do przyczepy obok przyczepy Risy. W ciągu kilku tygodni Risa z dziewięcioletniej samotnicy stała się cieniem Cherelle. Razem dziewczynki podbijały świat chichotem i długimi nogami, dzięki którym w razie kłopotów mogły uciekać, gdzie pieprz rośnie. Przynajmniej do czasu.

Risa w milczeniu poprowadziła Cherelle do mało widocznych drzwi z napisem: „Tylko dla personelu”. Wystukała kod i drzwi się rozsunęły.

- Proszę bardzo - zaprosiła przyjaciółkę do środka.

Drzwi zamknęły się za nimi. Risa i Cherelle znalazły się w zwykłym korytarzu. Po obu stronach znajdowały się rzędy wind. W zestawieniu z bogatym wystrojem wewnątrz i pogodnym zgłębkiem kasyna, pomieszczenie wręcz szokowało ciszą i zwyczajnością.

Risa wepchnęła plastikową kartę do szczeliny obok wind. Kiedy weszły do kabiny, włożyła kartę do otworu obok klawiatury numerycznej i wystukała kod swojego gabinetu. Winda ruszyła.

Nigdzie nie wyświetlały się numery mijanych pięter.

- O rany, malutka. Pracujesz w pokoju z pieniędzmi, czy co? - zagadnęła Cherule.

- Słucham?

- Tyle kart, kodów i innych bzdetów. Nawet piętra nie są numerowane.

- Ach, o to chodzi. Przedmioty, przy których pracuję, mają sporą wartość.

- Tak? Musisz mi je pokazać.

- Jasne. Będziemy jadły wśród nich lunch. Właśnie przygotowuję pokaz dla swojego szefa.

Cherule niemal nie zamruczała z rozkoszy. Od dłuższego czasu zastanawiała się, jak poruszyć temat złotych wyrobów, zanim wyłoży je na stół.

- Taki jak ten w ulotce?

- Ulotce?

- Pełno ich wokół owczej skóry na dole.

- A, zapomniałam. Właściwie to chciałabym o nich zapomnieć. Szef ciągle mnie dręczy, bo nie znalazłam niczego naprawdę wyjątkowego na ten pokaz. W tej ulotce jest tylko wybór złotych przedmiotów, które kiedyś już prezentowaliśmy plus kilka zapowiedzi wspaniałej wystawy Złota Druidów.

- Złota Druidów? A co to takiego?

Risa zastanawiała się przez chwilę, jak to wytłumaczyć Cherule, żeby nie dać jej do zrozumienia, że jest niewykształcona.

- Pamiętasz, jak w szkole uczyliśmy się o Anglii?

- Malutka, ja nigdy niczego się nie uczyłam. Nauka była dla przygłupów.

- A Stonehenge? Mówi ci coś ta nazwa?

- Chodzi o wielki kamienny krąg, wokół którego tańczą ludzie owinięci w prześcieradła i udają, że są czarownicami?

Risa wybuchnęła śmiechem.

- Mniej więcej. - Fakt, że Stonehenge powstało na długo przed pojawieniem się druidów, był bez znaczenia. Dobrze, że Cherule miała jakikolwiek punkt odniesienia. - Kiedy zniknęli ci, którzy zbudowali Stonehenge, pojawili się Celtowie. Wcześniej, na długo przed narodzinami Chrystusa, zamieszkiwali Europę, potem, ze trzy tysiące lat temu, dotarli na Wyspy Brytyjskie.

- Tak? - Cherule przetrząsała swój podniszczony plecak w poszukiwaniu gumy do żucia. Miała w ustach smak, od którego zwymiotowałby nawet robak. Wiedziała, że drink jej pomoże, ale musiała trochę poczekać.

- Celtowie byli mistrzami obróbki metalu - mówiła dalej Risa, kiedy winda zaczęła zwalniać. - Niektórzy uczeni uważają nawet, że Celtowie nauczyli Greków, jak obrabiać złoto. Inni oczywiście podnoszą krzyk na samą sugestię, że ktoś mógłby nauczyć czegośkolwiek Greków.

Cherule odwinęła paperek z gumy do żucia.

- Przepraszam, mała mam - mruknęła Risa. - Zapominam, że nie wszyscy lubią to samo, co ja.

Ta uwaga jeszcze bardziej pogłębiła przepaść, która dzieliła przyjaciółki z lat dziecińczych.

Winda się zatrzymała. Wyszły na korytarz - równie cichy jak poprzedni, ale nie tak skromny. Z jednej strony były drewniane panele, z drugiej dzieła sztuki w ramach, a na podłodze leżał gruby, kolorowy dywan.

- Tędy. - Risa pokazała przejście po lewej. - Mój gabinet jest obok „muzeum”.

- O rany. - Ton głosu Cherule sugerował, że wolałaby mieć wyrwane paznokcie u nóg niż zwiedzać muzeum.

- Ale nie takie prawdziwe - zapewniła ją Risa. - Nazywam to pomieszczenie muzeum, bo trzymamy tam mnóstwo wyrobów i próbujemy ustalić, które będą się najlepiej nadawały na

pokaz.

- Złoto? - zapytała Cherelle, skupiając uwagę na Risie.

- Owszem.

- A, to rozumiem, malutka.

Śmiejąc się, Risa uściśliła Cherelle jednym ramieniem. Radosna chciwość jej przyjaciółki była odświeżająca po wielogodzinnych rozmowach telefonicznych z przedstawicielami domów aukcyjnych, którzy sprawiali wrażenie, że zadławiłoby się, gdyby ktoś zapytał ich o wartość danego przedmiotu. W końcu chodziło o wytwór kultury.

Ale każdy z branży wiedział, że chodziło też o handel. Im bardziej licytatorzy podkreślali walory kulturalne, tym większa była cena.

- No, więc pokaż mi coś. - Cherelle rozejrzała się wokoło.

- Biżuterię?

- O tak. Jakieś duże kawałki złota.

- Tędy.

Cherelle ochoczo podreptała za Risą do długiej, przykrytej szkłem gabloty.

- To niektóre z przedmiotów, które zgromadził Shane z myślą o pokazie Złota Druidów, który zostanie otwarty w sylwestra.

Na myśl o upływającym czasie Risa poczuła ucisk w żołądku. Jedyne pocieszenie, że innym osobom też nie udało się znaleźć niczego interesującego.

Przynajmniej na razie.

Cherelle pochyliła się nad gablotą tak nisko, że od jej oddechu zaparowało szkło. Mruknięła coś pod nosem, cofnęła twarz o kilka centymetrów i intensywnie wpatrywała się w przedmioty. Były bardziej podobne do tego, co sama miała, niż do tych z obrazków na ulotce. Tyle że większość wyglądała tak, jakby rzucono nimi o podłogę.

Liczyła cicho. Osiemnaście sztuk. O jedną więcej niż to, co trzymała w bagażniku.

- Jak one się nazywają? - zapytała. Risa powiodła wzrokiem za jej wskazującym palcem.

- Torquesy. Takie bransolety na szyję.

- Szczerozłote?

- Niektóre tak. Ale te tutaj nie. Są wydrążone, ale ich historia jest bardzo... - Risa przestała mówić, bo Cherelle już jej nie słuchała.

- A te? - zapytała Cherelle.

- Opaski na ramiona.

- Całe ze złota?

- Gruba warstwa złota otacza żelazo. Wzór jest prosty, ale finezyjnie wykonany.

Cherelle nie interesował żaden wzór.

- A te? - zapytała, znowu wyciągając palec.

- Fibuły. Eleganckie agrafki do spinania ubrań - dodała szybko. - W tamtych czasach nie było suwaków ani guzików.

- Te szpile są całe ze złota?

- Dwie po prawej tak.

- Trochę małe, co nie?

- Prawdopodobnie złożono je w ofierze bogom za wysłuchanie modlitw.

Cherelle przygryzła wargę, zastanawiając się, ile mogą być warte przedmioty w gablocie.

Risa obserwowała wyraz twarzy przyjaciółki. Pod wieloma względami Cherelle świetnie nadawała się do testowania jakości wyrobów.

- I co o nich sądzisz? Cherelle wzruszyła ramionami.

- Ten towar jest jak stara dziwka. Takie samo wyposażenie, jak u młodej, ale duży przebieg

mocno obniża cenę.

Risa popatrzyła na sfatygowany metalowy łuk, uszkodzony prawdopodobnie przez pług farmera, który kiedyś wykopał ten skarb. Inne przedmioty miały wgniecenia, wyżłobienia, były powyginane albo poskręcane, albo wręcz połamane: te skazy mogły razić współczesnego widza, nawykłego do nowej biżuterii, wykonywanej maszynowo.

Ale dla Risy każde uszkodzenie miało ogromną wartość, bo świadczyło o tym, że dany wyrób był używany, noszony i przekazywany z pokolenia na pokolenie, zakopywany i odgrzebywany. Z każdym z tych przedmiotów wiązała się fascynująca historia. Risa często rozmyślała o przeszłości tej biżuterii.

- Kiedy masz tysiąc pięćset albo trzy tysiące lat, widać twój wiek - stwierdziła.

Cherelle energicznie odwróciła głowę w stronę Risy.

- Co?

- Piętnaście do trzydziestu stuleci.

Cherelle była tak zaskoczona, że z wrażenia połknęła gumę.

- Jasny gwint.

Risa uśmiechnęła się ironicznie. Ciekawy sposób wyrażania podziwu, pomyślała.

- Tak. Kawał czasu.

- To pewnie podwyższa wartość tych okazów, co?

- Masz na myśli, że ich wartość jest większa niż wartość wagowa? O tak.

- Ile razy większa?

- To zależy od wielu rzeczy.

- Na przykład? - naciskała Cherelle.

- Wiek, rzadkość, artyzm wykonania i proveniencja, czyli skąd dany przedmiot pochodzi i jak dobrze jest udokumentowany.

- Dokumenty? - Cherelle znowu przygryzła wargę. Z tym mógł być cholerny problem. - Cały ten towar przyszedł z papierkami?

- Właściwie większość z nich została odkopana jakiś czas temu przez potomków arystokratów, którzy wyprzedali część swoich spadków, żeby zachować resztę rzeczy. Inne pochodziły z muzeów, które robiły porządki w magazynach. Reszta została po prostu ukradziona. Ale to się zdarzyło tak dawno temu, że teraz nie ma już znaczenia.

- Jak dawno?

Risa się uśmiechnęła.

- Co najmniej sto lat temu. Im więcej setek, tym lepsze pochodzenie, a przez to i wyższa cena.

Cherelle znowu zaczęła przygryzać wargi. Nie miała do dyspozycji stu lat. Szlag, nie miała nawet tygodnia, bo tyle czasu będzie potrzebował Socks, żeby wyłudzić złoto od Tima.

- No więc, kto kupił ten towar bez papierków?

- Ludzie, którym bardziej zależało na posiadaniu tych przedmiotów niż na ich publicznym eksponowaniu. Krótko mówiąc, kolekcjonerzy.

- Jak twój szef?

Risa prychnęła.

- Staram się, żeby jego to nie dotyczyło. Ja pokazuję mu tylko legalny towar.

Cherelle uśmiechnęła się lekko.

- Ale nie zawsze ty jedna pokazujesz mu towar? Risa wzruszyła ramionami.

- Hej, malutka. Nie bądź taka sztywna, jakbyś kij połknęła. Przez tydzień potrafiłyśmy zwędzić więcej towaru, niż by się zmieściło w tej szklanej gablocie.

- Tak, a ja byłam tak przerażona, że nie mogłam nawet splunąć.

Cherelle wybuchnęła głośnym, zachrypniętym śmiechem. Przez chwilę wydawała się

znowu młoda.

- Stare dobre czasy, co? Pamiętasz, jak latem kradłyśmy zimne napoje? Właziłyśmy potem na duży dąb naprzeciwko przyczepy twojej ciotki i żłopałyśmy lodowato zimną colę. Przesiadywałyśmy tam aż do zmroku, żałując, że nie jesteśmy chłopakami, bo wtedy, nie musiałybyśmy schodzić, żeby się wysikać.

Risa śmiała się z tych wspomnień. Cherelle miała rację. To były dobre czasy: upalne dni, rozróby, śmiech i marzenia.

- Ale w końcu zawsze musiałyśmy zejść, co nie? - zagadnęła Cherelle, mocno wykrzywiając wargi. Patrzyła na smugi, które zostawiła na szkle, i westchnęła tak głęboko, że powierzchnia znów zaparowała. - Więc ile to wszystko jest warte? Kilkaset? Tysiąc?

- Dolarów?

Cherelle popatrzyła na nią tak jak za dawnych czasów. Jej spojrzenie mówiło: „Malutka, skoro jesteś taka mądra, to czemu zadajesz takie głupie pytania?”

Risa się uśmiechnęła.

- Wiele tysięcy.

Cherelle zaparło dech w piersiach.

- Ze dwadzieścia?

- Raczej setki.

Cherelle z trudem zaczęła oddychać.

- Czy ja dobrze słyszę, malutka? - Wskazała gąbłotę. - Mówisz, że to jest warte setki tysięcy dolarów?

- Właśnie tak.

- O rany!

- A za kilka dni ma się pojawić przedmiot, za który zapłaciliśmy czterysta tysięcy.

- Za jedną pieprzoną sztukę?

- Jest w doskonałym stanie. Świetnie wykonany. Bardzo stary. I wyjątkowy. Mieliśmy szczęście, że dowiedzieliśmy się o nim wcześniej niż Gail Silverado.

- Kto to?

- Właścicielka kasyna Najśmielsze Marzenie. Uwielbia sprzątać Shane'owi sprzed nosa wszystkie celtyckie wyroby ze złota. Musiał płacić absurdalnie dużo, żeby nie zdołała go przelicytować przy zakupie.

- Na przykład czterysta tysięcy dolarów? - zagadnęła Cherelle, niespecjalnie zainteresowana odpowiedzią. Nadal z trudem docierała do niej informacja, że w jednym wyrobie ze złota jest tyle pieniędzy.

- Właściwie ta cena była całkiem przystępna - powiedziała Risa. - Kilka lat temu jedna celtycka fibu..., to znaczy zapinka została sprzedana na aukcji za milion funtów. To mniej więcej półtora miliona dolarów.

Cherelle zrobiła gwałtowny wydech.

- Jezu Chryste. Trzymaj mnie mocno i uszczypnij w tyłek. - Zamknęła oczy i przez moment walczyła z zawrotami głowy. - Półtora miliona dolarów. Jedna zapinka.

- Bardzo unikatowa zapinka. Większość nie jest warta nawet jednej dziesiątej tej ceny. Ani nawet jednej setnej.

- Jednej dziesiątej - powtórzyła w zamyśleniu.

- Tak. Jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jedna setna to byłoby piętnaście tysięcy dolarów.

Cherelle oparła się o gąbłotę, bo czuła, że inaczej nie zdoła utrzymać się na nogach. Drugorzędna albo nawet trzeciorzędna spinka była warta więcej pieniędzy, niż widziałam przez

całe życie, pomyślała.

A przecież miała walizkę wyrobów, które wyglądały lepiej od każdego przedmiotu w eleganckiej gablocie Risy.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Risa w momencie, gdy ktoś zapukał do drzwi. - To lunch. Albo twój drink.

Cherelle znowu zrobiła długi wydech i zaczęła się uśmiechać od ucha do ucha.

- Oby to był drink, malutka. Miałam do tej pory gówniane życie, ale teraz wszystko się zmieni.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się śmiechem. Udało się. Wreszcie naprawdę jej się udało.

Ten numer zapowiadał się niezmiernie.

Rozdział 18

Las Vegas

2 listopada, wczesne popołudnie

Shane z zawrotną szybkością bębnił palcami w klawiaturę specjalnie zmodyfikowanego komputera. Nikt oprócz niego nie miał dostępu do tylu kamer telewizyjnych, przekazujących obraz z każdego zakątka kasyna, lobby, korytarzy i pokoiów służbowych.

Zazwyczaj ochroniarze obserwowali kasyno, ale nie tym razem. Shane nie chciał ich prosić o szpiegowanie Risy. Nawet on sam nie miał ochoty tego robić.

Odtwarzając cyfrową sekwencję z Rogu Gabriela, rozmyślał o tym, że mógłby poświęcać czas na ważniejsze zajęcia niż przyglądanie się osobie towarzyszącej jego kuratorce podczas lunchu. Gdyby nie instynkt, który kazał mu zainteresować się reakcją Risy na telefon, robiłby coś produktywnego - na przykład zaprogramowałby jeszcze bardziej wymyślny firewall albo przejrzałby elektroniczną księgowość kasyna.

Zwykle przynajmniej raz w tygodniu robił zestawienia utargów kasyna albo porównywał dochody z poprzednich lat, cofając się aż do pierwszych tygodni funkcjonowania Złotego Runa. Była to praca czasochłonna i od pewnego czasu już nie ciekawiła go tak jak kiedyś. Ale nadal potrafił świetnie wylapywać trendy dotyczące poszczególnych gier, różnice między wpływami z kart i automatów; analizować stawki zakładów sportowych i bakarata, nowe oszukańcze sztuczki i odmiany sprawdzonych trików; wyczuwał, które oszustwo ubezpieczeniowe szerzy się w Vegas jak grypa. Żonglowanie liczbami stanowiło również najlepszy sposób, żeby wpaść na trop kradzieży dokonywanych przez pracownika, nieuczciwych krupierów i, od czasu do czasu, jakiegoś bezczelnego hakera.

Złote Runo zawdzięczało sukces w dużej mierze temu, że Shane umiał rozpoznać reguły i trendy w skomplikowanej bazie danych liczbowych, której poziom złożoności sprawiał, iż większość ludzi tylko wywracała oczami i marzyła o wypiciu czegoś mocniejszego w najbliższym barze. Wprawdzie Shane miał ostatnio podobne odczucia w kwestii analizowania danych, ale ktoś musiał wykonać tę pracę. W końcu nie dawało się uniknąć tego obowiązku. Ale niedługo to się zmieni.

Shane westchnął i obiecał sobie, że po otwarciu wystawy Złoto Druidów zacznie analizować elektroniczne zapiski bit po bicie. Przynajmniej w zeszłym tygodniu zaktualizował firewall. Fakt, o dwa miesiące za późno. Na szczęście żadne dane nie sugerowały, że Złote Runo traci pieniądze za sprawą jakiegoś komputerowego robaka. Ale i tak Shane wiedział, że powinien już teraz projektować nowy system elektronicznych zabezpieczeń.

Kiedy, u licha, ten czas zleciał?

Bez względu na to, czy Shane miotał się bezproduktywnie, czy robił coś pożytecznego, i tak większość godzin w pracy i poza nią poświęcał na przygotowywanie Złota Druidów. Nie mówiąc o kuratorce, która intrygowała go i drażniła jednocześnie. Pozostała, niewielką ilość czasu i energii pochłaniały niezliczone, mało ważne służbowe decyzje, które trzeba było podejmować natychmiast.

Będzie musiał się nauczyć zlecać więcej zadań innym osobom. Dokona tego. W końcu.

Jeden z czterdziestu płaskich ekranów, które stanowiły tapetę na południowej ścianie biura, zabłysnął i znieruchomiał. Obraz był nadzwyczaj wyraźny. Pasek z godziną i data wyświetlały się ciągle tak samo, co znaczyło, że transmisja nie przebiegała w czasie rzeczywistym. Obrazowi nie towarzyszył żaden dźwięk.

Róg Gabriela wyglądał mniej więcej jak zawsze, niezależnie od pory dnia. Gości była garstka: kilku mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy w lśniących, eleganckich ubraniach. Mężczyźni oglądali transmisje sportowe, które pokazywano na sześciu ekranach telewizyjnych. Dobrze ubrana kobieta podskakiwała i krzyczała, kiedy to samo robił facet siedzący dwa taborety dalej. Za każdym razem gdy gość się poruszał, na jego błyszczącej, czarnej koszuli pobłyskiwał złoty naszyjnik i wisior - ciężka moneta w diamentowej oprawie. Może ten mężczyzna sprawiałby lepsze wrażenie, gdyby nie jego wydatny, owłosiony brzuch, widoczny pod guzikami z trudem spinającymi koszulę.

Bardziej zagorzali hazardziści grali przy barze w wideopokera. Sześć par siedziało wygodnie przy stołach, paląc, sącząc alkohol albo gapiąc się w telewizor i żując darmowe przekąski. Niektórzy artyści potrafili robić to wszystko jednocześnie. Krupierka od gry keno przemknęła w czarnych pończochach i sukience do kolan, szukając kart rozliczeniowych wypełnionych przez gości, którzy nie rozumieli zakładów albo nie przykładali do nich wagi.

Do baru weszła kobieta w marmurkowych dzinsach i obcisłym czerwonym swetrze. Usiadła. Uśmiechnęła się, zamasztywym gestem odgarnęła jasne włosy i odprawiła barmana. Jej makijaż był taki jak strój - niezbyt subtelny. Nawet jeśli ta kobieta nie była dziwką, z pewnością tak wyglądała. No, ale przecież wiele amatek i dziewczyn imprezujących w weekendy ubierało się podobnie. Zresztą jak wiele inteligentnych kobiet, które najwyraźniej uważały, że tylko wyzywającym strojem przyciągną uwagę mężczyzn. Przez to ochrona kasyna miała ciekawe życie, ponieważ jednym z jej zadań było trzymanie prostytutek z dala od barów kasyna.

Mężczyźni w barze długo przyglądali się Czerwonemu Sweterkowi. Kobieta zignorowała ich i udała się w bardziej zaciszne miejsce. Kiedy podszedł do niej barman, znowu kazała mu odejść.

Shane usiadł wygodnie na krześle i czekał na pojawienie się Risy. Barman ponownie zaproponował Czerwonemu Sweterkowi drinka. Promienny uśmiech i odmowa zakupu. Czerwony Sweterek odwrócił się plecami do baru i obserwował lobby.

Shane przewinął nagranie do przodu. Wreszcie Czerwony Sweterek zsunął się z taboretu i rozpostarł ramiona, uśmiechając się od ucha do ucha.

Przyczyną tego szczęścia było pojawienie się Risy.

Shane nacisnął klawisz zwalniający. Dwie kobiety były na ekranie najwyżej minutę, dwie. Potem, ramię w ramię, ruszyły przez lobby.

Palce Shane'a zatańczyły na klawiaturze, przywołując zarchiwizowane nagrania z różnych kamer. Patrzył, jak Risa i blondynka przechodzą przez wejście służbowe, wsiadają do bezpiecznej windy, a potem przekraczają próg gabinetu Risy. Włączył kamery, które krążyły nad cennymi artefaktami w jej pomieszczeniach biurowych.

Tym razem włączył dźwięk. Stanowił część systemu bezpieczeństwa zawsze towarzyszącego osobom, które miały kontakt ze złotem.

Shane znowu rozsiadł się wygodnie w krześle i patrzył.

I słuchał.

Potem wyłączył dźwięk i jeszcze raz odtworzył sekwencję. I jeszcze raz. Nie rozpraszała go żadna rozmowa; widział tylko wyraz twarzy Risy, zmieniający się jak w kalejdoskopie - mógł go unieruchomić małym ruchem palca.

Przez dłuższy czas w gabinecie Shane'a słychać było brzęk złota stukającego w złoto: przesuwiał pióro między palcami, do przodu i z powrotem, a jednocześnie obserwował swoją kuratorkę i kobietę, która miała na imię Cherelle.

Kontrast między tymi dwiema paniami wywoływał u Shane'a instynktowne drżenie. Cherelle wyglądała tak, jakby zarabiała na życie uwodzeniem facetów. Risa przypominała kierowniczkę, która robiła wszystko, żeby zminimalizować swój kobiecy wdzięk.

A mimo to...

Kiedy śmiały się razem, potrafił dostrzec w nich dzieci i więź, która przetrwała wiele lat. Przynajmniej jeśli chodziło o Risę. W jej oczach nie było ani krztyny wyrachowania, nie wykrzywiła ust w rozgoryczeniu jak Cherelle, ilekroć Risa na nią nie patrzyła.

Shane gwałtownie wsunął pióro do kieszeni i zabrał się do pracy. Najpierw wybrał pięć najwyraźniejszych ujęć Cherelle i przesłał je, wraz z kilkoma wariantami pisowni jej imienia, szefowi ochrony. Cherelle miała dzięki temu trafić do rejestru komputera ochrony, który pokaże to imię, ilekroć blondynka znajdzie się w zasięgu którejś z kamer. To był jeden z wielu sposobów, w jaki kasyno chroniło się przed naciągaczami, oszustami karcianymi i znanymi przestępcami.

Potem Shane zadzwonił do Rarities Unlimited, pod jeden z prywatnych numerów Nialla.

- Co jest, chłopie? - zapytał natychmiast Niall.

- Chcę, żebyś przejrzał wszystko na temat dwóch osób. Już przegrałem stosowne sekwencje cyfrowe na twój chroniony komputer.

- Jasna cholera! Znowu się włamałeś.

Shane prychnął zniecierpliwiony.

- Gdybym się włamał, to bym cię nie prosił, prawda? Ja tylko wszedłem do foldera, który mi założyłeś, i wrzuciłem tam swoje rzeczy.

- Wszedłeś do... Kurczę. Jesteś prawdziwym zagrożeniem. Dobrze, że stoisz po stronie aniołów.

- Tak, tylko nie mów nikomu. Słyszę znacznie więcej, kiedy ludzie myślą, że jestem nieprzyzwoity.

Niall zaniósł się złośliwym chichotem i otworzył plik Shane'a. Na ekranie wyskoczył obrazek kobiety.

- O, rany, ostra sztuka, co? Jak się nazywa?

- Cherelle. Nie mam nazwiska. Nie wiem dokładnie, jak się pisze jej imię.

- Cudownie. Jasny gwint, widzę przy niej Risę! Shane chrząknął.

- Prosisz o szczegółową kwerendę na temat Risy Sheridan - stwierdził obojętnym tonem Niall.

- Ty byś nie poprosił?

- Ja... do diabła, obaj wpadamy w paranoję.

- Mój ojciec to Bastard Merit. A co ty masz na usprawiedliwienie?

- Doświadczenie. Nawet...

- ...paranoicy mają prawdziwych wrogów dokończył z niesmakiem Shane. - Ten dowcip jest starszy od ciebie, a więc niemal przedpotopowy...

Głucha cisza po drugiej stronie znaczyła, że od pewnego momentu Shane mówił do siebie. Rozłączył się i wrócił do sekwencji w barze przed przybyciem Risy. Coś nie dawało mu spokoju.

Teraz nie patrzył na Cherelle. Obserwował drugą kobietę w barze. Tym razem zauważył znak dany przez barmana. Elegancko ubrana kobieta natychmiast zeszła z taboretu i podeszła do automatu. Mniej więcej dziesięć sekund później przez bar przeszedł członek ochrony kasyna w cywilu. Jak tylko zniknął, kobieta wróciła do kontuaru. Tym razem usiadła tuż obok faceta z brzuchem i złotymi łańcuchami. Zamówiła drinka i zapłaciła za niego dwudziestodolarowym banknotem.

Barman podał jej gazowaną wodę i nie wydał reszty.

Zresztą ona o nią nie poprosiła.

Shane nacisnął klawisz telefonu wzywający szefa ochrony. Reakcja była natychmiastowa.

- Mówi Ned, co mogę dla pana zrobić?

- Sprawdź nagranie z ostatniej godziny z kamery w Rogu Gabriela. Jeśli zobaczysz to, co myślę, że zobaczysz, zaprowadź barmana do drzwi i dopilnuj, żeby ta dziwka z nim wyszła.

- Już się robi, sir.

Kiedy Shane odłożył słuchawkę, zadzwonił drugi telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer kierownika dziennej zmiany.

- Co znowu? - mruknął. - Czy nikt już nie potrafi nawet kichnąć bez konsultowania się ze mną? - Podniósł słuchawkę. - Tannahill - rzucił.

- Cieszę się, że pana zastałem. Bob Fairweather niedługo przekroczy maksimum. Będzie pan chciał otworzyć mu linię kredytową?

- Nie. - Fairweather był kierownikiem kasyna Gail Silverado. W przeciwieństwie do większości menedżerów lubił hazard. I jak większość hazardzistów, nie przyznawał, że idzie mu coraz gorzej, dopóki nie przegrał wszystkich pieniędzy. - Zamów mu dobry posiłek w łożu dla VIP-ów. I dopilnuj, żeby był trzeźwy, kiedy opuści nasz lokal.

- On nie pije.

Shane chrząknął. Fairweather zazwyczaj pił. No, ale najczęściej uprawiał hazard po skończonej zmianie w Najśmielszym Marzeniu, a nie przed. Najwyraźniej czuł, że będzie miał szczęście.

Ale przecucie go zawiodło.

- Coś jeszcze? - zapytał Shane.

- Nie, proszę pana.

Shane rozłączył się, oparł się na krzesło i wyciągnął pióro. Patrzył na zatrzymany kadr na telewizyjnym ekranie: na Risę i Cherelle w uścisku. W pokoju było słychać tylko rytmiczne postukiwanie złotych przedmiotów.

Coś tu nie grało. Shane miał przecucie, którego nie chciał, ale i nie mógł zignorować.

Bez względu na to, co nie pasowało, kluczem do sprawy z pewnością była Risa.

Rozdział 19

Las Vegas

2 listopada, wczesne popołudnie

Socks zostawił swoje odblaskowe cudo w odcieniu fioleto na parkingu przy kiosku z burgerami, dwie przecznice od lombardu pasera Joeya Cline'a. Z plecakiem na ramieniu, w opadających dzinsach, Socks mijał lokale z oknami brudnymi jak rynszok.

Po wyszczerbionym chodniku sunęła zmięta paczka papierosów, popychana przez silny, suchy wiatr. Bezchmurne niebo pokrywało się brązową warstewką, która w Los Angeles

uchodziłaby za smog, ale w Las Vegas była tylko kurzem. Socks nie zwracał na to wszystko uwagi.

Widział te okolice zbyt wiele razy. Wychowywał się cztery przecznice od lombardu Joeya. Od tamtego czasu nic tu się nie zmieniło; no, może przybyło spękanych płyt na chodniku.

Wystawa lombardu też wyglądała jak przed laty. Za zakurzonym szkłem i żelaznymi kratami były gitary, wzmacniacze, indiańska biżuteria, strzelby, telewizory, sprzęt wideo, odtwarzacze DVD, brudne pistolety i skrzypce z trzema strunami. Socks zerknął na oferowane tu pistolety, ale miały za mały kaliber, a on nie chciał spluwy dla dziewczynek, tylko broń, którą każdy mężczyzna chętnie wepchnie sobie za pasek.

Kiedy otworzył frontowe drzwi, usłyszał przyjazny dźwięk dzwonka. Doświadczenie podpowiadało mu, że na zapleczu został uruchomiony znacznie mniej miły sygnał, a wideokamera przed sklepem już wszystko rejestruje, na wypadek gdyby ktoś chciał się obsłużyć sam i nie zaczekał na powitanie Joeya.

Wnętrze sklepu wydawało się czyste, ale pod innymi względami sprawiało identyczne wrażenie jak okno wystawowe: wąskie, obskurne i nieprzyjemne, z kiepskim oświetleniem i starymi ladami. Większość szklanych powierzchni była wyszczerbiona albo popękana, a towary w gablotach wyglądały tak nieatrakcyjnie, jakby zostały tu sprzedane przez zdesperowanych nieudaczników.

Socks ruszył do lewej części sklepu, bo wiedział, że nie obejmuje jej zasięg kamery. Pochylił się nad wyżłobioną ladą z drewna i nacisnął guzik. Na końcu lady rozsunął się panel o szerokości mniej więcej takiej, jak jego tyłek. Socks prześlizgnął się za ladę, zanim panel z powrotem się zamknął.

- Hej, Joey, tu Socks! - zawołał.

/

Z zaplecza dał się słyszeć jakiś odgłos.

Socks potraktował to jak zaproszenie, być może słusznie. Otworzył wysoką szafkę. Stały w niej rzędy obrzynów i strzelb tak brudnych, że gdyby jakiś dureń zechciał je naładować i wystrzelić, zatkałyby się albo wybuchły. Sięgnął ręką do miejsca między dwiema zniszczonymi strzelbami i popchnął ściankę. Ukazała się klamka. Teraz Socks mógł wejść na zaplecze, gdzie Joey Cline prowadził prawdziwe interesy.

Broń przechowywana tutaj była wyczyszczona, nowoczesna i dużego kalibru. Najlepsze okazy nie figurowały w policyjnych kartotekach. Obok szafki z błyszczącymi pistoletami znajdowała się kuloodporna gablota, której zawartości nie powstydziliby się Tiffany's. Niejeden facet zdążył się przekonać, jak niewiele pieniędzy można dostać od Joeya Cline'a za skradzioną biżuterię. Za to Joey płacił gotówką i o tym, co się działo na tym zapleczu, nie rozmawiał z nikim, nawet z własną żoną.

Ubrany w ciemną, poplamioną dżinsową bluzę i dżinsy, Joey wyłonił się zza warsztatu, na którym leżały rozmaite smary, szmatki i narzędzia pracy rusznikarza. Joey najbardziej uwielbiał naprawiać broń, aż stawała się dobrze nawilżona i sprawna, jak namiętna kobieta.

- Hej, Cesar, kopę lat. - Joey odsunął powiększające gogle na czoło i uśmiechnął się tak szeroko, że aż zmarszczyły mu się kosmate wąsy. - Masz coś dla mnie?

Socks się skrzywił. Nie znosił swojego imienia. Wszyscy zwracali się do niego, używając ulicznej ksywki oprócz tych, którzy go znali, zanim poszedł siedzieć. Jednym z tych ludzi był Joey. Wraz z ojcem i dziadkiem od wielu lat upłynniał towary dla rodziny Socksa. I oszukiwał ich na transakcjach, ale w tej części miasta to normalka. Jeżeli nie można było okradać obcych, okradało się przyjaciół. Jak już człowiek miał nóż na gardle, okradał nawet swoich krewnych.

- Tak, mam coś - powiedział Socks. - Jak zaproponujesz mi dobrą cenę, nie pójde tego sprzedać do Shapiro.

Joey wzruszył ramionami i wytarł ręce w gałgan, czarny jak jego włosy.

- Daję ci najlepsze warunki, jakie mogę, żeby utrzymać się w branży.

- Aha. - Socks wiedział, że Joey daje mu zawsze możliwie najmniejszą sumę. Ale nie miał do niego pretensji. Po prostu taka była sytuacja.

Joey też znał zasady gry. Tępe obwiesie, takie jak Socks, zapewniały jego sklepowi ogromny zysk, ale mimo wszystko zawsze wracały z kradzionym towarem, bo starczyło im sprytu, żeby trzymać się z dala od więzienia. Joey nigdy nikogo nie zakapował. No, może raz czy dwa, ale tylko dlatego, żeby samemu nie iść do mamra. Joey nie miał do tych ludzi pretensji. Po prostu taka była sytuacja.

Socks zsunął plecak i włożył do niego rękę. Wyciągnął jedną ze statuetek, która przedstawiała zwierzę podobne do jelenia z ładnie rozrośniętym porożem. Wzory na figurce były tak malutkie, że Socksowi kręciło się w głowie, kiedy próbował je rozszyfrować. Nawet już na nie przestał patrzeć.

Przysunął statuettkę do zatłuszczonej dłoni Joeya.

- Co o tym sądzisz?

Joey chrząknął lekko zaskoczony, kiedy wziął do ręki ciężki przedmiot. Od razu wiedział, że to ołów albo złoto. Żaden inny metal nie ważyłoby tyle, a jednocześnie nie byłoby tak przyjemny w dotyku. Poczul szybsze bicie serca. Włożył gogle na oczy i obracał figurkę w palcach, szukając dowodów na to, że złoto stanowi tylko zewnętrzną warstwę.

Nawet w powiększeniu wyryte wzory tworzyły tak gęstą sieć, że przy ich oglądaniu Joey niemal dostawał zeza.

Znów obejrzał przedmiot. Przypominało to patrzenie na jeden z wygaszaczy ekranu, które tak uwielbiał jego siostrzeniec: wzór powtarzał się w coraz mniejszych rozmiarach, ale nigdy nie miał końca, nie zastygał w bezruchu i zawsze pozostawał taki sam. Nie miał też początku. Tylko...

Przełknął ślinę i zamknął oczy. Zawroty głowy ustały. Dziwna statuettka. I nie było na niej niczego, co by sugerowało, że pod warstwą złota jest zwykły metal. Joey nie zauważył żadnych wyrzuceń ani rowków, które z czasem pojawiały się, gdy proces połączania przebiegał niedbale.

- A więc ktoś pokrył ołowianą figurkę niskokaratowym złotem - stwierdził w końcu. - Wielkie mi rzeczy, kurczę blade.

Ale nie zwrócił przedmiotu Socksowi.

- Wal się, dupku - prychnął Socks. - To czyste złoto.

- A skąd wiesz?

- Bo wiem.

- Ho, ho. A kiedy to stałeś się takim ekspertem od złota?

Socks spodziewał się takich zagrywek. Stanowiły nieodłączną część targowania się. A ponieważ wiedział, że nie dorównuje sprytem Joeyowi, przygotował sobie przemówienie. Nie zamierzał dać się wykiwać. Musiał dostać więcej niż sto dolców za cały towar.

- Jak nie umiesz rozpoznać prawdziwego złota, to już twój problem. Dawaj, Shapiro zna się na złocie.

Joey ścisnął figurkę w palcach. Shapiro znajdował się wyżej w hierarchii, udało mu się wydostać z rynsztoka. Joey często odsprzedawał mu naprawdę wartościowy towar za sporą marżę. Shapiro odsprzedawał towar Nance'owi albo Cochranowi, albo nawet Smith-White'owi, a ten upychał go dalej w Nowym Jorku, Dallas albo L.A., gdzie można było opylić rzeczy za sumy dziesięcio-, pięćdziesięcio- albo i stukrotnie większe od tego, co dostał złodziej.

- Tak? A twoim zdaniem ile Shapiro ci zapłaci? - spytał.

Socks poczuł satysfakcję. Na jego nachmurzonej twarzy pojawił się niemal serdeczny uśmiech, który zazwyczaj sprawiał, że ludzie nie mogli się nadziwić jego przyływowi brutalności.

- Och, myślę, że on wybuli za to patola.

- Tysiąc dolarów za coś takiego? - burknął Joey. - Chłopie, ty chyba się naćpałeś.

- Patol - powtórzył Socks.

- On mówi „patol” - przedrzeźniał go Joey. - Pocałuj mnie. Zgodzę się na trzysta, ale tylko dlatego, że jesteśmy starymi kumplami.

To było trzy razy więcej, niż Socks oczekiwał, mimo to sięgnął po statuetkę.

Joey jednak nie puszczał.

- Dobra, dobra. Cztery stówy.

Socksa aż zatkało.

- No i co ty na to? - naciskał Joey.

Przez chwilę milczeli, bo do Socksa wciąż jeszcze nie docierało, że za ten szajs paser oferuje mu czterysta dolarów. Może jednak ta suka Tima wiedziała, o czym gada.

- Chłopie, aleś ty upierdliwy - burknął Joey. - Sześćset i ani jednego pieprzonego centa więcej, i tylko dlatego, że znamy się od tak dawna, zrozumiano?

Socks kiwnął głową.

Statuetka zniknęła w kieszeni właściciela lombardu.

- Masz więcej, czy tylko to?

Socks zaczął mówić, że przecież wspominał o dużej ilości złota, ale zamknął się, zanim zdążył pokazać, że jest kretynem, i wyjął z plecaka jeszcze jedną figurkę. Potem zapinkę. I opaskę na ramię.

- Ta rzecz jest warta dwa razy więcej od wszystkich innych - oznajmił, przypominając sobie słowa Tima.

Joey już chciał zaprzeczać, ale go zatkało. Znał się na starej biżuterii. Od razu się zorientował, że bogato zdobiona opaska ze złota jest warta furę kasy, jeśli tylko ma się dostęp do właściwego rynku. On go nie miał. Smith-White nawet do niego nie oddzwaniał. Cochran przeważnie też nie.

Ale Shapiro miał dojścia do Cochra.

W głowie Joeya już pojawiła się rozkoszna wizja rejsu na Morzu Południowym, o który żona ciągle go zadrezczała.

- Dwa i pół patola za wszystko.

Socks w życiu nie trzymał w ręku takiej gotówki. Okradanie małych sklepów nie przynosiło dużych profitów. Przeważnie uważał się za szczęściarza, jeśli z nocnej wyprawy udało mu się wyrwać sto dolców i trochę alkoholu.

Dwa i pół tysiąca dolarów.

I jeszcze mnóstwo złota.

- Potrzebuję czystej spluwy - powiedział Socks. - Czterdziestkpiątki.

- W tej chwili mam tylko dziewięć milimetrów. Przyjdź za kilka tygodni.

- Dziewiątka jest czysta?

Joey kiwnął głową.

- Na pewno? - naciskał Socks.

- Tak, do diabła. Myślisz, że jestem na tyle głupi, żeby wkurzać kogoś, kto zarabia na życie biciem facetów.

- Ja nie biję. Ja tylko ich obrabiam.

- Nie mówiłem o tobie.

- Och. Ile? - zapytał Socks.

- Tysiąc.

- Co?! Cholera, można by pomyśleć, że ta spluwa jest ze złota!

- Złoto stopiłoby się, gdybyś go użył jako lufy pistoletu - stwierdził Joey zniecierpliwionym tonem. - Posłuchaj. Specjalnie dla ciebie, wyjątkowo ten jeden raz, dorzucę tłumik i sprzedam spluwę za pięć setek. Czyli zostanie ci w kieszeni dwa tysiące baksów. Umowa stoi?

Matematyka była jednym z wielu przedmiotów, które Socks zawałił w szkole, ale ta suma wydała mu się odpowiednia. A najlepsze, że będzie miał własną spluwę. Dzięki niej zdobędzie więcej pieniędzy.

- Stoi.

Rozdział 20

Las Vegas

2 listopada, wczesne popołudnie

Cherelle zlizwała z widelca resztki koktajlu krewetkowego, wytarła wołowy sos z talerza ostatnim kęsem trzeciej bagietki, wysączyła drugiego podwójnego cosmopolitana i westchnęła z zadowoleniem.

- No, to jest jedzenie. W dodatku za darmo! Jak możesz pracować w takim miejscu i nie ważyć sto kilo?

Risa się uśmiechnęła. Z przyjemnością patrzyła, jak jej dawna przyjaciółka wcina swój lunch - i połowę jej lunchu. Miała wrażenie, że odwzajemnia się Cherelle za pomoc w dzieciństwie.

- Przeważnie jestem zbyt zajęta, żeby jeść lunch - odparła Risa. - Inaczej miałabym tyłek szeroki na metr.

- Nie - poprawiła ją Cherelle. - Na dwa metry.

Risa roześmiała się, ale rozbawienie szybko minęło, kiedy zauważyła poprute szwy pod ramionami Cherelle. Do tego podniszczone dżinsy, znoszone buty i wielki głód - oto obraz kobiety żyjącej w nędzy. Motele w Las Vegas, nawet te najobszerniejsze, nie były tanie.

Myśl, że Cherelle sypia w samochodzie albo podrywa jakiegoś faceta w barze tylko po to, żeby mieć gdzie spędzić noc, sprawiała, że Risa czuła wściekłość, a jednocześnie wyrzuty sumienia. Cherelle na pewno nie pierwszy raz prehandlowała „numerek” za miejsce do spania.

Ale po raz pierwszy w życiu Risa mogła coś w tej sprawie zrobić. Hej, mam świetny pomysł - powiedziała. - Zaraz muszę wracać do pracy i nie spodziewam się urlopu zbyt szybko, ale chyba to nie powód, żebyśmy się nie spotkały i nie zabawiły wieczorem, prawda? Jednym z przywilejów tej roboty jest apartament w miejscu pracy, i to z obsługą. Zadzwoń do recepcji i poproszę, żeby zostawili ci klucz do mojego pokoju. Weź swoje rzeczy, idź na górę, wykup się, zamów sobie jeszcze jedzenie, jeśli jesteś głodna, albo drinka z baru. Zajmij sypialnię po lewej stronie i traktuj ją jak swój pokój hotelowy.

Cherelle była już po dwóch mocnych drinkach, więc pomyślała, że się przesłyszała.

- Mówisz serio?

- Oczywiście. Natychmiast zadzwonię na recepcję. Wyrobią ci kartę.

- O rany! Już czuję ciepłą, parującą kąpiel. Aha, pożyczę od ciebie kilka ciuchów, dobrze?

- Nie ma problemu. Może nawet będą pasowały. Ostatnio zrzuciłam kilka kilogramów.

- Tak, zauważyłam. Dlaczego chcesz mieć mniej ciała... - Cherelle pokręciła głową. - To nie wiesz, malutka, że faceci lubią okrągłe babki?

Tym razem Risa pokręciła głową.

- Masz przy sobie jakiś dowód tożsamości?
- Prawo jazdy.
- Świetnie. Mój szef ma obsesję na punkcie ochrony.

Risa podeszła do telefonu, dodzwoniła się na recepcję i wydała odpowiednie instrukcje.

Uśmiechając się, Cherelle powiodła opuszką palca po talerzu i czekała na klucz do magicznego królestwa.

Rozdział 21

Las Vegas 3 listopada, rano

Zadzwoił telefon na biurku. Shane nie zareagował na sygnał. Wciąż wpatrywał się w ekran komputera, marszcząc brwi. Biorąc pod uwagę wszystkie wypłaty, jakie Złote Runo zrobiło na automatach, maszyny wykazywały zdumiewająco duże zyski. Przeciętny dzienny zysk na każdym automacie wynosił od stu do stu dwudziestu pięciu dolarów. Niezbyt dużo, ale już cztery tysiące automatów dawały ogromne sumy. Ale jeśli miał wierzyć analizowanym przez siebie danym, każdy automat wykazywał nadwyżkę zysku w wysokości osiemnastu dolarów, i to bez żadnej wyraźnej przyczyny. Spodziewał się jakichś odchyłeń, kilku punktów procentowych powyżej lub poniżej prognozowanego wyniku. Przeważnie poniżej, bo oszuści raczej brali pieniądze, zamiast je zostawiać. Jednak tym razem Shane miał do czynienia ze stałym odchyleniem przekraczającym dziesięć procent.

- Przepraszam. - Susan Chatsworth wsunęła głowę w uchylone drzwi. - Pan Smith-White upiera się, że będzie chciał pan z nim porozmawiać osobiście.

Rozdrażnienie walczyło w nim z ciekawością. W końcu zwyciężyła ciekawość. Smith-White był właścicielem bardzo luksusowych sklepów, które sprowadzały dla bogatych klientów antyki i zapewniały specjalistów od wystroju wnętrz, którzy urządzali luksusowe domy. Shane akurat niczego nie przerabiał, więc mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego Smith-White domagał się rozmowy na osobności. Chodziło o wyroby ze złota. Shane podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, Jason. Co mogę dla ciebie zrobić?
- Rozumiem, że wciąż rozglądasz się za wybitnymi celtyckimi artefaktami. Za złotem.
- Ja zawsze się rozglądam. Dlatego do mnie zadzwoniłeś.

Smith-White zaniósł się typowym dla palacza charczącym śmiechem.

- Mam do obejrzenia cztery sztuki.

Shane osunął się na oparcie z czarnej skóry.

- Jak stare?

- Trudno powiedzieć. Ale domyślam się, że są częścią skarbu... druidów.

Shane poczuł nagle podniecenie. Antyki zazwyczaj były sprowadzane razem ze szczegółową dokumentacją, zwłaszcza dotyczącą pochodzenia. Najwyraźniej cztery sztuki, które oferował Smith-White, nie miały żadnych certyfikatów.

- Druidów? Dlaczego tak twierdzisz? - zapytał.

- Jak je zobaczysz, sam będziesz wiedział. Są naprawdę niezwykle. Tylko najwyżsi kapłani

albo królowie mogli posiadać coś takiego.

- To mi wygląda na drogie przedsięwzięcie.

- Najlepsze rzeczy zawsze dużo kosztują. Te wyroby są muzealnej jakości, więc pomyślałem o tobie.

I o nagrodzie, dodał w duchu Shane, zerkając na zegarek. Było za wcześnie na lunch i za późno na kawę.

- Jak szybko możesz je tu przywieźć?

- Za godzinę, może dłużej. Zależy od tego, ile zajmą mi moje sprawy.

- Jak się zjawisz, każ recepcjonistce zadzwonić do mnie. Strażnik wprowadzi cię na górę.

Rozłączył się i zadzwonił do Susan.

- Niech ktoś zjedzie do recepcji po Smith-White'a po dziesiątej trzydzieści. - Zawahał się i jeszcze chwilę myślał. Mimo że zadzwonił do Rarities i podał im informacje z prawa jazdy Cherelle, Niall jeszcze się nie odezwał. - Masz coś na temat tej Faulkner?

- Wysła godzinę temu. Nie wróciła.

- Walizki?

- Wciąż są tutaj.

- Ile wynosi rachunek?

- Siedem tysięcy siedemset z groszami. Shane gwizdnął.

- Jak można zjeść tyle homara i kawioru?

- Nie zjadła. Odkryła salon i butik.

- Przetransferuj obciążenia na konto grzecznościowych prezentów - polecił Shane, mając na myśli konta, z których opłacało się upominki dla stałych klientów. - Ale zadzwoń na dół i powiedz, żeby wyłączyli z tego prawdziwą biżuterię. Inaczej na pewno chciałyby zgarnąć ten piękny, oprawiony brylant.

- Wart trzy miliony czterysta?

- Zauważyłaś - powiedział ze śmiechem.

- Żartujesz sobie? Ochroniarze pilnują tego cacka jak oka w głowie, nie mówiąc o należących do kompletu naszyjniku i kolczykach.

- Jeżeli Najśmielsze Marzenie ma urządzić pokaz Faberge w przeddzień Nowego Rokują przynajmniej mogę sprowadzić coś szykownego z De Beers. Daj mi znać, kiedy Faulkner wróci. Zabiję wszystkie drzwi butiku gwoździami.

Po prostu mógłbyś zamknąć linię kredytową apartamentu.

- Jeszcze nie. - Chciał się przekonać, jak daleko posunie się Cherelle Faulkner,

Był też ciekaw, jak Risa zareaguje, kiedy się dowie, że dawna przyjaciółka naciąga ją na wydatki.

Rozdział 22

Las Vegas

3 listopada, rano

Socks doszedł do wniosku, że dom Mirandy Seton pachnie jak piekarnia, ale kojarzy się z polem bitwy. Cherelle wrzeszczała na Tima i kopała wszystko dookoła. Pokryte wypłowiałym różem poduszki leżały w nieładzie na kanapie, a biały, wiklinowy stelaż był przekrzywiony. Lampa stołowa z frędzelkami przewróciła się na podłogę. Oprawione w ramki zdjęcie Tima z zakończenia roku leżało w rogu pokoju na odłamkach rozbitego szkła.

W momencie gdy Cherelle tłukła szkło, Socks wycofał się do kuchni. Omal nie dostał w głowę.

To właśnie zdjęcie w ramach pierwsze padło ofiarą wściekłości Cherelle, kiedy w końcu wydobyła od Tima informację, że sprzedał dwa ze swoich złotych przedmiotów za czterysta dolarów.

- Masz mózg jak psia kupa! - krzyczała, znowu kopiąc kanapę, tak że lekka konstrukcja aż podskakiwała. - Jak mogłeś być tak głupi? Mówiłam ci, że są naprawdę dużo warte!

Tim, broniąc się, wyciągnął ręce przed siebie i niepewnie obserwował Cherelle. Nieraz widział jej ataki wściekłości, ale nie tak gwałtowne. Cherelle mogłaby chyba połykać kule i wypluwać roztopiony ołów.

- Hej, kochanie, uspokój się. Przecież tego złota jest więcej, co nie? Zarobimy mnóstwo. A czterysta dolców to przecież sumka nie do pogardzenia.

Cherelle wciąż wrzeszczała „posrany kretyń”, kiedy Socks wrócił do salonu z wielką garścią ciasteczek z masłem orzechowym.

- Zamknij gębę - powiedział do Cherelle, przeżuując wielki kęs. - Denerwujesz matkę Tima. Chowa się w kuchni, zatykając uszy, a ciastka się przypalają.

- No, nieudaczniku - zwróciła się Cherelle do Socksa. - Ile zgarnąłeś za swoje dwie sztuki?

- Tyle samo.

- Łżesz, gnoju. Pokaż kieszenie.

- Hej - wtrącił się Tim. - Nie musisz zaraz wyzywać Socksa.

- Ja go nie wyzywam. Cherelle nie spuszczała oczu z Socksa. - Ja go tylko opisuję. Nieudacznik. Parszywy oszust. Lachociąg...

- Zamknij się, suko - zaczął ją przekrzykiwać Socks. - Stul mordę, do cholery! Byliśmy bez szmalu, a teraz go mamy. Więc się przymknij!

Cherelle zastanawiała się, czy kopnąć go w krocze, o którym miał takie dobre mniemanie. Wzięła jednak kilka oddechów i próbowała przez chwilę nie wściekać się na myśl o tym, ile pieniędzy przepadło. Zranienie Socksa sprawiłoby jej satysfakcję, ale niczego by nie zmieniło. Ten nieudacznik i tak nie stałby się ani odrobinę mądrzejszy.

Tim nie należał do szczególnie rozgarniętych, ale i tak był lepszy od swojego dziwnego kumpla. Cherelle znowu zwróciła się do kochanka.

- Ile pieniędzy ci zostało z tych czterystu?

Poruszył się niespokojnie.

- Hm, kupiłem kilka jointów, trochę alkoholu, tę koszulę... ładna, nie?

Zignorowała jego próbę zmiany tematu, a także krzykliwą hawajską koszulę, którą włożył kilka minut wcześniej.

- Ile?

- Dwieście pięćdziesiąt. To fajna koszula. Ty masz nowe ciuchy. - Pokazał palcem jej spodnie i bluzkę z bładozielonego jedwabiu. - Dlaczego ja miałbym sobie nie kupić?

- Ja za swoje nie płaciłam! - Zamknęła oczy, walcząc z gniewem, który ostatnio dopadał ją coraz częściej i z coraz bliższych powodów. Naprawdę powinna palić mniej cracku, chociaż niewiele rzeczy w życiu sprawiało jej tyle przyjemności.

Otaczali ją debile.

Głośno wciągnęła powietrze.

- Weź resztę swoich pieniędzy i odkup tę opaskę na ramię.

Tim popatrzył na Socks, który wzruszył ramionami i powiedział: - Joey zrobił mi przysługę. Pewno będzie zadowolony, że odzyska część kasy. - Zwłaszcza że Socks trochę się łamał. Zaczynało do niego docierać, że Joey jednak go naciągnął. I to nie na drobną sumę jak zazwy-

czaj. Obrobił go solidnie. - Ale to ja muszę iść. On nie lubi obcych.

Poza tym Socks nie chciał, żeby Tim dowiedział się, ile naprawdę Joey wypłacił za te cztery sztuki.

- Dupek - wyszeptwała Cherelle, dygocząc z oburzenia. - Pieprzony nieudacznik myśli, że paserzy robią przysługi. Jezu Chryste, uwolnij mnie od tych debili. Zdradzę ci mały sekret, durniu. Te cztery kawałki złota, które sprzedałeś za osiemset dolarów, są warte przynajmniej milion.

- O tak, jasne. - Socks wybuchnął śmiechem i przypomniał sobie tekst z talk-show. - Naprawdę zabawna z ciebie dziewczyna. Nie myślałaś nigdy o tym, żeby mieć własny show w kablówce?

Tylko pokręciła głową. Gniew ustępował miejsca rozpaczy. Tyle pieniędzy straconych...

Łzy wzbierające w jej oczach zaszokowały obu mężczyzn. Żaden z nich jeszcze nie widział płaczącej Cherelle. Nigdy. Nawet kiedy zepsuł się jej samochód i dała się podwieźć facetowi, który ją pobił, zgwałcił i wyrzucił na pobocze.

Socks i Tim spojrzeli na siebie niepewnie. Obaj pomyśleli to samo.

A jeśli ona ma rację?

A może rzeczywiście wypuściliśmy z rąk milion dolców?

Socks poprawił dzinsy, które opadały mu bardzo nisko, bo zatknął broń za swoją nową, jaskrawą, hawajską koszulę.

- Myślę, że pójde zobaczyć się z Joeyem.

- Myślę, że pójde z tobą- dodał Tim.

- Myślicie. Wy myślicie. - Cherelle zaniósła się szalonym śmiechem. A potem bezgłośnie zapłakała. - Tim.

Odwrócił się do niej.

- Co, kochanie?

- Nie pokazuj mi się na oczy bez tej opaski. Nigdy.

Ani Tim, ani Socks jeszcze nie słyszeli Cherelle mówiącej takim głosem. Obojętnym. Zabójczo obojętnym.

Obaj odetchnęli z ulgą, kiedy zamknęły się za nimi frontowe drzwi małego domu.

Rozdział 23

Las Vegas

3 listopada, rano

Wśród gwaru i papierosowego dymu jednego ze staromodnych, podlejszych lokali Las Vegas, Chudy John wpatrywał się w swój pasek wypłaty ze Złotego Runa i żałował, że nie może go wsadzić szczotką ryżową w tyłek szefa ochrony.

- Kim oni są, matką Teresą? - zagadnął Merry Clare, krupierkę black jacka w Say Paris! Wywalają mnie, bo odprowadzam do drzwi jakąś pracującą dziewczynę, a potem najnowsza dupa pana Boga Wszechmogącego Tannahilla wchodzi tanecznym krokiem, ściska się z jakąś inną dziwką i kręcąc tyłkami idą sobie do służbowej windy.

Merry wzruszyła ramionami i poprawiła się na niewygodnym siedzeniu. Piwo, które przed nią stało, było tak podłe, jak jej nastrój. Każdy, kto twierdził, że rozdawanie kart to przyjemny sposób zarabiania na życie, powinien spróbować tej pracy. Inne kasyna pozwalały swoim krupierkom nosić spodnie i buty na płaskim obcasie. Ale nie Say Paris! Tu szef uparł się, że

krupierki muszą wyglądać jak francuskie pokojówki i nosić kabaretki, które wpijały się w podeszwy stóp.

- Tak, życie potrafi być cholernie niesprawiedliwe. - Merry pochyliła się i szybko zaciągnęła papierosem Chudego Johna. Jej mocno umalowane usta zostawiły różowy ślad na białym filtrze.

- To kogo Tannahill ostatnio posuwa?

- Pracownicę. - Chudy John wytarł papierosa. Nie znosił smaku szminki, dlatego pieprzył się z Merry, ale rzadko ją całował.

- Którą? - zapytała Merry.

- Risę Sheridan.

- Tak? Nie słyszałam o tym.

Prychnął pogardliwie. Szminka i plotkowanie były namiętnością Merry. Nie potrafiła się obyć bez pomadek i bez plotek.

- W Vegas nie o wszystkim można usłyszeć. Człowiek tylko myśli, że jest w temacie.

- Tak? Postaw mi jeszcze jednego drinka, to ci doradzę, jak się porachować z Shane'em Tannahillem.

- Nawet z Tannahillem? O, jasne, zaraz po tym, jak zostanę miliarderem.

- Mówię serio.

Chudy John zawahał się, podniósł pięciodolarowy banknot, żeby zwrócić na siebie uwagę kelnerki, i obserwował Merry. Kolejne piwo pojawiło się na stole zdumiewająco szybko. Merry wzięła łyk spienionej cieczy.

- Dobra - powiedział Chudy John. - Gadaj.

- Krążą słuchy, że wiele ważnych osobistości chciałoby dokuczyć Tannahillowi. Nie przestrzega reguł ich gry, a to oznacza kłopoty dla niektórych największych kasyn.

- Och, łamiesz mi serce.

Merry ściągnęła różowe usta.

- Tak, widzę, jak ci krzawii. W każdym razie, jeśli szepniesz coś do ucha Firenze'a, będzie taki szczęśliwy, że znajdzie ci robotę w kasynie.

- A co ja, do cholery, mógłbym powiedzieć Carlowi...

- Nie jemu - przerwała Merry. - Wujowi. A właściwie, nieważne któremu. Każdy wiedziałby, co zrobić.

- A więc co mam powiedzieć Johnowi Firenze'owi? Popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- Chudy Johnie, naprawdę powinieneś słuchać, kiedy ludzie opowiadają, co się dzieje na Strip pod fasadą blasku i luksusu.

Chrząknął.

- No, to mów.

- Niektórzy chcą załatwić Risę Sheridan.

- Dlaczego?

- A kogo to obchodzi? Zapłata jest ta sama bez względu na motyw. Fakt, że Sheridan przyjaźni się z kobietą lekkich obyczajów, może być tym ludziom bardzo na rękę. Znasz imię i nazwisko tej dziwki? - Merry wyciągnęła komórkę z torebki. - Zadzwoń.

Spojrzał na telefon i wzruszył ramionami.

- Do diabła, czemu nie? A co mam do stracenia?

Rozdział 24

Las Vegas

3 listopada, rano

Na ekranie komputera Shane'a wyświetlała się informacja o wpływach z bakarata w ostatnim tygodniu i we wszystkich poprzednich. Shane zmarszczył czoło i zaczął jeszcze raz przeglądać wykresy. Podobnie jak automaty, stoły do bakarata ostatnio generowały niespotykane wysokie zyski. Wzrost wynosił mniej niż dziesięć procent, ale był faktem. No i przekładał się na dodatkowe miliony zysków. I chociaż Shane spisał na straty te kilka milionów, które dał wygrać japońskiemu ważniakom, i tak zostawało mu aż siedem dodatkowych milionów.

Już miał uruchomić program analizujący prawdopodobieństwo wygranych w bakarata, kiedy zadzwonił jego prywatny telefon. Bardzo prywatny telefon. Usiłował wzbudzić w sobie rozdrażnienie. Bezskutecznie. Za każdym razem gdy zaczynał przeglądać wyniki finansowe Złotego Runa, uświadamiał sobie, jak mało podnieca go coś, co kiedyś było dla niego ważne.

Podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Nagrywasz? - zapytał Niall.

- Wrzuć wszystko do mojego pliku Rarities po tamtej stronie, a teraz streść tylko najważniejsze punkty.

- Nie lubię mieć cię w swoim komputerze, chłopie.

- Przyzwyczaj się do tego. Tak jak ja przywykłem, że Faktoid poświęca wszystkie wolne sekundy na próby dostania się do mojego komputera. Bogu dzięki, że wynajdujesz temu chłoptasiowi wiele zajęć.

Niall wybuchnął śmiechem. Bardzo dbał o odpowiednie zabezpieczenia, więc genialne komputerowe sztuczki Shane'a bardzo go irytowały, ale i tak go lubił. Prawdopodobnie dlatego, że wierzył, iż Shane nie wykorzysta swojego daru na szkodę Rarities.

- Tobie wolno, to i mnie wolno. - Niall mruknął do Dany, kiedy stanęła w drzwiach.

Byli w jego gabinecie sami, jeśli nie liczyć rzędów monitorów przekazujących obraz z całego terenu Rarities Unlimited. Dana zamknęła za sobą drzwi na klucz, podeszła do Nialla, zmierzwiła jego włosy i dmuchnęła mu w ucho. A potem się w nie wgrzyzła.

Poziom koncentracji Nialla spadł do zera.

- Chciałbym poznać kilka faktów - stwierdził Shane. - Nie chodzi mi o informacje dotyczące wieku, koloru włosów lub wagi, chyba że coś się nie zgadza z tym, co jest w służbowej kartotece Risy.

Niall wyciągnął prawą rękę i zamasztył gestem posadził sobie Danę na kolana. Krzeselko przy biurku przechyliło się lekko, ale nie przewróciło.

- W dzieciństwie Cherelle i Risa były sąsiadkami. Mieszkały w przyczepach w Johnson Creek w stanie Arkansas - powiedział Niall, przesuwał rękę po sprężystym udzie Dany. Trzepnęła go po palcach.

Nie cofnął dłoni. Dana знаła reguły. Ugryzła go w ucho, więc musiała ponieść konsekwencje, bez względu na to, gdzie się znajdowała. Na przykład tu. I teraz.

- Miejsowość była rzeczywiście tak gówniana, jak można by sądzić po nazwie - mówił dalej Niall. - Cherelle jest starsza od Risy o dwa albo cztery lata, w zależności od tego, którym dokumentom dajemy wiarę. - Z brzucha Dany ręka Nialla powędrowała do jej piersi. - Obie dziewczyny bardzo dobrze wypadły we wczesnych testach inteligencji, ale Risa miała naprawdę niesamowity wynik. To bardzo bystra kobieta.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Staram się. - Niall rozstawił kciuk i mały palec, jakby chciał zmierzyć odległość między sutkami Dany. Potem dotknął ich i leciutko pstryknął palcami. Dana na moment wstrzymała

oddech, a Niall wyszczerzył zęby w pirackim uśmiechu. - Cherelle wzięła Risę pod swoje skrzydła.

- Jak kwoka opiekująca się pisklęciem.

- Tak. - Niall rozpiął śliską bluzkę Dany i wsunął palec wskazujący za ramiączko stanika. Wystarczyło szybkie szarpnięcie, by obnażyć jedną z piersi. Niall bezwiednie oblizał usta. Sutek zrobił się większy, jak pod wpływem pieszczoty. Niall zamknął oczy, ale nie cofnął ręki. Drażnił Dane, aż zaczęła się wyginać i powoli ruszać biodrami. - W każdym razie trzymały sztamę. Określenie „złodziejska solidarność” jest całkiem trafne. Cherelle wielokrotnie przyłapywano na drobnych kradzieżach, ale zawsze kończyło się na pogrózkach i puszczano ją wolno. Risę złapano raz.

- Ile miała lat?

- Jedenaście.

- Myślałem, że archiwa dotyczące przestępczości nieletnich są niedostępne.

- Tak samo jak niedostępny jest komputer Rarities, chłopie, dopóki nie trafi się błyskotliwy komputerowy maestro.

Shane w milczeniu rozważał jego słowa.

Niall był zajęty zsuwaniem drugiego ramiączka.

Dana usiłowała spokojnie oddychać.

- Dopóki Cherelle nie wyjechała z facetem, razem z Risą wagarowały, kradły batony i inne drobiazgi, malowały napisy na murach, czyli robiły rzeczy typowe dla młodocianych przestępców. Od wyjazdu Cherelle konto Risy jest czyste - powiedział Niall. I nadal pieścił nabrzmiewające piersi Dany. - Ustatkowała się pod kuratelą nauczycielki i nadrobiła wszystkie szkolne zaległości, i to z nawiązką. Finalistka wielu konkursów. Niezłe jak na dziewczynkę, która straciła przybraną matkę w wieku pięciu lat, trafiła do przybranej ciotki, gdzie nigdy nie zaznała prawdziwej miłości i opieki.

Niall przełączył na opcję głośnomówiącą i wsunął rękę pod spódnicę Dany. A ona spojrzeniem obiecywała, że porachuje się z Niallem, kiedy nie będzie się tego spodziewał.

Uśmiechnął się.

- Risa zaczęła studia na UCLA - ciągnął Niall. - Podeszła do egzaminów z większości kursów licencjackich pod koniec pierwszego roku i zaliczyła wszystkie. Zrobiła licencjat w dwa lata. - Leniwie wodził palcami po udach Dany, coraz wyżej i wyżej. - Kolejnych kilku lat potrzebowała na zrobienie magisterki i doktoratu. Miała najwyższe notowania na roku. Staż odbyła w Muzeum Okręgowym L.A.

- A muzeum kochało Risę i płakało rzewnymi łzami, kiedy ją wykradłem - przerwał Shane. - Powiedz mi jeszcze coś, czego nie wiem.

Niall wsunął palec pod delikatną bieliznę, odkrył rozgrzane, gotowe ciało i z trudem powstrzymał się od wydania ochryplego odgłosu satysfakcji.

- To tyle, chłopie. Kiedy Cherelle wyniosła się z miasta, nie ma nic, czego byś nie wiedział na temat Risy. Jeśli chodzi o okres po osiemnastym roku życia, to, co znaleźliśmy, pokrywa się ze wszystkim, co Risa napisała w podaniu o pracę. Wygląda na to, że miała dość burzliwe dzieciństwo, ale w dorosłym życiu zachowuje się jak święta. Wydostała się z biedy dzięki inteligencji i silnej woli.

- Dobrze. A co z uroczą panią Cherelle?

- Ach, tak. - Niall wsunął palec pod koronkową bieliznę, poczuł bezradny, czuły odzew Dany, przycisnął ją do siebie, wsunął palec głębiej, mocniej, potem wycofał go i znów wsunął, czując, jak Dana wygina się, by posuwał się jeszcze dalej. Marzył o tym, by zastąpić palec penisem, ale miał też ochotę dłużej ją podrażnić.

- Niall? - ponaglił Shane.

- Tylko coś sprawdzam.

Dana przygryzła wargi, żeby nie krzyknąć, i próbowała wyrwać się z kolan Nialla. Nie pozwolił na to. Przygwoździł ją do siebie i nadal sprawiał jej wielką rozkosz.

- Po tym jak Cherelle opuściła Arkansas - podjął po chwili Niall - była zatrzymywana za włóczęgostwo, kradzieże sklepowe, prostytutkę, picie alkoholu jako nieletnia, drobne wyłudzenia.

- Narkotyki?

- Nigdy na dłużej. Zadawała się z wieloma facetami, przeważnie po jednym naraz, i...

- Alfonsi?

- Nieznani. - Zręczne palce nadal sondowały rozkoszne ciało, aż w końcu Dana dała sobie spokój z próbami ucieczki. - Cherelle została nakryta na prostytutce tylko raz. Gdyby pracowała w tej branży na stałe, zatrzymywano by ją częściej.

- Co robi w Vegas?

- Zapytaj Risę.

- A według ciebie, co Cherelle robi w Vegas?

Niall jedną ręką podniósł Danę z kolan, żeby dosięgnąć rozporoka.

- W najlepszym razie pożyczka pieniędzy od starej przyjaciółki.

- A w najgorszym? - zagadnął Shane.

- Jest drobną złodziejką, wyłudzaczką i prostytutką na pół etatu. Sam sobie odpowiedz na to pytanie.

- Risa jest z nią w bliskich stosunkach - powiedział obojętnym tonem Shane.

- Pytanie tylko, jak bliskich. - My osiągnęliśmy idealną bliskość, pomyślał Niall, wchodząc w Danę.

- Chodzi o taką przyjaciółkę, której wyświadcza się przysługi? - zagadnął Shane.

Niall starał się za wszelką cenę nie ruszać. Przytrzymując Danę, czuł, jak ich ciała pulsują w zgodnym rytmie.

- Twierdzisz, że nie ufasz Risie?

- Twierdę, że Risa może mieć kłopoty z decyzją, czy jest winna lojalność przyjaciółce z dzieciennych lat, czy szefowi w dorosłym życiu.

- Ja uważam, że w tym wyścigu wygra dorosłe życie.

- Ja też - powiedział Shane. - Ale w dorosłym człowieku zawsze może się odezwać skłonne do wybryków dziecko. Wrzuć te informacje do mojego pliku.

- Już to zrobiłem.

Shane się rozłączył.

Niall wcale się tym nie przejął. Właśnie zaczął ze swoją kobietą prawdziwą zabawę, aż oboje rozgrzali się i spocili, i osiągnęli orgazm w szaleńczej ciszy, w której było słychać tylko ich łomoczące serca.

- A niech mnie - mruknął wtulony w jej szyję. - Co w ciebie wstąpiło?

- Oprócz ciebie?

Zaczął się śmiać, potem jęknął, czując, jak Dana zaciska się wokół niego i wzdycha z rozkoszą.

- Sprowadzili figurki Kamasutry z kości słoniowej wyszeptana rozdygotana. Fantastyczne. Po prostu niesamowite. Jak tylko je skatalogowałam, wiedziałam, że muszę... ci o nich powiedzieć.

- Zamieniam się w słuch.

- Chyba jeszcze nie całkiem - odparła, znowu doświadczając miłego napięcia.

Przez chwilę nie mógł normalnie oddychać.

- Dowiedziałas się czegoś nowego?
- Wspominałam ci, że każda pozycja jest pokazywana nie za pomocą pojedynczych rzeźb mężczyzny i kobiety, ale raczej jako połączone postacie?
- Połączone? - Uśmiechnął się lekko. - Jak?
- Zgadnij.
Poruszył się.
- Dobrze zgadujesz - przyznała. - A teraz pozwól, że ci pokażę interesującą wariację na ten temat. Najpierw obracam się tak...
- Zaczekaj, pomogę ci. - Podniósł ją trochę, żeby mogła swobodniej manewrować.
- Doskonale - powiedziała, częściowo obrócona do niego twarzą. - Teraz jedną nogę kładę tutaj, a drugą tutaj, a potem podnoszę twoje udo i pochylam się... - Poczowała płynącą z podbrzusza rozkosz i niemal natychmiast zaczęła szczytować.
Niall miał wrażenie, że wzbierająca w nim żądza zaraz eksploduje. Gwałtownie wciągnął powietrze.
- Jasna cholera, ależ to przyjemne. Ile masz tych figurek?
- Wystarczy, żeby nas zabić.
Jego oczy zalsniły. - To na co czekamy?

Rozdział 25

Las Vegas

3 listopada, późny ranek

Shane siedział w biurze Risy, przeglądając muzealne katalogi i książki o celtyckiej sztuce złotniczej. Tylko po to, żeby zobaczyć, jak Risa się czerwieni, przyniósł popularny magazyn z dyletanckim artykułem o słynnym skarbcu druidów. Artykuł znajdował się na samym dole sterty rzeczy do przejrzania, ale Shane pracował w imponującym tempie.

Droczenie się z Risą pozwalało mu zapomnieć o cwanej i pozbawionej skrupułów Cherrille Faulkner.

- Teraz weź ten torques. - Pokazał jeden z katalogów.
- Bardzo bym chciała - odcięła się Risa. Miała ochotę rwać włosy z głowy. Swojej albo jego. - Ale wtedy Muzeum Brytyjskie urządziłoby Wujowi Samowi piekło. Torques ze Snettisham, którego tak pożądasz, jest uważany za jeden z najwybitniejszych przykładów celtyckiej sztuki złotniczej wieku żelaza. To prawdziwy kulturalny skarb.

Chociaż mówiła z sarkazmem, niemal z czcią wodziła palcem po fotografii przedstawiającej torques. Shane obserwował ją i zastanawiał się, czy z takim samym zachwytem i uznaniem dotykałaby mężczyzny. Ta myśl natychmiast mocno go pobudziła. Nic więc dziwnego, że odczuwał spore zniecierpliwienie.

- Na wypadek gdybyś zapomniała, czekam, aż będę mógł zamieścić na okładce katalogu Złota Druidów coś równie spektakularnego - powiedział zimno.

Risa zmrużyła ciemnoniebieskie oczy. Doszła do wniosku, że zdecydowanie woli wytargać za włosy jego niż siebie.

- Pomówmy o tym jeszcze raz - odparła. - Kulturalnie i spokojnie. Spróbuję mówić wolno, żebyś nadążał. Gotowy?

Był aż zanadto gotowy, i to naprawdę go irytowało. Szybko skinął głową.

- Takie artefakty jak ten torques to skarby kultury na miarę Dzwonu Wolności. - Risa siliła się na absolutny spokój. - Nikt takich przedmiotów nie sprzedaje, chyba że wcześniej je ukraść. Jeżeli kupujesz kradziony skarb kultury, nie możesz go pokazywać publicznie, i lepiej nie ważyć się pokazywać też mnie. Jak na razie wszystko jasne?

Shane obserwował jej usta. Pełne. Kobięce. Stworzone do rozkoszy.

Do diabła, miał już serdecznie dość walki z pożądaniem.

Takie wspaniałe eksponaty znajdują się w narodowych muzeach: brytyjskim, Ermitażu i Luwrze ciągnęła, starając się panować nad sobą. - I nie są na sprzedaż!

- To jest twój problem - odparł. - Mój polega na tym, że muszę zdobyć fantastyczny eksponat, zanim otworzę wystawę. Na razie mam tylko jeden dobry torques i artefakty za milion dolarów, które będą wymagały sporo reklamy, zanim przeciętny widz uzna, że są godne uwagi. Obecnie ten pokaz nie jest w stanie konkurować z Faberge. Wciąż czekam na ciebie z okładką katalogu. Nie zawieź mnie.

- A twoje rekiny? - zapytała z irytacją. - Im dogryzaj, nie mnie.

Shane spojrział na nią zdziwiony.

- Rekiny?

- Ci pozbawieni skrupułów ludzie, którzy przetrząsają dla ciebie rynsztoki.

Uśmiechnął się leniwie.

- Rekiny są za twarde, żeby się w nie wgryzać. Ty jesteś znacznie bardziej miękka.

Patrzył na nią i mówił z wyraźną pieszczotą. Przez chwilę nie mogła logicznie myśleć. Desperacko zaczęła kartkować następny katalog. Nie znalazła w nim niczego inspirującego. Żadne z prezentowanych zdjęć nie pozwalało jej zapomnieć o spojrzeniu pięknych, nefrytowych oczu Shane'a.

Kiedy podniosła głowę, wciąż obserwował ją pożądliwie. Nerwowo oblizła wargi, zauważyła, że zmrużył oczy. Zrozumiała, że Shane mocno zawrócił jej w głowie.

Musiała poprosić Nialla o inną pracę. Już niedługo. Naprawdę niedługo. Może nawet w momencie, gdy Shane wyjdzie z gabinetu. Modliła się, żeby zniknął dostatecznie szybko. Jeszcze nigdy nie widziała u niego takich rozmarzonych oczu. Miała wrażenie, że płoną.

Ona też płonęła.

- A co powiesz na to? - Shane przysunął magazyn z samego dołu sterty.

Nieprzytomnym wzrokiem patrzyła na obrazek przedstawiający życie wśród druidów. Druid namalowany przez artystę był słusznego wzrostu, ciemnowłosy, odziany w białe szaty; nosił złoty ryngraf, który zakrywał prawie całą klatkę piersiową... no i miał oczy dokładnie takiego samego koloru, jak oczy Shane. Patrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

Wyglądał dokładnie jak Shane Tannahill.

Doznawała oszałamiającego uczucia, że traci równowagę, jakby miała pod nogami ruchome kamienie.

- Riso? - Shane zamachał jej ręką przed oczami. - Gdzie jesteś? Gwałtownie pokręciła głowę.

- Chyba nie powinnam pić drugiego cosmopolitana zeszłego wieczoru. Czuję się dziwnie. No, więc co z tym druidem?

- Nie z druidem. Skarbem druidów.

- Czy ty zaczęłaś palić crack? - zapytała zniecierpliwiona.

- Nie. Tylko trochę sobie poczytałem. Ten skarb druidów...

- Nie istnieje - przerwała mu. - Nie ma skarbcza ze świętymi wyrobami ze złota zakopanymi

przez Merlina w VI albo VII wieku w Walii albo Kornwalii, tuż przed tym, jak chrześcijaństwo nieodwracalnie wdeptało w błoto całą naukę druidów. Inne skarby były znajdowane, przetapiane, sprzedawane, ukrywane, zakopywane, potem znowu znajdowane i przechowywane przez kolejne rody. Ale, słuchaj uważnie, bo to istotne, skarb druidów nie istnieje.

- To byłaby wielka atrakcja w kasynie - zauważył Sharb ze śmiertelnie poważną miną. - Dokładnie czegoś takiego potrzebuję na wystawę.

- Gdyby istniał, byłby wspaniały. - Risa wzięła głęboki oddech i starannie dobierała słowa. - Gdyby... Ale nie istnieje.

- Istnieje.

- Shane...

Nie zważał na nią, mówił dalej.

- Jakiś facet właśnie zaproponował mi kupno części tego skarbu. Dwa miliony. Gotówką. I to jest minimalna stawka wyjściowa. Plus obiecana przeze mnie nagroda w wysokości dziesięciu tysięcy. Za tę sumę mam prawo obejrzeć te rzeczy pierwszy i zaoferować ostateczną cenę.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Proszę. Boże, znowu to samo. Ile razy w ciągu ostatniego roku oferowano ci święte przedmioty druidów? Trzy? Pięć? Osiem?

- Dziewięć, ale kto by tam liczył? - odparł Shane. - Jestem bogaty, kolekcjonuję złote artefakty, mam celtyckie nazwisko i otwieram nową galerię starożytnego złota, więc oferuje mi się celtyckie wyroby częściej niż seks.

- Guzik prawda - wymamrotała w swoje dłonie. Za głośno.

- Kiedy mówisz, że jestem seksowny i nie można mi się oprzeć, lepiej, żebyś na mnie patrzyła - oświadczył.

Natychmiast podniosła głowę. - Nie powiedziałam tego!

- Ależ oczywiście, że powiedziałaś.

- Ale...

Shane nie przestawał mówić.

- I jeszcze jedno: mam przeczucie co do tej dziesiątej oferty. Takie w stylu druidów.

Dokładnie przyjrzała się jego oczom.

- O cholera. - Zrobiła nagły wydech. Uśmiechnął się.

- Teraz zaczynasz załapywać.

Błyskawicznie analizowała. Była w tym dobra. Dlatego w przeszłości udawało jej się unikać kłopotów. I może dzięki jej szybkiemu myśleniu Shane też nie wpadnie w tarapaty.

- Świetnie - powiedziała. - Nie występuję przeciw twojemu instynktowi gracza. Do diabła, któżby przeciw niemu występował? - To była prawda. Właśnie przeczucie uczyniło z Shane'a multimilionera jeszcze przed trzydziestką. - Ale rozważ następującą rzecz. Czy ty mnie słuchasz?

Uśmiechnął się cieplej.

- Uwielbiam, jak patrzysz na mnie tymi swoimi wielkimi oczami.

- Nie słuchasz.

- Musiałbym mocno zacisnąć powieki, żeby się skupić na tym, co mówisz.

- Przestań! - Niecierpliwie machnęła rękami. - Nie próbuję się z tobą droczyć, więc wysłuchaj mnie uważnie.

Zamknął oczy.

Westchnęła z ulgą i zapytała bezceremonialnie:

- Czy słowo „proweniencja” coś ci mówi?

- Tak. - Otworzył oczy. - To znaczy, że nie możesz zaprezentować efektów swojej pracy.

Zastanawiała się, czy jeśli zacznie wrzeszczeć, to coś pomoże. Jedno spojrzenie na jego

spokojne i inteligentne oczy powiedziało jej, że powinna oszczędzać siły na dyskusję, która ich czekała.

Dyskusję. Omal nie wybuchnęła śmiechem. Boże, jakie neutralne słowo na werbalną rozróżbę, do której między nimi dochodziło. Bez względu na wątpliwe pochodzenie zabytku i na to, że Shane w końcu dyskretnie oddawał cenne przedmioty tym instytucjom albo osobom, które posiadały więcej argumentów prawnych niż tylko tytuł własności, nigdy nie udawało jej się przekonać szefa, żeby nie robił czegoś, czego naprawdę pragnął.

Ale tym razem musiała wygrać. Nie mogła pozwolić, żeby zszargał swoją i jej reputację, kupując coś, czego prawnym właścicielem nie miałby szansy się stać, nawet gdyby miał po swojej stronie wszystkich dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego.

Jaka szkoda, że Shane był bogaty. Każdy inny człowiek nie robiłby tak ryzykownych inwestycji.

Ten facet miał po prostu za dużo forsy.

- Założmy, że skarb druidów istnieje powiedziała. - Tylko ze względu na... dyskusję.

- Jasne.

Niedbały ton jego głosu sprawił, że miała ochotę zazgrzytać zębami. Ale kiedy popatrzyła mu w oczy, były poważne i całkowicie na niej skoncentrowane. Wiele osób odczuwało skrępowanie pod wpływem tak intensywnego spojrzenia, ale ona zdążyła już do tego przywyknąć.

- Założmy, że skarb druidów został zakopany w VI wieku, a jego lokalizacja pozostawała tajemnicą przez piętnaście stuleci - mówiła dalej.

- Coś takiego mogło się zdarzyć - stwierdził swobodnym tonem. - Rodziny i tajne stowarzyszenia zawsze ustnie przekazują wiedzę.

- Aha. - Właśnie, że nie przekazują, do diaska, skomentowała w duchu. - Teraz zakładamy, że ktoś niedawno...

- Dlaczego niedawno? - przerwał.

- Bo gdyby to było dawno, skarb już by się znalazł w muzeum.

- Albo prywatnej kolekcji.

- Możliwe - przyznała. - W minimalnym stopniu. Nie wyobrażam sobie, żeby można było zachować coś takiego w tajemnicy. Kolekcjonerzy uwielbiają rozpowszechniać plotki i pogłoski.

- Właśnie dlatego ciągle słyszymy o skarbie druidów.

Risa zrezygnowała z tego tropu. Nie prowadził jej do celu. Nie chciała przyglądać się biernie, jak położony kupuje kradziony skarb narodowy.

- No, dobrze - podjęła ostrożnie. - Mamy niedawno odkryty skarb druidów...

- Zgodzę się, że niedawno - oznajmił. - Ale rezerwuję sobie prawo do zmiany tego określenia.

Zacisnęła zęby. Powinien zostać prawnikiem.

- W porządku. Masz ten przywilej. Mogę kontynuować?

Uśmiechnął się lekko - najwyraźniej bawiło go to, że Risa rumieni się ze złości. A ostatnio pąsowała niemal zawsze, gdy przebywała w jego towarzystwie. Naprawdę powinna sobie znaleźć inną pracę, zanim go zabije. Albo poderwie.

W tej chwili nie wiedziała, która z tych opcji byłaby przyjemniejsza.

- Jasne, śmiało - zachęcił. - Lubię patrzeć, jak mówisz.

- Jeśli zaczniesz dowcipkować na temat moich ust, wychodzę.

- Twoich ust? - Shane miał nadzieję, że udało mu się stworzyć wrażenie, iż jest zaskoczony.

Wielu mężczyzn na pewno jej mówiło, że ma usta grzechu warte: gorące, wilgotne, namiętne. - Jak to, twoich ust?

Jednak wolałaby go zabić niż poderwać.

- Mamy niedawno odkryty skarb druidów - podjęła spokojnie. - Istnieje prawdopodobieństwo,

że wspomniany skarb pochodzi z Walii, Irlandii albo południowej Anglii, być może północno-zachodniej Szkocji. Zgoda?

- Tak, z zastrzeżeniami, o których już wspomniałem.

- Żeby przyspieszyć sprawy, założę, że jeśli od razu czegoś nie odrzucasz, to znaczy, że się zgadzasz. Oczywiście z zastrzeżeniami.

- Dobry pomysł.

Jego opanowany, zdroworozsądkowy ton sprawił, że znowu czuła rumieńce na policzkach. Nie wyszła tylko dlatego, że widziała jego oczy. Śmiertelnie poważne.

Przez głowę przemknęło jej pytanie, co by czuła, gdyby zobaczyła w tych oczach czystą żądzę.

Fala gorąca dotarła w okolice podbrzusza.

Dziś wieczorem, przyrzekła sobie Risa w milczeniu.

Zadzwoń do Nialla, jak tylko wróci do apartamentu. Nie będzie już dłużej zwlekać.

Pora odejść.

- A więc mamy niedawno odkryty skarb druidów - powiedziała ochryple.

- Szczere złoto.

Zmrużył oczy, ale raczej dlatego, że był zamyślony, a nie rozgniewany.

- Coś jeszcze?

- Święte przedmioty. Może przeznaczone na ofiarę, chociaż bardziej prawdopodobne, że używano ich w ważnych obrzędach. Wspaniale wyrzeźbione wzory. Prywatna kolekcja Merlina.

Tym razem nie siliła się na umiarkowanie.

- Bzdura.

- Która część? Szczere złoto, święte, może...

- Prywatna kolekcja Merlina - przerwała mu w pół zdania. - Tego już nie mogę przełknąć. Czy te przedmioty przyjechały tu z nalepką: „Zrobiono w Walii dla Merlina”?

- Tego nie wiem - odparł beznamiętnie Shane.

Głos Risy nie był tak obojętny. Jego chłód mógłby zamrozić alkohol.

- Druidzi nie umieli i nie chcieliby pisać. Właśnie dzięki temu potrafili zachować swoje sekrety.

- To nie znaczy, że jakiś nadworny uczony, doradca walijskiego króla, nie znał łaciny albo greki, albo nawet wersji lokalnego celtyckiego języka, lub symboli runicznych.

- Zgoda. Zakładając...

- Prawo do zgłaszania zastrzeżeń - przerwał. - Mam cię.

- Jeszcze nie - odgryzła się. - Zakładając, że ten bywał w świecie uczony doradca był druidem...

- Bezpieczne założenie - przerwał jej ponownie. - druidzi byli doradcami królów i wodzów. Co do tego nie ma żadnych zastrzeżeń. To jedna z nielicznych rzeczy w przypadku druidów, którą można uznać za niezbity fakt.

Może nie będzie sobie zwracała głowy dzwonieniem do Nialla. Po prostu od razu zabije Shane'a i już. Pytając uniósł ciemne brwi.

- Coś nie w porządku?

- A czy coś w ogóle jest w porządku? - odparowała. - Och, do diabła. Przyznam ci rację we wszystkim. Ale to i tak nie oznacza, że możesz być legalnym właścicielem skarbu druidów, a tym bardziej pokazywać to przeklęte złoto w sylwestra! Chyba że kieruje tobą dotychczas skrywane pragnienie, żeby znaleźć się w więzieniu?

- Nie. Skończyłaś?

Otworzyła i zamknęła usta. Oblizwała wargi i wiedziała, że musi mówić szybko. Bardzo

szybko.

- Posłuchaj, jeżeli skarb druidów istnieje, stanowi pamiątkę po miejscu i czasie, w którym magia była czymś realnym. Podobno został on zgromadzony i przechowany przez największego druida, Merlina. Nie! - Podniosła rękę, żeby Shane jej nie przerywał. - Podobno skarb składał się z przedmiotów ze szczerego złota z wrytymi magicznymi wzorami. Według niektórych źródeł te rzeczy po prostu zniknęły po śmierci Merlina. Inni twierdzą, że znalazły się w skarbie druidów, który był przekazywany przez naczelnego kapłana następnemu przywódcy na tysiąc lat albo i więcej.

- Czytałaś ten artykuł. - Shane podniósł magazyn.

- Nie, materiał źródłowy po łacinie, kiedy pisałam pracę doktorską. Mniej więcej tę samą historię znalazłam w tłumaczeniu siedemnastowiecznego wiersza walijskiego. Czytałam go w naukowym tekście z czasów Chaucera. Podobne rzeczy wypisywano w epoce szekspirowskiej. Trafiłam jeszcze na stek bzdur z końca XIX i XX wieku. Coś o końcu stuletniego cyklu, kiedy pojawia się mnóstwo wariatów.

- Jestem pod wrażeniem. Nie znalazłem odniesienia z czasów Chaucera.

Zamrugnęła. Jeszcze oswajała się z myślą, że pomimo swojej nonszalancji Shane dokładnie zapoznał się z tematem.

- Jest w zamkniętej kolekcji w UCLA.

- Zdobędę kopię. W to nie wątpiła.

- Nie ma potrzeby. Zachowałam kopie wszystkich informacji o złocie Merlina albo skarbie druidów, na jakie się natknęłam.

Shane czuł, jak po plecach przebiegają mu ciarki. Znieruchomiał.

- Dlaczego?

- Uganiałam się za legendami - wyjaśniła. - To było świetne pod kątem mojej dysertacji, ale jedyne, co znalazłam, to kilka miejsc, które sprawiły, że dostawałam gęsiej skórki.

- Stonehenge?

- Nie. Och, oczywiście to niezwykle miejsce, ale... - Wzruszyła ramionami. - Odczuwałam podniecenie, ale w głowie, a nie tu. - Przyłożyła pięść do brzucha. - Inne rzeczy, które znalazłam, od razu dawały mi takie uczucie. Były prawdziwsze od moich wspomnień. - Otworzyła dłoń, jakby chciała podzielić się czymś, czego nie dało się opisać żadnymi słowami. - W Walii były umocnienia na wzgórzach, ustawione kamienie, miejsca pochówków, groby. Wszystkie tak stare, że nie mogły być zbudowane przez ludzi, których styl nazywamy celtyckim, ale były używane przez Celtów. Przez druidów. Te miejsca były... inne.

Shane czekał, zastanawiając się, co widziała oszołomionymi oczami, przejrzystymi i ciemnoniebieskimi jak walijskie jezioro. Ale ona nic nie mówiła, dlatego zapytał cicho:

- Co widzisz?

- Żniwa w środku nocy w dębowych zagajnikach. Żniwiarz ubrany na białą ciąż świętą jemiołą srebrnym nożem. Czarną gałązkę w starożytnym kamiennym kręgu i krzak rzucający cień na tę gałązkę, udekorowany wstęgami, monetami, świeżymi kwiatami, rzeźbami rąk albo stóp, albo genitaliów... w zależności od tego, co chcieli wyleczyć wznoszący modły ludzie. Ale najbardziej pamiętam, że zasnąłam w środku dębowego zagajnika i kamieni, które pochylały się jak starcy dźwigający zbyt wiele wspomnień.

- Ty śniłaś.

Te słowa zabrzmiały tak cicho, że odpowiedziała, zanim uświadomiła sobie, co ujawnia:

- Tak. Śniłam.

Potem usłyszała swoje własne słowa. Szybko roztała ramiona, żeby pozbyć się gęsiej skórki, od której drżała jak smagana wiatrem kałuża.

- Wielkie mi rzeczy - mruknęła schrypniętym głosem. - Ludziom ciągle coś się śni.

Shane nie zamierzał się z nią spierać. W tej chwili zastanawiał się tylko, dlaczego Risa interesowała go bardziej niż jakakolwiek inna kobieta. Ona śniła. Czasami on też miał dziwne sny.

- Co jeszcze ci się śniło? - zapytał.

Z początku Risa myślała, że mu nie odpowie. Potem uznała, że to bez znaczenia. I tak planowała rozejrzeć się za nową pracą.

- Że skarb druidów, którego szukałam, zaginął.

Zmrużył oczy.

- Został utracony na zawsze?

- Nie. Tylko zaginął. Podobnie jak Celtowie. Powędrował w inne miejsce. Celtowie ciągle się przemieszczali. Nie tworzyli narodów ani państw, ani armii. Byli dalekowzrocznymi, cywilizowanymi, upartymi, odważnymi osobnikami, którzy uwielbiali sztukę, wino i dzikie miejsca. - Spojrzała na niego z ukosa. Z niepokojem, ale też ironią. - Zupełnie jak ktoś, kogo znam.

- Ty - powiedział Shane. Wyglądała na zaskoczoną.

- Miałam na myśli ciebie.

Nigdy nie widziała u niego takiego uśmiechu, jak w tej chwili: przypominał wschód księżyca w świętym zagajniku. Nie była pewna, czy ma się rozkoszować jego niezwykłym blaskiem, czy uciekać.

Zanim zdołała podjąć decyzję, zadzwonił telefon. Chwyciła słuchawkę jak koło ratunkowe.

- Biuro kuratorki - rzuciła.

- Mówi Milly z recepcji. Jest tam pan Tannahill?

Risa przekazała słuchawkę Shane'owi.

- Milly z recepcji.

- Tannahill. O co chodzi, Milly?

- Pan Smith-White przyszedł z jakąś skrzynką i nie pozwala ochroniarzom jej otworzyć.

- Proszę go wysłać na górę.

- Do gabinetu pana czy pani Sheridan?

- Do Risy.

- Dobrze.

- Jeszcze jedno, Milly.

- Tak?

- Przyślij razem z nim ochroniarza. Uzbrojonego.

Rozdział 26

Las Vegas

3 listopada, późny ranek

Tim rozglądał się niepewnie po lombardzie Joeya Cline'a. Lokal znajdował się tylko dwie i pół przecznicy od mieszkania jego matki. Jezu, co za gówniana dzielnica. Nic dziwnego, że matka tyle piła. A może mieszkała tam, bo piła. Nieważne. To miejsce było totalnym syfem.

Poruszył ramionami, nieprzyzwyczajony do braku plecaka. Socks kazał mu go zamknąć w bagażniku. Twierdził, że Joey dostanie szału, jak zobaczy, że jakiś nieznajomy wchodzi na jego teren z plecakiem.

- Człowieku, jak patrzę na ten syf, to myślę, że twój paser powinien się cieszyć, że w ogóle coś zarabia. Skąd wziął gotówkę, żeby kupić złoto?

- Idź za mną - mruknął Socks. - I nic nie mów. Ja załatwię sprawę z Joeyem.

Tim wzruszył ramionami i ruszył za kumplem. Roześmiał się głośno, kiedy zobaczył ukryte drzwi w szafie pełnej starej, zardzewiałej broni, potem gwizdnął na widok ukrytej części lombardu.

- Nieźle - mruknął, patrząc na bogaty wybór kamieni szlachetnych i złota w gablocie zamkniętej na klucz.

- Tak. Dobrze sobie radzi. Hej, Joey! Gdzie jesteś, do cholery?

- W klopie. Zaraz do was wyjdę.

Socks zaczął chodzić obok gablot, rozglądając się za złotem. Znalazł dużo, ale nie tego, na którym mu zależało.

- Widzisz je? - zapytał Tim. Socks tylko chrząknął.

Tim też zaczął przeszukiwać gabloty.

- Ile był ważny kwit?

- Jaki kwit?

- Ten, który dostałeś, kiedy sprzedawałeś złoto.

- Wcale go nie dostałem.

- Co? To jak, do cholery, zamierzasz je odzyskać, skoro...

- Zamknij się, do cholery - warknął Socks. Z szybkością doświadczonej pielęgniarki albo włamywacza chwycił rękawiczki chirurgiczne. - Powiedziałem, że się tym zajmę, no nie?

Joey wyszedł z łazienki, zapinając rozporek.

- Hej, Cesar, stary kumplu. Masz dla mnie więcej złota?

- Cesar? - wymamrotał półgłosem Tim, zerkając na Socksa.

- Może - burknął Socks. - To zależy.

Joey pomyślał o pięćdziesięciu tysiącach, które zarobił łatwo i szybko na czterech wyrobach ze złota, i uśmiechnął się. Człowiek nigdy nie wiedział, kiedy może mu się trafić duża wygrana, i to dwa razy tego samego dnia.

- Zależy? Od czego?

- Kobita mojego kumpla zabroniła mu wracać, jeżeli nie odzyskamy tej bransolety, opaski na ramię czy jak tam to się nazywało. Cena wyniosła pięćset, zgadza się?

Joey wybuchnął śmiechem, ale zobaczył poważną minę Socksa i chrząknął nerwowo.

- Hej, Cesar, nie mówiłeś, że będziecie chcieli odzyskać towar. Już go opchnąłem.

Tim zaczął coś mówić, ale wydał tylko zduszony odgłos, gdy Socks sięgnął za koszulę, wyszarpnął pistolet z tłumikiem i wycelował w Joeya.

- Hej, no, chłopie. - Joey cofnął się, wyciągając ręce, żeby pokazać, że są puste. Już sama broń była zapowiedzią fatalnych wydarzeń. Na widok przezroczystych rękawiczek u Socksa Joeyowi zrobiło się bardzo gorąco. Jesteśmy prawie rodziną. Członkowie rodziny nie celują do siebie nawzajem.

Komu sprzedałeś moje złoto? - zapytał Socks. Tim zaczął mówić, że to też jego złoto, ale kiedy spojrział na obojętne, ciemne oczy przyjaciela, natychmiast się zamknął. Ostatni raz Socks wyglądał tak w więzieniu, gdzie trafił za przetrącenie staruszka, który nie zszedł mu z drogi wystarczająco szybko. Socks wiedział, jak funkcjonuje rynsztok. Ten chłopak był zimny i szybki jak wąż.

- To prywatna sprawa - odparł Joey. - Kapujesz?

- Ile?

- Hej, wiesz, że nie mogę powiedzieć...

Socks strzelił mu w prawe kolano. Kula nie zrobiła więcej hałasu niż upuszczona szklanka. Patrzył, jak Joey osuwa się na cementową posadzkę, wrzeszcząc i obficie krwawiąc.

- Komu je przekazałeś? - zapytał Socks. - Gadaj, bo ci odstrzelę drugą rzepekę.

- Shapiro - wydusił z trudem Joey.

- Wciąż je ma?

- Nie... wiem - wy sapał Joey.

- Za ile?

- Pięćdziesiąt pięć.

- Tysięcy? - zapytał Socks. - Pięćdziesiąt pięć patoli? Mówisz mi, że dostałeś...

- Tak! - krzyknął zdesperowany Joey. - Jezu, Cesar. Wezwij karetkę! To boli!

Socks kopnął właściciela lombardu w gardło, przerywając konwersację.

Tim skrzywił się; poczuł mdłości. Ten aspekt kumpłowania się z Socksem naprawdę mu nie pasował. Tim był oszustem, który wolał się uśmiechnąć, łagodzić konflikty: nie strzelał i nie łamał nikomu nóg.

Socks był stworzony do przemocy. Nie miał nic przeciwko krzywdzeniu ludzi.

- Pięćdziesiąt pięć tysięcy! - Socks kopnął Joeya w jądra. - Za to, że mnie orznąłeś, dupku. - Kopnął go jeszcze raz. - Nadal myślisz, że jesteś sprytniejszy ode mnie?

Joey nie odpowiedział. Nie był w stanie. Wymiotował i skrzęcał się z bólu. Ciemność spadała na niego jak góra.

Socks odwrócił się od jęczącego i charczącego właściciela lombardu i zaczął przetrząsać szuflady i szafki.

- Hm, Socks, może powinniśmy... - zaczął Tim.

- Zamknij się i rozbij tę gablotę z biżuterią.

- A co z alarmem?

- Tu go nie ma. Joey nie chce widywać wścibskich gliniarzy, którzy kontrolowaliby towar.

Tim wziął wycior ze stołu, na którym Joey reperował broń, i zaczął uderzać nim w grube szkło gabloty. Zaraz pojawiły się pęknięcia, ale chociaż Tim walił z całych sił, superwytrzymały materiał stawiał skuteczny opór.

Socks zatrzaskał ostatnią szufladę.

- Cholera! Gdzie on ją trzyma?

- Co?

- Gotówkę, jełopie! A jak myślisz, czego szukam?

Tim wbił pręt dolnym końcem. Strzaskane szkło ugięło się, ale nie pękło całkowicie.

- Może ma sejf?

- Mhm. Ale nie potrafię go otworzyć. Już raz próbowałem, rok temu.

Socks wrócił do właściciela lombardu i przeszukał kieszenie jego spodni, potem bieliznę. W specjalnej sakiewce, która opadała na żalostnego kutasa Joeya, znalazł zwitek banknotów.

Niecierpliwie szarpnął węzeł mocujący woreczek do pasa Joeya. Węzeł naprężył się. Szybkie cięcie scyzorykiem zlikwidowało problem. A na podbrzuszu Joeya pojawiła się cienka czerwona kreska. Ale on się nie skarżył. Ból i wymioty utrudniały mu oddychanie, więc nawet nie zwrócił uwagi na małe draśnięcie.

Klnąc pod nosem, Socks przeliczył pieniądze. Kilka tysięcy. Jeszcze godzinę temu odtanńczyłby radosny taniec. Teraz jednak wciąż przypominał sobie, co wyrzaskiwała Cherelle.

„Te cztery kawałki złota, które sprzedałeś za osiemset dolarów, są warte przynajmniej milion”.

Wściekły na cały świat, że znowu został oskubany, Socks z całej siły kopnął Joeya.

Właściciel lombardu tylko cicho stęknął.

Tim znów walnął w hartowane szkło. Starał się nie patrzeć na podłogę, gdzie Joey leżał zwinięty jak gotowana krewetka.

Nadal przeklinając, Socks podszedł do warsztatu Joeya. Wyszarpnął pierwszą z szeregu szuflad w długim, wyszczerbionym stole. Pieniądzy nie było, więc wyrznął szuiladą w nogę stołu, tak że narzędzia rozsypały się na wszystkie strony.

W drugiej szufladzie znalazł tylko szmatki i smary.

W trzeciej: telefon komórkowy, trochę gotówki i broń z tłumikiem.

Socks zapomniał na moment o poszukiwanym złocie. Wepchnął pieniądze do kieszeni i sprawdził broń. Była czysta, naładowana, niezarejestrowana na policji albo zarejestrowana na Joeya. Tak czy owak, fajny egzemplarz.

Cichutko pogwizdując przez zaciśnięte zęby, Socks wyjął z własnego pistoletu wszystkie kule oprócz jednej. Teraz czuł się znacznie lepiej. Podszedł do Tima i wręczył mu swoją broń.

- Zostaw to szkło - rozkazał Socks. - Mamy to, czego potrzebujemy. Kropnij tego świra i spadamy stąd.

Tim popatrzył żałośnie na broń i na rękę Socksa.

- Ja nie mam rękawiczek. Chodźmy już i...

- Nic z tego, koleś - przerwał mu Socks. - Wsadź draniowi lufę w usta i odstrzel jego pieprzony łeb.

Tim zaczął się spierać z więziennym kumplem, ale kiedy spojrzał mu w oczy, zrozumiał, że łatwo się nie wykaraska. Tak samo było za pierwszym razem, kiedy poszedł z Socksem. Bez względu na to, co wyczyniał Socks, Tim musiał iść w jego ślady. Przynajmniej miał pewność, że przyjaciel nie wyda go glinom.

Westchnął.

- Jak rozwalę mu mózg, to upaśćkam nasze nowe koszule.

- Jezu. A kto zauważy różnicę? Po prostu go kropnij i już.

Tim popatrzył na swój cel. Strzał w serce, nie w głowę. Będzie mniej bałaganu. Nacisnął spust.

Joey szarpnął się raz, wydał bulgoczący odgłos i znieruchomiał.

Socks sprawdził go solidnym kopniakiem. Zero reakcji. Pa, pa, koleś, należało ci się za to, że tyle lat mnie rznąłeś.

Wciąż uśmiechając się, Socks odwrócił się do Tima i strzelił do niego z broni Joeya. Siła pocisku była tak duża, że Tim zakręcił się i wyrznął twarzą w wysoką, metalową szafkę z kartotekami. Zaczął się po niej osuwać. Chciał się jej złapać, żeby stanąć na nogi, ale w efekcie pociągnął szafkę na siebie, tak że i on, i mebel wylądowali na cementowej posadzce z hukiem, który zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

W nagłej ciszy wycie syren zabrzmiało bardzo donośnie i wyraźnie.

Socks podskoczył i zaklął. Widocznie jakiś wścibski drań wezwał policję. Albo Joey miał tajny system alarmowy.

Pochylił się nad właścicielem lombardu i wcisnął mu w dłoń pistolet, którego użył przeciw Timowi. Ale broń wypadła. Ponowił próbę. To samo.

Syrena zawyła tuż za rogiem: tak blisko, że usłyszał jeszcze pisk opon.

Pocąc się niemiłosiernie, Socks podjął ostatnią próbę zaaranżowania sceny wydarzeń. Tym razem broń nie wypadła. Joey sapnął głośno i popatrzył na miejsce, gdzie leżał Tim. Pod szalką nic się nie poruszało; tylko wypływała spod niej strużka krwi.

Słyszac donośny dźwięk syreny, Socks miał ochotę krzyknąć.

Nawet nie zauważył krwi na swoich butach, odwrócił się i wybiegł tylnymi drzwiami.

Rozdział 27

Las Vegas

3 listopada, późny ranek

Smith-White był niski, łysy i pulchny jak Święty Mikołaj. Ale nie miał dobrotliwych oczu. Ich mętna szarość kojarzyła się z kolorem zleżałego śniegu.

Z trudem ukrywając zniecierpliwienie, Risa czekała, aż Smith-White wreszcie przystąpi do interesów.

Znając upodobania swojego gościa, Shane kazał przynieść kawę po turecku i słodczy. Smith-White wciąż cmokał i przebierał w owocowych tartinkach i plastrach kandyzowanych owoców, a to oznaczało, że Risa będzie musiała jeszcze trochę poczekać, zanim zobaczy złoto. Pomyślała też, że Smith-White bawi się z nimi, bo ma do pokazania coś naprawdę wyjątkowego.

Jednak czekanie nie było ani trochę przyjemniejsze.

Ani Shane, ani Risa nie spojrzeli na zamkniętą skrzynkę z aluminium, którą Smith-White postawił na niskim stole obok serwisu do kawy.

Strażnik nie mógł oderwać wzroku od skrzynki. Fakt, że nie sprawdził przedmiotu wnoszonego na górę, sprawiał mu niewymowną przykrość.

- Cudowne. - Smith-White wytarł z górnej wargi cukier puder. - Wasi kucharze od deserów są najlepsi poza tymi z Manhattanu. A może w ogóle najlepsi.

- Z pewnością opowiem im, jak bardzo panu smakowało - odparł Shane. - Jeszcze kawy?

Risa miała ochotę kopnąć szefa za złożenie tej propozycji.

Smith-White się zawahał. Zdał sobie sprawę, że Shane nie zacznie rozmowy o interesach, i w duchu przyznawał właścicielowi Złotego Runa wysokie noty za jego minę pokerzysty. Jeśli Shane miał ochotę na coś więcej niż tylko przyjemną pogawędkę z gościem, z pewnością nie dał tego po sobie poznać, nawet mową ciała. Wzdychając cicho, Smith-White pogodził się z tym, że to on będzie musiał rozpocząć negocjacje. Shane Tannahill mógłby uczyć cierpliwości nawet posągi.

- Dziękuję - powiedział Smith-White. - Wiem, że obaj mamy dość napięty grafik. Miło, że zgodził się pan na spotkanie ze mną z tak małym wyprzedzeniem.

Shane uprzejmie skinął głową i nalał do malutkiej filiżanki Smith-White'a kolejną porcję ciemnej, gęstej kawy. Potem sięgnął po własną. Zamiast ją wychylić jednym, typowym dla lokalnej kultury siorbnięciem, tylko posmakował gęstej, niewiarygodnie słodkiej tureckiej kawy. Takie stężenie kofeiny i cukru dawało kopa jak oszalały wielbłąd.

Małe, wypielęgnowane palce Smith-White'a pieściły aluminiową skrzynkę.

Shane wziął kolejny łyk kawy.

Risa rozmyślała o przyjemnych aspektach zabójstw.

Strażnik lekko rozsunął poły uniformu i obserwował ręce przybysza. Miał szczerą nadzieję, że ten przesadnie dystyngowany gość nie przyniósł w skrzynce niczego poza złotem. Posłużenie się bronią w tak ciasnym pomieszczeniu mogłoby nastreczyć problemów.

W ciszy było wyraźnie słychać dźwięk otwierania czterocyfrowego zamka. Smith-White miał kłopoty z ustawieniem właściwej kombinacji, którą powinien doskonale pamiętać.

- Czy torques już dotarł? - zapytał Shane Risę leniwym głosem.

- Sprawdzę.

Wstała i podeszła do komputera. Shane obserwował ją bystrym wzrokiem, a ona żałowała, że nie jest ubrana w worek, który by ją zakrywał od stóp do głów. Miała na sobie luźny kostium, ale

spojrzenie Shane'a sprawiało, że czuła wszystkie swoje wypukłości. Odnosiła wręcz wrażenie, że on ich dotyka. Nie pierwszy raz marzyła, żeby być chuda i zwinna jak kot. Ale nie była i wiedziała, że nigdy nie będzie.

Pogódź się z tym, powiedziała sobie w myślach.

Wpisała adres serwera i czekała.

- Według ich systemu monitorowania przesyłek torques opuścił lotnisko dziś rano o dziesiątej trzydzieści i w tej chwili jest już w drodze do nas - poinformowała.

- Dobrze. Dziękuję.

Risa spojrzała na szefa. W oczach Shane'a zobaczyła coś, co też wyczuła w jego głosie.

Żar.

Smith-White uświadomił sobie, że jego próba stworzenia napięcia spaliła na panewce. Chrząknął i dokończył otwieranie zamka. Potem uniósł wieko tak, że tylko on mógł zajrzeć do środka.

No i strażnik. Smith-White nie zwrócił jednak na niego uwagi, zależało mu tylko na kupcu.

Gdy gość nakładał gumowe rękawiczki, strażnik dobrze się przyjrzał zawartości skrzynki i dla pewności zajrzał do niej jeszcze raz. W końcu oparł się o jedną z solidnych gablot wystawowych i wyraźnie się odprężył. Jeżeli coś w skrzynce tego gościa wystrzeli kule, ma ostrą krawędź albo wybuchnie, to on zje furę plastikowych żetonów do pokera - bez soli i ketchupu.

Risa usiadła na krześle i zaczęła się przyglądać swoim paznokciom. Były w idealnym stanie. Doszła do wniosku, że jeśli ten poczciwiec nie wyciągnie zaraz z aluminiowej skrzynki czegoś więcej oprócz własnej ręki, to ona przejdzie po stoliku i poharata mu jego pełną samozachwyty twarz, rujnując sobie przy tym dobry manikiur.

- Proszę bardzo - odezwał się Smith-White obojętnym tonem. - Całkiem ładna biżuteria, nie sądzicie?

Risa patrzyła na okrągłą broszkę wielkości dłoni, spoczywającą w płytkiej kasetce, wykładanej czarnym aksamitem, i rejestrowała pierwsze wrażenia. Artefakt był bez wątpienia celtycki. Kunsztownie wykonany. Złoty symbol Słońca, służący do spinania szat druida albo wodza. Prawdopodobnie pochodził z okresu między IV a VII wiekiem naszej ery. Zapewne irlandzki. A może szkocki. Złoto z czerwoną inkrustacją, wykonaną za pomocą techniki transparentnych emalii, powtarzającą kręte linie wyryte w samym metalu. Chyba w idealnym stanie.

I jeszcze nigdy nie widziała takiej broszy w złotej wersji. Z brązu owszem. Ze srebra też. Ale nigdy ze złota.

Popatrzyła na szefa. Sądząc po minie Shane'a, Smith-White mógłby równie dobrze trzymać w ręku sandwicza z tuńczykiem, bez majonezu.

Risa miała nadzieję, że jej twarz jest przynajmniej w połowie tak nieodgadniona jak Shane'a. I że nie widać po niej, jak bardzo pragnie wyrwać tę zapinkę Smith-White'owi, żeby dokładniej jej się przyjrzeć.

- Mogę? - zapytał Shane, wyciągając rękę.

- Oczywiście. Chce pan włożyć rękawiczki? - Smith-White wyjął rękawiczki. - Rozmiar XL, w sam raz na pańskie dłonie.

- Wolałbym nie - odparł Shane. - Wysokokaratowe złoto nie ulega uszkodzeniu przy krótkim kontakcie. Ale pan zna swoje złoto. Jeżeli nie powinno w ogóle stykać się ze skórą...

Smith-White nie zamierzał mówić, że według niego złoto jest niższej jakości. Nie chciał też zdejmować swoich rękawiczek. W milczeniu upuścił na stół zapasową parę.

- Mam podnieść broszkę z tacy? - zapytał spokojnie.

- Proszę - odparł Shane.

Risa z wprawą nałożyła własne gumowe rękawiczki. Im mniej powierzchnia złota była

zanieczyszczana przez kontakt ze skórą, tym łatwiej uzyskiwało się odpowiedzi na pytania podczas analizy laboratoryjnej. A Risa przeczuwała, że tych pytań pojawi się bardzo dużo.

Miała też nadzieję, że będzie zadowolona z uzyskanych odpowiedzi.

Przymrużonymi oczami patrzyła, jak Smith-White przekazuje broszkę jej szefowi. Obserwowała Shane'a, nie przedmiot. Chociaż nie potrafiła określić choćby jednej zmiany na jego twarzy, wiedziała, że on kupi ten okaz.

Spojrzał na nią, zorientował się, że rozumiała, co się święci, i nie wiedział, czy powinien odczuwać rozdrażnienie, bo zobaczyła coś, czego nie dostrzegł nikt inny, czy zadowolenie, że oszczędzają czas. Oglądał broszkę, potem podał ją Risie.

Złoto było w dotyku gorące, a nie zimne. Poczowała coś dziwnego w ramieniu: nie doznawała podobnego wrażenia od czasu pobytu w Walii. I nie chciała czuć tego już nigdy.

Wyjęła z kieszeni lupę jubilerską i obejrzała broszkę. Dziesięciokrotne powiększenie eksponowało piękno rytu. Miejscami wzory były abstrakcyjne, to znów wydawały się niepokojąco realne, kiedy krzywizny tworzyły ptasie łebki, które odlatywały, tworząc serię malejących i odwróconych liter V. Wolne przestrzenie między powtórzeniami centralnego motywu uderzały krwistoczerwoną barwą: ta technika emaliowania sprawiała, że mimo upływu stuleci kolor i faktura nie traciły nic ze swojej pierwotnej intensywności.

- Potrzebuję lepszego oświetlenia - powiedziała po chwili. - I na przyszłość, panie Tannahill, proszę wkładać rękawiczki. Łatwiej mi się wtedy pracuje.

Tylko Risa zauważyła lekkie zaskoczenie na jego twarzy. Wcześniej nigdy nie należała na wkładanie rękawiczek. Bez słowa wziął zapasową parę oferowaną przez Smith-White'a.

- Mogę? - zapytała Risa gościa, pokazując swoje stanowisko pracy. Machnął ręką na znak, że pozwala obejrzeć broszkę w dowolnie wybranym oświetleniu.

Na jednym z jej stołów roboczych w jasnym, pełnym spektrum światła było widać duże szkło powiększające na wahadłowej podpórcie. Wykorzystywała je, kiedy chciała rysować albo notować w trakcie badania artefaktu. Teraz potrzebowała mikroskopu z trzydziestokrotnym zoomem, który znajdował się na drugim stole. Przysunęła obrotowe krzesło, położyła broszkę, ustawiła zoom... i poczuła, że czas przepływa przez nią bezszelestnym strumieniem, zapierającym dech w piersiach.

Artysta trzymający broszkę śnił o tych wzorach i rył symbole w szczerym złocie. Każdy ruch reki był modlitwą do bogów władających niebem i błyskawicami, i światłem słońca, płonącego koła życia, które zniknęło i powracało, i człowiekiem, istotą tak małą, słabą i znużoną...

Risa odetchnęła, otrząsnęła się z tego snu na jawie i zmusiła do koncentracji na tym, co działo się tu i teraz.

Artefakt został wykonany ręcznie. To nie ulegało wątpliwości. Nieregularne krzywizny tylko potwierdzały tę tezę. Dawały wyrobowi ciepło, którego nie miała biżuteria produkowana maszynowo. Wzór był typowy dla celtyckiej klasyki - seria abstrakcyjnych, zygzakowatych linii, które w pewnych odstępach „rozkwitwały” i tworzyły trzyczęściowy deseń, nasuwający skojarzenie z ptasimi głowami. Na broszy widniały trzy takie kwiatowe motywy, każdy miał po trzy „liście”, a drugi „liść” z triady był żmudnie pokrywany czerwonym szkłem. Zygzak ulepszono złotą oddzielał emaliowaną część od zwykłego złota, tworząc wzór, który przypominał zarówno koło, jak i oko. Ptasia głowa po obu stronach emaliowanego deseni miała jeszcze wyrytą mniejszą wersję skomplikowanego, trzyczęściowego wzoru.

Długą, spiczasto zakończoną zapinkę wieńczył ten sam wzór. Artyście udało się dopasować deseń tak, że proporcje zostały zachowane mimo zwężającej się końcówki, aż do szpicy, wystarczająco ostrej, by przebić materiał. Złożoność motywu przyprawiała o zawrót głowy, podobnie jak kunszt wykonania. Starożytny artysta miał do dyspozycji tylko własne oczy i

modlitwy, a współczesna kuratorka potrzebowała mikroskopu, żeby docenić jego dzieło.

Dźwięk delikatnej filiżanki do kawy odstawianej przez Shane'a na równie delikatny spodek uprzytomnił Risie, że od dłuższego czasu panowała cisza.

- Tak - powiedziała obojętnym tonem, nie podnosząc głowy. - Całkiem ładna biżuteria. W świetnym stanie. Aż za świetnym. Przedmioty używane od VI, VII wieku naszej ery są bardziej zniszczone. O wiele bardziej.

- Chyba że przedstawiały dużą wartość dla właściciela - odparł gładko Smith-White. - Proszę pomyśleć o rytualnych przedmiotach papieża, świętych złotych symbolach, troskliwie przechowywanych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie, używanych tylko podczas wyjątkowych ceremonii.

W takim razie, jakim cudem znalazły się w twoich rękach? - pomyślała zgryźliwie Risa. Shane bez wątplenia zadawał sobie to samo pytanie. Problem polegał na tym, że on nie przywiązywał takiej wagi do pochodzenia artefaktu jak ona.

Nic nie mówiąc, Risa znowu długo przyglądała się broszy. Kiedy w końcu odsunęła lampę, zadbała o to, żeby kamera zarejestrowała artefakt w całej okazałości. Miała mnóstwo badań do wykonania i mało czasu.

Wiele by dała za bazę danych w Rarities Unlimited.

Niebale odwróciła okaz tak, żeby kamera ujęła go z drugiej, równie pięknie zdobionej strony. Potem zwróciła broszę Smith-White'owi.

Włożył złoty artefakt do wyściełanej aksamitem przegródki i zostawił na stoliku do kawy, żeby Shane mógł podziwiać drogocenny przedmiot i zechciał zapłacić za niego pół miliona dolarów. Minimum pół miliona. Smith-White wolno dolał sobie kawy i zgodnie z tureckimi obyczajami zaczął ją głośno siorbać, aż na dnie filiżanki zostały tylko fusy.

Strażnik przestąpił na drugą nogę.

Risa czekała. Znowu przyszło jej do głowy, że chętnie poświęciłaby swój manikiur na Smith-White'a. Spojrzała na zegarek.

Shane też to zrobił.

Smith-White zrozumiał aluzję. Sięgnął do aluminiowej skrzynki.

- Tu jest następny ładny egzemplarz - oznajmił. - Wotum podarowane bardzo, bardzo wpływowemu druidowi albo wykonane na jego prośbę w związku z ważną ceremonią religijną. Domyślam się, że chodziło o zimowe przesilenie, kiedy ci biedni, dygoczący z zimna dranie modlili się, żeby słońce wróciło na wyznaczone trajektorie.

Nie czekał, aż Shane poprosi o artefakt. Wyciągnął stylizowaną na konia statuetkę na wyściełanej aksamitem tacy. Shane przejął figurkę i omal nie wypuścił jej z ręki, gdy przeszedł przez nią jakiś silny prąd.

- Ciężar złota zawsze zaskakuje, prawda? - zagadnął Smith-White z uśmiechem satysfakcji.

Risa wiedziała, że tu chodzi o coś więcej. Przez ręce Shane'a przeszło tyle złota, że na pewno nie byłby zdziwiony jego ciężarem.

Ale coś niewątpliwie go zaskoczyło.

Kiedy Shane przeniósł wzrok ze statuetki na Risę, zrozumiała, że figurka zostanie zakupiona wraz z broszką.

Jasna cholera.

Risa z coraz większym zniecierpliwieniem czekała, aż Shane przekaze jej artefakt do zbadania. Ale zamiast po prostu podać rzeźbionego konia, wsunął dłoń pod rękę kuratorki, a drugą położył przedmiot na jej dłoni. Nie wiedziała, co było bardziej szokujące - żar jego dłoni czy gwałtowne doznanie, kiedy poczuła dotyk statuetki. Jedno nie ulegało wątpliwości: gdyby nie to, że objął jej rękę, upuściłaby bezcenną figurkę.

Zajrzała w bezgraniczną zieleń oczu szefa i zrozumiała, że on też zdawał sobie z tego sprawę.
- Dziękuję - wymamrotała ochryple.

Uśmiechnął się tak, jakby chciał powiedzieć: cała przyjemność po mojej stronie.

Bez słowa wstała i podeszła do swojego warsztatu. Przez całą drogę trzymała statuetkę oburącz. Nie odczuwała już pieczenia, ale mrowienie dłoni wywoływało żywe wspomnienia.

Znowu było jak w Walii.

Oszolomienie jak ciemna błyskawica, bezgłośnie krzyki dawno zmarłych ludzi, oddających cześć bogom, którzy również umarli...

Bezłitośnie stłumiła tę myśl i poczucie czasu wirującego wokół jak cicha burza. Westchnęła i skupiła uwagę na koniu.

Podobnie jak broszka koń został wykonany ręcznie; prawdopodobnie odlano go techniką wosku utraconego. Miał wyryte symbole i był bez wątpienia celtycki. W przeciwieństwie do broszy tu wzór pochodził raczej z okresu wczesnoceltyckiego. Ozdoby nie pokrywały całej dostępnej powierzchni. Występowały głównie na korpusie figurki. Centralnym symbolem było koło słońca wyryte na obu połyskujących bokach rzeźby. Każde koło miało wyryte na swoim obwodzie trzy mniejsze koła rozmieszczone w równych odstępach. Zamiast podków przy każdym kopycie wyrastał słoneczny krąg - bardzo elegancki wzór, robiący ogromne wrażenie. Ktoś, kto wykonał tę statuetkę, był znakomitym artystą i bardzo zręcznym rzemieślnikiem.

Żył co najmniej czterysta lat przed Chrystusem i pozostawał pod wpływem kultury, którą archeologowie nazwali lateńską, od miejsca, gdzie ten styl w sztuce został odkryty i zbadany. Koła-podkowy były z kolei produktem okresu wcześniejszego o dwieście lat, zwanego Hallstatt, od nazwy innego stanowiska archeologicznego.

Risa upewniła się, że statuetka jest dobrze widoczna z górnej ukrytej kamery, potem wróciła do mężczyzny.

- Bardzo ciekawe. - Odstawiła konia na tacę wyściełaną aksamitem.

- Po dwóch i pół tysiąca lat wyryty wzór ani trochę się nie zatarł. Statuetka wygląda tak, jakby ją zrobiono wczoraj.

Ale nawet gdyby mocno chciała, ani przez chwilę nie wierzyła, że to współczesna podróbka. W dodatku było w tej statuetce coś, co wywierało na Risę silny wpływ.

- Następna? - zagadnęła nonszalancko.

Smith-White zmarszczył brwi. Słyszał już, że kuratorka Shane'ajest twarda, ale po raz pierwszy miał z nią do czynienia osobiście. W milczeniu wyciągnął z aluminiowej skrzynki trzeci artefakt.

- Kolejna figurka wotywna - zwrócił się do Shane'a. - Świetnie zachowana.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - odezwała się Risa, nie adresując pytania do nikogo konkretnego.

Shane spojrział na nią z ukosa, potem wziął złotą statuetkę. Tym razem był przygotowany na piekącą energię i porażającą moc artefaktu.

Nawet nie zadrżała mu ręka. Podziwiał zdumiewającą złożoność deseni wyrytych na jeleniu, potem przekazał go Risie. Wyzrywające spojrzenie kuratorki uświadomiło mu, że jeśli jeszcze raz obejmie jej rękę, ona rzuci mu złoty przedmiot na kolana. Lekko się uśmiechając, postawił jelenia na delikatnej dłoni.

Risa lekko zadygotała, poza tym nie zdradzała żadnych emocji. Ale jej rozszerzone nozdrza świadczyły, że tak jak on, wyczuła w tym artefakcie pierwotną moc.

Ten wniosek przyprowadził ją o zawrót głowy, podobnie jak skomplikowany wzór wyryty na statuetce. *Śniła.*

Rozpoznawała tę moc. I uciekała od niej tak szybko, jak to możliwe. Przyrzekł sobie w głębi

duży, że dowie się dlaczego. Risa położyła jelenia pod mikroskop. Kiedy obraz był wyraźny, nie wiedziała, czy ma podziwiać niewiarygodne piękno artefaktu, czy opłakiwać wszystko to, co zaginęło wraz z upływem czasu i już nigdy nie zostanie odkryte.

- Celtycki - oznajmiła ochryple. - Co najmniej z IV albo V stulecia naszej ery. Właśnie patrzę na początek złotego wieku celtyckiej sztuki, której szczytem były iluminacje z *Księgi z Kells*. Styl wzorniczy na tym jeleniu wywodzi się raczej z Ewangeliarza z Lindisfarne, z początków okresu iluminacji. Rozszyfrowanie złożoności i wzajemnych powiązań symboliki tej statuetki mogłoby zająć całe życie. A nawet gdybym poświęciła tyle czasu, zrozumiałabym zaledwie ułamek tego, czego doświadczyłyby zarówno na poziomie emocjonalnym, jak i intelektualnym ktoś oglądający tego jelenia w tamtym czasie i miejscu. Przepadł nam kontekst. Tyle rzeczy... utraciliśmy.

Smith-White usłyszał szacunek w głosie Risy i zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, pokazując jelenia jako trzeci, a nie pierwszy w kolejności artefakt. Jemu najbardziej spektakularna wydała się opaska na ramię i dlatego zdecydował się zademonstrować ją ostatnią. Jeleń był ładny, rzeczywiście kunsztownie wykonany, ale od skomplikowanych deseni aż kręciło się w głowie. Opaska na ramię robiła na Smith-Whicie znacznie większe wrażenie.

Ciekawe, czy kuratorka Shane'a podzieli jego opinię. Risa znów ustawiła przedmiot do kamery, potem niechętnie zwróciła statuetkę Smith-White'owi.

- Jeszcze raz - zwróciła się do Shane'a - muszę podkreślić, że to mało prawdopodobne, by wyrób ze złota zachował się w tak dobrym stanie po kilkunastu stuleciach.

- Przyjmuję to do wiadomości - oświadczył.

Zanim podjęli dalszą dyskusję, Smith-White wyciągnął czwarty i ostatni artefakt.

- Ten jest po prostu wspaniały.

Risa miała ochotę od razu zaprzeczyć, ale nie miałyby to sensu.

Przedmiot robił olbrzymie wrażenie.

Shane przygotowywał się psychicznie na dotknięcie opaski na ramię. Efekt był piorunujący. Przeżywał coś podobnego z innymi artefaktami, ale nic nie mogło się równać z oddziaływaniem tego przedmiotu. Miał wrażenie, że chwycił goły przewód elektryczny.

Wstał i podszedł do Risy; stanął między nią i Smith-White'em, który obserwował wszystko bystrymi szarymi oczami.

- Przygotuj się - szepnął, żeby gość nie słyszał.

Ostrożnie wzięła do ręki opaskę. Poczowała falę gorąca. Czas zawirował, powodując zawrót głowy. Potem teraźniejszość wróciła do normy.

Ale wyraz twarzy Shane'a sugerował, że te kilka sekund dezorientacji, których Risa doświadczyła, w rzeczywistości trwało dość długo.

Nie protestowała, kiedy podszedł z nią do stołu. Położyła opaskę pod mikroskop i bardzo się starała nie ulec wielkiej mocy wzorów. Wmawiała sobie, że jej opór jest skuteczny.

Gęsia skórka na rękach sugerowała jednak, że Risa okłamuje samą siebie.

Zaprojektowana dla kogoś z barczystymi ramionami albo bardzo cienką szyją, ciężka opaska ze złota miała ze trzy palce szerokości. Wryty wzór mienił się w świetle tak, że zdawało się, iż złoto oddycha, żyje własnym życiem. Widziane bez powiększenia, symetryczne wzory w tle były typowe dla wyrobów ze skarbcza Snettisham, ale najbardziej rzucała się w oczy - i zapierała dech w piersiach - twarz wyzierająca z pomroków czasu.

Oczy w kształcie migdałów, pokryte niebieską emalią, z bardzo ciemnymi źrenicami, puste, a jednak wszystkowiedzące. Wysokie czoło, godne, by nosić koronę. Cienka linia nosa, brak ust. Twarz - a może czaszka - zdominowała skomplikowane desenie, które tworzyły bardzo abstrakcyjny splot linii symbolizujących gęsi. Po obu stronach czaszki znajdował się grubodzioby kruk.

Kruk zwiastujący śmierć, nieśmiertelne gęsi i ludzie, którzy żyją gdzieś pomiędzy i zmierzają poprzez śmierć do wieczności.

Mogłaby przysiąc, że nie mówiła niczego na głos, ale stojący obok niej Shane powiedział:

- Tak.

Risa uwolniła się spod magicznego wpływu sztuki.

- Artysta, który to stworzył, znał wszystkie style, od Hallstatt poprzez wszelkie odmiany stylu lateńskiego - oznajmiła obojętnym tonem. - Był prekursorem trendu całkowitego zapełniania przestrzeni, który stał się charakterystyczną cechą celtyckiego rzemiosła, o czym świadczy *Księga z Kells*.

- Twierdzisz, że on żył w XI stuleciu naszej ery? - zapytał Shane.

- On albo ona. Używam męskiej formy dla wygody. - Risa zrobiła szybki ruch ręką, gdy tylko znów otworzył usta. - Żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, musiałabym porównać wiele artefaktów, zwłaszcza tych, które znaleziono na miejscu. Bo ogólnie datowania dokonuje się dość arbitralnie na podstawie elementów stylu. Niestety, style mogą się nie zmieniać na jakimś obszarze celtyckiej cywilizacji, a w innym rejonie gwałtownie ewoluują. Dlatego wiele tez dotyczących wieku i pochodzenia danego artefaktu to tylko naukowo uzasadnione przypuszczenia. Owszem, nie biorą się z powietrza, ale nie dają żadnej pewności.

- Czy opaska może pochodzić z VI wieku?

- Zamierzasz ją kupić? - zapytała bardzo cicho.

- A jak myślisz?

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać o pochodzeniu tego przedmiotu.

- Dojdziemy do tego.

- Przed czy po sprzedaży? - odparowała ze złością. Nic nie odpowiedział.

Risa odwróciła się z goryczą, żeby spojrzeć na lśniącą opaskę, która powinna mieć złowrogą moc, a tak naprawdę po prostu robiła ogromne wrażenie. Zastanawiała się, dlaczego Shane w ogóle jej płacił, skoro albo ignorował fachową opinię, albo toczył zacięty bój.

Im dłużej wszyscy unikali tematu proveniencji, tym bardziej Risa była przekonana, że czeka ją ciężka bitwa z szefem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że artefakty były kradzione. Pozostawało jedynie pytanie: kiedy i gdzie.

I ile osób zginęło.

Rozdział 28

Las Vegas

3 listopada, wczesne popołudnie

Cisza w domu Mirandy Seton była tak gęsta, że miało się wrażenie, iż można ją pokroić. Cherelle krążyła tam i z powrotem, od salonu do kuchni, od kuchni do salonu, jak zjawą w zielonkawym jedwabiu.

Tim już powinien wrócić. O ile w ogóle wróci.

„Nie pokazuj mi się na oczy bez tej opaski. Nigdy”.

Mówiła wtedy serio. I to się nie zmieniło. Naprawdę bardzo chciała zdobyć tę opaskę. Im dłużej myślała o utracie którejkolwiek części złotego skarbu, tym bardziej obawiała się, że nie zostanie jej dość, by mogła osiągnąć w życiu to, czego chciała.

Nawet w postrzępionej tunice w lamparcie cętki, rajstopach i balet-kach Miranda Seton potrafiła się wtopić w tło pokoju, którego akurat nie zajmowała Cherelle. Stopniowo, krok po

kroku, zdołała dokonać dwóch rzeczy, odkąd mężczyźni wyjechali. Po pierwsze, uporządkowała pokój dzienny. Po drugie, wypila czajniczek wódki, aż świat znowu spowila dobrze znajoma, uspokajająca mgiełka.

Niestety nie było dość wódki w całym Las Vegas, żeby matka Tima czuła się dobrze, dzieląc przestrzeń z ponurą, zgorzkniałą dziewczyną swojego syna. Dlatego Miranda starała się za wszelką cenę pozostawać niewidzialna. Była w tym dobra: postępowała tak całe życie.

Ale strasznie ją drażniło to, że Cherelle ciągle bałaganiła, jakby była księżniczką, której należało usługiwać. Kluczyki do samochodu, szminka, grzebień, apaszka, buty, szczoteczka do zębów, pogniecione chusteczki do nosa i Bóg wie co jeszcze. Prawdziwy cud, że ta głupia suka potrafiła cokolwiek znaleźć w takim bałaganie.

Miranda wróciła do kuchni i pociągnęła słuszny łyk prosto z czajniczka. Odstawiła naczynie przypominające kształtem kurczaka i dostrzegła kolejny należący do Cherelle przedmiot na ladzie, tuż za miejscem, gdzie zazwyczaj stał czajniczek.

Był tam również stos chusteczek higienicznych, zupełnie jakby Cherelle przetrząsała swój nowy plecak w poszukiwaniu czegoś i rozrzuciła rzeczy na prawo i lewo, aby jak najszybciej dostać się do miękkiego skórzanego dna.

Wódka dodawała Mirandzie odwagi, dlatego kobieta złapała plastikowy klucz do pokoju i chusteczki, potem wybiegła do salonu. Omal nie wpadła na Cherelle, kiedy ta odwróciła się szybko jak kotka, budząc w niej popłoch. Miranda przywykła do życia prowadzonego w wolniejszym, sennym tempie.

- Co? - warknęła Cherelle, bardziej jakby czegoś żądała, a nie zadawała pytanie.

- Mam już dość sprzątanego po tobie rzeczy, ot co. - Miranda wyciągnęła dowody. - Patrz, co znalazłam w kuchni.

Cherelle machnęła ręką - pogniecione chusteczki poleciały za kanapę, a plastikowa karta-klucz spadała na podłogę.

- To było głupie - powiedziała Miranda. - I jak się teraz dostaniesz do swojego luksusowego pokoju w hotelu? Bo tu na pewno nie zostaniesz.

- Dostanę się tam tak jak poprzednio, drzwiami dla personelu obok wschodniego parkingu, potem windą, czternasty poziom, skręć w prawo, szóste drzwi po prawej stronie.

Zgryźliwy, monotony głos Cherelle wstrząsnął Mirandą. Podobnie jak ten drugi, pełen szyderstwa, którego nie mogła przytłumić nawet wódka: głos ojca Tima, wmawiający jej, że jest bezwartościową głupią kobietą. Teraz kolejny raz przypominała sobie wszystkie zniewagi.

- Och, cóż za inteligencja - mruknęła tonem udawanego podziwu. - Szkoda, że na nic ci się nie przyda bez klucza.

Zanim Cherelle zdążyła powiedzieć, gdzie Miranda może sobie wsadzić klucz, o który tak się martwiła, na zewnątrz rozległ się charakterystyczny, podobny do pierdzenia warkot silnika. Socks właśnie zaparkował fioletowe auto przed domem. Kobiety jednocześnie rzuciły się do frontowych drzwi. Cherelle, wyższa i szybsza, dotarła tam pierwsza.

Socks wygramolił się z nisko zawieszzonego samochodu i rozkołysanym krokiem wszedł do małego domu. Tima z nim nie było.

- Tchórz pewnie się chowa za siedzeniem - mruknęła Cherelle.

- Co? - zapytała Miranda.

Cherelle nic nie odpowiedziała. Obserwowała zbliżającego się Sock-sa. Zauważała wszystkie drobne zmiany, wywołane mieszanką narkotyków, testosteronu i adrenaliny. Twarz miał spiętą i zaczerwienioną, oczy rozlatane, a pod pachami widniały ciemne plamy potu.

Może niezbyt wiele miesięcy oferowała seks za gotówkę, ale był to dostatecznie długi okres, by nauczyć się oceniać mężczyzn. W tej chwili wygląd Socksa zwiastował złe wieści. Najgorsze

z możliwych.

Bez słowa okręciła się na pięcie, cofnęła, chwyciła za dużą torbę i skierowała się do drzwi, które prowadziły do garażu od kuchni.

Socks odepchnął Mirandę tak mocno, że się zatoczyła na kanapę i upadła na kolana. Rzucił się za Cherelle. Chwycił pasek plecaka. Obróciła się do Socksa, zanim zdołał wyrwać jej bagaż.

- Hej, dokąd to tak szybko idziesz? zapytał.

- Gdzie Tim?

Ciemne oczy poruszyły się niespokojnie. Oprócz okropnego zapachu kolejnych warstw potu Socks wydzielał jeszcze dziki, zwierzęcy odór, który sprawiał, że instynkt przetrwania kazał Cherelle uciekać jak najszybciej.

Ale nie była w stanie. Chyba że oddałaby plecak, a wraz z nim kilka niezwykle cennych sztuk złota, które Tim dał jej, żeby się zamknęła.

- Zaraz przyjdzie - odparł szorstkim tonem Socks. - Miał do załatwienia sprawę. Bardzo męską.

Teraz już rozpoznawała zapach towarzyszący smrodowi potu. Zapach krwi. Popatrzyła na szerokie ręce, które ścisnęły paski jej plecaka. Nie było krwi pod paznokciami ani w zgięciach kłykci. Ale na ramionach Socks miał smugi, jakby drapał się zakrwawionymi palcami.

- Męską sprawę? - Próbowała zachować spokój. - Mówisz, że poszedł się pieprzyć?

- Kazałaś mu nie wracać. - Socks się uśmiechnął. - No, to nie wraca. Poczula ból w żołądku. Socks był za bardzo pewny tego, że Tim został gdzieś indziej.

- A więc nie odzyskaliście tej opaski.

- O co tyle krzyku? Przecież masz mnóstwo złota. I mnie. Widzę, że to dla ciebie szczęśliwy dzień. Gdzie ono jest?

Cherelle już wiedziała, że będzie musiała uprawiać z nim seks, żeby jej nie pobił. Wyglądało na to, że choćby nie wiadomo jak ciężko pracowała, zawsze będzie kończyła pod jakimś spoconym, głupim, wieprzowa-tym sukinsynem po to tylko, żeby przeżyć. Zanim on skończy, na pewno zniszczy jej nowe ciuchy.

- W bezpiecznym miejscu - odparła niskim, schrypniętym głosem. Potem uśmiechnęła się i przysunęła do mężczyzny, którego najchętniej potraktowałaby nożem. - Jesteś pewien, że Tim nie ma zamiaru wracać?

- Tak, i nie mów, że to przeze mnie - odparł Socks, patrząc na zielony guzik falujący między piersiami Cherelle. - To ty jesteś taka wredna.

Zdobyła się na głębokie westchnienie, które uwydatniło jej biust.

Socksa na moment zatkało. Z trudem koncentrował się na tym, czego chciał naprawdę - na złocie. Zwłaszcza gdy jej sutki rysowały się tak wyraźnie pod bladym jedwabiem. Jak mężczyzna mógł pracować, kiedy kobieta bez stanika podsuwała mu pod nos świetną parę cycków? Socks z trudem przełknął ślinę i zmusił się do myślenia o czymś innym oprócz tego, że w końcu zarwie dupę, którą Tim tak często się przechwalał.

- No więc gdzie ono jest? - zapytał ochryple.

- W moich majtkach, cukiereczku, jak zawsze.

Jego spojrzenie powędrowało do krocza Cherelle. Cienki, blade jedwab ledwo zasłaniał to, co było pod spodem. Zobaczył tam przytulny, ciemny cień - najwyraźniej Cherelle w ogóle nie miała na sobie bielizny. Wepchnął jej rękę między uda.

- Masz świetną cipkę, ale nawet tobie nie udałoby się tam wsadzić całego złota.

Spojrzała nad jego barczystymi ramionami na drzwi. Stała w nich Miranda, przyglądając się parze z cynicznym uśmiechem, oczami zaszklonymi od nadmiaru wódki. Kiedy Cherelle odpinała guzik bluzki, zazdrościła Mirandzie pijackiego oszołomienia.

Rzeczywistość była do niczego.

- Och, mówiłeś o złocie? - zagadnęła Cherelle, przysuwając biodra do Socksa, tak jakby podobało jej się, że on ją obmacuje jak goryl. Dobrze sobie pomagaj. To będzie twój pierwszy i ostatni raz, pomyślała. - Jest w bezpiecznym miejscu.

Socks chrząknął.

- Jak bezpiecznym?

- Takie bezpieczeństwo mogą zapewnić tylko zamki, alarmy i strażnicy Złotego Runa.

Seksowne mrużenie i gorąca kobiecość sprawiały, że Socksowi naprawdę trudno było się skoncentrować. Po chwili Cherelle rozpięła mu rozporek i wsadziła do środka swoje zwinne palce. Poczuł, że krew napływa mu do krocza. Potrząsnął głową jak pies, który wybiega z wody.

- O rany. Mamy... - Głos uwiązał mu w gardle, kiedy zaczęła go drapać, lekko wbijając paznokcie w każde zagłębienie. - ...interes - dokończył zduszonym głosem.

- Kochanie, jedyny interes, jaki mam, mieści się w mojej ręczce.

Socks dał sobie spokój z myśleniem. Potraktował jej ręczne zabiegi jak grę wstępną. Kiedy będzie już gotowy, zedrze z niej te wymyślne ciuchy i nadzieje ją, jak trzeba.

Cherelle zrozumiała, że chwilowo się poddał - miał zaszkłone oczy i przyśpieszony oddech. Oceniała sytuację starannie i chłodno, jak przystało na dawną dziewczynę z branży. Kiedy moment wydał jej się odpowiedni, bez ostrzeżenia zatopiła paznokcie w członku, szarpnęła tak mocno, jak tylko mogła, i wyrznęła Socksa kolaniem w krocze.

Nie zdążył się zasłonić. Runął na podłogę. Z trudem łapał powietrze i wymiotował. Nie był w stanie zareagować, kiedy wyszarpnęła mu z ręki plecak i wybiegła z domu.

Dzięki pracowitej Mirandzie Cherelle przekonała się, że przynajmniej raz ma na miejscu kluczyki do samochodu. Opadła na fotel kierowcy i włączyła stacyjkę.

Zanim Socks dźwignął się na nogi, jej już dawno nie było.

Ignorowana zarówno przez uciekającą Cherelle, jak i powalonego Socksa, Miranda spokojnie wycofała się do pokoju dziennego i ostrożnie obserwowała przeklinającego mężczyznę. Jego skóra powoli odzyskiwała cielisty kolor, a z czoła zniknęły krople potu. Miranda doszła do wniosku, że Socks nie walnie jej tylko dlatego, że ona akurat była pod ręką, a on cierpiał. Stała w drzwiach kuchni. Na wypadek gdyby się myliła co do stanu jego umysłu, wołała nie odcinać sobie drogi odwrotu.

- Zabiję ją - sapał Socks, opierając się o ladę.

Miranda miała szczerą nadzieję, że tak się stanie. Cherelle była pierwszą kobietą, z którą Tim związał się na dłużej niż kilka miesięcy. Jej chłopiec zasługiwał na kogoś lepszego niż ta wredna dziwka.

- Najpierw będziesz musiał ją złapać - zauważyła. - Mogę ci pomóc.

Socks wyprostował się trochę, skrzywił z bólu i wrócił do pionu. Minie kilka dni, zanim przestaną go boleć jądra, ale zdarzały mu się już gorsze rzeczy, a i tak zawsze robił miązgę z faceta, który go zaczepił.

- Tak? W jaki sposób?

Miranda podała mu plastikową kartę-klucz i wyrecytowała szyderczy opis Cherelle, jak się idzie do jej pokoju w Złotym Runie.

Zanim Socks wyszedł, nauczył się tych instrukcji na pamięć.

Rozdział 29

Las Vegas

3 listopada, wczesne popołudnie

Odgłos jęków przebudził Tima. Zamroczony, powoli uświadamiał sobie, że to on wydaje te niskie, ochryple dźwięki. Otworzył oczy i próbował skupić na czymś uwagę. Bezskutecznie. Widział tylko wielki, szary pas ze smugą mglistego światła na końcu.

I czuł jeszcze ból. Straszny ból.

Wspomnienia przecinały jego świadomość jak noże. Szklana gablota wypełniona złotem i biżuterią. Poplamione smarem gałganki. Charczenie i Joey w konwulsjach na podłodze. Socks kopie właściciela lombardu. I daje jemu, Timowi, pistolet.

- O cholera - jęknął Tim. - Zabiłem faceta.

Socks strzela.

Stary kumpel z więzienia.

Próbował mnie zabić.

Potem Tim zatoczył się i zaczął upadać. Złapał się metalowej szafki.

Jezu, co ja mam na twarzy?

Rozpychając się i manewrując swoim szczupłym ciałem, Tim wypełził spod metalowej konstrukcji. Może by się przejął hukami i odgłosami szurania, ale jego klatka piersiowa była jak pulsujący ogień. Czuł przyпіływy bólu i mdłości. Gdyby nie to, że już leżał, na pewno by upadł.

Joey był niecałe dwa metry dalej. Usta miał obwisłe, oczy otwarte, ale niewidzące, skórę bladą jak nieboszczyk; cuchnął śmiercią.

To jago zabiłem.

Muszę się stąd wynieść.

Po długich zmaganiach zdołał stanąć na czworakach, potem dźwignąć się na nogi. Jęczał jak skatowany szczeniak, ale nie było nikogo, kto by go pocieszył. Podeszedł chwiejnym krokiem do drzwi na tyłach, które wychodziły na aleję. Stąd miał jeszcze tylko kilka przecznic do domu.

Odnosił wrażenie, że ta wędrówka nigdy się nie skończy i że idzie nagi po rozżarzonych węglach, tyle że czuł ogień w piersiach, a nie w stopach. Podtrzymywał go tylko zwierzęcy instynkt przetrwania, ten sam, który skłonił go kiedyś do zawarcia sztamy z Socksem. Jeżeli nie miałeś silnego kumpla w więzieniu, stawaleś się dziwką wszystkich.

Na wolności było zresztą podobnie.

Kiedy wyciągnął rękę do klamki tylnych drzwi mieszkania matki, znowu stał na czworakach. Wczołgał się na podłogę w kuchni.

Miranda wrzeszczała, aż uświadomiła sobie, że intruzem jest jej własny syn.

- Timmy! O mój Boże! Co się stało?

- Strzelali. - Przewrócił się na plecy i zemdlął.

Nawet pstrokata hawajska koszula Tima nie mogła ukryć powiększającej się plamy krwi. Miranda padła na kolana, szlochając. Człowiek, który był jedyną radością jej życia, leżał na podłodze i wykrwawiał się na śmierć.

- Timmy? - zapłakała.

Nic nie odpowiedział. Oddychał chrapliwie.

Świat dookoła niej zrobił się zimny i bardzo wyrazisty. Bez wahania podeszła do telefonu i wykręciła numer, którego nie chciała pamiętać, a nie potrafiła zapomnieć. Kiedy po drugiej stronie ktoś się odezwał, nie marnowała słów.

Bardzo szybko połączono ją z tym najważniejszym człowiekiem.

- Twój syn został postrzelony - poinformowała lakonicznie. - Natychmiast przyślij do domu pomoc.

Rozdział 30

Las Vegas

3 listopada, popołudnie

Risa patrzyła niechętnie, jak drzwi jej gabinetu zamykają się za uśmiechniętym Smith-White'em. Gwałtownie zdarła swoje rękawiczki i wyrzuciła je do najbliższego kosza na śmieci. Nie była szczęśliwa z powodu tego, co za chwilę nastąpi, ale wiedziała, że nie ma wyjścia.

- Zdajesz sobie sprawę, że właśnie wydałeś prawie dwa i pół miliona dolarów na towary, których nie wolno ci pokazać? - zagadnęła Shane'a.

- Plus nagroda w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Poza tym kto mówi, że nie mogę ich pokazać?

- Ja. - Risa podniosła dłoń, jakby chciała go odepchnąć. - Nie. Nie przerywaj. Wynająłeś mnie, żebym ci doradzała, więc teraz mnie wysłuchasz, do cholery. Pochodzenie, które Smith-White przedstawił, to jakiś dowcip. I to kiepski.

Shane z nieodgadnioną miną spojrzął na dokumenty artefaktów dostarczone przez Smith-White'a.

- „Zakupione od nieznanego z nazwiska południowoafrykańskiego kolekcjonera podczas II wojny światowej przez innego kolekcjonera, Jamesa Madisona, Amerykanina podróżującego po świecie. Wspomniana wyżej transakcja nie została uwiarygodniona na piśmie, lecz słownie potwierdzona przez prawnuka Madisona, który sprzedał złoto J.E. Shapiro w zeszłym tygodniu, żeby pokryć dług związany z hazardem. Shapiro sprzedał je Williamowi Covingtonowi, a ten Smith-White'owi. Wszystkie trzy niedawne transakcje zostały zarejestrowane zgodnie z wymogami” - odczytał.

- Wierzysz w to?

- A jak myślisz?

- Chcę jakiejś odpowiedzi! Shane uśmiechnął się lekko.

- Ja też. Zanim się przekonamy, kto pierwszy ma udzielić odpowiedzi, zaplanuj podróż do Rarities i to jak najszybciej. Niech przebadają te artefakty na wszystkie sposoby. Tobie zostawiam ustalenia dotyczące walorów artystycznych. Powiedz Danie, że zależy nam na dobrych zdjęciach. Jedno z nich prawdopodobnie znajdzie się na okładce katalogu wystawowego Złota Druidów.

- Ty zadzwoń do Dany. - Risa miała oczy jak szparki. Była wściekła. - Ja odchodzę.

Shane uniósł ciemne brwi.

- Wszyscy będą zakładali, że ze mną spałaś.

- A zatem moja reputacja zimnej bogini ucierpi. I co z tego? Lepsze to niż artykuły na temat moich powiązań z kradzionymi towarami.

- Udowodnij, że są kradzione.

- Udowodnię, jak tylko będę mogła sobie pozwolić na kompleksowe zbadanie tych artefaktów przez Rarities.

- Więc musisz dla mnie pracować, jeśli chcesz, żeby do tego doszło - zauważył Shane, uśmiechając się blado. - Rarities nie kiwnie palcem, chyba że jesteś właścicielem danego towaru

i prosisz firmę, żeby go przebadła.

Risa zacisnęła usta, żeby nie krzyżeć. Miał rację. Niech go diabli!

- Jeśli jednak - dodał, rzucając na biurko listę dotychczasowych transakcji Smith-White'a - zostaniesz u mnie, nie będziesz musiała płacić za nic. A później zawsze możesz odejść, kiedy zdobędziesz dowody, które ja, nie szczędząc zabiegów i pieniędzy, dla ciebie zgromadzę.

Risa doznawała nieprzyjemnego uczucia, że Shane nabija się z niej, a jednocześnie jest zadowolony, że chciała odejść w związku z artefaktami.

- Nie rozumiem.

- Zrozumiesz. Obiecuję.

- Jeśli nie, moja rezygnacja obowiązuje od teraz.

- Zgoda. No, zadzwoń do Dany.

Risa już sięgała po słuchawkę, ale właśnie w tym momencie telefon zadzwonił. Odebrała.

- Sheridan, słucham.

- Tu ochrona recepcji. Pani Cherelle Faulkner chciałaby, żebyśmy jej wyrobili nowy klucz. Twierdzi, że zgubiła swój.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają - mruknęła Risa, mając na myśli notoryczne bałaganiarstwo i rozrzepanie przyjaciółki. - Wyróbcie jej nowy klucz.

- Zmienić kod?

- Cholera - wycedziła przez zęby Risa. Naprawdę nie miała czasu ani ochoty zawracać sobie głowę wyrabianiem nowych kluczy do swojego apartamentu za każdym razem, gdy Cherelle zgubi swoje. - Nie. Kod zostaje ten sam.

Odłożyła słuchawkę i napotkała pytający wzrok Shane'a. To jasne, że chciał się dowiedzieć, co jest grane, ale nie miała siły na wyjaśnienia. Co gorsza, nie istniało proste wytłumaczenie, jeśli chodziło o Cherelle, zgubione klucze i wywołującą mieszane uczucia obecność dawnej przyjaciółki w apartamencie zajmowanym przez Risę w Złotym Runie.

- Nie teraz - mruknęła, wystukując numer Dany.

- Wobec tego później.

Wzruszyła ramionami, usiłując rozluźnić napięcie spowodowane pojawieniem się Cherelle, poczuciem winy, zniecierpliwieniem i ukradzionym złotem. Naprawdę nie miała ochoty rozmawiać o tych rzeczach.

O żadnej z nich.

- Risa? - naciskał Shane.

- Jasne. Później. Nieważne. - Ścisnęła słuchawkę. - Nie, nie do ciebie, Dano. Do mojego szefa. Przepraszam.

Shane słuchał, jak Risa ustala z Daną, że cztery złote przedmioty zostaną natychmiast dostarczone kurierską przesyłką do Rarities na kompleksowe badania. Ale nie myślał o złocie. Zastanawiała go niechęć Risy do rozmawiania o kobiecie, której rachunek w kasynie wynosił już prawie dziesięć tysięcy dolarów i wciąż rósł.

Można było zapewnić takiej wyrachowanej egoistce jak Cherelle Faulkner miejsce do spania i pozwolić, żeby nabijała rachunek. Ale dawanie jej klucza do ściśle strzeżonych pięter Złotego Runa to już coś zupełnie innego.

Rozdział 31

Las Vegas

3 listopada, popołudnie

Cherelle uśmiechnęła się do gorliwego młodzieńca za ladą recepcji, który zajmował się obsługą gości. Taki uśmiech gwarantował wzrost ciśnienia u mężczyzny, nie mówiąc o nadziei i kilku innych rzeczach. I chociaż obie ręce miała zajęte torbami, i tak zdołała musnąć owłosione palce, które podawały jej nowy klucz.

- Dzięki, złotko.

- Pomogę pani wnieść bagaż na górę.

- Och, nie mogę pana odrywać od pracy. - Uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie i cofnęła, zanim on zdążył powiedzieć, że jego praca polega właśnie na pomaganiu gościom. - Ale kiedy przyjdę z zakupów następnym razem, na pewno pana odszukam.

- Tak?

- Obiecuję - odparła, oglądając się przez ramię.

Jak tylko odwróciła się od młodego recepcjonisty, uśmiech zniknął. Była pewna, że Socks nie da jej spokoju. Nie wiedziała tylko, jak szybko drań dojdzie do siebie i będzie w stanie wyśledzić ją w Złotym Runie.

Zanim uszkodziłam mu rodowe klejnoty, powinnam go zapytać, co zrobił Timowi, pomyślała z goryczą. Potem mogłam zawiadomić gliniarzy i napuścić ich na Socksa.

Och, wciąż mogła to zrobić - zgłosić zaginięcie i wymienić Socksa jako ostatnią osobę, która widziała Tima żywego, ale gliny ruszyłyby tyłki za dwa dni albo i dwa tygodnie. O wiele za późno, żeby na tym skorzystała.

Chyba że odnalazłoby się ciało.

Idąca szybko Cherelle na moment zgubiła rytm. Woląca myśleć, że Socks nie zabiłby swojego dawnego towarzysza z celi, ale nie wierzyła w bajki od...

Nigdy nie wierzyła w bajki.

Zawsze potrafiła przejrzeć ładne historyjki na wylot. „Masz tu cukiereczka, dziewczynko. Wsiądź do mojego samochodu, to pojedziemy na miłą przejażdżkę. Och, tak, maleńka, Kocham cię”.

Jeśli Tim jeszcze żył, będzie musiał sam o siebie się zatroszczyć. Dawał świetne cukiereczki i zapewniał nieziemską jazdę, ale nie zamierzała po nim płakać. Strata czasu. Poza tym może nic mu nie było, tylko się ukrywał i czekał, aż ona ochłonie.

Odsunęła myśli o Timie w mroczne zakamarki świadomości. Sprawnie, niemal automatycznie uruchamiała windy, otwierała drzwi i szybko pokonywała korytarze, aż dotarła do apartamentu Risy.

I chociaż była zaniepokojona, to jednocześnie odczuwała zaskoczenie i satysfakcję: oto wchodziła do miejsca z pięknymi widokami miasta, pluszowymi dywanami, żywymi kolorami, łazienką, w której zmieściłaby się drużyna piłkarska, a w dodatku nie musiała robić nic poza rozkoszowaniem się luksusem. Zero sprzątanego, gotowania, prania, układania rzeczy Toma, mycia brudnej posadzki w łazience i zabijania karaluchów wypełzających z zardzewiałych rur.

Nie było też kokainy. Nie miała czasu, żeby się o nią postarać. Ale i tak życie w tym miejscu miało mnóstwo uroków. Szkoda, że musiało się skończyć. Ale musiało.

Rzuciła torby na łóżko i zaczęła szybko przerzucać ich zawartość. Krótka brązowa peruka. Sportowy stanik spłaszczający biust. T-shirt Złotego Runa, w największym rozmiarze. Workowate dzinsy. Nylonowe woreczki w różnych wariantach. Tenisówki. Ciężka wiatrówka w rozmiarze XXL. Agrafki. Czapeczka baseballowa i okulary przeciwsłoneczne. Duża poduszka do markowania ciąży.

Uśmiechnęła się. Postawiłaby wszystkie swoje wyroby ze złota, że jest pierwszą kobietą, która zwinęła ze sklepu z odzieżą dla przyszłych matek poduszkę imitującą ciężę.

Zerkając na zegar, Cherelle opróżniła dwie walizki. Wepchnęła wszystko co miała, z wyjątkiem złota, do jednej z eleganckich walizek Risy. Zmieściło się tam wszystko z wyjątkiem dużej zielonej torby. Z żalem odrzuciła ją na bok. Nawet ktoś tak tępy jak Socks rozpoznałby tę torbę, bez względu na to, jak wyglądała kobieta, która ją nosiła.

Ostrożnie owinęła artefakty papierem toaletowym, żeby nie robiły hałasu. Potem powkładała przedmioty do nylonowych woreczków, które zaprojektowano z myślą o przechowywaniu gotówki, kart kredytowych i drobnej biżuterii tuż przy ciele właściciela, i z dala od kieszonkowców. Agraftki błyszczały, kiedy przypinała paski do pasków, woreczki do woreczków i paski do woreczków.

Zanim osiągnęła satysfakcjonujący rezultat, zdążyła ułożyć złoto na swoim ciele pięć razy i zużyła wszystkie agraftki. Okazało się, że przeniesienie całego złota będzie cholernie trudnym zadaniem. Nawet kiedy wyjęła dwie najcięższe sztuki i zawiesiła je pod ramionami, nadal poruszała się jak kaczka. Kiedy w końcu wszystko przytroczyła, czuła się jak muł, a wyglądała jak burrito.

- Jak one to robią? - mruknęła pod nosem, lekko odchylając się do tyłu, żeby zrównoważyć obciążone biodra. - Ciężarne kobiety tyją ze dwadzieścia pięć kilo, a mimo to normalnie chodzą. Cholera. Ja noszę o wiele mniej, a wciąż się zataczam.

Na próbę podskoczyła. Nic nie zabrzęczało. Wszystko pozostało na swoim miejscu. No, prawie. Po ostatnim podskoku chwyciła poduszkę ciężową i przytroczyła ją tak, żeby zasłonić wszelkie wybrzuszenia.

Dżinsy niespecjalnie pasowały do tej dziwacznej „cięży”, ale twardy materiał pomagał wszystko przytrzymać, zwłaszcza kiedy użyła ostatniej agraftki. Wciągnęła sportowy biustonosz, zakłęta i ostrożnie się poruszyła, aż stanik przestał uwierać, a złoto już nie wbijało się we wrażliwą skórę pod pachami. Jaskrawy, czarno-złoty T-shirt dodatkowo maskował mnóstwo dziwnych wybruszeń. Podobnie jak niebieska wiatrówka.

W pięć minut Cherelle zrobiła sobie makijaż i nałożyła perukę. Cisnęła swoją wielką, skórzaną torbę na łóżko do góry nogami. Prawo jazdy, kluczyki do samochodu, gotówka, telefon komórkowy - wszystko to powędrowało do kieszeni kurtki. Reszta wylądowała w wózku.

Ostrożnie włożyła baseballówkę na perukę. Czapka była niemal tak samo jaskrawa jak bluzka z kasyna, ale przecież Cherelle nie zamierzała stać się niewidzialna. Po prostu nie chciała wyglądać jak dobrze ubrana blondynka z wielkimi cyckami.

Przeglądała się w lustrze przez dwie minuty, żeby mieć pewność, że spod stroju nic nie wystaje. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu do samej siebie, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem. Nic nie sprawiało jej takiej radości jak robienie w konia tępaków.

Szkoda, że Risa nie mogła brać udziału w tej zabawie, ale cóż, dawna przyjaciółka będzie musiała zrobić dokładnie to, co robiła Cherelle. Zadbaj o samą siebie.

Rozdział 32

Las Vegas

3 listopada, popołudnie

Idąc korytarzem do swojego apartamentu, Risa wmawiała sobie, że powłóczy nogami dlatego, że jest zmęczona, a nie dlatego, że po prostu nie ma ochoty na drugi wieczór wspomnień z Cherelle. Pamięć o dawnych czasach tylko podkreślała dystans dzielący teraz obie przyjaciółki i czyniła go bardziej bolesnym.

Nad zamkiem drzwi pokoju Risy widniała dyskretna karta magnetyczna z napisem: „Prosimy nie przeszkadzać”. Risa odetchnęła z ulgą. Cherelle może wyszła na zakupy albo brała kolejną kąpiel w pianie. Tak czy owak, Risa będzie miała szansę trochę odpocząć, zanim znowu przyjdzie pora na towarzyskie zobowiązania.

Przez kilka chwil stała i rozkoszowała się stonowaną elegancją holu wykładanego dywanem, zapachem świeżych kwiatów we wnękach ścian pokrytych brązem, połączanymi, ale prostymi ramkami botanicznych rysunków, które wisiały w rzędach. Ale nie mogła w nieskończoność odkładać wejścia do pokoju. Stłumiła westchnienie, zrzuciła służbową marynarkę, zdjęła pantofle na wysokich obcasach, wsadziła wszystkie te rzeczy pod pachę i wsunęła klucz do zamka.

- Cherelle? - zawołała z korytarza. - To ja. Nie... - Nagle umilkła. - Mój Boże, co się stało?

Wszystko było powywracane - zawartość szuflad, kredensów, szafek. W pokoju panował niewiarygodny bałagan.

Znowu zaczęła wołać Cherelle. Po chwili ogarnął ją strach. Może przyjaciółce znudziło się to miejsce i zaczęła je niszczyć? Mało prawdopodobne. W tym pomieszczeniu przebywał więc ktoś inny.

Może nadal tu był.

I czekał.

Risa się rozejrzała. Nie dość szybko. Czyjaś gruba ręka złapała ją za nadgarstek i pociągnęła dalej do środka apartamentu. Drzwi zaczęły się automatycznie zamykać, ale zablokowały je buty i marynarka upuszczone przez Risę.

- Gdzie ono jest? - zapytał mężczyzna w czarnej kominiarce.

- Ale co...?

Socks groźnie spojrzał na bladą kobietę z wielkimi niebieskimi oczami i drżącymi wargami. Co ona sobie myślała, że jest głupi?

- Złoto - warknął. - Gdzie to pieprzone złoto?

- Chyba pomyliłeś mnie z kimś innym? Jedyne złoto, o którym wiem, leży zamknięte w sejfie kasyna razem z...

Palce Socksa zacisnęły się wokół jej nadgarstka jak stalowe druty.

- Złoto, które zabrała temu staremu w Sedonie.

Risa chciała myśleć, że została złapana przez szaleńca w gumowych rękawiczkach i kominiarce. Z przerażeniem uświadomiła sobie jednak, że facet nie jest szaleńcem. Szalona była w nim wściekłość.

- Posłuchaj, chętnie pomogę ci znaleźć to, co zgubiłeś...

- Ta suka je ukradła - wrzasnął Socks. - Ja nic nie zgubiłem. Jaki tępny pierdolec gubiłby złoto warte miliony?

- Która suka? - zapytała Risa i modliła się w duchu, żeby jej przeczucie nie okazało się prawdą.

- Cherelle Faulkner, a któżby inny? Znasz jeszcze jakieś głupie suki mieszkające w tej okolicy?

Tylko siebie, Risa pomyślała z goryczą.

- No, więc gdzie złoto?

- Gdybyś opisał, co wzięła - zaczęła Risa ostrożnie - może zdołałabym ci pomóc.

Socks zastanawiał się nad propozycją i wszelkimi ukrytymi w niej haczykami. Przy okazji dobrze obejrzał sobie ofiarę. Babka z klasą, nie za chuda. A pod luźną koszulą miała naprawdę fajne cycki. Co do tyłka, trudno powiedzieć, bo zaślaniała go prosta, ciemna spódnica, ale wydawał się obiecujący. Szkoda, że mój kutas jeszcze nie nadaje się do harców, pomyślał z żalem Socks.

Risie nie podobało się natarczywe spojrzenie jego ciemnych oczu. Widywała je u mężczyzn zbyt często, odkąd zaczęły jej rosnąć piersi. Ale nie okazała ani strachu, ani obrzydzenia. To była jeszcze jedna rzecz, jakiej nauczyła się w dzieciństwie. Okażesz emocje, zwłaszcza lęk, i już po tobie.

- Jesteś facetem Cherelle? - zapytała Risa, próbując skłonić go, żeby podniósł wzrok.

Zacisnął wargi. Jego twarz wyrażała gniew i jeszcze mroczniejsze uczucia.

- Mógłbym nim być, ale ta suka ukradła moje złoto.

Risa zadawała sobie pytanie, czy to się stało przed czy po tym, jak świsnął klucz Cherelle do specjalnie chronionych pomieszczeń Złotego Runa. Zastanawiała się też, co stało się z Cherelle i jej nową kartą. Ale nie zamierzała o to pytać.

Odpowiedzi mogłyby jej się nie spodobać.

Ale bez względu na to, gdzie Cherelle teraz przebywała i w jakim stanie się znajdowała, Risa nie mogłaby jej pomóc. Najpierw musiała się uwolnić od tego świra w jaskrawej hawajskiej koszuli i okropnej kominiarce. Łagodnie, bardzo delikatnie sprawdziła, jak mocno ma ściśnięty nadgarstek. Już trochę lżej.

- Jakie złoto? - zapytała. - Monety? Biżuteria? Zegarki?

- Nie widziałem wszystkiego.

Risa nie powiedziała, że skoro nie widział złota, to jak może się uważać za właściciela. Napastnik nie był inteligentny, ale za to bardzo silny.

Zupełnie jak dawniej, pomyślała ze złością. Mój mózg kontra ich mięśnie.

- Możesz opisać to złoto, które widziałeś? - zapytała jęklwym głosem. - Naprawdę chcę ci pomóc, ale nie jestem w stanie, dopóki mi nie powiesz, czego szukasz.

Socks zmarszczył czoło.

- No, więc były dwie statuetki w kształcie psa albo jelenia, albo czegoś w tym stylu. I jeszcze dziwna zapinka. I opaska na ramię. Całkiem fajna. Przypominała czaszkę. Reszta towaru musiała wyglądać podobnie.

Risa poczuła ucisk w żołądku. To nie mogło być przypadkowe podobieństwo.

I na pewno wyjaśniało, dlaczego Cherelle po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zainteresowała się pracą Risy.

- Cherelle ukradła ci te rzeczy? - zapytała.

- Tak, i jeszcze sporo innych.

- Sporo - powtórzyła beznamiętnie Risa, ale w głowie miała istny mętlik. Jezus Maria, tych celtyckich artefaktów jest więcej.

Ta myśl wprawiała ją w oszołomienie, którego jednak bardzo się starała nie okazywać. Przybrała dawną pozę, kiedy wraz z Cherelle buszowały po wiejskich okolicach jak młode wilki: w czasach, gdy napotykały takich mężczyzn zbyt często.

- A więc... sporo - zaczęła - czyli naprawdę dużo czy niewiele więcej niż cztery?

Żyłaste palce znowu zacisnęły się na jej nadgarstku.

- A co cię obchodzi ile?

- Jezu, próbuję tylko pomóc. Jeśli mówisz o jednej lub dwóch sztukach, mogła je zostawić w toalecie. Jeżeli jest ich naprawdę dużo, to są gdzieś indziej.

- Z tego, co mówił Tim, musi ich być co najmniej dwadzieścia. Święta Mario, Matko Boża.

- Dobrze. A więc to naprawdę sporo, czyli możemy zapomnieć o toalecie. Demonstracyjnie rozejrzała się po apartamencie, a raczej jego ruinie. - Myślę, że nie zostawiła ich tutaj, bo już byś je znalazł.

- Chyba że masz skrytkę?

- Tak ci powiedziała?

- Tej suki nie było tutaj.

Risa poczuła ulgę. A więc Cherelle nie leżała pod tymi gruzami, ranna, pobita albo jeszcze gorzej.

- Nie mam żadnej skrytki z wyjątkiem... - Risa specjalnie nie dokończyła zdania. Dużo ryzykowała, ale czasami człowiek nie ma wyboru i musi grać tak, jak pozwalają na to okoliczności.

Socks szarpnął ją mocno, omal się nie przewróciła.

- Gdzie?

- Na dole, w publicznej toalecie obok audytoriów.

- Co? Jakie beznadziejne miejsce!

Wzruszyła ramionami.

- Ale się sprawdza.

Socks burknął coś i znowu się rozejrzał. Nic nie przychodziło mu do głowy. Zadarł koszulę, żeby pokazać Risie broń.

- Nie próbuj kombinować.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Hej, współpracuję z tobą. Nie musisz mi grozić.

- Ja tylko chcę, żebyś wiedziała.

Popchnął ją do drzwi. Idąc obok siebie, dotarli do windy. On cały czas ścisnął nadgarstek Risy. Szedł dziwnym krokiem. Trochę utykał, a trochę się kołysał. Przypominał pod tym względem raczej zgrzybiałego staruszka niż młodego mężczyznę.

Ale w jego morderczym uścisku nie było żadnej słabości.

Modliła się, żeby osoba, która akurat pełniła dyżur przy kamerach, była dostatecznie doświadczona i żeby wiedziała, że jeśli strażnik włączy się do akcji i zacznie strzelać, wiele osób może ucierpieć.

A Risa pierwsza.

Udział w wymianie ognia gwarantował wyprawę do szpitala. Albo do kostnicy.

Dopiero za trzecim razem zdołała włożyć kartę do otworu obok windy. Za bardzo trzęsła się jej ręka.

Kiedy drzwi się otworzyły, przysunął się do niej i uważnie obserwował, jak wciskała kolejne klawisze drżącymi palcami. W tej chwili denerwowała się przede wszystkim tym, że napastnik zauważy kamerę dyskretnie zamontowaną w suficie i spanikuje. Sam na sam w spadającej metalowej skrzyni z uzbrojonym nerwusem nie skończyłoby się dobrze -a właśnie do tego by doszło, gdyby uruchomiła alarm na panelu windy.

Kiedy winda zwolniła, mężczyzna zadarł kominiarkę i wepchnął ją do tylnej kieszeni. Specjalnie na niego nie patrzyła. Kamery lepiej zarejestrują twarz i nie zdenerwują napastnika.

Kiedy zjechali do lobby i Risa wysiadła, nie poczuła się ani trochę lepiej. Nie chciała, żeby gangster zaczął wariować w samym środku zatłoczonego kasyna. Musiała odwrócić jego uwagę choćby na sekundę, dwie: tyle czasu wystarczyłoby, żeby wyrwać się z jego uścisku i uciec.

Na drugim końcu sali stała długa kolejka wygłodzonych turystów, którzy czekali na swoją szansę wydania piętnastu dolarów za możliwość skorzystania ze szwedzkiego bufetu - jednej z atrakcji Złotego Runa. Po obu stronach pokoju błyskające automaty do gier wyśpiewywały obietnicę natychmiastowego wzbogacenia się. Najgłośniejsze - i najlepiej płacące - automaty stały blisko wejścia do Złotego Runa: każdy, kto tu wchodził, czuł pokusę wrzucenia kilku drobniaków do ładnych maszyn, które wypłacały gotówkę mniej więcej co trzecią grę. Później wydawało się trochę więcej pieniędzy w samym kasynie i jeszcze więcej przy stołach, a potem jeszcze więcej...

Mamy cię.

Risa kierowała się w stronę automatów, ale nie tych najpopularniejszych. Zależało jej na mniej uczęszczanych stanowiskach, bo tam do kosmicznej czarnej dziury wrzucali poplamione monety tylko najbardziej zagorzali wielbiciele hazardu. Przy końcu rzędu mniej popularnych automatów znajdowały się dwa audytoria, zamknięte w przerwach między pokazami. Między audytoriami znajdowała się toaleta, którą pracownicy nazywali Labiryntem, bo ludzie często się w niej gubili. Można było tam wejść drzwiami zachodnimi i południowymi, ale prawie nikt nie zwracał uwagi na oznakowanie, dlatego kiedy użytkownicy wychodzili, często okazywało się, że są w niewłaściwej części kasyna. Risa liczyła na to, że jej prześladowca należy do osób, które nie czytają znaków. A nawet jeśli nie zaliczał się do tej grupy, przynajmniej mogła spróbować popchnąć go na któryś z nieużywanych automatów. Wtedy uciekłaby, nie narażając tłumów gości na niebezpieczeństwo.

Socks zerknął na znaczek na drzwiach toalety. Spódniczka.

- A ty gdzie się wybierasz, do cholery?

- Poszukać złota. - Risa spojrzała mu w oczy i miała nadzieję, że nie straciła umiejętności, których nauczyła się od Cherelle. W tym przypadku: kłamania. Zawsze patrz ludziom prosto w oczy, przypomniała sobie. - Już mówiłam: tam jest duże lustro z szufladą, do której mogła...

- Ale to damski kibel! - wtrącił się Socks.

- Przecież nie ukryłaby złota w męskiej toalecie.

Socks się zastanowił.

- Masz minutę, żeby wrócić ze złotem. Potem sam tam wejdę i zrobię z ciebie marmoladę. I nawet nie próbuj się ukrywać w kabinie. Dobrze znam tę babską sztuczkę.

Zimne, ciemne oczy Socksa uświadomiły Risie, że minuta to było o pięćdziesiąt dziewięć sekund dłużej, niż chciał jej dać.

Sześćdziesiąt sekund to niedużo, ale zawsze coś.

Jak tylko puścił jej nadgarstek, przebiegła przez wymyślnie ozdobione drzwi i popędziła do zachodniego wejścia do toalety. W głowie miała tylko jedną myśl - dobiec do najbliższej windy dla personelu tak, aby nie zwrócić na siebie uwagi, i tam włączyć wszystkie alarmy jednocześnie.

Wypadła drugimi drzwiami. Teraz szła dużymi krokami.

Może i dotarłaby niepostrzeżenie do windy, ale akurat kiedy zbliżała się do jednego z automatów, padła w nim duża wygrana. Jak wszyscy inni, Socks odwrócił się, żeby popatrzeć na szczęśliwego zwycięzcę. I od razu zauważył uciekającą Risę.

- Hej! - wrzasnął, wyciągając broń.

Risa знаła rozkład kasyna na pamięć. Przyglup w hawajskiej koszuli odgradzał ją od drzwi prowadzących na ulicę. Najbliższa winda dla personelu znajdowała się tuż za stołami do bakarata i craps, które stały się przeszkodami na drodze ucieczki.

Przynajmniej wokół stołów nie działo się akurat zbyt wiele.

Wysoko zadarła spódniczkę i puściła się pędem. Nawet nie zamierzała omijać stołów. Wskoczyła na blat i zeskoczyła po drugiej stronie, źle odmierzyła kolejny skok - porzuciła żetony, a krupierzy bakarata i gracze rozpierzchli się we wszystkich kierunkach. Cały czas krzyczała: „On ma broń! Padnijcie! Z drogi!”, więc przed nią prawie w ogóle nie było ludzi.

Pierwsza kula wystrzelona przez Socksa rozwalila automat do gry. Druga zrobiła wyrwę wielkości pięści w stole do craps. Od trzeciej kuli eksplodował kieliszek z drinkiem na stole od bakarata, o który Risa dopiero co zawadziła. Gwałtownie skręciła w prawo i znikła za stalowymi rzędami automatów.

- Cholera! - warknął Socks.

Nie miał wysokiego ilorazu inteligencji, ale znał się na życiu. Wiedział, że jeśli chce spędzić

kilka następnych lat życia, paląc crack i posuwając laski, musi opuścić lokal.

I to szybko.

Z zaskakującą prędkością odwrócił się i pognął do frontowych drzwi. Ludzie rozbiegali się na wszystkie strony. Żaden ze strażników kasyna nie strzelał, bo w razie takich sytuacji mieli bardzo wyraźne rozkazy od Shane'a i policji Las Vegas: nie narażać postronnych osób na niebezpieczeństwo.

Zanim zaczęły wyc syreny pierwszych radiowozów podjeżdżających pod Złote Runo, Socks siedział już w swoim fioletowym aucie. Pocił się obficie i ciężko dyszał. Jego skopane krocze cholernie bolało. W głowie aż mu dudniło od prób myślenia. Mimo to nie wpadł na żaden pomysł, jak dostać się do złota. Stwierdził, że jedna spluwa to za mało.

Ale nie pozwoli, żeby przez tę sukę - właściwie dwie suki - wyszedł na głupka.

Pora włączyć do akcji wujka.

Uruchomił silnik samochodu. Włączyło się radio. Jakaś grupa raperów wykrzykiwała agresywne teksty.

Uśmiechając się i powarkując do wtóru słowom: „pieprzyć ich, zabić ich i zeżreć”, Socks ruszył przez dzielnicę Strip.

Rozdział 33

Las Vegas

3 listopada, popołudnie

Risa oparła się o ścianę obok windy dla personelu i próbowała wziąć głęboki oddech. Kiedy jej się to udało, w duchu przysięgła sobie, że będzie częściej korzystać ze służbowej siłowni. Przebiegła zaledwie kilkadziesiąt metrów, a miała wrażenie, że jej płuca ściskają stalowe obręcze.

Z drugiej strony, może to strach tak na nią wpływał.

- Na pewno dobrze się pani czuje? - zapytał jeden z umundurowanych strażników.

Skinęła głową, bo nie chciała marnować tchu na słowa.

- Policja już jedzie - zawołał inny strażnik. Znowu skinęła głową.

- Idę na górę, do mojego pokoju. Potrzebuję... chwili czasu. - Oczywiście - powiedział strażnik. - Odprowadzić panią? Pokręciła głową. Przez zgiełk kasyna przedarł się głos Shane'a.

- Gdzie ona jest?

- Tutaj.

Risa rzuciła usłużnemu strażnikowi ponure spojrzenie. Wiedziała, że Shane mocno ją zbeszta, że naraziła wszystkich w kasynie na niebezpieczeństwo, chociaż bardzo się starała uniknąć takiego rozwiązania.

A niech to diabli.

Wyprostowała się, powoli nabrała powietrza w płuca i patrzyła, jak Shane sunie ku niej jak burza gradowa. Bez słowa wpełchnął ją do windy i wstukał kod. Drzwi się zamknęły. Kabina ani drgnęła.

- Przepraszam - wysapała Risa, żeby uprzedzić wściekłą tyradę Shane'a. - Próbowałam nie robić zamieszania, ale ktoś akurat wygrał i...

- Dobrze się czujesz? - przerwał jej Shane.

- Tak.

- Ja nie.

- Co...? - zaczęła.

Shane zakrył ręką obiektyw kamery na suficie. Drugą chwycił Risę i przerwał jej pytanie pocałunkiem.

Czasami się zastanawiała, jak on całuje. Teraz miała okazję się przekonać.

Namiętnie.

Porywczo.

Już czuła się uzależniona.

Wydała schrypnięty odgłos, oplótła go ramionami i odwzajemniła się równie gorącym, spragnionym pocałunkiem. Shane był lepszy niż wino, słodszy, bardziej dziki. Pragnęła być w jego skórze, zasmakować muskularnego ciała, pograć się w nim, zapomnieć, kim jest i gdzie jest, aż będzie istniał tylko on, aż zgasną gwiazdy i wszechświat zrobi się ciemny.

- Riso - mruknął cicho. Wodził ręką po jej plecach, co raczej budziło podniecenie niż uspokajało. - Cicho, kochanie. Ja też cię pragnę.

Oszołomiona, uświadomiła sobie, że obsypując pocałunkami Shane'a, wypowiadała swoje myśli na głos. Oparła czoło o jego brodę i usiłowała spokojnie oddychać. Najpierw atak paniki, potem pożądania całkowicie wytracił ją z równowagi.

- Przepraszam - wyszeptwała.

- Jeżeli zamierzasz przeproszać za bieg przez kasyno, to porządnie mnie wkurzysz.

Pokręciła głową.

- Za to, że się na ciebie rzuciłam.

Jego śmiech poruszył włoskami na jej skroniach.

- Ja pierwszy się na ciebie rzuciłem.

Z trudem zaczerpnęła powietrza.

- O tak. Zgadza się. Myślałam, że ta część mi się przyśniła.

- Odświeżyłbym ci pamięć, ale policjanci pewnie już tu dotarli.

- No i?

- Kiedy pocałuję cię następnym razem, nie przestanę, dopóki nie będziemy się kochać tak, aż zgasną gwiazdy, a wszechświat zrobi się ciemny.

Wiedziała, że się czerwieni.

- Nie powinnam... Nie miałam na myśli... - Urwała.

- Nie miałaś na myśli tego, co powiedziałaś?

Tylko zadygotała.

Ujął podbródek Risy i przysunął jej twarz do siebie. Miała pełne, czerwone, wilgotne, głodne usta. Już sam ten widok sprawiał, że Shane niemal zupełnie tracił panowanie nad sobą.

- Mówiłaś poważnie?

Szorstkość jego głosu przypominała dotyk chropowatego języka kota. Miała ochotę czuć ją na całym ciele.

- Tak. A ty?

Przepełniony żarem pożądania, przycisnął Risę, dobitnie pokazując, jak bardzo jej pragnie. Kiedy zamruczała z aprobatą, sięgnął do rozporoka.

I wtedy coś sobie przypomniał.

Cholera.

- Jeśli cię podniosę, dasz radę rozbić kamerę? - zapytał. Zamrugowała, popatrzyła na jego rękę opartą o sufit nad kratką. Potem pokręciła głową, jakby ktoś chlusnął jej wodą w twarz.

- Kamera. O kurczę.

- Właśnie.

Cofnął rękę z kratki, wstukał kod parteru i popatrzył na Risę spod ciężkich powiek. Kiedy

drzwi znów się otworzyły, pociągnął ją delikatnie na korytarz.

- To nie moje piętro - powiedziała.

- Wiem.

Zanim zdążyła zadać pytanie, już była w jednym z apartamentów kompleksu i miała za plecami zamknięte na klucz drzwi, a Shane mocno ją obejmował.

- No, więc na czym stanęliśmy? - zagadnął.

- Na dotykaniu się nawzajem.

- Pokaż mi, jak to robiliśmy.

Obserwował jej oczy, gdy zsuwała ręce z jego piersi do ud. Kiedy zaczęła masować napięte mięśnie, aż mu dech zaparło. Była tak blisko, a jednak nie dość blisko.

- Chciałem to zrobić powoli - mruknął schrypniętym głosem. - Teraz mam w głowie inny plan.

- W głowie? - Z udawanym spokojem rozpięła mu spodnie i przekonała się, że jest gotowy. Pogładziła jego naprężony członek. - Zawsze mi mówiono, że mężczyźni myślą przyrodzeniem, ale w to nie wierzyłam.

- Uwierz w to. - Jego zgrabne, zwinne palce powędrowały od szyi do piersi, potem zsunęły się do ud, podkasały spódnicę, rozpalając w Risie żar. - A czym myślą kobiety?

- Jesteś blisko celu.

Jego ręce sunęły dalej.

- Już dotarłeś. - Na moment przestała oddychać. Czuła gorączkowe dreszcze. Odruchowo poruszała biodrami. Zamknęła oczy, gdy przeszył ją dreszcz pierwszego, małego orgazmu.

Zanim poczuła ciepło w opuszkach palców, już była na dywanie, a Shane swobodnie na nią napierał. Nigdy w życiu nie doznała tak wielkiej przyjemności. Potem zaczął się w niej poruszać. Miała wrażenie, że wiruje w powietrzu. Dygotała, płakała i z każdym krótkim oddechem wypowiadała imię kochanka.

Shane poczuł kolejny spazm rozkoszy Risy. Wciąż wślizgiwał się w nią, bo było mu zbyt dobrze, żeby przestać. Każdy gorący dreszcz rozkoszy wydawał się mocniejszy od poprzedniego, aż ciało zadygotało w gwałtownym przypiływie ulgi. Risa osiągnęła orgazm, a Shane poddał mu się z taką intensywnością, że świat dookoła nich stał się wielką, pulsującą, czarną pustką.

Wreszcie Shane zaczerpnął powietrza dostatecznie dużo, by wypowiedzieć jej imię. Przewrócił się na plecy, pociągając Risę ze sobą. Poczuł, że zaciska się wokół niego. Najwyraźniej lubiła mieć go w środku, nawet gdy leżała bezwładna i wyczerpana na jego piersi. Napiął wszystkie mięśnie bioder - znów zadygotała. Jej podniecenie szybko mu się udzieliło.

- Jezu, wykończymy się nawzajem - wymamrotał ochryple.

- Przechwalasz się czy narzekasz? - zapytała z ustami wtulonymi w jego kark.

Właśnie znów kupuję bilety wstępu. Dużo biletów.

- Dobrze. Pod warunkiem że nie będę się musiała wkrótce poruszyć.

- Zdefiniuj „wkrótce”.

- Bieżące stulecie. - Westchnęła. - Co mnie łaskocze w udo, do cholery?

- To mój pager wibruje.

- Hm, co za ulga. Już myślałam, że może masz dwa członki.

Śmiejąc się, sięgnął do kieszeni spodni, które miał zsunięte z bioder, i wyciągnął służbowy pager. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Susan Chatworth. Nie zmieniając pozycji, wygrzebał zza paska aparat i wystukał numer.

- Tannahill - powiedział.

- Przyjechała policja. Chce pan, żeby rozmowa odbyła się w pańskim gabinecie?

Idealnie obojętny ton głosu asystentki świadczył o tym, że osoba, która monitorowała kamerę

windy, najpewniej już obwieściła wszystkim, że Shane dorwał swoją kuratorkę. A ona odwzajemniła awanse.

- Tak, w moim gabinecie - odparł.

- Dobrze, proszę pana. Od razu?

Przygryzł wargi, żeby nie zakląć, bo wyczuł, że Susan nabija się z niego, jakby miała ochotę zapytać: „Na pewno nie chce pan więcej czasu na szybki numer?” Ale był zbyt szczęśliwy, żeby odczuwać irytację.

- Przyślij ich na górę - powiedział. - Ktoś poszedł za facetem, który złapał Rise?

- Przykro mi, sir. Wymachiwał bronią, a pan nakazał...

- W porządku - przerwał jej Shane. - Czy ktoś w kasynie został ranny?

- Nie. Większość gości gromadzi się wokół automatu, w którym przestrelili dziurę. Inni podziwiają wyrwę w stole do bakarata. Kilka osób od razu poszło do baru. No i mamy tu policję.

- Rozlicz się z tymi, których gra została przerwana. Jeśli ktoś nie zaakceptuje wypłacanych stawek, puść mu nagranie z kamer.

- Tak, proszę pana. Czy pani Sheridan dobrze się czuje? Pomoc medyczna jest w drodze.

- Sprawdź. - Shane powiodł ręką po plecach Risy, docierając aż do zmysłowych bioder. - Wszystko w porządku, Riso?

- W jak najlepszym. - Dmuchnęła mu w podbródek. Śmiejąc się, Shane zdjął kciuk z mikrofonu słuchawki.

- Nic jej nie jest.

Rozdział 34

Las Vegas

3 listopada, popołudnie

John Firenze patrzył na kuzyna i żałował, że siostra miała tak fatalny gust, jeśli chodziło o mężczyzn. Facet, który spłodził Cesara, okazał się zwykłym mięśniakiem. A Cesar był wykapanym synem swojego ojca z jednym wyjątkiem: miał krew rodu Firenze. Rodzinę należało chronić przed głupotą tak długo, jak to możliwe. Kiedy już nie dało się tego robić... no cóż, jego ukochana siostra nie żyła, a matka nie musi wiedzieć, co się stało z jej jedynym wnukiem.

Socks przestępował z nogi na nogę i przenosił ciężar plecaka Tima na swoich barczystych plecach. Czuł się jak dzieciak wezwany do gabinetu dyrektora za to, że uszczypnął jakąś dziewczynę w cycek. Firenze z wyglądu nawet przypominał dyrektora. Ciemny garnitur, biała koszula, krawat w paski, rzednące, zaczesane do tyłu włosy, ręce z bliznami z czasów młodości, kiedy bił się na pięści i był świadkiem gasnącej świetności mafii i Las Vegas. Socks wręcz nie mógł uwierzyć, że Dzieciak Firenze wyrósł na opanowanego faceta w garniturze.

Ale tak się właśnie stało.

Firenze oparł się na dużym, dyrektorskim krześle ze skóry i obserwował siostrzeńca niewzruszonymi, czarnymi oczami.

Zaraz, przekonajmy się, czy dobrze zrozumiałem. Właśnie zabiłeś dwóch facetów...

- Nie zabiłem Joeya - przerwał mu szybko Socks. - Tim to zrobił. Więc go sprzątnąłem.

- Nieważne. Dwie osoby nie żyją.

Socks wzruszył ramionami.

- Tak.

- Gdzie broń, której użyłeś?

- W kanale ściekowym. Straszna szkoda. Spluwa dużo kosztowała. Firenze chrząknął.

- Miałeś rękawiczki?

- Kurczę, tak. Głupi nie jestem.

- Gdzie one są?

- Wrzuciłem do kibla.

- Tutaj? - zapytał ostro Firenze.

- Nie. W toalecie na całodobowej stacji przy autostradzie międzystanowej. Mówiłem ci, że nie jestem głupi.

To akurat budziło wątpliwości, ale przynajmniej można było tego chłopaka czegoś nauczyć. Nie zapomniał, jak zaciera się ślady po brudnej robocie.

- Gliny już cię znalazły?

- Z tego, co wiem, nawet nie mają jeszcze ciała. Sprzedałem swoje radio z policyjną częstotliwością, więc nie jestem pewny.

Na biurku Firenze'a zadzwonił jeden z pięciu telefonów. Zignorował go, podobnie jak nie zwracał uwagi na ciche buczenie komputera za każdym razem, gdy nadchodził nowy e-mail.

- Ktoś cię widział?

- Wyszedłem aleją, potem dotarłem do kiosku z burgerami, gdzie zostawiłem zaparkowany samochód. Zawsze pamiętam twoje słowa, że nie powinno się parkować w pobliżu roboty.

Firenze skrzywił się na myśl o krzykliwym, fioletowym kolorze samochodu Socks'a. Nawet gdyby chłopak zaparkował ten wóz po drugiej stronie księżycy, ktoś i tak by go zauważył. Firenze zawsze obawiał się, że tępy syneczek Delii kiedyś wpakuje się w takie kłopoty, że nie wyciągnie go z nich nawet wpływowy wuj.

Wyglądało na to, że ten smutny dzień w końcu nadszedł.

- A ty widziałeś kogoś? - zapytał Firenze. Socks zmarszczył brwi.

- Jakiegoś pijaczka, który sikał na ulicy przy lombardzie Joeya. To źle? Firenze miał szczerą nadzieję, że nie.

- Dobrze. Wyszedłeś z tego czysty.

Socks gorliwie pokiwał głową.

- Wobec tego dlaczego przyszedłeś do mnie? - zapytał Firenze.

- Hm, właściwie to chodzi o Joeya. Naprawdę mnie orznął. Firenze czekał. Fakt, że ktoś został naciągnięty przez właściciela lombardu, nie kwalifikował się jako specjalnie emocjonująca wiadomość.

- To znaczy, ostro mnie orznął - upierał się Socks. - Towar, który miałem, był wart co najmniej milion, a on dał mi tylko...

- Milion? - przerwał mu Firenze, gwałtownie pochylając się do przodu. - A dlaczego, do cholery, obrabiałeś sklepy z biżuterią? Ile razy muszę ci powtarzać, że takie luksusowe miejsca nie są...

- Nie ukradłem żadnej biżuterii - przerwał mu w pół zdania Socks. Mówił szybko. - Pamiętam, czego mnie nauczyłeś, wujku Johnie. A ten towar wcale nie pochodzi z luksusowego miejsca.

Firenze znowu oparł się wygodnie na fotelu.

- Co to był za towar?

- Złoto.

- Przyznaję, jesteś silny jak byk, ale nawet ty nie dałbyś rady przenieść miliona w złocie.

Socks nie bardzo załapywał, o co chodzi wujowi, więc odniósł się tylko do tego, co rozumiał.

- Laska Tima powiedziała, że ten towar jest wart milion. To było złoto, małe posążki, podobne do zabawek. Poza tym to bystra baba, więc chyba wie, o czym mówi, nie?

Firenze czuł, że zaraz będzie miał potężny ból głowy. Ten ból nazywał się Cesar.

- Tim, facet, którego załatwiłeś, tak? Socks skinął głową.

- To gdzie jest teraz jego laska? - zapytał Firenze.

- Właśnie miałem o tym powiedzieć - jęknął Socks.

- To gadaj szybciej.

- Dobra. W porządku. Zabiła tego starego, wzięła złote zabawki, dała dziesięć Timowi, a sobie zostawiła jeszcze więcej. Sprzedaliśmy cztery sztuki Joeyowi, a on zapłacił nam grosze. Poszliśmy odzyskać złoto, ale już zdążył je opchnąć Shapiro. Tim zastrzelił Joeya, ja rąbnąłem Tima. Później pojechałem zabrać resztę złota, wtedy ta suka omal nie urwała mi kutasa i zwiąła. Poszedłem więc do jej pokoju, a tam pusto. Potem weszła jak^ś baba i mówi, że wie, gdzie jest złoto. Zeszliśmy do kasyna...

- Kasyna!?

Socks nie przestawał mówić.

- ...więc ona poprowadziła do kibla, żeby zabrać złoto, ale oszukała mnie i uciekła. Zacząłem strzelać. Pieprzony babsztyl zwiewał jak koń wyścigowy, więc nie trafiłem. W końcu się zmyłem, no i przyszedłem tutaj.

Firenze już nawet nie pytał, ile osób widziało Socksa. Nie miało to znaczenia. Wszystko zostało zarejestrowane cyfrowo i teraz znajdowało się w centralnym komputerze kasyna.

- Gdzie?

- Co? Tutaj, przecież mówiłem.

- Zrobiłeś to w Rzymskim Cyrku? - zapytał Firenze z wściekłością.

- Nie. W Złotym Runie.

Dudnienie w głowie Firenze'a przerodziło się w rytmiczne, dotkliwe kłucie.

- Pamiętasz, co ci mówiłem o kamerach? - zapytał cicho.

- Hm... tak. Miałem na głowie kominiarkę. - Przez jakiś czas, dodał w myślach. Ale nie zamierzał się rozwodzić nad tą częścią akcji. Nawet jego zasadniczy wuj nie oczekiwał chyba, że siostrzeniec będzie chodził w kominiarce po głównym poziomie Złotego Runa. Wyszarpnął czapkę z kieszeni spodni. - Widzisz?

Firenze zerknął na pognieciony materiał.

- Chcesz jeszcze coś powiedzieć?

- Na przykład co? - zagadnął Socks.

- Na przykład, co według ciebie mam z tym wszystkim zrobić?

Socks się rozpogodził.

- Pomyślałem, że mógłbyś upłynnić resztę tego złota za sumę bliższą jego wartości, kapujesz? A potem...

- Czekaj. - Firenze podniósł rękę. - Mówiłeś, że ta suka ma złoto i zwiąła.

- Większość zgarnęła, tak. - Socks zrzucił z ramienia plecak. - Ale Tim miał jeszcze trochę złota.

Po raz pierwszy Firenze wyglądał na zainteresowanego.

- Dawaj je tutaj.

Socks szybko podszedł do dużego, bardzo błyszczącego, czarnego biurka. Wypolerowanej powierzchni nie zaśmiecały żadne papierki. Na grubym, kremowym papierze, ozdobionym logo Rzymskiego Cyrku (chórzystka z gołymi piersiami i dwoma ryczącymi lwami przy boku) leżało pióro z kości słoniowej.

- Właściwie nie miałem czasu, żeby dobrze się przyjrzeć temu gównu. - Socks niecierpliwie

szarpnął sprzączki i rzepy.

- Gdzie masz rękawiczki? - warknął Firenze.

- Co takiego?

- Posłuchaj mnie uważnie. Chyba nie chcesz, żeby twoje odciski palców znalazły się na towarze pochodzącym od faceta, którego zabiłeś.

- Zrobiłem tak, żeby wyglądało, że Joey go zabił.

Na myśl o tym, że jego świrięty siostrzeniec próbuje sobie stworzyć alibi, Firenze dostał jeszcze większego bólu głowy.

- Włóż rękawiczki.

- Wywaliłem ostatnią parę.

- To kup sobie kilka par. A do tego czasu nie dotykaj towaru. Zrozumiano?

- Tak.

Z niezadowoloną miną Socks zaczął grzebać w plecaku. Po kolei wyjął sześć sztuk owiniętych w skarpetki albo bieliznę i wyłożył je na wypolerowane biurko. Firenze patrzył na tę scenę jak sęp usiłujący się przekonać, czy jego następny posiłek w końcu dał za wygraną i zdechł. Kiedy Socks zaczął wytrząsać jedną sztukę z zawiniątka, wuj gwałtownym ruchem ręki dał mu znać, żeby się cofnął.

- Ja to zrobię. Nie chcę, żebyś mi porysował biurko.

Z delikatnością, która zaskakiwała u tak zwalistego mężczyzny, Firenze położył pierwszy złoty artefakt na kremowy arkusz papieru. Pomimo że był ostrożny, statuetka uderzyła w stół z łomotem. Firenze wytrzeszczył, potem zmrużył oczy. Po chwili odwinął kolejne pięć wyrobów, jeden po drugim.

Długo się w nie wpatrywał. Dwie statuetki, pierścień, jakaś zapinka, naszyjnik z plecionych w warkocz łańcuchów, opaska na ramię szeroka na dziesięć centymetrów; na sam jej widok Firenze dostał gęsiej skórki.

- Co to jest, u diabła?

- Mówiłem ci. Złoto.

- Widzę. Ale jakie złoto?

- Nie wiem. Joey mówił, że Shapiro zapłacił mu pięćdziesiąt tysięcy za cztery takie sztuki. A my mamy tu ile, sześć? Czyli powinny być warte, hm, więcej.

Jezu, ten chłopak prawie nie umie liczyć. Firenze starał się nie pamiętać o wadach siostrzeńca i skupić uwagę na bieżącym problemie. Shapiro był cwaniaczkiem, który jęczał nad każdym groszem, jaki wypłacał za towar w swoim lombardzie.

- Jeśli dał pięćdziesiąt - mruknął - to ten towar musi być warty pięć razy więcej. Cholera, może i dziesięć razy więcej.

- Też tak pomyślałem. Ale Joey nie żyje i nic nie działo, a ja nie ufam Shapiro, no i ta suka ma pewno o wiele więcej złota, a bez pomocy go nie wydostanę. Więc przychodzę tutaj, do swojego ulubionego wuja. Rodzinie chyba mogę ufać, co?

- Jasne - odparł Firenze z roztargnieniem. - Czy ta lala jakoś się nazywa?

- Cherelle Faulkner.

Serce Firenze'a zaczęło bić znacznie szybciej. Wziął z biurka złożoną kartkę i zerknął na informacje przekazane telefonicznie przez kogoś, kto nie chciał wyświadczać Tannahillowi żadnych przysług.

„Risa Sheridan i Cherelle Faulkner bardzo dobrze się znają. Zbadaj tę sprawę, a będziesz mógł złapać Tannahilla za jaja”.

- Opowiedz mi o niej.

- Świetne cycki, tyłek, który nigdy się nie męczy, i...

- Daj spokój - przerwał mu niecierpliwie Firenze. - To dziwka, złodziejka, ćpunka... kim ona jest?

- Już się nie puszcza. Razem z Timem założyli w Sedonie biznes z channelingiem. Dzięki temu wchodzi do bogatych domów, potem Tim i ja podpieprzamy stamtąd rzeczy. Uwielbia palić crack i wdychać biały proszek, ale nic sobie nie wstrzykuje.

- Siedziała w więzieniu?

- Nie wiem. Na pewno nie w ciągu ostatnich kilku lat.

- Jak się spiknęła z Risą Sheridan?

- Z kim?

- Z kobietą, którą próbowałeś zastrzelić w kasynie - warknął Fi-renze. Chryste, z jednej anonimowej rozmowy telefonicznej dowiedział się o Risie więcej niż Socks, który ją porwał. - Nawet nie znałeś jej nazwiska?

Socks wzruszył ramionami.

- Tim mówił, że te dwie dziwki razem się wychowały. Jak siostry. Na moment zapadło milczenie. Firenze analizował wszystkie dane.

- W każdym razie laska Tima załatwiła staruszkę, właścicielkę złota. Ta ostatnia niedbała uwaga siostrzeńca sprawiła, że krew Firenze'a

zawrzała. Cherelle była morderczynią, a z Risą łączyły ją niemal siostrzane stosunki - z Risą, która doskonale znała się na zabytkowych wyrobach ze złota.

Firenze zachichotał. Risa mogłaby mu powiedzieć, ile naprawdę jest warte złoto siostrzeńca. Potem sprzedałaby je swojemu szefowi, a wtedy zostałby uznany za współnika przy pierwszym morderstwie.

Socks spojrział niepewnie na Firenze'a. Nie cierpiał, kiedy wuj tak się śmiał. Przeważnie to oznaczało, że komuś porządnie się dostanie. Na przykład Socksowi.

Przez kilka cudownych chwil Firenze rozmyślał, jak wspaniale byłoby doprowadzić do upadku Shane'a Tannahilla przy pomocy właścicieli innych kasyn. Dzięki temu stałby się ważną osobistością w mieście, jak wcześniej jego ojciec i dziadek. Mężczyźni otaczani szacunkiem. Ale Firenze nie chciał skończyć jak oni: jeden został zamordowany, drugi odsiadywał dożywocie za morderstwo. Co to, to nie. Lepiej wykorzystać informacje, żeby znaleźć się wyżej w hierarchii władzy. Może to było mniej zabawne, ale za to bardziej bezpieczne.

W przeciwieństwie do siostrzeńca, John Firenze miał dość inteligencji, żeby nie przeholować.

Mimo to zawahał się, kiedy wyciągał rękę do telefonu. Gdyby posiadał więcej informacji, dostałby większy kawałek tortu. Nie cały tort, ale dużą, apetyczną porcję. Na początek potrzebował czegoś więcej niż wycena złota dokonana przez tępego siostrzeńca.

Rozsiadł się na skórzanym fotelu i zaczął się zastanawiać, jak skłonić Risę do zrobienia szybkiej, dyskretnej wyceny. Mógłby jej to zaproponować wprost, ale wtedy ściągnąłby sobie na kark Tannahilla.

Firenze pokręcił głową. To nie byłoby rozsądne.

- Hej, wujku Johnie? Zamknij się.

Po kilku minutach marszczenia czoła Firenze doszedł do wniosku, że najszybszym sposobem pozyskania Risy będzie jej schwytanie. Jeśli nie zechce współpracować... cóż, zawsze pozostawała pustynia. Risa nie będzie pierwszą osobą, która się tam udała i już nigdy nie wróciła.

Rozdział 35

Las Vegas

3 listopada, późne popołudnie

Shane zamknął drzwi za detektywem wydziału policji Las Vegas, który zadawał Risie zbyt wiele pytań. Kiedy się odwrócił, Risa wciąż jeszcze siedziała w sąsiadującym z jego gabinetem pomieszczeniu, gdzie prowadziło się oficjalne rozmowy. Zgarbiona na zielonych poduszkach w odcieniu szalwii sprawiała wrażenie wyczerpanej. Była blada, pod pięknymi oczami miała smugi tuszu do rzęs i nawet jej zazwyczaj połyskujące czarne włosy teraz wyglądały matowo. Chyba wiedział dlaczego. I ta świadomość strasznie działała mu na nerwy.

- Zrobiłaś wszystko, żeby chronić tyłek Cherelle - powiedział szorstkim tonem. - To o wiele więcej, niż ona zrobiła dla ciebie, do jasnej cholery.

Risa niepewnie uniosła podbródek i spojrzała na Shane'a.

- Co masz na myśli?

- Twoja kumpelka przekazała klucz...

- Nie - przerwała mu Risa. - Cherelle zawsze gubiła klucze. Po prostu taka jest.

- A więc twierdzisz, że jakiś świrus znajduje sobie elektroniczną kartę gdzieś w Las Vegas i ot tak, wie, że ona pasuje do twojego pokoju, a potem tu trafia bez pytania o drogę?

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

- Tego nie potrafię wyjaśnić.

- To może potrafisz wyjaśnić, dlaczego z takim zapałem robisz świętoszkę z bardzo niegrzecznej Cherelle Faulkner?

- Jesteśmy jak siostry - odparła Risa. - Nie łączą nas tylko więzy krwi. Ona by mnie nie wystawiła.

- Mówisz to tak często, że pewnie zaraz przekonasz samą siebie.

Risa zerwała się z miejsca, czując przyływ adrenaliny i wściekłość.

- A co ty wiesz o przyjaźni? Nie masz żadnych przyjaciół! Jesteś zbyt zimny i wyrachowany, żeby wiedzieć, jak bardzo człowiek potrzebuje... - Nagle przestała mówić i odwróciła się do niego plecami. Nie chciała, żeby zauważył łzy w jej oczach. - Przepraszam. To było nie na miejscu. Proszę bardzo, możesz myśleć o Cherelle wszystko co najgorsze, bo ubiera się seksownie i nie poświęca czasu na działalność charytatywną. Tylko mnie nie prosz, żebym dołączyła do tego zgodnego chóru.

- W windzie nie uważałaś, że jestem zimny - zauważył Shane z niezmaconym, wręcz zabójczym spokojem. - Co do wyrachowania, przyznam ci rację, bo pamiętałem o kamerze i nie pieprzyłem cię tak, żeby wszystko było widać i żeby faceci na zmianie mieli rozrywkę.

Risa skrzywiła się, słysząc napastliwy ton. Shane był wściekły, zniecierpliwiony, strasznie poirytowany. Częściowo się z nim zgadzała, ale miała też ochotę wywrzeszczyć mu do ucha, że Cherelle jest jej przyjaciółką. Jedyń. Przeżyły razem zbyt wiele, żeby się nawzajem wrabiać.

- Nie mogę uwierzyć, że napuściła na mnie tego zbira - powiedziała. Jej cienki, pełen stresu głos sprawił, że Shane poczuł się draniem.

Przeżyła w ciągu kilku ostatnich godzin tyle, że nie powinien ciągle kłaść jej do głowy, jaką to dwulicową suką okazała się jej przyjaciółka z dzieciństwa.

W milczeniu podszedł do Risy i położył ręce na jej spiętych ramionach. Drgnęła gwałtownie, zaskoczona, potem znowu znieruchomiła.

- Czy ty masz pojęcie, co myślałem, kiedy zobaczyłem, jak bandzior celuje do ciebie z broni? - zapytał cicho Shane.

Pokręciła głową.

Pochylił się, aż jego usta znalazły się tuż przy jej karku.

- Gdybym mógł zabić drania, zginąłby na miejscu.

Ciepło oddechu, ale także pewność bijąca ze słów Shane'a sprawiły, że poczuła ciarki na plecach.

- A to działa się, jeszcze zanim zostaliśmy kochankami - dodał Shane. - Nie wiem, dlaczego wywierasz na mnie taki wpływ.

Dygocząc, wzięła oddech.

- Żądza. To wszystko. Tylko... - Dalsze słowa uwięzły jej w gardle, bo poczuła, że Shane dotyka ciepłym koniuszkiem języka jej karku. Bardzo lekko. - Żądza.

- Gdybym tak uważał, przespałbym się z tobą przed zatrudnieniem cię w mojej firmie - oznajmił. - Ty chciałaś mnie, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się w Rarities. A ja ciebie. Prosta matematyka, prawda? Namiętny tydzień w pościeli, uściski rąk na pożegnanie i każde idzie sobie wesoło własną drogą.

- Właśnie.

- Wcale nie. - Znowu jej posmakował. Lekko. Nie ufał swojej silnej woli, dlatego nie pocałował mocniej. W tym momencie pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. O wiele bardziej. Teraz wiedział, jak dobrze by mogło być. - To coś głębszego niż żądza. Oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. I gnaliśmy do siebie jak szaleni. Czy możesz przyznać przynajmniej tyle?

Chciała zaprzeczać. Nie była w stanie.

- To mnie przeraża.

- Mnie też. Potem zobaczyłem na monitorze, że ten sukinsyn próbuje cię zastrzelić. Oszalałem. Nawet nie pamiętam, jak do ciebie dotarłem. Wiem tylko, że mam dość uciekania od czegoś, co nas do siebie przyciąga. Chcę... ci pomóc.

Myśl, że Cherelle beztrudnie wykorzystuje dawną przyjaciółkę, sprawiała, że miał ochotę zmiażdżyć jej każdą kosteczkę. Ale doszedł do wniosku, że Risa nie jest gotowa na wysłuchiwanie takich tekstów. I może nigdy nie będzie.

Szkoda, że nie czuła tak głębokiego przywiązania do swojego kochanka.

Nie żeby jej powściągliwość specjalnie dziwiła Shane'a. Według jego ojca i matki, po prostu nie był typem mężczyzny, którego łatwo się kochało. Dlatego, podobnie jak ojciec, postanowił, że będzie bogaty. Jednak w przeciwieństwie do niego, Shane'owi nie wystarczyło samo bogactwo.

Ale przekonał się o tym dopiero w momencie, gdy zobaczył zbira w hawajskiej koszuli celującego do Risy.

- A co ty czujesz? - zapytał. - Nadal chcesz uciekać?

- Nie. Tak. - Zaśmiała się niepewnie. - Nie wiem.

Mógłby całować ją i pieścić, aż znów stałaby się rozpalona, oszołomiona, żarłoczna. Wiedział, że ta kobieta potrafi być namiętna jak żadna inna. Zastanawiał się, czy ona o tym wie i czy właśnie tego się boi, a jednocześnie pragnie. Zrozumiał, że Risa tak samo jak on często nie zdradzała uczuć, żeby się chronić.

- No dobrze. - Shane podniósł ręce i się odwrócił. - Już prawie pora na kolację. Chcesz coś zjeść, zanim wyjdziemy z gabinetu?

- Nie - powiedziała z drżeniem. Musiała odchrząknąć. - Nie, dziękuję. Nie musisz ze mną iść. Tym razem nikt nie będzie się chował w szafie.

- A szkoda.

Odwróciła się i zobaczyła na jego ustach cień uśmiechu zdobywcy. Nie był to uśmiech przyjemny. Raczej lodowaty jak księżyc zimową porą. Po raz pierwszy naprawdę zrozumiała, że Shane zabiłby dla niej bez zastanowienia.

Dotychczas nikt, nawet Cherelle, nie pragnął jej chronić tak bardzo.

- W każdym razie - ciągnął Shane - dopóki gliny nie złapią napastnika, nie będziesz chodziła nigdzie sama. Zwłaszcza do swojego apartamentu.

- On nie wróci.

- Zaczniemy od tego, że w ogóle nie powinien był się tam znaleźć.

- Na pewno śledził Cherelle.

- Jeśli tak, to musiał być niewidzialny. Ochrona przejrzała dane z kamery w twoim korytarzu z każdej godziny od momentu, kiedy Cherelle dostała klucz, aż do teraz. Pokazał się tylko dwa razy. Raz kiedy wchodził dzisiaj, a drugi raz, kiedy wychodził z tobą.

Risa otworzyła usta, żeby znowu bronić Cherelle, ale uświadomiła sobie, że nie jest to konieczne. Shane nie atakował jej przyjaciółki. Po prostu mówił nieprzyjemną prawdę: tamten facet nie szedł za Cherelle do apartamentu Risy.

Mój Boże, Cherelle. Co się stało z dziećmi, którymi kiedyś byliśmy?

- Dobrze. - Risa głośno odetchnęła. - Spróbuję nie wyzywać się na siebie, bo jestem przerażona, zła i skacze mi adrenalina. Ale... - Zniżyła głos do szeptu. - To boli. Ja tylko próbowałam dać jej część tego, co ona dała mnie, kiedy byliśmy małolatami. Miejsce, gdzie nikt nie może zrobić ci krzywdy. I nadal myślę, że ona mnie nie wystawiła. Wierzę, że gdzieś jest i ucieka przed siebie, przerażona, tak jak kiedyś uciekałyśmy obie. Tylko że teraz jest sama.

Shane nie potrafił powiedzieć niczego, co poprawiłoby Risie samopoczucie, więc tylko ścisnął ją za ramiona.

- Zrobisz ten spis dla detektywa Wilsona?

Risa odruchowo odwróciła głowę i musnęła ustami rękę Shane'a.

- Dobrze. Może Cherelle coś dla mnie zostawiła. List lub... cokolwiek.

Shane muskał opuszkami palców policzek Risy i przypominał sobie wszystkie powody, dla których nie powinien jej uwodzić tu i teraz. Przede wszystkim ze względu na zmęczenie wyraźnie widoczne w jej pięknych oczach.

- Znowu cię pragnę - powiedział. - Nigdy nie przestaję cię pragnąć, nawet kiedy już nie mogę być w tobie głębiej.

Położyła głowę na jego piersi.

- Ze mną jest tak samo. Nie wiem, co z tym zrobić. - Raczej wyczuła, niż usłyszała jego śmiech.

- Gotowa do spisu?

Odetchnęła.

- Jasne. To jest przynajmniej coś, co rozumiem.

Shane wziął ją za rękę, poprowadził do swojej prywatnej windy i wystukał kod. Drzwi otworzyły się, potem szybko zamknęły. Gęsty, specjalnie tkany dywan w zgaszonych kolorach pochłaniał wszystkie mechaniczne dźwięki. Ściany były wyłożone panelami z egzotycznego drewna z delikatnymi, złotymi smugami. Świeże powietrze pachniało górskimi szczytami i rwącymi potokami.

Wzdychając, Risa czuła, że smutek trochę się zmniejsza. Winda była kojącą oazą w świecie interesów, strachu i niepewności. Drzwi otworzyły się i Risa spojrzała na swój korytarz. Zamrugła, trochę zdezorientowana.

- Czy ta winda nie jest oznaczona jako techniczna? - zapytała. Shane się uśmiechnął.

- Tak.

- Sprytne.

Roześmiał się i lekko popchnął Risę na korytarz. Spięta się, kiedy zobaczyła idącego w jej kierunku mężczyznę w luźnym ubraniu.

- Nie martw się - szepnął Shane. - Na tym piętrze postawiłem dodatkowych ochroniarzy. To

jeden z naszych.

- Dobry wieczór państwu.

Shane skinął głową w stronę strażnika.

- Co słyhać?

- Spokój.

- To dobrze.

Strażnik w cywilu poszedł dalej. Dla kogoś z zewnątrz mógł wyglądać jak facet, który marzy tylko o jednym: całonocnym hazardzie w kasynie.

- Czy już jest wieczór? - zagadnęła Risa, potem zerknęła na zegarek. - Zdaje się, że tak. - Wygięła usta na myśl o policjantach, którzy nieustannie analizowali jej wersję wydarzeń. - No proszę, jak szybko leci czas, kiedy człowiek dobrze się bawi.

- Tak. Nie wiem, czy moje serce zniesie jeszcze więcej zabawy. Zatrzymała się przed swoim gabinetem, sięgnęła do wąskiej kieszonki spódnicy i nic z niej nie wyciągnęła.

- Nie mam klucza. Pewnie go zgubiłam w czasie ucieczki. Albo zostawiłam w drugim gabinecie, kiedy my...

Popatrzył na nią znacząco rozmarzonym wzrokiem.

Przeszyła ją fala gorąca.

Bez słowa wyjął z portfela cienką plastikową kartę. Elektronicznie kodowany klucz wszedł w szczelinę bez problemów. Drzwi się otworzyły. Shane podał Risie kartę.

- Nowy kod. Jeśli ją zgubisz albo komuś pożyczysz, daj znać ochronie - powiedział. - Niepożądany gość bardzo szybko zwróci na siebie uwagę uzbrojonych ludzi.

Risa już miała coś odpowiedzieć, ale zobaczyła bałagan za plecami Shane'a. Weszła do pomieszczenia i położyła zaciśnięte pięści na biodrach.

- Niech to diabli. Miałam nadzieję, że się myliłam.

- To znaczy?

- Myślałam, że umysł płata mi figle. Jak mam ustalić, czy coś zginęło, skoro nic nie jest na swoim miejscu?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do sypialni. Błyskawicznie zerknęła na sprzęt elektroniczny - telewizor, odtwarzacz DVD, kompakt z radiem i budzikiem stały na swoim miejscu. No, prawie. Komputer znajdował się teraz w drugiej części pokoju. Ubrania - porwane i zmięte - przykrywały odbiornik telewizyjny i tworzyły wielki stos na środku podłogi. Buty przypominały porozrzucane po wszystkich pokojach konfetti.

Zrobiła szybką rundę po łazience i kuchni. Okropny galimatias. Trudno było stwierdzić od razu, że coś zginęło. Karteczka z listą zakupów jeszcze wisiała na lodówce przyciśnięta uśmiechniętym, jasnozielonym magnesikiem.

Shane stał w sypialni i oceniał chaos.

- Sprzęt elektroniczny jest w komplecie - oznajmiła.

Zdjął z abażuru lampy koronkowy stanik. Zdążył już natknąć się na majtki od kompletu. Leżały w wannie. Następnym razem na pewno rozbiorę Risę powoli, pomyślał. Ostrożnie złożył bieliznę i położył na komodzie, z której były powijmowane wszystkie szuflady. Leżały na podłodze, odwrócone do góry nogami.

- A co z biżuterią? - zapytał. Pokręciła głową.

- Rzeczy, których chcę, są zbyt drogie.

- Dlatego chodzisz bez biżuterii?

- W dzieciństwie zadowalałam się rzeczami drugiego i trzeciego gatunku, a także darowiznami od organizacji dobroczynnych. Skoro nie mogę sobie pozwolić na to, czego chcę dzisiaj, to poczekam, aż w końcu będzie mnie stać.

- A czego chcesz? - zapytał cicho przeświadczony, że będzie mógł spełnić jej pragnienie.
- Wszystko to znajduje się w muzeach. - Popatrzyła na postawiony na sztorc materac i pierwszy raz zauważyła ślady nacięć: mężczyzna rozciął tkaninę nożem. - Coś mi się wydaje, że włamywacz był porządnie wkurzony.

Shane śledził jej spojrzenie. Ogarnęła go wściekłość.

- Na to wygląda - mruknął.

- On szukał czegoś, czego ja nie miałam.

- Celtyckiego złota.

Patrzyła na splądrowane pomieszczenie.

- Niechętnie, ale muszę się z tobą zgodzić.

- Skoro jesteś teraz taka zgodna, pomyśl, że warto byłoby bardziej mi ufać.

Odwróciła się i spojrzała na niego z niepokojem.

- Ja ci ufam.

- Czyżby? To dlaczego mnie nie poinformowałaś, że Cherule ma na sprzedaż fantastyczne celtyckie artefakty ze złota?

- Bo mi o tym nie powiedziała.

- Ciekawe. - Bezwiednie wyciągnął z kieszeni sportowej kurtki złote pióro i zaczął je obracać w palcach. Rozwagał przeróżne możliwości i prawdopodobne warianty z szybkością, która niejedną osobę wprawiała w kompleksy.

Ale nie Rise. Lubiła świadomość, że on ma coś więcej oprócz pięknego ciała. Postanowiła sobie, że następnym razem gruntownie przyjrzy się jego nagości. Na samą myśl o tym zaczęła się uśmiechać, ale natychmiast się skarciła. Kilka minut z Shane'em było lepsze niż kilka godzin z każdym innym mężczyzną. Bardzo by się denerwowała, gdyby nie poczucie, że zrobiła coś absolutnie właściwego.

- Wiedziała, czym się zajmujesz? - zagadnął w końcu Shane.

- Tak, ale nigdy wcześniej nie pytała o moją pracę.

- A więc możemy przyjąć, że zjawiała się tu nie z przemożnej tęsknoty za waszym wspólnym dzieciństwem, ale ze względu na twoją wiedzę o starożytnej biżuterii.

Risa nie miała ochoty się z nim zgodzić, ale nie było sensu zaprzeczać prawdzie.

- Chyba tak. Nie widziałam jej od wielu lat. Utrzymywałyśmy tylko telefoniczny kontakt.

Złote pióro zastygło w powietrzu.

- Masz jej numer?

- Tyle razy się przeprowadzała. Dzwoniła na mój koszt.

- Oczywiście z budki telefonicznej.

Risa wzruszyła ramionami.

- Nie pytałam. Ale ostatnio chyba z telefonu komórkowego.

- No proszę, Cherule pnie się w górę.

Pomyślała o ubraniu przyjaciółki, kiedy spotkały się w barze. Nic nie powiedziała. Jeśli to miało być pięcie się w górę, to Cherule zaczynała z bardzo niskiego szczebla.

- Kiedy tu przebywała, do nikogo nie zadzwoniła - dorzucił Shane. - W każdym razie nie z twojego telefonu.

- Sprawdzałeś? - zapytała Risa rozdrażnionym głosem.

- Wszystko co dotyczy tego pokoju, jest rejestrowane na koncie darmowych upominków.

- Od kiedy?

Złote pióro Shane'a zniknęło w kieszeni z oszałamiającą prędkością.

- Odkąd twoja przyjaciółka wydała dziesięć patoli.

Risie opadła szczęka.

Wyjął elektroniczny organizer i wystukał numer pliku. W milczeniu podał Risie urządzenie. Lista wydatków Cherelle obciążających pokój kuratorki przyprawiała o zawrót głowy. I była bardzo długa.

- Spłacę wszystko - powiedziała Risa ponuro.

- Nie.

- Tak. To...

- Nie warto się o to sprzeczać - przerwał jej. - Zaoferowałem nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za informacje o artefaktach muzealnej jakości. Jeśli o mnie chodzi, Cherelle na nią zasłużyła. A może chcesz się spierać, że nie miała nic wspólnego z celtyckim złotem, które zakupiliśmy, i że to wszystko jest tylko zbiegiem okoliczności?

Jak to zwykle bywało, Risa już miała zacząć się kłócić, ale dała sobie spokój.

- Chciałabym, ale nawet miłe wspomnienia z dzieciństwa nie mogą przeważać w takiej sytuacji. - Szybko obejrzała listę zakupów i oddała Shane'owi organizer. - Hm, teraz wiemy, dlaczego kamera nie zarejestrowała jej wyjścia z pokoju.

Shane nie notował wydatków Cherelle za bieżący dzień. Szybko zerknął na listę i połączył się z ochroną. Kiedy skończył mówić, piętnaście osób zabrało się do skanowania danych z kamer, szukając dobrze zbudowanej kobiety z krótkimi, brązowymi włosami, w obszernych dzinsach i niebieskiej wiatrówce.

- Przekaż też, że prawdopodobnie ma ze sobą czarną walizkę na kółkach - dodała Risa. - Moją. Zniknęła z szafy.

Shane dodał tę informację i się rozłączył. Risa właśnie przekopywała stertę ubrań na środku pokoju. Na samym dnie leżały dwie podniszczone walizki.

- To walizki Cherelle? - zapytał.

- Tak.

Wziął jedną i zaczął obmacywać szwy wrażliwymi palcami hazardzisty. Ale natknął się tylko na stary brud i świeże rozdarcie. To samo było z drugą walizką. Zerknął przez ramię na Risę. Sortowała ubrania na podłodze szybkimi, pewnymi ruchami, które zawsze budziły w nim fascynację. Chłodna precyzja nie pasowała do tak zmysłowej kobiety jak Risa Sheridan.

- Wszystkie te ubrania są twoje? - Wskazał stertę na podłodze.

- Na razie tak.

- Nie ma żadnych liścików szminką na lustrze w łazience?

Prychnęła.

- Cherelle nie marnowałaby dobrej szminki.

- Może są notatki na liście zakupów w kuchni?

Popatrzyła na niego zaskoczona. Uśmiechnął się.

- Nie, nie wsadzałem tam nosa. Większość osób robi sobie takie listy i gdzieś je trzyma. Przeważnie w kuchni.

- Nie zostawiła żadnej wiadomości.

- A ta lista?

Po twarzy Risy przemknął blady uśmiech.

- Jest w kuchni. Każde słowo napisane moim charakterem pisma. Podniosła sukienkę i mocno nią potrząsnęła. Z fałd wypadł zwitek papieru. Shane błyskawicznie go podniósł, rozprostował i zaczął po cichu czytać.

- Nie wiedziałem, że zajmujesz się czarami. - Popatrzył jej w oczy.

- Jakimi czarami?

- No wiesz. Kraina czerwonych skał i trzymanie się za ręce podczas przesilenia. Rozmowy ze zmarłymi za pośrednictwem medium albo rozkazywanie duchom, żeby do ciebie przemawiały.

Pogłębianie psychicznych...

- Bzdury - mruknęła, ale natychmiast znieruchomiała, bo przypomniało jej się coś, co powiedział napastnik. Nie mówił o krainie czerwonych skał, ale wspominał o czymś podobnym.

- ...mocy - dokończył Shane. Przewrócił kolorową kartkę, która najwyraźniej została wydarta z jakiejś broszury. - No proszę, proszę. To ona uczestniczyła w tym oszustwie z channelingiem w Sedonie.

Risa podniosła wzrok.

- Co?

- Cherelle. A może powinienem powiedzieć: lady Faulkner?

- W Sedonie? - Risa wstała.

- Na to wygląda. „Lady Faulkner będzie twoim przewodnikiem w świecie druidów. Porozmawiaj z królem Arturem, królową Ginewrą i mistrzem druidów, samym Merlinem. Za pośrednictwem lady Faulkner poznasz najbardziej intymne sekrety starożytnych i potężnych...”

Risa wyrwała Shane'owi kartkę z ręki, szybko ją przejrzała i się skrzywiła.

- A więc o tym wspominał ten drań.

- Co?

- Mówił o złocie, które zdobyła w Sedonie od jakiegoś staruszka. - Risa podniosła wzrok i spojrzała Shane'owi w oczy. - Gdzieś tam jest jeszcze więcej celtyckiego złota.

- Nie wspominałaś o tym detektywowi Wilsonowi.

- Byłam zmęczona jego pytaniami. - I nie chciała wplątywać Shane'a w handel trefnymi artefaktami ze złota. - Wiesz, że zostały ukradzione, prawda?

Shane się uśmiechnął.

- Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości. Pytanie brzmi: jak dawno temu.

- Nie dość dawno - odparła lakonicznie.

- Fakt.

- Mówisz z taką pewnością, jakbyś...

- Faktoid nie znalazł na ich temat żadnych danych na listach trefnych towarów. Ani w Interpolu, ani w Scotland Yardzie, ani w bazach danych kradzionych skarbów archeologii, ani w wykazach muzealnych kradzieży, ani u prywatnych kolekcjonerów. Nic, absolutnie nic. Jeżeli te przeklęte wyroby ze złota kiedykolwiek istniały w publicznych rejestrach, nie jesteśmy w stanie tego dowieść.

- Do diabła. Skoro najlepszy researcher Rarities nie może niczego znaleźć, to znaczy, że tego nie da się znaleźć. Czyli... mamy problem.

- Nie, ja mam problem.

- O czym ty mówisz?

- Zwalniam cię.

Rozdział 36

Los Angeles

3 listopada, wczesny wieczór

S.K. Niall siedział w swoim gabinecie w Rarities i szybko zerkał na kolejne monitory na przeciwległej ścianie. Obok niego stała Dana i zmysłowo masowała mu ramię. Nie zwracał na to uwagi. Na razie. Bardziej osobista część programu miała nastąpić później, podczas obiadu w jego domu na parkowych terenach Rarities Unlimited. Szalone zestawienia kolorystyczne, które udało

mu się osiągnąć w listopadowych ogrodach, wyglądały niesamowicie w świetle księżyca. Dana też była niesamowita.

- Myślałam, że to cholerne spotkanie nigdy się nie skończy - powiedziała. - Niektórzy po prostu nie rozumieją, że płacą za opinię fachowca, a nie za reklamę swoich towarów. Czy Risa oddzwoniła?

- Nie. Chcesz, żebym się z nią skontaktował, zanim wyjedziemy?

Dana westchnęła, przeciągnęła się i zaczęła delikatnie wodzić opuszkami palców po mocno umięśnionym karku Nialla.

- Skoro to może poczekać do rana...

- Dokładnie to samo pomyślałem.

- Też mi niespodzianka. Ty zawsze myślisz o seksie.

Jego uśmiech był szybki i prymitywny jak miłosne ukąszenie.

- Właśnie to we mnie lubisz.

Roześmiała się, kiedy przeniósł ją nad poręczą fotela i posadził sobie na kolanach.

- A ty znowu swoje! Kiedyś ktoś nas przyłapie.

- Obiecanki cacanki. - Ale trzymał ręce z dala od czułych miejsc, patrząc ostatni raz na monitory. Wygląda dobrze. Wszystko gotowe na noc, z wyjątkiem separatki numer 2.

Dana skupiła uwagę na monitorze pokazującym separatkę, w której nadal przebywali ludzie. Lawę Donovan, póttatowy konsultant Rarities Unlimited, sprawdzał szmaragdy w relikwiarzu z wczesnego renesansu. Okaz oferował do sprzedaży diler Ian Lapstrake. Właściciele Rarities i konsultanta łączyła twarda, nieraz trudna przyjaźń, prawdopodobnie dlatego, że Lawę tęsknił za swoim bratem bliźniakiem Justinem, który ostatni raz wysłał mu wiadomość z Madagaskaru. W surowym oświetleniu pomieszczenia kasztanowe włosy Lawe'a przybierały złocistą barwę, a czarne włosy lana błyszczały nienaturalnym blaskiem.

- Zupełnie jak studium ciemności i światła - mruknęła Dana. - Piękne.

- Przestań się ślinić. Zranisz moje męskie uczucia.

- Żeby zranić twoje męskie uczucia, musiałabym wystrzelić cały magazynek naboju kaliber 50.

- A to druga rzecz, którą we mnie lubisz - odparował. - Nie damę za wygraną przy pierwszej oznace twojego królewskiego niezadowolenia.

- Wobec tego wypróbuję swój temperament na Lawe'em. Mogę już zamknąć biuro i jechać do domu.

- Proszę bardzo. Ja...

- Z tobą - przerwała mu w pół słowa.

Zerknął na jej ciemne oczy. Ich rozleniwiony, namięty błysk był aż nadto oczywisty. Podobnie jak on, potraktowała ich wcześniejszą grę jak przekąskę, a teraz miała ochotę na główne danie. Podniósł Dane i włączył podsłuch w separacie.

- Jak idzie, chłopie? - zapytał.

Lawę nie podniósł głowy. W Rarities zdążył się przyzwyczaić do tego, że ni stąd, ni zowąd przemawiał do niego sufit.

- Zależy, jaki wynik wolisz.

- Szczęśliwi klienci są zawsze dobrzy - powiedziała Dana.

- W takim razie idzie fatalnie.

Dana przechyliła głowę i wpatrywała się w monitor.

- Dlaczego?

- Mam prawie sto procent pewności, że dwa z tych szmaragdów to kamienie laboratoryjne. Ostateczną odpowiedź uzyskamy, dopiero gdy wyjmę jeden kamień i poświęcę jego część na

testy.

- Ale czy te szmaragdy są fałszywe? - zapytała.

- Z technicznego punktu widzenia są autentyczne. Tyle że stworzone ludzką ręką. Bardzo ładna barwa. Idealna do tej prymitywnej oprawy i zgodna z wczesną metodą użycia kamieni szlachetnych, kiedy wybierano je bardziej ze względu na głębię koloru niż połysk.

- Czy to możliwe, że zastąpiły starsze kamienie, które zostały zagubione? - zapytała Dana.

- Tak. Ale podejrzewam, że przynajmniej część tego złota to współczesny osiemnastokaratowy stop - ciągnął Lawę, odsuwając się od stołu. - Po prostu nie jest w dotyku takie jak stare złoto. Jeśli się nie mylę, w najlepszym razie masz przedmiot, który był często naprawiany. W najgorszym: falsyfikat. Nie jestem ekspertem od złota, więc mogę tylko zasugerować, żebyście wykonali kolejne testy.

Dana zerknęła na swój delikatny platynowy zegarek.

- Jutro.

- On ma lot do Seattle o dziesiątej rano - wtrącił Ian.

- Nie potrzebujemy Lawe'a do laboratoryjnych testów - odparła Dana. - Przygotuj wstępny raport. Jeśli klient zażyczy sobie więcej testów na samych szmaragdach, zajmiemy się tym.

- Piękny egzemplarz - stwierdził Lawę.

- Dżoker - dodał Ian.

- A więc jest to piękny dżoker.

- Po co ktoś miałby poświęcać tyle pracy i drogiego surowca na wyprodukowanie falsyfikatu? - zapytał Ian, kręcąc głową.

- Ponieważ w dzisiejszych czasach nie ma żadnych kościołów, królów, carów i cesarzy, którzy płaciliby rzemieślnikom za tworzenie cudownych, pokrywających się kurzem przedmiotów - odparł Lawę. - Ale muzea i kolekcjonerzy dadzą wiele dolarów za historię, która przemawia do tłumów. A zatem tworzysz historię, a jednocześnie otrzymujesz świetne wynagrodzenie. - Lawę delikatnie dotykał artefaktu. - Na pewno bardzo by się spodobał obu moim siostram.

- Przekażemy tę informację naszemu klientowi w ramach nagrody pocieszenia - powiedziała Dana. - Dobranoc, panowie.

- Zdaje się, że to aluzja. - Ian wstał i się przeciągnął.

- Tak sądzisz? - zagadnął Lawę, popychając go w kierunku drzwi. -No, chodź. Jesteś mi winien piwo.

- Co? O czym ty gadasz?

- Założyłeś się o piwo, że Faktoid nie wypróbuje na Gretchen tego czekoladowego syropu dwa razy.

- No i? - zapytał Ian.

- Wróciła z lunchu z czekoladą rozmazaną na majestatycznym dekolcie.

- To jeszcze nie dowodzi, że... Niall wyłączył głos.

- Chodźmy, zanim coś...

Zadzwoił telefon. Jeden z bardzo prywatnych numerów. Niewielu ludzi go znało.

- Jasna cholera.

- Amen - mruknęła Dana.

Niall sprawdził, kto dzwoni, szepnął do Dany: „Tannahill”, i przełączył rozmowę na głośniki.

- Tu Niall. Co się stało?

- Risa została zaatakowana przez zbira, który myśli, że ona ma więcej takich celtyckich artefaktów ze złota jak te, które ci wysłałem.

- Nic jej nie jest? - spytali jednocześnie Dana i Niall.

- Witaj, Dano - powiedział Shane. - Risa przechytrzyła drania, ale jej gabinet w Złotym Runie

został wybebeszony.

- Kto to zrobił? - zapytał Niall.

- Jeszcze nie wiemy. Gliniarze uzyskali z kamer dobre zdjęcie, a jego odcisków palców jest pełno w całym apartamencie, więc szybko powinniśmy namierzyć sukinsyna. Do jutra rana potrzebuję tu Lapstrake'a. Musi mi pomóc przekonać pewnego handlarza, żeby powiedział prawdę, skąd ma te wyroby.

- Będzie na miejscu - obiecała Dana. - Może też chronić Risę.

- Znudzi się tym zajęciem - odparł Shane.

- Dlaczego?

- Właśnie ją zwolniłem.

- Zwolni... - zaczął Niall.

- Chcę trzymać Risę z dala od tej gry - powiedział Shane, nie zważając na Nialla. - Jedna z jej przyjaciółek z dzieciństwa tkwi w tym bagnie po uszy, a w obiegu jest więcej celtyckich artefaktów. Dopóki nie przejmemy nad nimi kontroli, sprawy mogą przybrać bardzo niebezpieczny obrót.

Dana i Niall wymienili spojrzenia. Teraz wiedzieli, dlaczego Risa dzwoniła.

- Będę w Rarities przed szóstą rano - ciągnął Shane. - Bardzo bym chciał zobaczyć wstępny raport na temat tych czterech sztuk. Wracam do Vegas razem ze złotem.

- Nie ma takiej potrzeby. Lapstrake przyleci z artefaktami i raportem - oświadczyła Dana. Zrobiła pauzę. Płynnie poruszała palcami po chłodnym desktopie, jakby grała na niewidzialnym flecie. - Myślisz, że napastnik wróci?

- Wątpię.

- W takim razie dlaczego ją zwolniłeś? - zapytała cicho.

- Już mówiłem. Chcę, żeby była bezpieczna.

- A co z twoim wielkim pokazem noworocznym? - zapytał Niall.

- Jak to co?

- Kto będzie twoim kuratorem?

- Tym zajmę się później. Teraz zależy mi tylko, żeby uchronić Risę przed nagłą śmiercią.

- Ian zrobiłby to bardzo skutecznie, a my wciąż moglibyśmy korzystać z jej wiedzy, tropiąc pozostałe złote artefakty - powiedziała Dana. - Jeśli jej przyjaciółka z dzieciństwa rzeczywiście ma jakąś rolę do...

- Nie - przerwał Shane bezceremonialnie. - Nie chcę, żeby Risa w tym uczestniczyła. Będę czekał na Lapstrake'a w kasynie o siódmej rano.

Po chwili się rozłączył.

Niall zniechęcony burknął coś pod nosem.

- No cóż, lepiej zacznę szukać Risie nowej pracy. Na pewno dał jej bardzo przyzwoitą odprawę, ale ona pewnie kazała mu wsadzić ją sobie w tyłek.

- Mężczyźni - mruknęła Dana. - Co, u licha, każe im podejmować decyzje za w pełni sprawne umysłowo kobiety?

Niall zignorował tę uwagę. Już nieraz słyszał, co jego partnerka myśli o facetach. Przeważnie robiła dla niego wyjątek. Ale nie zawsze. Dzięki temu życie było interesujące.

- No, cóż - odezwała się Dana po chwili. - Znosi się na to, że Rarities wkrótce zatrudni na pełny etat konsultantkę do spraw starożytnej biżuterii i celtyckich wyrobów ze złota.

Niall zerknął na nią rozbawionymi, błękitnozielonymi oczami.

- Zamierzasz znowu dać jej pracę przy celtyckim złocie?

- Oczywiście. Nasze motto brzmi: „Kupić, sprzedać, wycenić, ochronić”. Istniejemy dla artefaktów, nie dla klientów. Ktoś ukrywa niezwykle fragmenty ludzkiej historii i sztuki.

Znajdziemy je i zwrócimy prawowitemu właścicielowi. Risa daje nam największą nadzieję, że tego dokonamy, zanim jakiś bezdomny gnój nie przetopi tego złota i nie wpełźnie z powrotem do kanału.

- Shane strasznie się wkurzy, że wciągnęliśmy Risę w grę.

Dana posłała Niallowi koci uśmiech.

- Tak, to go raczej zdenerwuje. Ale dobrze mu zrobi świadomość, że są rzeczy, które można kupić za pieniądze, i rzeczy nie do kupienia.

- A co z niebezpieczeństwem, jakie grozi Risie?

Dana spojrzała na Nialla wzrokiem sugerującym, że tym razem w swoim nieprzychylniej opinii na temat mężczyzn nie robi dla niego wyjątku.

- Czy ona prosiła, żeby ją owinąć w watę i odstawić na wysoką półkę? Zdawał sobie sprawę, że jego argumenty zabrzmiały nieprzekonująco.

- Chodźmy stąd, zanim telefon...

Ale telefon już dzwonił. Niall zaklął i nacisnął klawisz identyfikujący rozmówcę.

- To Risa.

- Ja odbiorę. - Dana odsunęła go krągłym biodrem, tak by dosięgnąć klawisza speakera. - Halo, Risa. Mówi Dana. Co powiesz na pracę na cały etat dla Rarities?

- Z ust mi to wyjął. Spakuję się dziś wieczorem i przyjadę jutro z samego rana.

- Nie musisz się jeszcze przeprowadzać.

- Wolalabym, jeżeli tobie jest bez różnicy.

- Nie jest.

Niall się skrzywił. Dana potrafiła zachować takt, jeśli jej na tym zależało. Tym razem ewidentnie nie zależało.

- W porządku - odparła Risa. - Gdzie mam być?

- Zostań na miejscu, aż przyjedzie po ciebie Ian Lapstrake. Pamiętasz go?

- Wysoki, ciemnowłosa, ładnie się rusza, inteligentniejszy, niż mogłoby się wydawać.

- Świetnie. - Dana uśmiechnęła się lekko. Wiedziała, że Shane nie chciałby widywać Iana w otoczeniu Risy. - Jest twoim ochroniarzem, dopóki...

- Nie potrzebuję goryla - przerwała Risa.

- Jeśli pracujesz dla Rarities, to znaczy, że wykonujesz polecenia Dany i moje - wtrącił się Niall. - My twierdzimy, że potrzebujesz, i koniec dyskusji.

Przez chwilę panowała cisza.

- Jasne. I obiecuję go nie zabić. A co potem?

Uśmiech Dany był jak wysuwający się z pochwy cienki, śmiercionośny sztylet.

- Odnajdziesz swoją przyjaciółkę z dzieciństwa i zdobędziesz resztę złota druidów.

Rozdział 37

Las Vegas

5 listopada, wieczór

Biuro Richa Morrisona zajmowało pół najwyższego piętra wysokiej iglicy Shamrock. Dwa piętra niżej basen i ogród na dachu przyciągały wpływowe osobistości, które korzystały z uzdrowiska dla VIP-ów. Mężczyźni z różnych krajów wylegiwali się tutaj jak białe lwy morskie na plaży przy błyszczącej turkusowej wodzie. Showgirls - bez piór - serwowały drinki, kanapki oraz same siebie, jeśli któryś z panów był zainteresowany.

Rich z pewnością nie był zainteresowany, nawet jako podglądacz. Znacznie bardziej ciekawiła go rozmowa, jaką odbył z Johnem Firenze'em przed kilkoma godzinami. Skradzione złoto i morderstwo. Dzięki anonimowemu donosowi policja znalazła pewnego właściciela lombardu, Joeya Cline'a: leżał martwy w swoim warsztacie, a obok niego znajdowało się mnóstwo towaru, na którego widok gliniarze wytrzeszczyli oczy.

Na podłodze warsztatu była jeszcze krew drugiego mężczyzny. Rich zastanawiał się, kiedy ten trop zaintryguje gliniarzy. Być może już się tym zajęli, ale w całodobowych programach informacyjnych nie było na ten temat żadnej wzmianki.

Buczenie intercomu wyrwało Richa z zamyślenia. Przycisnął klawisz.

- Tak?

- Przyszła pani Silverado na umówioną kolację.

- Proszę wpuścić.

Wstał w momencie, gdy otworzyły się zewnętrzne drzwi i do obszernego gabinetu wpłynęła Gail. Wyglądała bardzo apetycznie w kostiumie, którego odcień i faktura kojarzyły się z bezami. Asystent zamknął drzwi za gościem i dyskretnie się ulotnił. Świetnie wyszkolony facet. Ale i świetnie opłacany. Rich nie był głupi ani kapryśny, kiedy miał do czynienia z ludźmi, którzy mogli przysporzyć mu kłopotów. Nie chciał, żeby ktoś ich przekupywał, wymachując im przed nosem setkami dolarów.

- Wyglądasz oszałamiająco. - Rich wyciągnął rękę do Gail. - Jak zawsze.

Z uśmiechem podała mu palce i wymienili chłodne pocałunki w policzek.

- Długo bym mogła mówić, jaki jesteś przystojny. - Cofnęła się i mrugnęła do niego. - Ale wspomniałeś o pilnej sprawie dotyczącej technozłodziei.

- Najwyraźniej ktoś zapomniał ostrzec Złote Runo. Ostatnio naciągnęli Tannahilla na kilka dużych wygranych.

- O rany, jak według ciebie mogło do tego dojść? - odparła Gail beznamiętnym głosem. - Znowu będziemy musieli przechodzić przez procedurę powiadamiania. Przecież nie możemy pozwolić, żeby coś wymykało się spod kontroli, prawda?

Rich uśmiechnął się prawie szczerze.

- Szkoda, że jesteśmy tacy do siebie podobni, Silver - powiedział, używając jej dawnego pseudonimu. - Tworzyliśmy świetną ekipę. Ale cóż, teraz na pewno byśmy...

- ...pozabijali się przed świtem - dokończyła. - Jesteśmy zbyt inteligentni, żeby zostać partnerami. Nie uwierzę, że przybiegłeś tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś o technozłodziejach w Złotym Runie.

- Chcesz sprawdzić biuro, zanim porozmawiamy? Pokręciła głową.

- Nie należysz do tych idiotów czy egomaniaków, którzy nagrywają każde słowo, żeby mogli się nimi upajać przyszłe pokolenia. Wiesz, że takie nagrania są jak naładowana broń w szafce nocnej: istnieje większe prawdopodobieństwo, że sam się postrzelisz, niż że zdołasz trafić włamywacza.

- Albo jak mawiała moja matka: jak gówno padnie na wiatraczek, wszyscy się ubrudzą.

Gail wybuchnęła śmiechem.

- Przydałaby mi się taka matka. Zrobiła kilka kroków i popatrzyła na basen. - Biedaczyska.

- Te grube ryby?

- Dziewczyny. Myślą, że uda im się złapać bogatego faceta.

- Tobie się udało.

Kilka razy - zgodziła się Gail. Ale nie osiągnęłam tego przez serwowanie drinków z cyckami na wierzchu. Używałam głowy, nie ciała. - Odwróciła się do niego. - O co chodzi?

Czy ktoś proponował ci niedawno kupno celtyckich wyrobów ze złota?

- Nie.

Rich obserwował ją uważnie. Raczej nie kłamała.

- W takim razie prawdopodobnie już mają Tannahill.

- Są trefne?

- O tak.

- Jak je zdobył? - zapytała Gail.

- W tym sęk. Nie wiem.

- Ciężko będzie zawiązać czerwoną kokardkę na jego... - Zmrużyła zimne, leszczynowe oczy.

- Skąd wiesz, że on ma to złoto? Tylko nie próbuj mi wciskać kitu. Nie przyszłam wysłuchiwać bajeczek.

- Jeden ze złodziei powiedział Firenze'owi.

- Carl? Dlaczego on nie...

- John, nie Carl. W przeciwnym razie to ty byś się ze mną skontaktowała i rozmawialibyśmy w twoim biurze, bo żadne z nas nie ma zaufania do linii telefonicznych.

Uniosła gładkie brwi.

- Tylko głupiec spodziewa się, że telefony zapewniają prywatność. Uśmiechnął się.

Chciała, żeby znowu zaczął mówić. Czekał, oddychała tak, by uwydatnić piersi wylewające się z białego, jedwabnego kostiumu. Widziała, że na nią patrzy i że podoba mu się to, co widzi. Ale on nic w tej kwestii nie zrobi.

No i bardzo źle. Znacznie łatwiej kontrolowało się mężczyzn, kiedy mogło się przemówić do prymitywniejszej części ich natury.

- Z tego, co słyszałem, poszczyło się jakiemuś drobnemu rabusiowi - powiedział Rich. - Dorwał co najmniej dwadzieścia sztuk, może i więcej. Celtyckich wyrobów ze złota.

Gail ściągnęła różowe wargi, jakby chciała gwizdnąć.

- Razem z kolesiem opylili cztery sztuki Joeyowi Cline'owi.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Nic dziwnego. Jest na dole łańcucha pokarmowego. Ty żywisz się na samej górze.

- Podobnie jak ty.

- Ale ja nigdy nie zapominam, że istnieje dół. - Rich obserwował reakcję Gail. Zobaczył, że lekko zmarszczyła brwi, i winał sobie w duchu, że trochę załazł za skórę tej rozpieszczonej kobiecie. - Cline przekazał towar J.E. Shapiro.

- Shapiro, Shapiro... - Przechyliła głowę. - To nazwisko też mi nic nie mówi.

- Jeszcze jeden paser, który jest dość nisko w hierarchii.

- A zatem zbyt nisko, żeby mieć dostęp do Shane'a.

- Prawdopodobnie. Właśnie dlatego cię wezwałem.

- Przykro mi, że cię rozczaruję. Dałam sobie spokój z łażeniem po slumsach, jeszcze zanim stałam się pełnoletnia.

Rich zlekceważył jej uwagę.

- J.E. Shapiro nie odbiera telefonów, więc na razie to ślepa uliczka. Prawdopodobnie dowiedział się o zamordowaniu Cline'a i...

- Zamordowaniu? Wzruszył ramionami.

- Jeden paser więcej lub mniej? W Vegas jest ich pełno, jak much na padlinie.

- Cholera. Morderstwo wywołuje za dużo zamieszania.

- Nie będzie problemu, jeśli wplączemy w to Tannahilla. Wtedy dymu będzie tyle, ile trzeba.

Gail się skrzywiła.

- Nie podoba mi się pomysł, żeby przypisywać Shane'owi morderstwo, którego nie popełnił.

- Skąd wiesz, że nie popełnił?

- Jeżeli kogoś stuknął, to ciała i tak nie znajdziesz. To bardzo, bardzo inteligentny facet. - Przynęła się do szklanej ściany i wyjrzała na rozległe, głośnie, zapuszczające się w pustynię miasto, które pomogło jej zdobyć majątek. Ale świat już się zmienił. Las Vegas też.

I ona.

Podobnie jak świat i miasto, Gail była starsza. Nie miała już dość sił, żeby zaczynać wszystko od nowa, gdyby Najśmielsze Marzenie przestało przynosić dochody. A do tego musiało dojść. Jej zyski malały. Nie gwałtownie, ale systematycznie. Ten proces przypominał powolne wykrwawianie się i zapowiadał katastrofę w przyszłości, kiedy kasyno będzie wymagało gruntownej modernizacji. Powstało za dużo nowych kasyn, centrów oferujących rozmaite rozrywki. Ale turystów nie było dość, by wszyscy mogli dobrze zarobić.

Niech to. Jaka szkoda. Dlaczego nie umiałeś zrozumieć, jak świetnie byśmy sobie radzili razem? Panowalibyśmy tu niepodzielnie, do jasnej cholery.

Ale Shane tego nie pojmował.

Za to Rich Morrison owszem.

Życie jest do niczego i kończy się śmiercią.

Zwróciła się do Richa. Uśmiechnęła się i zaczęła zastanawiać, który z nich zdołałby przetrwać to partnerstwo.

Rozdział 38

Las Vegas

4 listopada, rano

Shane stał w gabinecie Risy i narastało w nim rozdrażnienie.

- Apartament i gabinet są twoje tak długo, jak będą ci potrzebne - powiedział niecierpliwie. Kolejny raz. - To wszystko było w odprawie.

- Nie czytałam umowy na temat odprawy. - Risa nie podniosła wzroku znad biurka, którego zawartość szybko wrzucała do zniszczonej walizki Chelle.

- W takim razie nie wiesz, że możesz spokojnie rozglądać się za nową pracą, bo zapłacę ci za cały rok plus dodatki.

- Nie potrzebuję tego.

- Nie utrudniaj już i tak skomplikowanej sytuacji.

Jego ostrzegawczy ton sprawił, że Risa ucieszyła się, że ma zajęte ręce. Shane nieczęsto się denerwował, ale teraz był bliski szału. Odczuwała gorzką satysfakcję, że potrafiła tak bardzo wyprowadzić go z równowagi. A jednocześnie żałowała, że obudziła się dopiero o ósmej. Gdyby wstała wcześniej, zdążyłaby opróżnić swój gabinet, zanim jej były szef dowiedziałby się, że podwładna nie tylko opuszcza pracę, ale też kasyno, miasto, a przede wszystkim Shane'a Tannahilla.

- Riso.

Mówił z taką tęsknotą w głosie, że odruchowo podniosła głowę. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, już było za późno. Żar w jego pociemniałych oczach sprawił, że traciła grunt pod nogami.

- To jedyny sposób, żeby cię chronić - powiedział.

- Czyja prosiłam o ochronę?

Zawahał się.

- Nie.

- Gdyby pozycje były odwrócone, jak byś się czuł?
Otworzył usta, zamknął je, zmarszczył czoło.

- Ja jestem mężczyzną.

- I co z tego? Bronisz się swoim kutasem? Rozpinasz suwak z samego rana? - Wciąż siedziała na krześle; pochyliła się i znowu zajęła porządkowaniem papierów. - Potrafiłam się bronić od pierwszej klasy.

- Przed mordercą?

- Ten facet nawet mnie nie drasnął.

- Jakiś pionek, Joey Cline, został wczoraj zamordowany w swoim lombardzie.

Risa przestała wpychać dokumenty do walizki. Gwałtownie odwróciła głowę.

- Handlował kradzionymi antykami?

- Chyba tak.

- Miał więcej tych złotych wyrobów?

- Nie.

- To skąd wiesz, że coś go łączyło ze złotem druidów?

- Nazwij to przecuciem.

- Nazwij to banialukami i podaj je z majonezem. - Risa zatrasnęła walizkę. - Wybacz, ale się śpieszę. Mam się z kimś spotkać na lotnisku.

Wstała. Shane podszedł do niej tak blisko, że prawie dotykała ustami jego zielonej wiatrówki.

- Nie wyjdiesz stąd bez uzbrojonego ochroniarza - oświadczył.

- Nie ma problemu - odezwał się Ian Lapstrake z korytarza. - Złapałem wcześniejszy lot.

Shane okręcił się na pięcie tak szybko, że aż przestraszył Risę. Jeszcze bardziej zszokowała ją broń, którą zobaczyła w jego ręce. Ian uśmiechnął się i pokazał puste dłonie.

- Hej, Shane. Kopę lat się nie widzieliśmy.

- Jeszcze raz podkradniesz się do mnie, to długo nic nie będziesz widział. - Pistolet zniknął pod wiatrówką. - Co tutaj robisz?

- Ochraniam najnowszą pracownicę Rarities Unlimited - wyjaśni Ian.

- Kogo? - zapytał Shane. Ian zerknął na Risę.

- On nie wie?

- Słyszałeś takie powiedzenie: jak nie pytają, to nie mów? - zagadnęła Risa. - Nie zapytał, więc nic nie powiedziałam.

- Pięknie - stwierdził Ian, czujnie obserwując drugiego mężczyznę. Nic dziwnego, że Dana się uśmiechała, kiedy dawała mu to zlecenie. Shane wyglądał na wrednego i zaborczego samca, a Risa zachowywała się jak wariatka, która bez wahania wbiłaby facetowi nóż w jaja. - Oboje będziecie szczęśliwi, kiedy się dowiecie, że ja nigdy nie umawiam się z koleżankami z pracy. Nawet bardzo seksownymi

- Jestem zrozpaczona - mruknęła Risa obojętnym tonem. - Zwłaszcza biorąc pod uwagę twoje wspaniałe barki i budzący zaufanie uśmiech.

Ian prychnął śmiechem.

Ona wróciła do pakowania dokumentów.

- Wytłumacz mi, dlaczego nie powinienem wykopać ze swojego kasyna twojego zgrabnego tyłka - zapytał Shane łana.

- To proste. Dopóki się nie dowiem, co się dzieje, Risa będzie bezpieczniejsza tutaj niż gdziekolwiek indziej, oprócz kwatery w L.A.

- To zabierz ją do L.A.

- Na wypadek gdyby to umknęło twojej uwadze - odparła Risa, nie podnosząc oczu - nie jestem paczką, którą można przewozić i zostawiać wedle kaprysu. Potrafię sama o siebie zadbać.

- Dla mnie to i lepiej - oznajmił beztrąsko Ian. - I tak będę miał mnóstwo roboty przy poszukiwaniu reszty złota druidów dla Dany.

- Ja jej to złoto znajdę - odparł Shane.

- Sam tego nie zrobisz - stwierdził Ian. - A może myślisz, że przyjaciółka Risy z dzieciństwa spojrzy na ciebie, rozplynie się z zachwytu i wyzna wszystkie największe sekrety na twojej męskiej piersi?

- Pieniądze rozwiążą ludziom języki. A ja mam dużo forsy.

- Będę pamiętał. - Ian popatrzył na Risę. - Znasz adres swojej przyjaciółki w Sedonie?

- Nie.

- Numer telefonu?

- Nie.

- Numer tablicy rejestracyjnej?

- Nie.

- Markę i model samochodu?

- Nie.

- Hurra. Zawsze lubiłem wyzwania. - Ian sięgnął do dżinsowej kurtki, wyciągnął ipoda, które Rarities dawała wszystkim pracownikom wyższego szczebla, i wystukał numer. - Dział badań? Lapstrake. Macie już coś na temat Cherelle Faulkner?

- Pracujemy nad tym dopiero jeden dzień z kawałkiem i...

- Macie to od wczoraj? - Ian spiorunował Shane'a wzrokiem.

- ...i już przestaliśmy Tannahillowi informację na temat Sheridan i Faulkner, o czym na pewno byś wiedział, gdybyś sprawdzał swoją pocztę elektroniczną.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane podniesionym tonem. W Rarities wszyscy wiedzieli, że Ianowi nie chce się marnować czasu na biurokratyczne pierdoły. To że Dana i Niall pozwolili, żeby dowiedział się o wszystkim sam, było w ich stylu.

Jeszcze bardziej interesujący wydawał się fakt, że Shane kazał prześwietlić nie tylko Cherelle Faulkner, ale i Risę. Ian zastanawiał się, czy Risa o tym wiedziała. To by tłumaczyło, dlaczego tak się wściekła na swojego szefa. Byłego szefa. No, ale już samo zwolnienie z pracy mogło ją doprowadzić do szału.

- To podaj mi najlepsze kawałki - powiedział Ian do telefonu.

- Z Sheridan poszło łatwo - ciągnął głos po drugiej stronie. - Wypełnia formularze prawdziwymi informacjami. Za to Faulkner żyje na pograniczu, dokąd nie sięga biurokracja. Nie zmieniała prawa jazdy, adresu ani rejestracji samochodu od czasu pobytu w Johnson Creek, w Arkansas.

- Jaki jest ten najnowszy?

- Tannahill go ma. Przecież właśnie tam jesteś, prawda? W Vegas.

- Tak, ale nie wiem, czy Shane zechce się podzielić informacjami.

- Cholera. Dlaczego nie? - wtrącił się Shane, rozumiejąc nawet tę połowę rozmowy, której nie słyszał. - Możesz dostać obydwa profile. Risy i Cherelle.

Teraz czekał na wybuch wściekłości Risy. Musiała już się zorientować, że niedawno poprosił Rarities o dokładne zbadanie przeszłości obu kobiet.

Jej zmrużone oczy i grymas pięknych warg upewniły go, że dokonała tego odkrycia bardzo szybko. Gdyby była tylko wściekła, pogodziłby się z tym. Ale błyszczące niebieskie oczy przez chwilę wyrażały też wielki ból. Zaraz jednak opuściła głowę i wróciła do opróżniania dolnej szuflady swojej biurowej kartoteki.

Podszedł i ukucnął naprzeciwko Risy.

- Co byś zrobiła na moim miejscu? - zapytał cicho. - Pojawia się ktoś z twojego dzieciństwa,

zupelnie do ciebie niepodobny, i nie chcesz, zebym o tej osobie sie dowiedzial.

Risa odchyliła głowę do tyłu. Była wkurzona na niego, ale przede wszystkim na samą siebie, bo nie potrafiła powstrzymać piekących łez.

- A więc napuściłeś na nią Rarities. I na mnie.

- Tak.

- Nie ufasz mi.

- Riso...

Zrobiła gwałtowny ruch ręką, żeby zamilkł.

- Nieważne. Dlaczego miałbyś mi ufać? Ja nie ufałam ci na tyle, by wyznać, kim jest Cherelle, bo ona mieszkała tam, skąd pochodzę... - Risa przełknęła ślinę i starała się nie rozplakać.

Shane delikatnie pogładził ją po policzku.

- Myliłem się. Twoja przeszłość nie powinna mnie interesować. Dla mnie liczy się tylko tu i teraz. A Cherelle nie pasowała do ciebie. Właśnie dlatego wezwałem Rarities. Nie ufałem samemu sobie. A to przecież podstawa.

Wstał i spojrzał w ciemne, ironiczne, ale trochę współczujące oczy Iana.

- Dane są w moim biurze, chyba że dział badań ma nowe informacje - powiedział Shane.

- Zdarzyło się coś, odkąd przesłałeś pliki Tannahillowi? - zapytał Ian przez telefon. - Dobrze. W razie czego, przesyłaj natychmiast. Tak, ja ciebie też, kochanie.

Rozłączył się i zawiesił aparat z powrotem na pasku. Elastyczna skórzana uprząż na ramionach przez moment zalsniła, a potem została przykryta dżinsową kurtką.

- A więc to Rarities cię przysłała - mruknął Shane.

- Im dłużej Dana patrzyła na twoje złoto druidów, tym bardziej pragnęła znaleźć pozostałe przedmioty. Powiedziała, że jest w tej sztuce coś niesamowitego, a jednocześnie bardzo prawdziwego.

- Przywiozłeś ze sobą moje cztery przedmioty? - zapytał Shane.

- Zażądałeś ich, więc są, choć laboratorium płakało i krzyczało. Byłoby łatwiej, gdybyś poprzestał na przekazywaniu zdjęć, jeśli chodzi o demonstrowanie przedmiotów i wypytywanie obcych.

Shane nie zamierzał tłumaczyć, dlaczego nalegał na zwrot złota. Risa wprost przeciwnie.

- Zdjęcia nie dają tego samego efektu.

Nawet jeśli Ian zwrócił uwagę na nienaturalnie schrypnięty głos Risy, nie skomentował tego.

- Dokładnie to samo Shane powiedział Danie.

Szybko zerknęła na Shane'a, potem odwróciła wzrok. Akurat w tym momencie nie miała ochoty, żeby jej przypominano, jak bardzo podobnie myślała.

- Gdzie one są? - zapytała Iana.

- Na dole. Zabezpieczone. Nie chciałem otworzyć zamków skrzyni, a oni bez tego nie chcieli mnie wpuścić na górę.

- W jakim stopniu Rarities je przebadala? - zapytał Shane.

- Dana umieściła wszystko w twoim folderze na komputerze w Rarities. Powiedziała, że spokojnie dasz radę się do niego włamać.

- Z przyjemnością, Iana pokręcił głową.

- Kiedyś w końcu sprowokujesz Nialla.

- Postaram się tego nie zrobić - odparł Shane. - Ma nade mną przewagę w postaci dziesięciu lat i nie zwalnia tempa.

- Nadal z nim ćwiczysz? Shane uśmiechnął się smutnie.

- On nie przegapi żadnej okazji. Po prostu uwielbia się na mnie wyżywać.

- No proszę. A ja myślałem, że przyjeżdżał do Vegas dla hazardu. - Ian wybuchnął śmiechem.

- Regularne poniewieranie wyjdzie ci na dobre.

- Tak twierdzi Niall.

Ian zerknął na Risę spod półprzymkniętych powiek. W jej oczach nie było już łez, a ręce w ogóle się nie trzęsły, kiedy wpychała papiery do walizki.

- Według Dany - zwrócił się Ian do Risy - naszym priorytetem jest odnalezienie Cherelle Faulkner, ponieważ zakładamy, że ona ma resztę złota.

Risa skinęła głową. Shane tego nie zrobił.

- Naszym priorytetem jest bezpieczeństwo Risy.

Ian uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Posłuchaj, jak ci się nie podobają moje polecenia, wrzeszcz na Dane. A tymczasem zjeżdż mi z drogi, do cholery.

- Nie.

Ian westchnął. Przynajmniej warto było spróbować.

- Niall uprzedzał, że zaczniesz się rzucać. Dlatego mam propozycję. Współpracuj ze mną. Dzięki temu Risa będzie podwójnie bezpieczna.

Shane kiwnął głową.

- Ty i ja musimy przede wszystkim zająć się Williamem Covingtonem. Według pochodzenia odnotowanego w dokumentach, podobno to on kupił złote wyroby od potomka osoby, która znalazła je pierwsza.

- A co ze mną? - zagadnęła Risa, siląc się na spokojny ton.

- Ty zostajesz tutaj - odparł Shane.

- Bo tak jest bezpiecznie?

- Właśnie.

- Guzik prawda. Zostałam tu zaatakowana, pamiętasz? Czułabym się lepiej gdzieś indziej. Na przykład z dwoma czarującymi ochroniarzami. Skoro nie mam ich do dyspozycji, zadowolę się tobą i Ianem Lapstrakiem.

Ian zaśmiał się szyderczo.

Shane zaczął się kłócić.

- Daj już spokój - poradził mu Ian, odwracając się do drzwi.

- Mówisz zupełnie jak Dana - odciął się Shane.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Ian uśmiechnął się i mrugnął do Risy. - A niech to, uwielbiam patrzeć na Shane'a, kiedy ma kłopoty jak zwykły śmiertelnik. Dobrze to robi mojemu delikatnemu serduszkowi.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała - mruknął Shane.

- Trudno, twoja sprawa. - Uśmiechnęła się. - Poza tym właśnie przypominałam sobie nazwę motelu, w którym zatrzymywała się Cherelle.

- Jaka to nazwa? - zapytali Shane i Ian jednocześnie.

- Zawiozę was tam - odparła Risa.

Shane zaczął protestować, ale zauważył zacięte, pełne determinacji spojrzenie Risy i dał za wygraną.

- Praktyka czyni mistrza - zauważył cicho Ian, kiedy wychodzili za Risą z pokoju.

- Kto tak twierdzi? - mruknął Shane.

- Niall. A jeśli on potrafi się czegoś nauczyć, to każdy może.

Las Vegas 4 listopada, rano

Pielęgniarka wsadziła głowę między szpitalne szerokie drzwi, które były jedynym dowodem na to, że Timothy Seton nie przebywa w drogim hotelu. Klinika chirurgii kosmetycznej Bateman-Molonari była niewątpliwie ekskluzywna. I zapewniała dyskrecję. Tym bardziej że obowiązywały tu potrójne stawki.

Miranda Seton wolałaby zwykły szpital, ale - jak lakonicznie wyjaśnił ojciec Tima - w szpitalach trzeba zgłaszać policji rany postrzałowe.

- Pani syn właśnie się obudził - powiedziała pielęgniarka ściszym głosem do Mirandy. - Będzie pani mogła z nim porozmawiać po wyjściu lekarza, ale tylko przez kilka chwil.

Miranda w duchu dziękowała Bogu, chociaż przestała w niego wierzyć, kiedy zaszła w ciążę z żonatym mężczyzną, który potrafił zabijać. Ścisła swoje chude, kruche ręce: były blade, oprócz zakrwawionych skórek przy paznokciach, które nieustannie skubała w roztargnieniu.

Jak tylko pielęgniarka wyszła, Miranda otworzyła torebkę, pociągnęła łyk wódki z tego, co zostało w półlitrowej butelce, i włożyła do ust miętówkę o podwójnie intensywnym smaku i zapachu. Pokrzepiona, dźwignęła się na nogi i energicznie ruszyła po limonkowym dywanie do pokoju Tima. Z kremowych ścian uśmiechały się do niej perfekcyjnie wymodelowane twarze na idealnie oprawionych fotografiach.

Mosiężne numery na drzwiach, stonowany, kameralny wystrój - wszystko jak w eleganckich hotelach. Reprodukacje obrazów impresjonistów, pastelowe kolory i mnóstwo poduszek na meblach. Jedynym elementem burzącym tę harmonię był pacjent w bladuróżowej pościeli, w otoczeniu monitorów, maszyn i rurek podłączonych do różnych części ciała.

Wyglądał gorzej niż wtedy, gdy był pokryty krwią.

Chciała podbiec do łóżka i go przytulić, ale nie zrobiła tego. Miała określone zadanie: dowiedzieć się, kto postrzelił Tima. Gdy tylko osiągnie cel, będzie mogła doprowadzić do zemsty.

- Och, Timmy - wymamrotała zduszonym głosem.

Chrząknął, ale nie otworzył oczu. Naprawdę nie potrzebował w tym momencie, żeby matka krążyła wokół niego jak zraniona ćma.

- Kto ci to zrobił? Cherelle?

Jego powieki zatrzepotały, zatrzymały się w połowie. Tim nie był w stanie znieść nawet przefiltrowanego, łagodnego oświetlenia w sali. Mówienie przychodziło mu z trudem, ale jakoś zdołał się przemóc. Jeśli mógł narobić kłopotów swojemu staremu kumpłowi, zrobi to z największą przyjemnością.

- Socks - wybełkotał z bólem.

- Chodzi ci o skarpety? Przepraszam. Nic ze sobą nie przyniosłam. Marzną ci nogi? Może pielęgniarki mają poduszkę elektryczną.

Powoli, ze znużeniem Tim przetoczył głowę z boku na bok.

- Postrzelił mnie.

Zawahała się.

- Socks? Postrzelił cię twój przyjaciel?

- ...tak.

- Dlaczego?

Tim zrobił słaby wydech, potem jeszcze jeden. Nie był naprawdę pewien, co ma odpowiedzieć.

- Bo ja wiem. - Umilkł i przełknął ślinę. - Pewno chodziło o złoto.

- Jakie złoto?

Wyjaśnienie tego kosztowałoby go za dużo wysiłku. Ból wywołany mówieniem miałby sens tylko wtedy, gdyby przyniósł Socksowi pecha.

- On się nazywa... Cesar.

- Inny mężczyzna?

- Socks - wyrzeźił.

- To znaczy, że Socks naprawdę nazywa się Cesar?

W odpowiedzi Tim tylko jęknął.

- Zabiłem go.

- Socksa?

- Cline'a. Nie chcę być w więzieniu. Już nigdy.

- Nie martw się, Timmy. Twój ojciec zajmie się tobą. On cię kocha.

Tim wybuchnąłby śmiechem, gdyby nie fakt, że był obolały. Wciąż próbował znaleźć niebolące miejsce na swoim ciele, kiedy wokół niego zapadła ciemność. Powitał ją jak kochankę.

Miranda skubała skórki przy paznokciach i patrzyła na przerażająco bladego syna.

Usłyszała ciche pukanie, a po chwili drzwi się otworzyły. Do sali zajrzał pielęgniarz.

- Przykro mi, pani Seton, ale lekarz chce, żeby pacjent jak najwięcej wypoczywał. Proszę ze mną. Doktor Wells odpowie na pani pytania.

Zaczęła protestować, ale zauważyła, że Tim znowu jest nieprzytomny. Westchnęła.

- Kiedy będę mogła znowu go odwiedzić?

- Najwcześniej za kilkanaście godzin. Pielęgniarz łagodnie ujął ją za łokieć szeroką, owłosioną ręką i wyprowadził z pokoju. - Doktor Wells czeka. Będzie pani miała mnóstwo czasu na pytania.

I na to, pomyślał cynicznie, żeby się wymknąć po alkohol i miętówki. Z tego, co pielęgniarz zauważył na kamerach dyskretnie porozmieszczanych w klinice, miała już w butelce bardzo niewiele.

Nie żeby specjalnie się tym przejmował. Przywykł do alkoholików i ich podstępów. Kiedy klinika Bateman-Molonari nie podciągała obwisłej skóry, zajmowała się bogatymi gośćmi, żeby mogli się swobodnie upijać do nieprzytomności. Dlatego nigdy nie narzekała na brak klientów. Mimo to pielęgniarz trochę współczuł tej kobiecie. Pacjent mógł się przebudzić jeszcze kilka razy, a może nawet będzie przez jakiś czas przytomny, ale to wszystko.

Timothy Seton umierał.

Rozdział 40

Las Vegas

4 listopada, rano

Ian zatrzymał wóz blisko Shane'a na popękanych płytach parkingu przy motelu Jackpot. Zauważył, że od wyjazdu z kasyna obaj ciągle oglądają się przez ramię.

- Gdzie on jest? - zapytał Shane, kiedy Ian do niego podszedł.

- Kto? - wtrąciła się Risa.

- Facet, który za nami jechał.

- Blondyn w czerwonym wozie? - zagadnęła.

Shane zerknął na nią szybko. Nie sądził, że zauważyła.

Spojrzenie, którym go poczęstowała, sugerowało, że jest wiele rzeczy, których on w niej nie

zauważył. Przede wszystkim to, że potrafi sama dać sobie radę.

- Jest tam. - Ian skupił na sobie uwagę współtowarzyszy. - Pół przecznicy dalej.

- Masz numer tablicy rejestracyjnej? - zapytał Shane.

- Już go podałem Rarities.

- Jeśli nie zdołają szybko wejść do bazy stanowego wydziału komunikacji Nevady, ja mogę to zrobić.

- No, tak. Niall wspominał, że nauczyłeś się hakerskich sztuczek pierwszej klasy na kolanach tatusia.

- Nie słucham tej rozmowy. - Risa chrząknęła głośno. - Nie słyszałam, że mój szef, były szef, właśnie oświadczył, że potrafi się włamać do rządowych komputerów. Proszę, jakie możliwości szantażu. Ale ja wcale nie słucham.

- To dobrze - stwierdził Shane. - Ruszajmy.

Zaopatrzeni w zdjęcia Cherelle i napastnika z kamer ochrony, całą trójką podeszli do głównego wejścia motelu Jackpot. Biuro cuchnęło dymem i popielniczką pełną petów. Kobieta za ladą ze sklejki miała na sobie fartuch, pomarańczowy sweter do ud i czarne rajstopy. Jej włosy były nieprawdopodobnie czarne, a twarz wyglądała jak wymięta szmata.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zagadnęła Risa. - Szukam swojej przyjaciółki, Cherelle Faulkner. - Kiedy mówiła, Ian położył fotografię na ladę. - Zatrzymała się tu kilka dni temu i może jeszcze się nie wymeldowała.

- Często gubi pani przyjaciółki? - zapytała kobieta schrypniętym głosem.

Risa wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nie. Ale Cherelle jest trochę roztrzepana. Czasami zapomina zapłacić rachunek przed opuszczeniem hotelu. Dlatego jeżdżę za nią i pilnuję, żeby nikt nie czuł się poszkodowany. Ile była winna pani?

Kobieta zerknęła na fotografię. Potem zapaliła cygaretkę i długo się zaciągała, uważnie obserwując troje gości. Nie wyglądali na biednych, a jedna z tych osób wydała jej się znajoma. Może z telewizji? Znow zaciągnęła się nikotyną. Zastanawiała się, ile pieniędzy może wyciągnąć za informację o tej zdzirze w czerwonym sweterku. Wydechając dym, doszła do wniosku, że zażąda sto dolarów. Albo spróbuje wytargować dwieście. A wtedy będzie mogła grać w automaty tak długo, aż tyłek jej ścierpnie.

Risa zaczęła oddychać przez usta, żeby dym tak mocno nie drażnił nosa.

- Stówę - rzuciła kobieta, Ian prychnął z obrzydzeniem.

Shane sięgnął do portfela. W jego palcach pojawiły się dwie pięćdziesiątki. Położył jeden banknot na ladzie.

Pięćdziesiątka błyskawicznie zniknęła w pomarszczonym dekolcie. Kobieta obserwowała Shane'a wodnistymi, surowymi oczami.

Trzymał drugi banknot tak, żeby był poza jej zasięgiem.

- Wyprowadziła się kilka dni temu - powiedziała recepcjonistka.

- Mówiła, dokąd jedzie? - zapytała Risa. Kobieta gwizdnęła.

- Złotko, nie byliśmy kumpelkami.

- Zostawiła coś?

- Brudną pościel i kartony po fast foodzie.

- Numer pokoju? - zapytał Shane.

- Pięć. Zajrzyjcie, jak chcecie.

To że ich zachęcała, świadczyło, że w pokoju na pewno nie było nic ciekawego.

- Może później - powiedział Ian. - Czy jechała fordem bronco, mniej więcej dziesięcioletnim, z tablicami rejestracyjnymi stanu Arkansas?

Kobieta wzruszyła ramionami i patrzyła na drugi pięćdziesięciodolarowy banknot.

- Ma pani obowiązek spisywania numerów rejestracyjnych samochodów gości - przypomniał Shane.

- Tak, to był bronco. Nie zwróciłam uwagi na tablice.

- A ten? - Risa położyła na ladzie zdjęcie napastnika.

- Nasza umowa dotyczyła kobiety - burknęła recepcjonistka. Shane wyjął trzecią pięćdziesiątkę.

- Więcej nie dam.

Kobieta zaciągnęła się dymem, potem zaczęła kaszleć.

- A wy co? Gliny?

- Nie.

- Mafia?

- Przykro mi - odparł Shane.

Poczęstowała ich kolejnym obłokiem papierosowego dymu i znowu wzruszyła ramionami.

- Cóż, zawsze można mieć nadzieję. Lubiłam tych z mafii. Prawdziwi mężczyźni. Łapiecie, o co mi chodzi?

- A ten facet? - Risa postukała w zdjęcie napastnika. - Nocował z Cherelle?

- Nie. Nocował inny. Ten tylko snuł się z wywieszonym jęczorem.

- Mieli jakieś imiona? - naciskała Risa.

- Tego drugiego nazywała Tim. A on mówił do kumpla: Socks.

- A nazwiska? - dopytywała się Risa.

- Tylko ona stale się meldowała.

Stale. A więc była tu więcej niż jeden raz.

- Jak często przyjeżdżała? - zapytała Risa szybko.

- Kilka razy. Miała w okolicy przyjaciół albo krewnych.

- Jak blisko stąd? - zapytał Ian.

Popatrzyła na dwie pięćdziesiątki. Shane podał jej jeden banknot. Wepchnęła go za staniak, tym razem po drugiej stronie. Sztywne krawędzie papieru sterczały przez sweter.

- Można dojść na piechotę - odparła. - W każdym razie on czasami chodził. I strasznie na to narzekał. Zdaje się, że samochód nie był jego.

- Jego?

- No, tego wysokiego przystojniaka, Tima. Kilka przecznic dalej na północ są mieszkania, a zaraz za nimi stare domy. Właśnie w tamtym kierunku chodził. Na waszym miejscu nie szwendałabym się tam po nocy.

- Jakieś rozmowy telefoniczne? - ciągnęła Risa.

- W pokoju nie ma telefonu.

- Goście?

Wzruszyła ramionami.

- Nikogo nie widziałam.

Risa popatrzyła na Shane'a, potem na Iana.

- Czy Socks prowadził samochód? - zapytał Shane.

- Masz jeszcze jedną pięćdziesiątkę?

- Tylko pod warunkiem, że podasz opis i numer rejestracyjny.

- Numeru nie znam. Z tak daleka nie dałam rady go wypatrzeć.

- A nazwę stanu?

Skinęła głową.

Shane sięgnął do portfela.

- Mów. Postaraj się, to ja i się postaram.

- Fioletowy coupe, taki odcień, który błyszczy w ciemności, łapiesz? Tablica rejestracyjna Nevady.

- Samochód amerykański czy zagraniczny?

- Amerykański. Duży silnik. Jak u wyścigówki, i świetny zryw. Niech no chwilę pomyślę. - Długo zaciągała się cygaretką i zastanawiała się na głos. - Fire coś tam. Stara amerykańska marka, coś podobnego do forda albo chevroleta.

- Pontiac? - podsunął Ian.

- Firebird? - powiedział Shane w tej samej chwili.

- O właśnie. Cieszę się, że sobie przypomnieliście, chłopaki. - Zmrużyła oczy i popatrzyła na Shane'a. - Hej, czy ty nie jesteś tym bogaczem od hazardu? Królem Midasem? Po tamtej strzelaninie zobaczyłam twoje zdjęcie w wiadomościach.

- Wielu ludzi sądzi, że wyglądam jak on - odparł Shane. Poruszył palcami i zamachał trzema pięćdziesięciodolarowymi banknotami.

Kobieta wyszczerzyła żółte zęby w szerokim uśmiechu. Chwyciła pieniądze i zaczęła je wpychać za sweter.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Risa powiedziała:

- Powinieneś jej dać jeszcze jedną pięćdziesiątkę.

- Dlaczego? - zdziwił się Shane.

- Bo jestem ciekawa, gdzie by ją upchnęła.

Ian prychnął pogardliwie.

- Chcesz wrócić i ją zapytać?

- Nie, dzięki. Wolę nie poruszać tego tematu.

- I słusznie - stwierdził Ian.

Shane długo spoglądał na parking motelu i sąsiadującą z nim ulicę, Ian też obserwował. Czerwony samochód stał zaparkowany mniej więcej w połowie drogi.

Shane uniósł brew w milczącym pytaniu.

- Jeszcze nie - odparł Ian. - Najpierw zobaczymy, czy da się ustalić, kto nas śledzi.

- Widział, jak wyszliśmy z parkingu dla personelu - odezwała się Risa.

- To on ścigał cię w kasynie? - zapytał Shane.

- Kolor włosów się nie zgadza. Tamten miał ciemne.

- Fatalnie. Nie mogę się doczekać spotkania z nim.

Uśmiech Shane'a sprawił, że Risa poczuła się nieswojo.

- Szukamy krewnych z okolicy czy jedziemy drażnić Covingtona? - zapytała.

- Możemy się podzielić - zaproponował Shane. - Ian chodziłby od drzwi do drzwi ze zdjęciami, a my załatwilibyśmy Covingtona.

- Wolałbym na odwrót - mruknął Ian bez większej nadziei.

- Nic z tego - powiedział Shane. - Po pierwsze, dzięki wszędobylstwu mediów potrafi mnie rozpoznać nawet na wpół ślepa staruszka. Po drugie, ciebie Covington nie potraktowałby wyjątkowo, ale przede mną rozwinie czerwony dywan. Nie przejmuj się. To tylko kwestia pieniędzy.

Jasne mruknął Ian, sięgając po swój aparat. - Jeśli Niall to kupi, odcepię się od ciebie. Jeśli nie, przygotuj się na niezłą jazdę.

Shane wybuchnął śmiechem.

Risa położyła ręce na biodrach i odwróciła się, żeby nie powiedzieć czegoś pochopnie, na przykład że nie potrzebuje żadnych ochroniarzy. Bo to nie byłaby prawda. W głowie wciąż kołatało jej pytanie napastnika: „Gdzie złoto?”

Tego nie wiedziała. Ale rozumiała jedno. Duże pieniądze na wolności przyciągały drapieżników w ludzkiej skórze. Cherelle też zdawała sobie z tego sprawę.

I właśnie dlatego gnała w popłochu przed siebie.

Rozdział 41

Las Vegas

4 listopada, późny ranek

John Firenze złapał swój prywatny telefon tak, jakby to był wygrany los na loterii.

- Mów.

- Sheridan opuściła lokal z Tannahillem i jeszcze jednym facetem. Nie wrócili.

- Dokąd się udali?

- Na zewnątrz.

- Jezu Chryste, tego się domyślam! - Spojrzał na okno na drugim końcu gabinetu, przez które było widać teren budowy kolejnego wielkiego kasyna. Problem z zatrudnianiem krewnych polegał na tym, że nie wszyscy okazywali się rozzgarnięci. Przynajmniej kuzyn Frank miał trochę więcej oleju w głowie niż tępy i stuknięty Cesar. - Ale dokąd?

- Do motelu Jackpot. Stara wydra mówiła, że pytali o Cherelle, Tima i jakiegoś faceta z ksywką Socks. Baba nic więcej nie wiedziała, ale zgarnęła pięćdziesiąt dolarów.

Socks. A niech to cholera. Załatwili jego pieprzonego, przygłupiego kuzyna.

- Co teraz robią?

- Rozdzielili się. Ten drugi facet chodzi od drzwi do drzwi z dwiema fotografiami.

- Czyimi?

- Nie dałem rady podjechać dość blisko, żeby zobaczyć. Chcesz, żebym to zrobił?

- Nie. Załatw, żeby Sheridan była sama i przekaz jej wiadomość ode mnie. Zrozumiałeś?

- Tak, ale to nie będzie łatwe. Tannahill nie odstępuje jej na krok.

- To już twój problem. Mam dość własnych.

Firenze rozłączył się i wybrał numer, który dobrze pamiętał, bo w ciągu ostatniej godziny używał go bardzo często. Znowu odezwała się automatyczna sekretarka. Nie czekał, aż odtworzy się wiadomość powitalna: „Pan Shapiro z Second Chance Loan Exchange jest na rozmowie z klientem. Proszę zostawić wiadomość”.

Firenze popatrzył na zegarek. Nie mógł grać na czas zbyt długo. Jeszcze jedna godzina, a będzie się musiał zadowolić o wiele mniejszym kawałkiem tortu.

Albo nie dostanie nic.

Rozdział 42

Las Vegas

4 listopada, wczesne popołudnie

Firma Williama Covingtona wyglądała jak typowy elegancki sklep z antykami; krążyły pogłoski, że można w nim pożyczyć pieniądze na krótki okres i złodziejski procent, a handel antykami to dla właściciela tylko działalność uboczna. Wszędzie były widoczne brązowe meble, kryształowe kandelabry i lampy w stylu Tiffany'ego. Broń w tym lokalu liczyła sobie przeszło sto

lat i była porozwieszana na ścianach jak trofea. W szklanych gablotach eksponowano mniejsze przedmioty, których wartość i nieduży ciężar mogłyby zachęcić klientów do przestępstwa.

- Dziękuję, że zgodził się pan na spotkanie - powiedział Shane, kiedy z gabinetu wyszedł Covington.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Tannahill, pani Sheridan. Covington uśmiechał się po kolei i do niego, i do niej, obnażając piękne zęby. - Proszę, wróćmy do mojego gabinetu. Kawa czeka.

Ani Shane, ani Risa nie byli zainteresowani kawą, mimo to ruszyli za Covingtonem. W gabinecie mogli liczyć na większą dyskrecję niż w sklepie, gdzie pośród ciemnych mebli buszowali amatorzy okazji i głodni inspiracji dekoratorzy wnętrz.

Kiedy wypili kawę i wygłosili stosowne i nic nieznaczące uwagi na temat pogody w Las Vegas, Covington spojrzał wyczekująco na gościa.

- Rozumiem, że czasami prowadzi pan interesy z panem Smith--White'em - powiedział Shane.

- Tak, wymieniamy się rzeczami. - Covington się uśmiechnął. - Rywalizujemy ze sobą, ale po przyjacielsku.

Shane skinął głową do Risy. Wyjęła z torby kopertę, a z niej błyszczące zdjęcie artefaktów. Zaczęła je rozkładać na dziewiętnastowiecznym, mahoniowym biurku Covingtona. Shane nie patrzył na fotografie, tylko na właściciela sklepu. Antykwariuszowi nawet nie drgnęła powieka; nie poruszył ustami, a widoczna nad białym kołnierzykiem żyła pulsowała dokładnie w tym samym rytmie, w jakim przedtem.

W żaden sposób nie zdradził, że rozpoznaje przedmioty na zdjęciach.

- Dość niezwykle - mruknął Covington. - Sana sprzedaż?

- Ile według pana byłyby warte? - zagadnęła szybko Risa.

- O niebiosas. - Zmarszczył brwi. - Musiałbym dobrze się zastanowić. Zajmuję się głównie meblami, a nie elementami zdobniczymi. Nie mam pojęcia, jaka może być wartość tych przedmiotów.

- Naprawdę? - Risa uniosła brwi. - Wobec tego, jak pan ustalił, ile zapłacić za nie Smith-White'owi?

Covington powoli przyjmował do wiadomości, że najwyraźniej sprzedał to złoto.

- Smith-White'owi? Doprawdy? To jakaś niedawna transakcja?

- Początek lipca, według kwitów.

Covington machnął bladą ręką, jakby uważał całą sprawę za nieistotną.

- No, proszę. Mój sklep sprzedaje wiele towarów, które nie przechodzą przez moje ręce. To była prawdopodobnie część zlecenia dotyczącego całej posiadłości albo zamówienie zbiorowe od innego handlarza, które przekazałem Smith-White'owi, bo bardziej odpowiadało jego klienteli niż mojej.

- Według dokumentów Smith-White nabył pan te wyroby ze złota od pana Shapiro - stwierdziła Risa.

- W takim razie ja albo któryś z moim przedstawicieli rzeczywiście to zrobiliśmy.

- Dane dotyczące pochodzenia były wyrywkowe - dodała Risa, obserwując go uważnie. - Potomek w drugim pokoleniu nabywcy, który już nie żyje.

- Czyż to nie przynębiające, jak mało współczesny świat dba o przeszłość?

- A więc nigdy wcześniej nie widział pan tych przedmiotów? - dopytywała się Risa.

- Nigdy. Przykro mi. - Covington uśmiechnął się i wstał. A teraz, jeżeli już na nic się państwu nie przydam, to chciałbym się pożegnać. Mam mnóstwo pracy. Zwrócił się do Shane'a. - Muszę wycenić nowe towary z Włoch. Jeśli kiedyś postanowi pan otworzyć muzeum hazardu, to zapraszam do obejrzenia bardzo ciekawej ruletki. Złote przegródki, wstawki z hebanu i kości

słoniowej, kulka ze szczerego złota. Używała jej kiedyś do rozrywek włoska arystokracja.

- Proszę przesłać zdjęcia i szczegółowe dane do mojego biura - powiedział Shane, wstając. Podał rękę Risie, ściskając przy tym jej dłoń na znak, żeby nic nie mówiła. Pozbierał zdjęcia złotych artefaktów i wsunął je do kieszonki na piersi. - Jeśli przypomni pan sobie cokolwiek o pochodzeniu tego złota albo jeśli będzie pan miał złote zabytki podobnej jakości, może pan liczyć na moją dziesięcioletnią nagrodę.

Cienkie szare brwi Covingtona lekko się poruszyły.

- Doprawdy? Uważnie sprawdzę swój inwentarz.

Shane posłał mu wilczy uśmiech.

- Proszę to zrobić.

Jak tylko wyszli ze sklepu, Risa warknęła:

- Zastrany łgarz.

- Tego nie możemy udowodnić.

Odetchnęła niecierpliwie. Shane miał rację.

- I co teraz?

- Shapiro.

- Kolejny pieprzony oszust?

Shane nic nie odpowiedział. Nie musiał. Jego uśmiech był aż nadto wymowny.

Rozdział 43

Las Vegas

4 listopada, wczesne popołudnie

Ian dość napatrzył się w życiu na zeschniętą krew, by ją rozpoznać. Szybko też się zorientował, że częściowy odcisk dłoni na bocznej ścianie zakładu szewskiego powstał niedawno. Chociaż krew przybrała barwę ciemnej rdzy i była wyschnięta, wokół krążyło pełno much, więc Ian miał pewność, że to nie manifest rozczerwanego życia w mieście graficiarza. Na popękany chodniku alei również znajdowała się kałuża zakrzepłej krwi, jakby ktoś ranny pochylał się w tym miejscu, zbierając siły do przejścia przez ulicę.

Sześć drzwi dalej umundurowany gliniarz otaczał tyły miejsca zbrodni żółtą taśmą. To znaczyło, że Ian nie będzie mógł dotrzeć do źródła bez podania swoich personaliów, ale przynajmniej miał pewność, gdzie zbrodnia została popełniona.

Ian przyjrzał się alei i ruszył dalej, aż dotarł do końca przecznicy, skąd dobrze widział główną ulicę. Jeden ze sklepów był otoczony żółtą taśmą. Przed frontowymi drzwiami stało kilka wozów policyjnych i karetka pogotowia. Przed ambulansem znajdowała się biała furgonetka reporterska z dużym talerzem satelitarnym na dachu. Dwaj policjanci w cywilu rozmawiali z kamerzystą i reporterem, którzy opierali się o wóz i czekali na okazję do zrobienia ciekawego ujęcia.

Ian podszedł do umundurowanego gliniarza, pilnującego wejścia od frontu.

- Zawał serca? - zagadnął.

Policjant spojrzał na niego spode łba.

- A co panu do tego?

- Chcę tylko mieć pewność, że to nie jedno z tych dwojga. - Ian wyciągnął zdjęcia.

Policjant spojrzał na fotografie.

- A o co chodzi?

- O zaginięcie. Kobieta zostawiła na farmie męża i dzieci. Przyjechała tu, żeby zbić majątek.

Jej babka nie odwołuje poszukiwań, a mnie to pasuje. - Ian błysnął swoim budzącym zaufanie uśmiechem. - Przynajmniej mam za co opłacić rachunki. Z tym facetem mieszkała niedawno.

Policjant jeszcze raz obejrzał zdjęcia.

- Ta część miasta to mój rewir. Znam tu prostytutki, pijaków i wszystkich mieszkańców. Tych dwojga nie rozpoznaję.

- Tak czy owak, dziękuję. Popytam na ulicy. Może mi się poszczęści. Turkot kół noszy obwieścił przybycie sanitariuszy na kilka sekund przed tym, jak się pojawili w promieniach słońca. Do białego prześcieradła na cienkim materacu była przymocowana ciemna torba na zwłoki. Sposób, w jaki torba się poruszała na wybojach, sugerował, że stężenie pośmiertne już ustąpiło.

- Hej, zaczekajcie! Kamerzysta podbiegł do ekipy. Cofnijcie się i wyjdźcie jeszcze raz, dobrze?

Jeden z detektywów wrzasnął za nim:

- Myślisz, że ktokolwiek w Vegas przejmuje się takim zerem, jak Joey Cline?

- Przecież to są zwłoki, nie? - odparł kamerzysta. - Dajcie nam chwilkę, powtórzmy ujęcie, dobra?

Załoga karetki wzruszyła ramionami. Ostatecznie pacjentowi nie robiło to żadnej różnicy.

- W porządku. Facet nie żyje już z dzień. Kilka minut go nie zbawi.

Ian czekał w pobliżu wozu z talerzem satelitarnym, mając nadzieję, że jeszcze coś podsłucha. Bez powodzenia.

Kiedy wtopił się w mały tłum, który gęstniał dookoła, załoga karetki robiła trzeci kurs na potrzeby „zdjęć na żywo”. Reporter poprawił gładkie blond włosy, kurtkę i krawat, zajął miejsce przy drzwiach frontowych lombardu i zaczął trzeci raz mówić do mikrofonu. Po jego prawej stronie stanął jeden z detektywów, tak aby nie zasłaniać kamerzyście miejsca zbrodni i reportera.

- Mówi Ralph Metcalfe z miejsca brutalnego morderstwa niedaleko Glitter Gulch. Według policji Joseph Cline został znaleziony w kałuży krwi na zapleczu swojego sklepu. Inna krwawa plama wskazuje, że drugi mężczyzna, prawdopodobnie napastnik, leżał na podłodze. Obecnie miejsce jego pobytu nie zostało ustalone. - Odwrócił się twarzą do policjanta. - Detektywie Yarrow, czy wydział policji Las Vegas ma już jakiś trop?

Ian zniknął za rogiem, zanim detektyw mógł się cieszyć piętnastoma sekundami sławy. Jak tylko nabrał pewności, że nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi, wysłał aktualne informacje do Rarities i nagrał się na pocztę głosową Shane'a. Potem, na wypadek gdyby gliniarze chcieli go sprawdzić, przeszedł się po kilkunastu lokalach, gdzie pokazywał zdjęcia i zadawał pytania. Nikt nie rozpoznał Cherelle ani Socksa.

Potem spokojnie skręcił w boczną ulicę i podszedł do drogi stanowiącej przedłużenie alei, przy której znajdował się lombard. Jeśli gliniarze jeszcze nie odkryli plamy krwi w innej alei, z pewnością niedługo się na nią natkną.

Po kilku chwilach znów wytropił brązowe plamy. Krwawy szlak prowadził przez inną ulicę przecznicę dalej, potem się urywał.

Pomyślał o smugach krwi na tyłach posesji i o starej kobiecie w motelu. „Kilka przecznic dalej na północ są mieszkania, a zaraz za nimi stare domy. Właśnie w tamtym kierunku chodził”, Ian mijał kolejne aleje, szukając śladów krwi. W końcu dotarł do jednego z dwóch starych domów, które przylegały do siebie, kontrastując z dużą liczbą apartamentowców i centrów handlowych. Na tylnych drzwiach domu przy Oasis Lane 113 widniały krwawe ślady rąk.

Nikt nie zareagował na pukanie. Wejścia były zaryglowane, Ian mógłby próbować przecinać metal, ale wolał to zrobić w ciemności.

Obszedł dom i stanął przed frontem. Z jednej strony był zaniedbany budynek mieszkalny. Z

drugiej znajdował się bungalow. Na ganku siedział mężczyzna, który wyglądał na tak starego, że mógłby być Bogiem. Tkwił w całkowitym bezruchu, Ian przez chwilę nawet się zastanawiał, czy facet w ogóle żyje.

- Szuka pan czegoś? - zapytał mężczyzna łamiącym się głosem, Ian zasłonił oczy przed bezlitosnym słońcem i zbliżył się do ganku.

Przy nogach staruszka leżał pies, tak stary, że siwizna ciągnęła się od nosa aż po oklapnięte uszy.

- Dzień dobry panu. - Ian z uśmiechem pokonał dwa niskie schodki prowadzące na ganek. - Rozglądam się za pewną młodą damą, Cherelle Faulkner. Kobieta z naprzeciwka powiedziała, że ktoś mieszkający przy Oasis Lane 113 może mi pomóc.

Ian wyciągnął fotografie. Staruszek potrzebował sporo czasu, żeby wyjąć z kieszeni koszuli okulary i włożyć je na nos. Stare psisko nawet nie drgnęło, Ian pomyślał, że może to zwierzę jest wypchane.

- Aha. Ona zjawia się tu kilka razy w roku - powiedział staruszek z chropowatym, północno-wschodnim akcentem. Mieszka z nicponiowatym synem poczciwej kobiety...

- ...która mieszka obok? - Ian wyciągnął rękę w kierunku Oasis Lane 113.

- Tak. Pani Seton.

- To jej syn? - Ian postukał w zdjęcie przedstawiające Socksa. Stary mężczyzna pokręcił głową.

- Ten drań jeździ pierdzącym fioletowym wozem - Ian chrząknął, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Wie pan, kiedy pani Seton wróci? Babcia Cherelle przed śmiercią bardzo chce się zobaczyć ze swoją wnuczką.

- Pani Seton nie mówiła. Tylko zostawiła mi Tup Tup wczoraj po południu i odjechała czarną limuzyną.

Ian niemal bał się zadać następne pytanie.

- Tup Tup?

- Kotkę syjamską. Bardziej jej się podoba u wdowy Seton, bo stary Szczekacz za nią gania. Kocica ciągle musi uciekać i chowa się w mieszkaniu obok.

- Szczekacz?

- Mój pies. - Lekko szturchnął wyciągniętego u jego stóp czworonoga. Pies ani drgnął.

- Gania za Tup Tup - powiedział Ian.

- Aha.

- Widział pan kogoś z panią Seton?

- Jakiś samochód zatrzymał się na tyłach domu, żeby ją zabrać. Ale wiem, że jej nie ma.

- Skąd?

- Jak tylko pani Seton wróci, Tup Tup znowu do niej ucieknie.

Ian wcisnął dwudziestodolarowy banknot do kieszeni staruszka wraz z wizytówką.

- Jeżeli ktokolwiek tu się pojawi, bardzo proszę o kontakt.

- Nie chcę sprowadzać kłopotów na wdowę. Ona nie bardzo lubi Cherelle. Nieraz słyszałem, jak się kłóciły. - Pokręcił głową. - Biedna pani Seton. Cherelle jest, jak to się kiedyś mówiło, taka grubiańska.

Cóż, ludzie nadal używają tego słowa, pomyślał Ian.

Las Vegas

4 listopada, popołudnie

Risa i Shane przejechali obok firmy Shapiro, położonej niedaleko podupadającego centrum miasta z kiepskimi kasynami. Na tym terenie było dużo małych firm, którym nie udało się osiągnąć statusu średniej klasy. Okna wystawowe u Shapiro były zabite deskami; wyżej świecił niebieski neon reklamujący pożyczki. Z lokalem sąsiadowało biuro podróży i coś, co nosiło nazwę Kobięce Potrzeby, a więc mogło być sex shopem albo darmową przychodnią.

Shane wjechał na parking przy ulicy odległej o przecznicę od firmy Shapiro. Czerwony lexus, który ich śledził, nie miał gdzie się ukryć i musiał jechać dalej. Nie spuszczać wzroku z samochodu, Shane wystukał numer w komórce, zaczekał, aż ktoś odbierze, i przeczytał na głos numery rejestracyjne.

Risa tylko patrzyła na niego z ukosa, ale w końcu ciekawość wzięła górę.

- To był Faktoid czy jeden z twoich speców komputerowych?

- Faktoid. Nie ma sensu dublować jego wysiłków. Włamał się do baz wszystkich urzędów wydziałów komunikacyjnych w każdym stanie tego kraju. W Kanadzie też. Teraz pracuje nad Meksykiem, ale twierdzi, że system jest tak skorumpowany, że nikt nie jeździ pojazdem, na który wystawiono tablicę rejestracyjną. Powiedziałem, że po prostu jeszcze nie rozgryzł systemu.

Shane obejrzał się na lokal Shapiro. Jeżeli w środku paliły się światła, nie było ich widać w biały dzień.

- Firma chyba jest zamknięta - powiedziała Risa.

- Mhm - mruknął i zaczął odsłuchiwać wiadomość od Iana. Była długa, ale nie przegadana. Shane słuchał z coraz większym napięciem.

Risa obserwowała jego twarz i zastanawiała się, co poszło nie tak. Wiedziała, że coś się stało. Inni nie potrafili interpretować beznamiętnego wyrazu twarzy Shane'a, ale ona umiała. Czekala z rosnącym zniecierpliwieniem, aż Shane odłoży telefon.

- Co? - zapytała.

- Joey Cline został zamordowany.

- Znamy go?

- Nie bezpośrednio, ale morderca zostawił krwawe ślady, prowadzące do Oasis Lane 113, a osoba, która tam mieszka, zna Cherelle. Domyślam się, że Cline kupił złoto, odsprzedał je Shapiro, a on Covingtonowi, który puścił je Smith-White'owi.

Risa starała się regularnie oddychać.

- Jesteś pewien co do Cherelle. Coś ją łączyło z zamordowanym mężczyzną.

Te słowa nie brzmiały jak pytania, ale Shane i tak na nie odpowiedział.

- Sąsiad na Oasis Lane rozpoznał Cherelle na zdjęciu. I mężczyznę o przydomku Socks, tego, którego nazywasz przygłupem. Pani Seton, prawdopodobnie krewna zabójcy Cline'a, mieszka przy 113. Sąsiad twierdzi, że od czasu odwiedzają nicponiowaty syn. A razem z nim przyjeżdża Cherelle.

- Seton - powtórzyła Risa, przypominając sobie broszurę, którą zostawiła Cherelle. - Tim Seton. Partner Cherelle w biznesie channelingowym.

- A co z Socksem?

- Z przygłupem? - Risa zaśmiała się krótko. - Nie był wymieniony w broszurze.

- Jeździ fioletowym autem ze źle wyregulowanym tłumikiem.

Risa bębniła palcami po udzie. Nie podobało jej się to, co słyszała.

A jeszcze mniej podobało jej się to, co myślała.

- No, dobrze. Mamy więc Socksa w fioletowym samochodzie, Cherelle w starym bronco i

Tima w motelu, a potem w domu przy Oasis Lane. Co wiemy o pani Seton?

- Nie ma jej w domu. Wczoraj po południu przyjechała po nią czarna limuzyna. Z tego co usłyszał Ian, Cline prawdopodobnie został zabity wczoraj. Stężenie pośmiertne już zanikło.

Rosa się skrzywiła.

- A co z facetem, który zostawił krwawe ślady? Gdzie on jest?

- Dziś wieczorem Ian sprawdzi dom przy Oasis Lane 113, ale ja mam przeczucie, że to Tim został ranny, a mamunia wpakowała go do limuzyny i wywiozła na bardzo dyskretne leczenie.

- Przeczucie, co?

- Tak.

- To samo, dzięki któremu stałeś się multimilionerem?

- Owszem.

Głośno odetchnęła. Nie przychodził jej do głowy żaden powód, dla którego zakrwawiony Tim miałby wyczołgiwać się z miejsca morderstwa. Pamięć o donośnym, dzikim śmiechu Cherelle, kiedy dowiedziała się, ile może być warta posiadana przez Shane'a kolekcja celtyckiego złota, również sprawiała, że Risa czuła się nieswojo.

Niech cię diabli, Cherelle. Dlaczego nie przyszedł do mnie? Mogłabym ci pomóc. Nie musiałabyś się pakować w... w to, w co się wpakowałaś.

Zaraz jednak Risa uświadomiła sobie, że przecież Cherelle przysłała do niej, a w dodatku jeszcze napuściła na nią bandytę.

Może nie miała wyjścia.

Risa posmutniała. Zawsze ma się wybór.

I czasami wybiera się złą opcję.

- Po co czekać do nocy, żeby sprawdzić dom? - zapytała.

Shane spojrzał na nią zielonkawymi oczami, mrocznymi, ale z iskierką wesołości.

- Bo Ian nie ma klucza.

- A może zadzwonilibyśmy anonimowo i poprosili o pomoc pod tym adresem? Albo powiemy glinom, że tam właśnie poszedł zabójca Cline'a?

- Ian zrobi to, jak tylko się upewni, że w domu nie ma żadnych innych wyrobów we złota.

- Ale...

- Tak zarządziła Dana - wtrącił ostro Shane. - Nie chce, żeby artefakty zostały zagarnięte albo zgubione w biurokratycznym bałaganie przez ludzi, którzy nie mają najmniejszego pojęcia o kulturowej wartości tego złota.

- „Kupić, sprzedać, wycenić, ochronić” - przypomniała Risa dewizę firmy Rarities. - Najważniejsza jest sztuka, klient stoi na drugim miejscu.

- Wiedziałem o tym, kiedy podpisywałem umowę. I właśnie dlatego ją podpisałem.

Uśmiechając się blado, oparła głowę o skórzaną tapicerkę.

- Ale bardzo starasz się sprawiać wrażenie, że jesteś podejrzanym kolekcjonerem.

- Czy oszuści zaproponowaliby grzecznemu harcerzykowi kradzione skarby kultury?

- Nie, ale większość ludzi przykładła do swojej reputacji zbyt wielką wagę, żeby ją szargać pozowaniem na przestępcę.

Shane tylko machnął ręką.

Risa znowu zaczęła bębnić palcami po udzie.

- A jeśli ktoś wróci do tego domu, zanim się ściemni?

- Ian wszystko obserwuje.

- Myślisz, że Cherelle tam się ukrywa? - Risa nie dała rady się powstrzymać od tego pytania. Może jest ranna? Bo jeśli tak, czy nie powinniśmy... - Zamknęła oczy i wolno zaczerpnęła powietrza. Bez względu na to, co Cherelle zrobiła, ciężko było siedzieć beczynn timer, podczas gdy

ona być może cierpiała. Albo jeszcze gorzej. - Nie powinniśmy się tam włamać?

Shane wziął rękę Risy, żeby choć na chwilę ją unieruchomić. Palce Risy były zimne. Ogrzał je w swoich dłoniach i czekał, aż Risa się uspokoi. Wiedział, czym się zamartwiała. Wyobrażała sobie, że jej przyjaciółka ucieka, jest ranna, ukrywa się, potrzebuje pomocy. Wszystkie serdeczne, ciepłe uczucia z dziecińczych lat zderzały się z twardą dorosłą rzeczywistością.

- Nic mi nie jest. - Westchnęła. - Naprawdę. - Próbowała się uśmiechnąć, ale efekt był odwrotny do zamierzonego. - Co za cholerny dzień. A najbardziej mężczy mnie to, że jeszcze się nie skończył.

Powoli pogładził ją po policzku.

- Od wczoraj sąsiad nie widział nikogo oprócz pani Seton. Jeżeli Cherelle i pani Seton nie przepadały za sobą, to mało prawdopodobne, że Cherelle by tam poszła, gdyby była ranna. - Pocałował palce Risy i wypuścił je z rąk. - Zwłaszcza, że mogłaby się zwrócić do takiej przyjaciółki jak ty.

- Chcesz powiedzieć: takiej głupiej?

- Nie. Szczodrej. - Bardziej szczodrej, niż Cherelle na to zasługiwała, ale Shane nie powiedział tych słów na głos. Nie chciał sprawiać Risie większego bólu.

Przesunęła się na siedzeniu i przecesał palcami swoje krótkie czarne włosy.

- A niech to! Nie cierpię bezradności. Biernego czekania. Ona może być ranna.

- Bardziej prawdopodobne, że to nicponiowaty Tim zostawił własną krew na podłodze w lombardzie.

Risa wiedziała, że to prawda, ale wcale nie poczuła się lepiej.

- No, chodź - powiedział Shane. - Poszukamy Shapiro.

- Sklep jest zamknięty.

- Ale Shapiro mieszka nad sklepem - zauważył Shane.

- Skąd wiesz?

- Wolę nie mówić - odparł, myśląc o pięknym wyrobie ze złota Majów, który nabył kiedyś od Shapiro w jego siedzibie na górze. Oczywiście po godzinach. Shapiro osiągał wtedy najwyższe dochody.

- Na pewno?

- Tak.

Risa umilkła i ruszyła za nim w kierunku sklepu, który był zamknięty na głucho w samym środku dnia roboczego.

Nawet nie sprawdzając, czy nikt go nie śledzi, Shane przeszedł obok sklepu, zniknął za rogiem i skręcił w aleję, gdzie wypełnione kosze na śmieci czekały na wywózkę. Oprócz sklepu z taną odzieżą, magazynu z używanymi meblami biurowymi i zakładu szewskiego były tu dwie kafejki i kiosk z tacos. Smród koszy ze śmieciami przyciągał głodne muchy.

Shane owinął dłoń marynarką i spróbował otworzyć tylne drzwi lombardu Shapiro. Nie były zamknięte, wystarczyło je popchnąć. Shane pociągnął za sobą Risę i zamknął drzwi. Z góry dochodziły czyjeś głosy.

W środku śmierzdziało jak w koszu na śmieci. Właściwie jeszcze gorzej.

- Cholera - syknął cicho Shane. - Zostań tutaj.

- Ale... - Przestała się spierać, kiedy zobaczyła w jego ręku pistolet. Linoleum na stopniach schodów było mocno wytarte, a w niektórych miejscach wзираły spod niego deski. Stąpił po nich cicho, trzymając się tej strony, która wydawała się mniej skrzypiąca.

Shapiro siedział przed telewizorem. Na kanapie obok niego leżała opróżniona ćwiartka drogiego bourbona. Aktorzy w popołudniowym serialu spółkowali, gustownie zakryci pościelą. Kiedy ucichły ich starannie zaaranżowane okrzyki, emisję przerwała reklama pasty do zębów.

Shapiro nie reagował.

Shane pomyślał, że facet nie żyje. To z pewnością tłumaczyłoby, dlaczego w pomieszczeniu panuje nieziemski smród. Potem usłyszał lekkie pochrapywanie. Shapiro uchlał się do nieprzytomności.

I narobił w gacie jak niemowlę.

Rozdział 45

Las Vegas

4 listopada, późne popołudnie

Biuro Shane'a było chłodne, dobrze umeblowane i pachniało cudownie po godzinach spędzonych na zakurzonych ulicach i dusznych alejach Las Vegas. Risa siedziała z głową na oparciu skórzanej kanapy w kolorze morskiej zieleni i usiłowała nie zamartwiać się o Cherelle.

- Na razie - powiedział Shane do Iana i Nialla - mamy jednego martwego pionka. To on puścił złoto w obieg. Zakładamy, że powędrowało od Cline'a do Shapiro, ale nie możemy tego dowieść, bo Shapiro twierdzi, że komputer mu padł, stracił wszystkie pliki i właśnie dlatego się upił.

- Wierzysz mu? - zapytał Niall. Shane się zaśmiał.

- Chcesz, żebym go przycisnął? - zapytał Ian.

- Co najwyżej możemy sprawić Shapiro manto...

- Dana nie popiera tej metody - wtrącił się Niall.

- ...bo w sumie nie mamy pola manewru. Jak Covington, Shapiro wszystkiego się wypiera, jest otoczony adwokatami i zna się na tego typu rzeczach - dokończył Shane.

- Nie zapominaj o Franku Firenzie - powiedział Ian.

- Tym, który za nami jechał w czerwonym aucie? - zapytała Risa.

- Tak. Kiedy zdobyłem jego nazwisko, już was nie śledził. Zadzwoiłem i zapytałem go, dlaczego za wami jedzie. Nie miał pojęcia, o czym mówię, jego samochód stał w warsztacie, to się już więcej nie powtórzy, do widzenia.

- Jeżeli znowu się pojawi - zwrócił się Niall do Iana - daj mi znać. Bo inaczej... - Przeciągnął się i przygładził swoje krótkie, ciemne włosy. Był tak wysoki, że męczył się nawet w służbowym odrzutowcu. - Skupimy się na trzech innych podrzędnych paserach, którzy biegają ze skarbem, podczas gdy Muzeum Brytyjskie już zaczyna się głośno o niego upominać.

Risa jeszcze denerwowała się tym, że Cherelle została określona jako „podrzędny paser”, kiedy dotarła do niej reszta słów Nialla. Natychmiast się ożywiła.

- Co? Musiałam coś przegapić. Od kiedy w grze jest Muzeum Brytyjskie?

- Jak tylko zamieściliśmy zdjęcia w Internecie - wyjaśnił Niall. - Brytyjczycy zerwali się na równe nogi i zaczęli krzyczeć: „Moje, moje, moje!” Zaraz po nich odezwali się Irlandczycy, Austriacy, potem...

- Austriacy? - przerwał mu Shane.

- Halstatt i La Tene - wyjaśniła Risa. - Tak?

- Zgadza się - odparł Niall. Shane prychnął pogardliwie.

- Niech próbują. Dużo będą z tego mieli.

- Hej - zareagował Ian - w takiej międzynarodowej rywalizacji liczy się ilość, a nie jakość.

- Aleś ty mądry, chłopie. A nie wyglądasz - mruknął Niall.

- Co fakt, to fakt - mruknął Shane.

Ian szturchnął go lekko.

- Jak by powiedziała Dana: „dzieci, spokój”. - Niall pochylił się i wyciągnął z podniszczonej brezentowej torby na mapy plik wydruków. - Kartoteka policyjna na temat: Timothy'ego Edgara

Setona, Cherelle Leticii Faulkner oraz Cesara Firenze'a Marqueza, znanego pod ksywką Socks.

- Firenze'a? - zagadnął Shane. - Interesujące.

- Jakieś pokrewieństwo z Frankiem Firenze'em? - zapytał Ian.

- Prawdopodobnie. W dawnych, niedobrych czasach rodzina Firenze'ów odgrywała w Vegas rolę mafii - powiedział Shane. - Ale teraz ci ludzie są absolutnie czysti. Komisja Kontroli Gier nie mogłaby sobie pozwolić na inny układ. John Firenze, głowa rodu, ma ukończone studia biznesowe i kontakty ze wszystkimi odpowiednimi politykami.

- Może Frankowi zależało właśnie na Socksie i na złocie - myślał głośno Ian. - Kiedy się przekonał, że prowadzicie poszukiwania nie tam, gdzie trzeba, dał wam spokój.

Risa prawie go nie słuchała. Wciąż była zaszokowana tym, że po raz pierwszy usłyszała drugie imię Cherelle.

- Nawet nie wiedziałam, że ma drugie.

- Drugie co? - zapytał Niall.

- Imię - uprzedził Shane Risę. - Cherelle Leticia.

Ian popatrzył na Shane'a, potem na Risę i smutno pokręcił głową.

- Już się zaczęło.

- Co? - zapytał Niall.

- Wzajemne kończenie zdań. Czytanie sobie w myślach. - Zerknął na Nialla. - Mężczyźni powinni wyrzec się kobiet.

- Twoim zdaniem przydałoby się jakieś wykończenie - odparował Niall, przeglądając wydruk i zapamiętując najważniejsze informacje. - Socks to taki typ, który zawsze daje zajęcie wymiarowi sprawiedliwości. Ma kłopoty, odkąd skończył dziesięć lat. Od półtora roku jest na wolności.

Risa potarła skronie.

- Prawdziwy cud.

- Hej, to rekord - stwierdził Niall. - To najdłuższy okres spędzony na wolności, odkąd skończył szkołę.

- Średnią? - zapytał Ian.

- Zawodową w poprawczaku - odparł Niall. - Po szesnastym roku życia zaczął „wyjeżdzać” na dłużej jako dorosły. Trudny czas.

Shane podszedł do barku, wyciągnął z małej lodówki butelkę wody gazowanej i wręczył ją Risie. Rzuciła mu zdumione spojrzenie, bo właśnie dopiero co uświadomiła sobie, że jest bardzo spragniona. Zastanawiała się, skąd on o tym wiedział.

Ian uśmiechnął się do niej, jakby chciał powiedzieć: „a nie mówiłem?”

- To tam Socks poznał Setona? - zapytał Shane. - W więzieniu?

Niall kiwnął głową i szybko przejrzał resztę strony.

- Siedzieli w jednej celi. Socks jest podejrzany o dziabnięcie starszego mężczyzny w więzieniu.

Nie ma dowodów. Nie przedstawiono mu zarzutów.

- Dziabnięcie? - zagadnęła Risa.

- Zabicie nożem własnej roboty - wyjaśnił Shane. Skrzywiła się. Akurat otwierała butelkę.

- Przyjemniaczek.

- Och, to kochany chłopak - zgodził się Niall. - Ostatnim razem skazany za napad z bronią w rękę. Przedtem za naruszenie nietykalności osobistej. Kradzież. Próbę gwałtu. A po jego ostatnich płąsach w Złotym Runie możesz dodać porwanie, włamanie, napad i usiłowanie zabójstwa. Samochód zarejestrowany w Nevadzie. Prawo jazdy stanu Nevada zawieszono za jazdę po pijaku. Żony brak. Nic nie wiadomo o ewentualnych dzieciach. Brak stałego adresu. Matka nie żyje. Ojciec to pijaczek i drobny oszust, którego specjalnością było wysychanie w okręgowych więzieniach w przerwach między kręceniem papierosów dla indiańskich

rezerwatów. Sprzedawał je prosto z wozu podczas targów. Ale to tylko w wolnych chwilach, kiedy akurat nie łamał ludziom nóg na zlecenie tych, którzy egzekwowali długi.

- Trudno więc podejrzewać, żeby Socks miał takie znajomości, by kraść takie zabytkowe przedmioty z górnej półki, jakie sprzedał nam Smith-White - stwierdziła Risa. Kiedy podniosła butelkę, woda lekko zabulgotała. Poczwała na języku cytrynowy smak. Spojrzała na Shane'a z wdzięcznością i doszła do wniosku, że mogłaby mu wybaczyć nadmiar opiekuńczości. - Gdzie Socks znalazłby towar takiej jakości? To samo z Cherelle. A co z Timem?

Niall chrząknął.

- Wątpię, żeby Timothy Edgar Seton przechowywał je w domu. Naprawdę ładna buzia i bardzo brzydka dusza. Picie i hazard jako nietelni. Gwałt i współdziałanie w napadzie z bronią w ręku. Nie ukończył szkoły średniej, ale wybrał się do Dżentelmeńskiej Umowy, drogiego ośrodka treningowego dla krupierów kasyn i „osób towarzyszących”. Prowadził partie black jacka, sypiał z kobietami, które płaciły za niego rachunki, kolegował się z twardzielami. Jego matka to Miranda Caroline Seton. Nigdy nie wyszła za mąż, mieszka przy Oasis Lane 113, w domu zarejestrowanym na firmę prowadzącą wynajem. Nazwisko ojca nie figuruje na akcie urodzenia. Nie ma żadnych innych krewnych. Seton podaje adres matki jako swoje stałe miejsce zamieszkania. Prawo jazdy. Samochodu brak.

Ian prychnął z obrzydzeniem.

- Jakoś nie widzę Tima na drodze do złota.

- Czy kredyt się liczy? - zagadnął Niall. - Seton ma cztery aktywne karty kredytowe. Wszystkie limity przekroczone i niespłacane terminowo.

- Jestem wstrząśnięty - oświadczył Shane. Gwałtownym ruchem odkręcił korek następnej butelki z wodą. - Dokąd są przysyłane rachunki?

- Do domu jego matki.

Shane wziął duży łyk wody. Wciąż próbował zmyć z ust smak apartamentu Shapiro i śmierci Cline'a. Do jutra raporty policji znajdą się w centralnym komputerze. Shane będzie znał wszystkie informacje, jakie ma policja, a to dzięki temu, że spędził chłopięce lata, starając się zadowolić - i prześcignąć - Bastarda Merita, króla hakerów.

- Cherelle Leticia Faulkner - ciągnął Niall, biorąc kolejną kartkę.

- Spędziła kilka dni w okręgowych zakładach za włóczęgostwo, prostytutkę, kradzież w sklepie, drobne wyłudzenia. Dzieciństwo, nad którym najgorsze brukowce roniłyby krokodyle łzy.

Rodziny zastępcze, przemoc, kolejne rodziny zastępcze, podejrzenie wykorzystania. W końcu wylądowała w przyczepie w stanie Arkansas i wytrzymała tam prawie osiem lat. Uciekła w wieku siedemnastu lat z handlarzem narkotyków, który sprzedawał zarówno legalny, jak i lewy towar. Potem zniknęła z radaru. Nie zawarła związku małżeńskiego. Nie ma dzieci.

Risa nie zdawała sobie sprawy, że znowu rozciera skronie, dopóki Shane nie pogłaskał jej po głowie. Słuchając niskiego, lekko zachrypniętego głosu Nialla, recytującego dane na temat życia Cherelle, poczuła ból w gardle. Nie usłyszała nic o tym, jak dawniej Cherelle często się śmiała, jak bardzo uwielbiała robić kawały i jaka była energiczna.

- Wróć do domu Setonów, jak się ściemni - powiedział Ian. - Nie oczekuję, że cokolwiek ciekawego znajdę, ale to baza, którą musimy uwzględnić.

Niall zerknął na Shane'a.

- Jesteś pewien, że ci trzej dzokerzy są źródłem twojego złota druidów?

- Tak.

- Czy sąd podtrzymałby twoją wersję?

- Nie, skoro Cline nie żyje. Ale jestem pewien. Niall wygiął usta.

- No, dobrze. A więc siedzimy sobie tutaj z czterema wyrobami ze złota, o które Brytyjczycy

suszą głowę Wujowi Samowi.

- Jaki mają dowód własności? - zapytała Risa.

- Klecą go pośpiesznie.

- Lepiej niech stworzą coś wyjątkowego - zauważył Shane. - Kiedy nie można określić z całą pewnością pochodzenia, liczy się to, kto posiada dany przedmiot.

- Pozwolę ci wyjaśnić to April Joy.

Shane uniósł ciemne brwi. April Joy była jedną ze wschodzących gwiazd w mrocznej sferze amerykańskiej geopolityki. Inteligentna, pragmatyczna, piękna i absolutnie bezlitosna, jeżeli tego wymagała sytuacja. Czyli zawsze, biorąc pod uwagę, z jakimi ludźmi prowadziła grę. Kilka miesięcy temu usiłowała go skaperować na akcję przeciwko triadzie Czerwonego Feniksa.

Chodziło o wykorzystanie firmy Tannahill Inc. jako pralni brudnych pieniędzy. Odmówił. Nie podobało jej się to, ale nie miała na niego żadnych haków, dlatego bez słowa przyjęła rezygnację.

- Myślałem, że ona rozpracowuje azjatyckie gangi, które przeniknęły do USA - powiedział Shane.

- Robi to.

- A co to ma wspólnego z celtyckim złotem?

- Dobrze pytanie - wtrącił się Niall. - Koniecznie zapytaj, kiedy ją zobaczysz.

- Dzięki, nie skorzystam - odparł Shane. - Nie zamierzam wchodzić tej tygrysy w drogę, chyba że ona mnie do tego zmusi.

- Twoja matka nie wychowała głupich dzieci. - Niall wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Prawdę mówiąc, to ojciec mnie nauczył, jak funkcjonuje świat.

Wystudiowana obojętność w głosie Shane'a wstrząsnęła Risą. Zawsze czuła, że coś straciła, nie znając swoich rodziców. No, ale sądząc po tym, co słyszała o ojcu Shane'a, może i lepiej, że ich nie znała.

- Jaka jest podstawa brytyjskich roszczeń do złotych artefaktów, które nabyliśmy? - zapytała.

- Prawdopodobieństwo - odparł Niall. Z pewnością nie pochodzą one z... Afryki.

- Gdyby pochodzenie było jedynym kryterium prawa własności, zbiory muzeów na całym świecie zostałyby porozdawane - stwierdziła Risa.

- Właśnie dlatego mamy polityków i biurokratów. Oni wymieniają się przysługami i tylko wskazują nam, robotom, gdzie wysłać dobra.

- Mów za siebie - powiedział Shane. - Nie wyślę tego złota nigdzie tylko dlatego, że każe mi to zrobić jakiś polityczny oszust z Waszyngtonu, który ma ochotę na darmową wycieczkę po Londynie w zamian za to, że da mi popalić.

- To dlatego kazałeś mi sprowadzić towary z powrotem, co? - zapytał Niall, uśmiechając się.

Uśmiech Shane'a pasowałby do krokodyla z pełnym brzuchem.

- Od czasu do czasu Rarities Unlimited musi odwzajemniać się rządowi przysługami, żeby przetrwać. Ja nie muszę.

- Ależ musisz, chłopie. Po prostu jeszcze nie zostałeś przyciśnięty do muru. Do diabła, nawet twój stary w końcu nauczył się pokory wobec Wuja Sama.

- Będę się rozkoszował tą wizją przez całą drogę do Sedony.

Risa nagle się poderwała.

- Sedona? Jadę z tobą.

- Nigdy w to nie wątpiłem. - Shane zrobił smutną minę. Nie chciał, żeby Risa mu towarzyszyła, ale instynkt podpowiadał nie tylko, że ona pojedzie, ale że powinna jechać.

- Co jest w Sedonie? - zapytał Ian.

- Ostatni znany adres Cherelle Leticii Faulkner.

Rozdział 46

Sedona

4 listopada, wieczór

Z lotu ptaka Sedona wyglądała jak usiana klejnotami pajęczyna, którą zarzucono na czarny aksamit ziemi. Małe lotnisko znajdowało się na szczycie wzniesienia; z miastem łączyła je stroma, kręta droga. Podczas gdy Shane odkrywał ograniczenia lokalnej telefonii komórkowej, Risa prowadziła wynajętą ciężarówkę wąską szosą w kierunku głównej autostrady.

- Dobrze powiedział Shane do telefonu. Zmieramy do Camp Verde. Nikt za nami nie jedzie od lotniska.

- Cały czas się rozglądaj, chłopie - polecił Niall. - Nie chcę drugiego truposza, który będzie powiązany z twoim nazwiskiem.

- Jestem wzruszony troską. Czy Ian sprawdził dom przy Oasis?

- Tak. Pusto. Przetrzęsnał to miejsce bardzo gruntownie. Zostały tylko ślady świadczące o tym, że pani Seton wyjechała w wielkim pośpiechu.

- Coś jeszcze?

- Cesar Firenze Marquez, znany jako Socks, zdominował programy informacyjne. Ludzie z telewizji są szczególnie dumni ze swojego nagrania.

- Jak myślisz, dlaczego kazałem zrobić kopie? - zagadnął Shane. - Wiadomości telewizyjne mogłyby się zaczynać od reportażu o gnijącej zdechłej krowie, gdyby ją sfilmowali.

Niall wybuchnął śmiechem.

- Policja dostaje mnóstwo telefonów od ludzi, którzy twierdzą, że widzieli Socksa. Jeżeli chłopak nadal jest w mieście, na pewno będzie się zachowywał bardzo dyskretnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

- Co mówi policja w sprawie śmierci Cline'a?

- Oficjalnie: bardzo starannie badają wszystkie tropy.

- A nieoficjalnie?

- Mieliby to wszystko w dupie, gdyby nie fakt, że ekipa telewizyjna sfilmowała ciało - odparł Niall. - Cline nie był na liście dziesięciu największych pieszczoszków stróżów prawa.

- Chcesz, żebyśmy odesłał samolot z powrotem do Vegas?

- Nie. Dana powiedziała, że w tej sprawie mamy się nie ograniczać. Posiadanie do dyspozycji pilota i samolot to przykład braku ograniczeń.

Shane chrząknął.

- Dobrze, że mogę sobie na to pozwolić.

W głosie Nialla znowu pobrzmiwało rozbawienie.

- Pamiętamy o tym.

Shane rozłączył się, lekko pstrykając klawisz kciukiem. Kolejnym pstryknięciem przestawił aparat na funkcje komputera. Z uchwytu przy obudowie wyciągnął cienki rysik i zabrał się do pracy nad informacjami, które Rarities natychmiast przesyłała mu za pośrednictwem Faktoida.

- Nie wiedziałem, że jesteś uczulona na nawłóć - powiedział Shane po chwili.

Risa rzuciła mu mordercze spojrzenie.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- I na małże.

Nacisnęła mocniej pedał gazu, żeby wyminąć nowego, błyszczącego SUV-a, którego kierowca chyba jeszcze nie wyczuwał, gdzie się zaczyna i kończy jego blaszany krążownik.

- O, widzę, że jeszcze się nie zaszczepiłaś przeciw szczękościskowi - ciągnął, przewijając plik z jakimiś tajnymi danymi, które znalazł Faktoid.

- Jak dotrzesz do moich wczesnych badań ginekologicznych, to będziesz na piechotę kuśtykał do samolotu.

Śmiejąc się, Shane musnął palcami policzek Risy i pogładził kącik jej ust.

- Twoje zęby też są w idealnym porządku.

Obnażyła je w perfekcyjnym uśmiechu, starając się ugryźć Shane'a w dłoń. Wplótł palce w jej krótkie włosy, żeby nie mogła zatopić w nich zębów.

- Rozpraszasz kierowcę - mruknęła. Popieścił jej ucho i poczuł, że Risa dygocze.

- Naprawdę rozpraszasz - dodała.

Niechętnie skupił uwagę na danych. W milczeniu odczytywał kolejne pliki. Kolorowe światła miasta prześlizgiwały się za szybą samochodu, zostawiając jasne odbicie na małym ekranie.

Wyczuwał, że Risa od czasu do czasu na niego zerka, ale nie przeszkadzała mu i nie zadawała pytań, na które jeszcze nie zdążył znaleźć odpowiedzi.

Kolorowe światła skończyły się, kiedy wjechali na odcinek autostrady biegnący przez las.

Wyblakła wstęga czerwieni wisiała nad nieregularnym widnokręgiem na zachodzie, milczące świadectwo umierającej potęgi słońca. Ubywający księżyc promieniał białością na tle błękitno-czarnego nieba. Gwiazdy lśniły, ale tylko tam, gdzie noc zalegała grubą warstwą poza zasięgiem słońca lub księżyca.

Po obu stronach autostrady przez moment jaśniały zlewające się światła wioski Dębowy Potok.

Dalej czekała cierpliwie mroczna noc. Wkrótce ciemność zaczęła sprawować niepodzielne rządy, jeśli nie liczyło się reflektorów samochodów smagających czarny asfalt.

Risa pojechała za znakiem informującym o wjeździe na autostradę między stanową, potem docisnęła pedał gazu, żeby dostosować się do typowej prędkości na drogach Arizony - sto trzydzieści na godzinę pasem wolnego ruchu. Kiedy trochę uchyliła okno, owionęło ją zimne powietrze, doskonałe jak górski potok. Spijała je gorliwie: smakowało lepiej niż woda.

- Mam poprowadzić? - zapytał Shane, nie podnosząc głowy znad ipoda.

- Nie. Wszystko w porządku. Chciałam tylko się przekonać, czy powietrze jest takie czyste, jak się wydaje. Jest.

- Tak, ciągle zapominam, jak piękna może być pustynia czerwonych skał lub cedrów.

- Ja nigdy tu wcześniej nie byłam, więc nie mogę niczego pamiętać ani zapominać.

Tym razem oderwał się od urządzenia i zerknął na Risę. W świetle odbitym od przedniej szyby jej oczy połyskiwały tajemniczo i były tak piękne, że ścisnęło mu się serce.

- Za mało wychodzisz z domu.

- Byłam zatrudniona przez pracoholika.

- Przypomnij mi, żebym go stuknęła w twoim imieniu.

- A może to ja go stuknę, co?

Shane uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Musiałaś mnie pomylić z moim głupim bliźniakiem.

- Ależ ja nigdy bym cię nie podejrzewała, że jesteś głupi, mimo że wyglądasz jak milion dolarów - odparła.

- Kochanie, jestem wart więcej niż milion.

Wyczekujące spojrzenie sugerowało, że Shane chętnie przyjmie powalającą odpowiedź. Już otworzyła usta, ale jej uwagę odwrócił kierowca, który ją wymijał tak, jakby jechała czterdziestką.

- Idiota - mruknęła. - Co on sobie myśli: że jego gruchot to odrzutowiec?

Właściciel ociężałego wozu rekreacyjnego zjechał z powrotem na pas wolnego ruchu.

- Mam nadzieję, że opony odpowiadają ambicjom kierowcy - skomentował Shane.
- Nieważne. Byle tylko wgrzyzał się w krajobraz, trzymając się ode mnie z daleka.
Shane zauważył, że Risa ciągle zerka we wsteczne i boczne lusterka.

- Ktoś za nami jedzie?

- Jeśli tak, to daleko w tyle.

Z nocy wyłonił się znak z nazwą Camp Verde. Risa nawet nie włączyła kierunkowskazu. Gwałtownie zjechała, mając nadzieję, że w ten sposób zaskoczy ewentualnych prześladowców. Zaraz po znaku stopu na dole zjazdu zatrzymała się na poboczu, wyłączyła światła i patrzyła w lusterka.

Nikt nie zjechał do Camp Verde.

Nikt ich nie wyprzedził.

Nikogo nie obchodzili.

- Chcesz się popieścić? - zapytał Shane.

- Jasne. Ty pierwszy się rozbierasz.

Wybuchnął śmiechem i pomyślał, jak swobodnie czuje się w jej towarzystwie i jak dobrze było ją mieć przy sobie.

- Przez ciebie zaczynam żałować, że nie jestem dobry w sytuacjach sam na sam.

- Czy to ten moment, kiedy mam ci powiedzieć, że jesteś świetny w sytuacjach sam na sam?

- Nie chodzi o seks. O relacje.

- Aha. Pod tym względem mnie też nie idzie najlepiej. Wydaje się, że faceci raczej ograniczają moje możliwości zamiast je rozwijać. - Zerknęła we wsteczne lusterko. - Przypuszczam, że ja robię im to samo.

- Dotychczas za bardzo starałaś się uciec, żeby ograniczyć cokolwiek oprócz mojego ego.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- O czym ty mówisz? Powaliłam cię na ziemię.

- Naprawdę? Myślałem, że to ja przyparłem cię do muru i rzuciłem się na ciebie.

Próbowała się nie uśmiechać, ale w końcu dała za wygraną i głośno się roześmiała.

- To było... coś. Za każdym razem.

Shane lekko przymknął powieki. Jego oczy zaśniły.

Okruchy wspomnień rozpały wyobraźnię Risy. Miała ochotę wczołgać się na kolana Shane'a i zacząć go lizać, żeby się przekonać, czy smakuje tak dobrze, jak zapamiętała. Odetchnęła i uruchomiła silnik, żeby nie ulec pokusie.

- Jesteś pewna? - zagadnął schrypniętym głosem, nie mogąc oderwać oczu od jej zmysłowych ust.

Jęknęła.

- Czyżbyś w skrytości ducha marzył o tym, żeby zostać aresztowanym za lubieżne i rozwiązłe zachowanie w miejscu publicznym?

- Dopiero kiedy poznałem ciebie.

- Shane.

- Co?

- Zamknij się.

Wciąż się śmiała, kiedy skręciła na utwardzoną drogę.

Motel Cedars mieścił się tuż przy głównej ulicy i wyglądał starzej niż wznoszące się ku gwiazdom klify. Sfatygowany neon mrugał i gasł, reklamując pokoje na noc, tydzień albo miesiąc. Chociaż poniżej widniał napis: „Wolne pokoje”, recepcja była zamknięta. Wydawało się, że od dawna. Za oknem wisiała ręcznie wypisana kartka, informująca, że jeśli ktoś naprawdę chciał wynająć pokój, powinien podzwonić po okolicy.

Było tu dwanaście segmentów i dwa samochody. Każdy z wozów stał na środku miejsca parkingowego, jakby się bał zarazić od drugiego wozu. W dwóch segmentach, przez szczelnie zasunięte zasłony wydostawały się cieniutkie jak ostrze noża smugi światła.

- Przyjazne miejsce - zauważył z ironią Shane.

- Jesteś pewien, że to tutaj?

- Odwrotny katalog przypisał numer identyfikacyjny Chelle temu adresowi. Mapa, którą ściągnąłem z sieci, zaprowadziła nas tutaj.

- Myślałam, że tylko gliny i służby ratunkowe mają dostęp do odwrotnego katalogu.

- To źle myślałaś.

Risa lekko postukała palcami w kierownicę.

- Który segment?

- Szczęśliwa siódemka.

Na jej twarzy pojawił się grymas. Jeśli numer segmentu symbolizował szczęśliwy traf, to ona wolała nadal polegać na ciężkiej pracy.

- Żadnego samochodu. Żadnych świateł.

- Nie ma też klucza.

- To nie problem.

Shane uniósł brwi.

- Czyżby moja zasadnicza, sztywna pani kurator sugerowała małe włamanko?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Chelle zawsze przechowywała gdzieś zapasowe klucze. Kiedy zapominała swojego, a działo się tak regularnie, nie musiała tłuc szyby, żeby dostać się do środka.

- Cholera. A już miałem cię zaszokować swoją techniką „czarnego worka”. Kiedy ty jesteś taka zasadnicza, robi mi się gorąco.

Zaczęła pytać, na czym polega jego technika i czy naprawdę by się włamał, ale doszła do wniosku, że nie chce wiedzieć.

- Poszukiwania zawsze tak na ciebie wpływają, prawda? - zapytała tylko.

Za każdym razem. Wywróciła oczami, potem wysiadła i zaczęła rozglądać się za kluczem.

Wystarczyło raptem dwadzieścia sekund. Znalazła klucz pod ułamanym kawałkiem betonu na przejściu między parkingiem i segmentem numer siedem.

- Ja wchodzę pierwszy - oznajmił Shane.

- Dlaczego? Myślisz, że ona...

Pochylił się i przerwał Risie szybkim, namiętym pocałunkiem.

- Myślę, że jestem większy od ciebie, to wszystko. Zaczekaj, aż dam ci znak, dobrze?

- Nie. - Potarła ramiona, czując dojmujący chłód nocy. - Ale zrobię to. Tym razem.

Klucz był okropnie brudny, ale pasował do zamka.

Shane wszedł do ciemnego pomieszczenia i ostrożnie wziął oddech. Poczul zatechły dym. Gorzki smak kurzu. Zapach niewypranych ubrań.

Ale nie czuć było śmierci.

- Shane? - zapytała cicho Risa.

- Na razie wszystko w porządku. Zamknij za sobą drzwi. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, była stara, drewniana skrzynka.

Shane usiadł blisko niej i zaczął zapamiętywać adresy.

Las Vegas 4 listopada, wieczór

Cherelle włożyła do automatu kolejną ćwierćdolarówkę i nacisnęła guzik. Zabłyśły kolory, zakręciły się szpule i moneta przepadła na zawsze.

- Cholera.

- Nie ma pani dziś wieczorem szczęścia?

Mężczyzna, który zadał to pytanie, siedział dwa automaty dalej i był już dobrze po sześćdziesiątce. Trzymał w kąciku ust papierosa i uśmiechał się, a przy tym obrzucał ją takim spojrzeniem, jakby potrafił określić jej wartość co do dolara. Głos zdarty whisky brzmiał jak tarcie papieru ścierny o cement.

Gdybyś tylko wiedział, dupku, ile jest wart towar, który mam, pomyślała z wściekłością.

Ale całe to złoto nie zapewni jej dachu nad głową, za wyjątkiem więziennej celi. Mogła spać w swoim samochodzie albo zaproponować układ jakiemuś starszemu panu.

Nie dzisiaj, do diabła. Dopiero kiedy zostanę bankrutką.

Włożyła następną ćwierćdolarówkę, i jeszcze jedną. Maszyna drgnęła i wypłuła całkiem pokaźny stosik monet. Może nie była to oszałamiająca wygrana, ale starczyła na opłacenie noclegu, a nawet na kilka piw. Zgarnęła forszę i udała się do kasjera, nawet nie sprawdzając, czy mężczyzna z głosem jak papier ścierny odczuwa ulgę, czy rozczarowanie.

Dziesięć minut później zameldowała się w jednym z tanich moteli, których było pełno przy autostradzie na odcinku od międzystanowej do centrum Vegas. Wciągnęła walizkę Risy do pokoju, zamknęła drzwi na klucz i włączyła telewizor. Odbierał tylko kanał całodobowy z programem informacyjnym. Zdegustowana rzuciła pilota na łóżko i zaczęła odsuwać zamek walizki. Zostawiła włączony odbiornik, bo miała dosyć samotności. Cóż, gadająca maszyna nie nadawała się do konwersacji, ale była mądrzejsza od większości ludzi poznanych przez Cherelle.

- To już drugie morderstwo drobnego biznesmena w ciągu dwóch dni - mówiła poważnym tonem spikerka. - Policja prosi osoby, które znajdowały się w tamtych okolicach i widziały coś podejrzanego, żeby zadzwoniły pod numer widoczny w dolnej części ekranu.

- O tak, to pomoże - mruknęła Cherelle. - Jakaś stara babcia, która nie potrafi znaleźć własnego chudego tyłka nawet przez lupę, na pewno wyjrzy przez okno i zauważy mordercę. Jezu, rzeczywiście co minutę rodzi się jakiś psychopata.

Kątem oka obserwowała ekran telewizora. Zobaczyła znajomą część Vegas. Zmarszczyła brwi, odwróciła się i dobrze przyjrzała temu, co pokazywano.

- Hej, to przecież blisko domu Tima.

Teraz puszczano wywiad z detektywem. W tle było widać nosze ze zwłokami w worku. Ten sam materiał puszczano co pół godziny od wczoraj.

Cherelle przygryzła wargi. Odnosiła niemiłe wrażenie, że ogląda pozostałości po robocie Socksa. Podgłośniła telewizor. Socks nie został wymieniony z nazwiska, ale za to pokazano krwawą plamę na podłodze.

- O rany. O cholera. Czy to się przydarzyło Timowi? Wytężała słuch. Usłyszała tylko, że gliny nic nie wiedzą.

Jak tylko skończył się reportaż, spikerka z namaszczeniem kontynuowała wiadomości.

- Policja znalazła ślady krwi ciągnące się aleją aż do następnej ulicy. Potem trop się urywał. W miejscowych szpitalach nie zanotowano pacjentów z ranami kłutymi lub postrzałowymi. Żadna z mieszkających w pobliżu osób nie potrafiła pomóc policji.

- Och, to straszne, że nikt nie chce wesprzeć glin w ich robocie - burknęła Cherelle.

Odsunęła klapę walizki i się zawahała. Z jednej strony pragnęła rozpakować złoto, upewnić się,

że wszystko jest na swoim miejscu, przetrzymać artefakty i mieć świadomość, że marzenia wreszcie zaczynają się spełniać.

Z drugiej strony robiło jej się niedobrze na samą myśl o dotknięciu któregoś z przedmiotów.

- To złoto mnie przeraża - powiedziała telewizorowi. Puszczano akurat reklamę kondominium na Hawajach. Cherelle cały czas mówiła.

- Będę zadowolona, jak już opylę te okazy. Muszę tylko wykombinować, jak to zrobić, żeby nie ściągnąć sobie na głowę policji. Albo Socksa. Ten chłopak ma paskudny charakter: przy nim nawet wąż wydaje się milutki.

- Fala zbrodni w Las Vegas zdecydowanie przybiera. Dziś rano w Złotym Runie biegał uzbrojony szaleniec.

Słyszac znajomą nazwę kasyna, Cherelle odwróciła się i popatrzyła na ekran. Zdębiała, kiedy zobaczyła, jak Risa pędzi z podkasaną do tyłka spódnicą między rzędami automatów. Długie nogi przyjaciółki pojawiały się w różnych ujęciach, gdy uchylała się, obracała, skakała i przetaczała po stołach, rozpraszając żetony i gości na wszystkie strony.

- Chryste Panie - zawołała Cherelle. - Co...?

Zobaczyła Socksa. Spokojnie celował do Risy z broni. Kontrast między jego zbrodniczą intencją i pogodną hawajską koszulą był szokujący.

- Działając zgodnie z instrukcjami zarządu kasyna, strażnicy nie odpowiedzieli ogniem, gdyż to mogłoby narazić niewinnych świadków na niebezpieczeństwo. Napastnik uciekł frontowymi drzwiami i zniknął w tłumie.

Ekran wypełniła klatka ze zbliżeniem twarzy Socksa. Oczy miał zmrużone, usta zaciśnięte, zęby wyszczerzone w pogardzie.

- Och, tak, to Socks. Hurra! Znowu robi paskudne rzeczy. - Cherelle uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Założę się, że jego kutas jeszcze jest obolały.

- Ktokolwiek posiada informacje mogące prowadzić do aresztowania i skazania tego człowieka, otrzyma od Złotego Runa nagrodę w wysokości piętnastu tysięcy dolarów. Prosimy dzwonić pod numer, który podajemy w dolnej części ekranu. W dalszej części programu... konkurs na najlepsze bikini dla Świętego Mikołaja przyciąga tłumy do Błękitnej Klaczy. Jeśli znacie jakiegoś korpulentnego - tu zaczęły się szydercze odgłosy - pocziwego, starszego džentelmena, który chciałby wziąć udział w konkursie, jeszcze jest czas na zgłaszanie uczestników.

Cherelle już prawie nie słuchała. Wciąż patrzyła na numer w dolnej części ekranu. Nie mogła odebrać nagrody, ale nie zamierzała przegapić okazji, żeby dokuczyć Socksowi. Dopóki on jest na wolności, mądrze będzie się ukrywać. Ale ona nie mogła siedzieć jak mysz pod miotłą.

Chciała sprzedać złoto i spędzić resztę życia jak hollywoodzka gwiazda.

Cóż, jeszcze trochę poczeka, aż przyskrzynią Socksa.

Z uśmiechem na ustach, pobrzękując monetami w garści, wyszła do aparatu telefonicznego w dalszej części korytarza, obok automatu z coca--colą. W ciągu kilku minut nagrania opisała markę, model i tablice rejestracyjne krzykliwego, fioletowego wozu Socksa.

Nie zostawiła numeru, na który można byłoby oddzwonić.

Rozdział 48

Las Vegas

4 listopada, wieczór

Miranda obserwowała sytuację suchymi oczami, podczas gdy pielęgniarka wytaczała zestaw do reanimacji z pokoju Tima.

Światło jej życia zgasło.

Czując się bardzo staro i słabo, podniosła słuchawkę telefonu, wystukała numer i czekała. Bardzo szybko usłyszała znajomy głos.

- On nie żyje - powiedziała. - Teraz chcę od ciebie tylko jednej rzeczy. Zrobisz Socksowi to, co ten drań zrobił Timowi. Rozumiesz?

Nie podobało mu się, ale rozumiał. I tak planował zemstę. Nie chciał tylko, żeby go poganiano. Wtedy można popełnić zbyt wiele błędów.

- Tak - powiedział. - Wybierasz się do domu?

- Ja już nie mam domu. Timmy nie żyje. Słyszysz? Nie żyje.

- Przyślę samochód do kliniki. Kierowca zabierze cię gdzieś w inne miejsce. Nie ruszaj się stamtąd.

Zanim Miranda zdążyła zareagować, rozmówca odwiesił słuchawkę.

Rozdział 49

Sedona

4 listopada, noc

Shane za pierwszym razem przegapił wiejską skrzynkę pocztową. Nic dziwnego - „droga” prowadząca ku wzgórzom i klifom była skalista i zachwaszczona.

- Może ostatni adres na tej skrzynce był nieprawidłowy - powiedziała Risa, kiedy zjechali z podjazdu Virgila O'Connera.

- Masz lepszy pomysł, gdzie szukać złota?

- Nie.

Sykomory z bladą korą i gałęziami wykręcały się i połyskiwały jak duchy w świetle księżyca.

Risa miała więcej czasu, niżby chciała na podziwianie niesamowitego piękna drzew, bo Shane prowadził wynajętą ciężarówkę. Ilekroć przednie prawe koło zahaczało o skalną przeszkodę, Risa się krzywiła.

- Na pewno nie chcesz, żebym usiadła za kierownicą? - zapytała.

- Myślisz, że tobie lepiej by poszło?

Już zaczęła mówić, że tak, ale ugryzła się w język, kiedy zobaczyła grupę skałek, które Shane gwałtownie wyminął, skręcając w prawo.

- Nie, ale mogłabym przynajmniej się czegoś przytrzymywać.

Shane uśmiechał się jak zdobywca.

Risa obejrzała się - patrzyła na gwiazdy, na księżyc i czy nikt z tyłu nie jedzie.

- Świetnie się bawisz, prawda? - zagadnęła.

Zabrzmiało to raczej jak oskarżenie niż pytanie, ale Shane i tak odpowiedział.

- Jasne. Już zapomniałem, jak fajnie jest na wsi.

- Odezwał się ten, co nigdy nie mieszkał w Pierdołowie.

- A ja myślałem, że jesteś z Arkansas.

- Co za różnica?

- Tak się składa, że znam kilka fajnych miejsc w...

- Ja nigdy ich nie widziałam - przerwała mu ostro. Potem szybko odetchnęła. - Och, do diabła. Masz rację. Wiejskie okolice są piękne, olśniewają gorącem i tajemnicami. To moje życie było do bani.

- Tak, to zniechęca do pewnych miejsc. - Zerknął we wsteczne i boczne lusterka. Nic, tylko noc. - Gdybym miał wracać do Renton, musieliby mnie związać, zakneblować i odurzyć narkotykami.

- Gdzie to jest?

- Waszyngton. Stan, nie Dystrykt Kolumbii. Między przedmieściami Seattle i pozbawionymi szlaków Górami Kaskadowymi. Mnóstwo zieleni, bo dużo tam pada.

- Bez wątpienia daleko odjechałeś - stwierdziła.

- Cóż, miłość od pierwszego wejrzenia - wyjaśnił. - A u ciebie?

- To samo. Duże odległości. Przestrzeń. Pustka. W Nevadzie czułam się obco jak w piekle i natychmiast to pokochałam. Uważaj...!

Shane skręcił, żeby nie przejechać skunksa, i zaklął, kiedy podwozie zahaczyło o skały.

- Ho, ho! - Risa powachlowała się dłonią. - Zapomniałam, jaki mają zapach. Brakowało ci tego?

Popatrzył we wsteczne lusterko i zobaczył czarno-srebrny kształt sunący w kierunku potoku.

- Tak. - Podwozie znowu otarło się o wyrzuszenia wybojów i kolein. Shane zaklął. - Możesz mi powiedzieć, jaki jest sens zaopatrywać małą furgonetkę w napęd na cztery koła, jak w minivanach?

- Jezu... - mruknęła. - Sądzę, że minivany mają niski współczynnik tarcia.

- O tym akurat nigdy nie pomyślałem.

- Jesteś mężczyzną - burknęła i odwróciła się, żeby spojrzeć na drogę.

- Zauważyłaś.

- Och, tak. - Uśmiechnęła się.

Shane żałował, że sana tej zwirowej drodze w konkretnym celu, a nie tylko po to, żeby się popieścić w ustronnym miejscu.

- Widzisz coś? - zapytał.

- Gwiazdy, księżyc, czarne klify, sykomory jak duchy...

- I swędzi cię kark - dokończył.

- Właśnie - zgodziła się. - A ciebie?

- Pali jak ogień.

Risa usiadła bokiem, żeby łatwiej jej było oglądać się przez ramię.

- Księżyc świeci tak jasno, że można jechać bez świateł.

- To sugestia?

- Nie. Dałam sobie spokój z nocnymi wyczynami, kiedy miałam piętnaście lat.

- Co to były za wyczyny?

- Na przykład: gasisz wszystkie światła i bawisz się w kolizje na wiejskich drogach.

Shane gwizdnął.

- Niezła zabawa. Dlaczego z tym skończyłaś?

Risa najpierw chciała odpowiedzieć wymijająco, ale potem wzruszyła ramionami.

- Ponieważ chłopak z ferajny zjechał na pobocze i usiłował mnie zgwałcić. Prawdopodobnie udałoby mu się to, gdyby nie Cherelle. Włazła na tylne siedzenie i przykopała mu w jaja.

Wrzeszczała, że jeśli ona robi to dla pieniędzy, nie znaczy, że jej przyjaciółka ma ochotę dawać za darmo.

Shane zacisnął ręce na kierownicy, aż pobiełały mu kłykie.

- Za to jestem jej dłużnikiem.

- Myślę, że dziesięć tysięcy dolarów to stosowne zadośćuczynienie - powiedziała ironicznie Risa.

- Później Cherelle opuściła miasto z dilerem narkotyków. Łączyła ich chemia w rozmaitych

odmianach, ale nie dlatego Cherelle wyjechała. Chłopak, którego skopała, był synem okręgowego szeryfa. Może gdyby to się nie zdarzyło, ustatkowałyby się i... - Głos Risy ucichł. Przez chwilę słychać było tylko chrzęst opon na nieutwardzonej drodze.

- Naprawdę obwiniasz się za wybory, których dokonuje teraz Cherelle? - zagadnął wreszcie Shane.

- Rozumowo rzecz ujmując, nie. To się dzieje na poziomie emocji... - Risa lekko wzruszyła ramionami i usiłowała wyjaśnić coś, o czym rzadko myślała. - Ona była moją matką i siostrą, i przyjaciółką w jednym.

- Czy jest tą samą dziewczynką, którą pamiętasz sprzed piętnastu lat? - zapytał.

Risa miała ochotę odpowiedzieć twierdząco. Nie mogła.

- Czasami.

- I to są te przypadki, które naprawdę bolą.

Na moment zamknęła oczy.

- Skąd wiedziałeś?

- Ja też żałuję pewnych rzeczy sprzed piętnastu lat.

- Chodzi o twojego ojca?

- I matkę. Chciałem, żeby kochali mnie tak bardzo, jak ja kochałem ich, ale położyłem laskę na ojcu, jeszcze zanim skończyłem dziesięć lat. Potrzebowałem więcej czasu, żeby zrozumieć, kim jest i kim nie jest moja matka. - Nawet teraz słowa grzęzły Shane'owi w gardle. Jeszcze kilka lat temu obwiniął ojca o wszystko: to ogólne potępienie zrodziło się z chłopięcej bezradności i gniewu. - Nigdy nie stanęła w obronie własnego dziecka, nawet kiedy byłem o wiele za mały, żeby samemu się bronić. Zwłaszcza wtedy. Tylko załamywała ręce i robiła okrągłe ciasteczka. Jezu. Do dziś nie mogę znieść widoku okrągłych ciasteczek.

Risa współczuła temu chłopcu.

- Ojciec cię bił?

- To nie w jego stylu. Bastard Merit nie jest człowiekiem prymitywnym. Po prostu systematycznie pozbawiał mnie szacunku do samego siebie. Zresztą, robi to każdemu, kogo zna dostatecznie długo.

Westchnęła przeciągle.

- A ja myślałam, że po prostu gazety lubią go obsmarowywać.

Shane się uśmiechnął.

- Ten człowiek daje rocznie ponad dwa miliardy dolarów na rozmaite cele dobroczynne. To znacznie poprawiło jego wizerunek w prasie. Chociaż to był pomysł matki. Strasznie bolała nad tym, że jej mąż ma reputację najgorszego drania od czasów Nerona.

- Ale z nas para - mruknęła Risa. - Ja zawsze chciałam mieć prawdziwą rodzinę, a ty pragnąłeś wynieść się w diabły od swojej.

- Jak już mówiłem, nie jestem dobry, jeśli chodzi o związki.

- Skąd miałbyś to wiedzieć?

- Matka powtarza mi to przy każdej okazji, no i nie chcę być miły dla swojego słodkiego ojca.

- Hm, wszystko jasne. Jesteś beznadziejny. Bo tak mówi twoja matka.

Umilkli, potem Shane się roześmiał.

- Nigdy tego nie analizowałem - przyznał.

- W dorosłym wieku?

- Tak.

- Jeśli to ci pomoże, unikam patrzenia na Cherelle jak na beznadziejny przypadek.

Zawahał się.

- To może być niebezpieczne.

- Owszem, zwłaszcza gdy potem muszę uprawiać bieg z przeszkodami w kasynie. Ale...
- Ale mimo wszystko Cherelle uratowała ci tyłek, kiedy miałaś piętnaście lat.
- Tak.

Shane umiał to sobie wyobrazić aż nadto dobrze.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że nie trzeba byłoby ratować twojego tyłka, gdyby Cherelle nie uprawiała seksu na tylnym siedzeniu, podczas gdy syn szeryfa jeździł po nocy, pijąc piwo i słuchając wszystkich sapań i jęków?

Risa nic nie powiedziała. Shane doszedł do wniosku, że jego przypuszczenie okazało się trafne.

- Kiedyś - zaczął po chwili - może zastanowisz się nad tym, że ty i Cherelle wylądowałyście w różnych miejscach, bo zaczęłyście inaczej, kiedy byłyście w tym samym miejscu.

- W takim razie z mojego dzieciństwa nie zostało nic oprócz kłamstw.

- Nie, masz pamięć dziecka w dorosłym umyśle. To wcale nie to samo. Ty naprawdę kochałaś przyjaciółkę.

- A co z twoją miłością do matki, ojca? - zastanawiała się Risa.

- Była nieunikniona. Kurczę, jakaś część mnie nadal ich kocha. Po prostu nie są dla mnie ważni.

Risa wciąż zmagала się z pytaniami, kiedy droga skręciła na prawo i skończyła się na zakurzonej podwórzu domu pokrytego drewnianą boazerią.

Rozdział 50

Las Vegas

4 listopada, noc

John Firenze siedział w połyskującym prywatnym gabinecie i miał ochotę kogoś zabić. Nie kogokolwiek. Jedną konkretną osobę. Swojego stukniętego siostrzeńca Cesara, którego pieprzona, debilna gęba znajdowała się teraz na ekranach wszystkich telewizorów w Vegas. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy ktoś rozpozna chłopaka i zgłosi to policji. Wtedy Firenze zostanie wezwany na przesłuchanie przez Komisję Kontroli Gier stanu Nevada. Zanim ta heca się skończy, będzie musiał podkreślać swoje przysługi dla wszystkich wpływowych polityków. Zadzwoił intercom - najwyraźniej asystentka wciąż jeszcze dyżurowała. Firenze zbliżył rękę do centralki tak, jakby miał do czynienia ze zwiniętym grzechotnikiem.

- Słucham?

- Pański siostrzeniec zadzwonił z publicznego automatu. - Mówiła cichym, kulturalnym i bardzo kobiecym głosem.

- Powiedziałaś mu, żeby się oddał w ręce policji? - zapytał Firenze.

- Zrobiłam, jak pan prosił

- I?

- Odmówił. Zdecydowanie.

Firenze potrafił to sobie wyobrazić. Socks zawsze miał wredny, pokrętny charakter. A teraz na dodatek nie przeżywał najlepszego okresu w życiu. Firenze zamknął oczy i usiłował znaleźć wyjście z sytuacji. Tyle że ono nie istniało.

- Połącz mnie z policją - polecił.

- Tak, sir. Przykro mi, proszę pana.

- Mnie też. Przynajmniej jego matka nie żyje i nie musi na to patrzeć.

- Tak, sir.

Firenze czekał niecierpliwie, aż go połączą z gościem, który zajmował się sprawą „hawajskiego

strzelca¹, jak nazwał Socksa lokalny kanał Vegas. Było bardzo ważne, żeby Firenze jako właściciel kasyna sprawiał wrażenie, iż dobrze współpracuje z policją. Nie żeby uważał, że gliny mają dużą szansę na szybkie odszukanie Socksa. Nawet jego przygłupi siostrzeniec miał dość rozumu, by wziąć przesłane mu pieniądze i ukryć się na łodzi mieszkalnej na jeziorze Mead, aż wujowi uda się załatwić paszport i przerzut do dalekich krewnych we Włoszech. Fakt, Firenze miał ochotę własnoręcznie udusić tego żalostnego sukinsyna, ale o więzach krwi nigdy nie zapominał.

Rozdział 51

Sedona

4 listopada, noc

Risa zapukała do drzwi Virgila O'Connera, poczekała i znów zapukała. W środku i na zewnątrz było zupełnie ciemno. Z domku nie dochodził żaden dźwięk.

- Nadal nic? - spytał Shane, wychodząc z za domu.

- Nic. Stoi tam jakiś samochód?

- Tylko rower.

- A może motor?

- A może byś dała spokój? - Potarł kark.

- Ciągłe cię swędzi? - spytała.

- Tak. A ciebie?

Zawahała się.

- To mi przypomina o...

- O czym?

Cisza. Westchnięcie. Jej dłonie załśniły w świetle księżyca, kiedy wykonała niecierpliwy gest.

- O Walii.

- Tam, gdzie miałaś sny?

Wyglądała na zaskoczoną tym, że on pamięta.

Tak. Odwrócił się do ciemnych okien i zamkniętych drzwi domu Virgila. Drewno miało złowieszczy kolor pnia sykomory. Ten dom przyprawia cię o swędzenie?

- Niezupełnie. Albo nie tylko. - Risa prychnęła. - Cholera, nie chcę tego! Nie chciałam w Walii i nie chcę teraz - syknęła przez zęby. - Ale to jest niestety prawdziwe.

- W przypadku niektórych osób.

- Masz na myśli dziwaków? - spytała z nieszczęśliwą miną.

- Ktoś uzdolniony muzycznie jest dziwakiem dla tych, którym słoń nadepnął na ucho.

- A ty?

- Czy mam słuch? - spytał, celowo źle interpretując jej pytanie. Czekąca.

- Tak - odezwał się po chwili. - Ja też jestem dziwakiem. Chyba. - Wzruszył ramionami. - Ciężko powiedzieć. Wiem tylko na pewno, że w czasie i miejscu, w którym żyję, rekompensuje się finansowo znajomość liczb i zasad, jaką posiada cholernie niewielu ludzi. Wszyscy grzecznie pomijają fakt, że wielu moich trafnych decyzji w interesach nie da się wyjaśnić zachodnią logiką. Więc zawsze kiedy udzielam wywiadu, opowiadam o długoterminowych kierunkach, krótkoterminowych zyskach i analizowaniu rynku za pomocą mętnych zasad, bo te brednie wyjaśniają, dlaczego ja jestem bogaty, a ktoś nie.

- Ciężko pracujesz.
- Inni też.
- Jesteś inteligentny.
- Inni...
- Też - dokończyła. - Ale ty widzisz to, czego inni ciężko pracujący i inteligentni ludzie nie widzą, prawda?
- Jeżeli widzenie uznamy za synonim słowa przecucie i jeśli przecucie jest słowem wyjaśniającym wiedzę, która nie ma logicznych podstaw, to owszem, widzę.
- Nie znałam tej części twojego życiorysu - mruknęła.
- Nigdy nie mówiłem o tym nikomu poza tobą. Ilu osobom wyznałaś, że miewasz przecucia? Przez kilka chwil panowała cisza. Tylko wiatr ślizgał się po ziemi jak bezkresny oddech.
- Tylko tobie - wyszeptwała. - Nikomu więcej. Nawet sama przed sobą nie lubię się do tego przyznawać.
- Czemu?

Wydała z siebie odgłos, który przypominał zarówno śmiech, jak i szloch.

- Kiedy byłam mała, myślałam, że właśnie z tego powodu porzuciła mnie moja matka. Dlatego, że byłam inna. I że to zabiło moją przybraną matkę.
- Wyczułaś to? Skąd wiesz?

Zamyśliła się na chwilę.

- Nie. Nie mam przecuć dotyczących siebie. Tylko... innych. Przeszłości. I to nie zawsze i nie każdej przeszłości. Tylko wyjątkowej. I bardzo wyjątkowych miejsc.
- Jak Walia.

- Tak - przyznała głosem łagodnym jak wiatr.

- Przemawiają do ciebie miejsca lub związane z nimi rytualne przedmioty?

- Nie wiem. Nie jestem pewna, czy można to rozgraniczać. - Potarła ręce i odwróciła się od niego w mrok. - Naprawdę nie chcę się w to zagłębiać. Odkąd zrozumiałam, że większość ludzi nie reaguje tak jak ja, robię, co mogę, żeby to ignorować.

- Ale to nie minęło, prawda?

Odwróciła się gniewnie do niego.

- Czego ty chcesz?

- Mieć poczucie, że nie jestem całkiem sam. Przez całe życie czuję się jak dziwak.

- Dobra. W porządku. Jestem dziwaczką. Lepiej ci?

- Dwoje odmieńców to co innego. - Uśmiechnął się szeroko. - To znaczy, że jesteśmy normalni. Popatrzyła na niego i się roześmiała.

- Mętne zasady, co?

- Mnie odpowiadają. - Przyciągnął Risę do siebie i pocałował mocno, spoglądając na jej twarz zalaną księżycowym blaskiem. - Ty też. Poczekaj tu.

Nadal czuła smak pocałunku. Starła się nadążyć za specyficznym tokiem myślenia Shane'a.

Nagle zorientowała się, że Shane otwiera drzwi wejściowe domu Virgila O'Connera.

- Nie możesz tak po prostu... - zaczęła. Ale on już to zrobił.

- ...wejść do środka - dokończyła.

Palcami osłoniętymi rękawem wiatrówki pomacała ścianę, żeby wyczuć włącznik. W białej poświacie księżycy, sześćdziesięciowatowa żarówka na górze lśniła jak okrągły, żółty płomień świecy. Wystarczyła, żeby ukazać kanapę z poduszką i zmięty koc, kilka grubych książek, które leżały otwarte na starym stole, oraz ciemny pokój w głębi.

Coś małego w popłochu uciekało w ciemność na małych łapkach, stukając pazurkami o podłogę. W powietrzu pachniało starym jedzeniem, jednak było to bardziej wrażenie niż rzeczywisty

zapach. W domu panowała nieokreślona pustka. Nie ostra próżnia po niedawnej śmierci, ale klimat porzucenia, który powstaje, gdy zabraknie żywej duszy.

- W domu nie ma nikogo poza myszą stwierdził Shane, wchodząc w krąg światła.

Risie zaparło dech w piersiach, kiedy dostrzegła błysk metalu w jego dłoniach. Broń.

Shane ruszył do ciemnego pokoju i schował broń do kabury.

Pomieszczenie było puste jak reszta domu.

Oslaniając dłoń kurtką, włączył światło. Sypialnia miała nie więcej niż sześć metrów kwadratowych - wystarczyło miejsca na wąskie łóżko, komodę i kilka kołków na ścianie, które służyły za szafę. W pokoju panował rozgardiasz - typowy nieporządek człowieka mieszkającego samotnie, który nie przejmując się kolejnymi warstwami kurzu.

Shane, pocierając kark, znów rozejrzał się dookoła. Coś go niepokoiło, ale nie wiedział co. Czuł się jak idiota, wyjmując małą latarkę. Uklęknął i zajrzał pod łóżko. Dostrzegł jedynie ślady na kurzu, jakby coś przeciągnięto po podłodze. Może walizkę. To tłumaczyłoby, dlaczego nikogo nie ma w domu i że jedynym stojącym w pobliżu pojazdem jest rower.

Chciałby wierzyć w proste, logiczne wyjaśnienie. Ale nie umiał. Znów poświecił latarką pod łóżkiem. Wiedział, że coś tam jest.

Tylko nie może tego dostrzec.

- Shane?

Wołanie Risy poderwało go na równe nogi, a niepokój opuścił go dopiero, gdy znalazł się obok niej w salonie.

- Co to jest?

- Książki.

- Dotykałaś ich? - spytał ostrzej, niż zamierzał.

- Nie musiałam. Zobacz.

Spojrzał na otwartą książkę, która leżała na stole. Zmrużył oczy i podszedł bliżej. Na jednej stronie widniała fotografia wzgórz Snettisham, a na drugiej seria złotych brosz.

- Staram się uwierzyć, że to zbieg okoliczności - wyznała.

- I udało ci się?

- Nie.

- Mnie też nie.

- Złoto trzymano w skrzyniach, które znaleźliśmy u Cherelle - stwierdziła niewyraźnie Risa. - Wyczułam to.

Shane nie wytknął jej, że nic mu wtedy o tym nie powiedziała. Nie musiał, sam też to wyczuł. A wszystko, co znaleźli, coraz bardziej wiązało dawną przyjaciółkę Risy z kradzieżą i morderstwem.

- Cherelle zabrała złoto Virgila O'Connera - powiedziała smutno Risa. - To właśnie miał na myśli Socks, kiedy mówił, że przyjedzie po resztę rzeczy do Sedony. Ale skąd wziął je Virgil? I jak? Ten dom nie wygląda na siedzibę człowieka, który może wydać miliony na antyczne złote klejnoty.

Shane wyjął telefon komórkowy.

- Nie mam zasięgu - oznajmił. - Figurki - nagrał wiadomość głosową, która dotrze do Rarities, jak tylko pojawi się zasięg. - Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć tutaj coś, co pomoże Rarities szybciej załatwić sprawę. Jeśli nie, będą musieli zadowolić się adresami na pudełku. Masz rękawiczki?

- Zawsze nosze w torebce parę rękawiczek. Ale to nie twój rozmiar.

- W takim razie będę patrzył ci przez ramię.

- I dyktował, co mam robić - mruknęła, otwierając torebkę.

- Na to czekam najbardziej.
- Ha, ha. - Włożyła rękawiczki. - Chyba nie muszę ci mówić, że czuję się podle, węsząc w cudzym domu.
- Mnie też niezbyt się to podoba.
- Ale zamierzasz dalej działać.
- Gdyby dzięki temu przestał mnie swędzieć kark, przekopałbym to miejsce do góry nogami.
- Z moją pomocą - przyznała.

Zaczęła poszukiwania tam, gdzie stała. Przejrzała książki z wprawą osoby przyzwyczajonej do kartkowania setek stron z tekstem i zdjęciami.

Shane, jak zapowiedział, patrzył jej przez ramię. W książkach było chyba wszystko o złocie pochodzącym z okresu celtyckiego od roku 1000 przed naszą erą do 1000 po Chrystusie. Strony ze zdjęciami figurek, brosz, torquesów, bransolet, noży i masek często miały pozaginane rogi. Poza tym i notatkami na marginesach zapisanymi drobnym niecierpliwym pismem, zniszczone książki nie zawierały żadnych informacji o życiu Virgila O'Connera.

W salonie nie znaleźli żadnych szuflad, koszy, pudeł, gdzie mógłby przechowywać dokumenty. Albo złoto.

- Czy w drugim pokoju jest biurko?
- Nie.
- A telefon?
- Nie.
- Więc zacznę poszukiwania od kuchni.

Kuchnia była mniejsza niż sypialnia. Wiszący na ścianie przestarzały telefon nie miał nawet funkcji szybkiego wybierania. Błat pod telefonem zavalony był rachunkami i materiałami z napisem „lokator”. O'Conner nie prowadził życia towarzyskiego.

- Prąd. - Risa przeglądała nieuporządkowane sterty papierów, datami wstecz. - Telefon. Nie ma rachunków za wodę, więc pewnie gdzieś tu jest studnia. Brak osobistej korespondencji.

Wezwanie do zapłacenia podatku od nieruchomości. Niedługo upływa termin. Wyciąg z konta bankowego, trzysta dolarów i trzydzieści jeden centów. Rachunek oszczędnościowy: sto jeden dolarów i szesnaście centów. Rachunek za naprawę dętki w rowerze. Reszta to paragony ze sklepu spożywczego. Koniec.

- Żadnych wyciągów z kart kredytowych - podsumował Shane. - Ani opłat za samochód. Ciekawe, czy on w ogóle ma prawo jazdy.
- Może papiery dotyczące interesów chowa gdzie indziej.
- Może - przyznał Shane. - Ale coś czuję, że wszystko, co dla niego ważne, trzyma właśnie tutaj.
- Intuicja?
- Tak.

Westchnęła i zaczęła przeszukiwać kuchenne szuflady i kredens. Nie trwało to długo, bo niewiele było do oglądania. Nic interesującego, o ile kogoś nie obchodzi to, że Virgil O'Conner lubi fasolę, ryż i sok grejpfrutowy. Na kuchence elektrycznej stały garnki i patelnie z przypalonym jedzeniem. Lodówka była mała i pusta poza kilkoma korniszonami pływającymi w mętym płynie. W zamrażarce leżał wypełniony żelazem aparat ortopedyczny i tacka kostek lodu.

- Naprawdę wolałabym nie grzebać w jego szafie - oznajmiła.
- Nie ma szaty. Tylko komodę.
- Och Boże. Od razu mi lepiej.

Shane patrzył, jak Risa wchodzi do sypialni. Bardziej wyczuwał, niż widział, jak przebiegają ją dreszcze. Cekał, zastanawiając się, czy w końcu zaufa mu na tyle, żeby podzielić się tym, co całe życie starała się ukrywać.

- O'Conner trzymał złoto tutaj - powiedziała cicho.
 - Dziękuję.
- Posłała Shane'owi smutny uśmiech.
- Dwoje dziwaków to już nic dziwnego, prawda?

Rozdział 52

Sedona

4 listopada, noc

Shane czekał, żeby Risa powiedziała coś więcej. Nie widział twarzy, ale po napięciu jej ciała wnioskował, że jest bardzo skupiona.

- Czy złoto tu jeszcze jest? - spytał szeptem w ciemności jak duch.
- Nie. Ale... - Risa roztarła gęsią skórkę na rękach. - Nie czujesz? Było tu. I coś nadal jest.
- Owszem, czuję. Tylko nie zorientowałem się tak szybko jak ty.
- Praktyka - mruknęła posepnie, rozglądając się po pustym pokoju Virgila O'Connera. - Jezu, nie cierpię tego uczucia, świadomości, że jestem inna. Może powinnam zostać pielęgniarką, a nie kuratorem.

- Może ja powinienem zostać proktologiem.

Rzuciła mu niepewne spojrzenie i wybuchnęła śmiechem.

- Przepraszam. Czyżbym marudziła?

Delikatnie dotknął jej policzka.

- Masz prawo. Nie wciągałbym cię w tę grę, gdybym nie musiał.
- Gdybyś usiłował trzymać mnie od tego z dala, walczyłabym z tobą jak lwica.

Kąciki jego ust uniosły się lekko.

- Byłoby zabawnie.

Kręcąc głową, zaczęła wysuwać szuflady komody. Nie znalazła w niej zbyt wielu ubrań.

Wszystkie były takiego gatunku, dzięki któremu sklepy z używaną odzieżą zasługiwały na miano podrzędnych.

Żadnych dokumentów. I ani śladu złota.

Spojrzała na niepościelone łóżko.

- Nie fatyguj się powiedział szybko Shane. - Ani na nim, ani pod nie ma nic. Tylko ślady na kurzu zostawione przez ciągniętą walizkę albo skrzynię z amunicją.
- No to wrócimy z pustymi rękami. Chyba że zaczniemy wrywać deski z podłogi albo wybijać dziury w ścianach.
- Ślepa uliczka - przyznał. - Ale wiem, że coś tu jest.
- Tutaj?
- Albo blisko.
- Szkoda, że nie mogę się z tobą nie zgodzić. - Położyła dłonie na biodrach, zatoczyła powoli koło i pokręciła głową. - Nie w tym pokoju. Już tu go nie ma.
- Złota?

Pokiwała głową.

- Cholera. - Podrapała się szybko po rękach. - Już wcześniej dostawałam mrowienia od złota, ale nie przypominało tego z Walii, aż do czasu pojawienia się Smith-White'a. Jak w tym domu. Patrząc na Shane'a, pomyślała, że wcześniej dostawała też mrowienia z powodu mężczyzn, ale nigdy tak jak przy nim. Oddziaływanie Shane'a czasami ją przerażało.

- Naprawdę? - zapytał.

W pierwszej chwili pomyślała, że chodzi mu o to, w jaki stan on ją wprawia. Ale nie, nawiązywał do jej wypowiedzi na temat złota. Roześmiał się i pogłaskał jej nadgarstek nad rękawiczką.

- Przestań!

- Twoje oczy mówią wszystko, kochanie.

- Sprawię sobie lustrzanki.

- Będzie ci lepiej, jeśli powiem, że czuję to samo?

- W kwestii okularów? Nieszczególnie.

Lekko ugryzł jej dłoń, którą przed chwilą gładził.

- Wiesz, co mam na myśli.

Ciarki, jakie przebiegły jej po plecach, nie miały nic wspólnego ze starożytnym złotem druidów.

- A jeśli to się wypali za kilka tygodni lub miesięcy?

- A jeśli nie?

Wypuściła powietrze i niemal się roześmiała.

- Pewnego dnia?

- Takie jest życie.

Uśmiechnęła się drżąc, ale szczerze.

- Zgoda. Ale chcę natychmiast wyjść z tego domu.

Shane wziął ją w milczeniu za rękę i wyprowadził w ciemność.

- Lepiej?

- O wiele lepiej. Przejdziemy się?

Spojrzała na swoje stopy. Odkąd musiała biec bosą przez kasyno, zakładała wygodne, sportowe buty. Co nie oznaczało bynajmniej, że miała ochotę włóczyć się po wybojach.

- Daleko?

Spojrzał na długi płaskowyż, ciągnący się za domem.

- Z pół kilometra.

Popatrzyła tam, gdzie on, i wrzuciła torebkę do samochodu.

- Wiesz, dokąd idziemy? - spytała.

- Nie.

- To świetnie. - Machnęła ręką w stronę wzgórza malującego się w ciemności. - Prowadź, szefie.

Księżyc świecił na tyle jasno, że Shane nie musiał wyciągać latarki. Szlak był wydeptany przez poprzednich wędrowników. Zresztą, tak czy inaczej nie zastanawiałby się. Z każdym krokiem nabierał pewności, że idzie w dobrą stronę.

- Czujesz? - spytał szeptem.

- Tak. - Napięty głos Risy więcej niż słowa mówił, jak bardzo nie lubiła tajemniczych odczuć.

Shane przystanął i spojrzał na nią przez ramię.

- Niepokoisz się, że ja też to czuję?

- Nie. A powinnam?

- Pomyślałem tylko, że może od tego przez długi czas starasz się uciekać.

- W grę wchodził czysty zdrowy rozsądek. Nie chciałam innej roboty.

- Nie to mówiłaś, kiedy przedstawiałaś mi propozycje, do których musiałem się dostosować.

- Nie powiedziałam, że jestem głupia, tylko że nie chcę następnej roboty.

Uśmiechnął się, chociaż czuł coraz większe napięcie. Niezupełnie był to niepokój. Raczej świadomość odmienności, delikatny zapach spalenizny w powietrzu po uderzeniu pioruna.

Chyba mu się to podobało.

- Jak tam twoja gęsia skórka? - spytał po chwili.

- O wiele szczęśliwsza niż ja. Czemu?

Coś poruszyło się w krzakach kilka metrów od szlaku. Rozejrzał się, wsłuchał i dostrzegł czworonożny cień uciekający do lepszej kryjówki.

- Już niedaleko.

Odwrócił się w stronę ścieżki.

- Skąd wiesz?

- Bo O'Conner był stary, a starzy ludzie nie wspinają się po wzgórzach. - Zatrzymał się. - A na pewno nie po takich.

Mizerne światło latarki nie mogło rozświetlić ciemności, jaka osłaniała szczyt wzniesienia.

- Na prawo - powiedziała Risa.

- Co?

- Coś mi podpowiada, że to tam.

Przeszła jaśniejszym skrawkiem ciemności, jakim był szlak na tle urwiska. Shane miał rację. Nic jej nie da, że będzie ignorować swoją odmienność. Poza tym odczuwała ulgę, że nie ona jedna ma dziwne skłonności.

Dwoje dziwaków to już norma.

Uśmiechnęła się na wspomnienie słów Shane'a. Nagle potknęła się w ciemności i wyciągnęła przed siebie ręce, żeby się przytrzymać. Uderzyła w jeden z trzech wystających kamieni.

Zalały ją niesamowite doznania, kalejdoskop twarzy w złotych maskach, rytualne ostrza śmierci i odrodzenia, głosy śpiewające święte słowa, a wszystko to wirowało w czasie i blasku księżyca, aż zaczęło rozsadać jej głowę. Krzyknęłaby z całych sił, gdyby tylko mogła złapać oddech.

Po chwili znów otaczała ją noc i muskularna ręka Shane'a. Czuła jego ciepło i oddech drgający delikatnie w jej włosach. Echa pieśni milkły. Wracała rzeczywistość.

- Wszystko w porządku? - spytał Shane cichym, ochryplym głosem.

- Chyba tak. - Wypuściła powietrze z płuc. - A z tobą?

- Pracuję nad tym.

- Zapamiętałeś nazwę pociągu, który nad nami przejechał?

Zaśmiał się niepewnie.

- Nie. I wcale mi to niepotrzebne.

Odsunął jej ręce od skały. Później z rozmysłem położył na kamieniu swoje dłonie.

Przyglądała się i czekała.

- I co?

- Zimna skała. I...

Nie chciała pytać. Ale nie mogła się powstrzymać.

- Co?

- Czas. Odległość. Noc. Po której nie ma świtu.

- To dlatego zaznaczali letnie i zimowe przesilenie - powiedziała szeptem Risa. - Wykuwali swoje sny i modlitwy w złocie, bo ono nigdy nie rdzewieje, nie niszczy i się nie zmienia.

Rytualne ofiary ze złota i krwi dla wszystkich nazwanych i nienazwanych bogów, sprawujących władzę nad życiem. Ciemność, po której nie ma świtu, chłód, po którym nie ma ciepła, śmierć, po której nie ma dalszego życia, koniec wszystkiego, włącznie z istnieniem bogów. Druidzi się tego bali.

- Tak jak każdy, kto potrafi to sobie wyobrazić.

Risa zawahała się, po czym z powrotem położyła dłoń na skale. Poczowała jedynie podmuch wiatru, niknący pomruk, drżącą ciszę. Zmarszczyła czoło, podniosła rękę i weszła przez szparę do środka trzech kamieni.

- I co? - spytał Shane.

- Nic więcej. Ono jednak tu było. Złoto.

- Ale go nie ma.

Pokiwała głową, dotykając zimnej, szorstkiej powierzchni każdego kawałka piaskowca. Ogarnęły ją delikatne doznania.

- Czuje coś dziwnego, ale na razie mnie to nie martwi. - Spojrzała na Shane'a. - Mimo wszystko, nie mam ochoty tutaj nocować - przyznała.

- Racja. Chodź. - Wziął ją za rękę i pośpiesznie wyprowadził z mroku trzech skał. - Znajdźmy miejsce, gdzie będzie zasięg dla komórki. Chcę się dowiedzieć, czy Rarities znalazło jakieś ciekawe informacje.

Risa schodziła szlakiem za Shane'em w stronę pustego domu.

- Możemy anonimowo puścić sygnał policji, żeby zaczęli szukać Virgila O'Connera?

- Najpierw obdzwonię miejscowe szpitale. Wolałbym porozmawiać z nim, zanim zrobi to policja.

Niedaleko od klifu Shane usłyszał szelest w krzakach, w tym samym miejscu co poprzednio.

Tym razem nie rozpraszało go swędzenie karku. Zapalił małą latarkę i poświecił w zarośla.

Ukazały się trzy pary błyszczących oczu i zniknęły, kiedy stworzenia zaczęły rozkopywać pazurami skały i spaloną słońcem ziemię.

- Poczekaj tu - szepnął do Risy.

- A te oczy będą na mnie patrzeć? Nie, dziękuję.

- To trzymaj się blisko, w kręgu światła. - Sięgnął do tyłu i wyjął broń.

Zaczął oddalać się ze szlaku, latarką i pistoletem torując sobie drogę przez zarośla. Risa szła tuż za nim.

Wiatr zmienił kierunek.

W powietrzu zawisł zapach śmierci. Shane wywnioskował, że dzicy mieszkańcy okolic rozkoszują się niezbyt świeżą ofiarą. Odważnie skierował latarkę w rzednące zarośla. Krawędź światła ukazała znoszony but, zmięte ciuchy i resztki, na które jedynie koroner mógłby patrzeć bez odrazy.

Szybko odwrócił się i zasłonił Risie widok Matki Natury w akcji.

- Czas wracać - oznajmił. Z trudem przełknęła ślinę.

- O'Conner?

- Powiedzmy, że nie będę obdzwaniał szpitali. Jak tylko się stąd oddalimy, zadzwonię na policję jako porządny zwykły obywatel.

- Cieszę się, że nie pożądasz złota na tyle, żeby uciekać się do morderstwa.

- Czemu? - spytał Shane.

- Bo za każdym, kto ostatnio zginął, ciągnie się cały łańcuch prowadzący do prawdziwego właściciela złota druidów.

- Tak, niepokoi mnie, że zbyt wielu ludzi, którzy dotykali starożytnego złota, źle skończyło.

- Ale nie Cherelle. Mam nadzieję.

- Nie mówiłbym o tym glinom.

- Czemu?

- Uznaliby, że jest morderczynią.

- Stawiam na hawajskiego strzelca - powiedziała stanowczo Risa. - Albo Tima.

- Nie wierzysz, że Cherelle mogłaby zabić?

Nie odpowiedziała.

Shane nie spytał ponownie. Zszedł za nią po szlaku, oddalając się od zapachu śmierci.

Las Vegas

4 listopada, noc

Rich Morrison i Gail Silverado oglądali sześć złotych wyrobów z każdej strony. Oboje byli w rękawiczkach. John Firenze również, chociaż tylko rozstawił artefakty na biurku, na kartkach papieru firmowego kasyna.

- Jak myślicie? - spytał, kiedy zmęczony się słuchaniem ciszy przerywanej jedynie łagodnym sygnałem komputerów, informującym o przyjściu nowego e-maila. - Jest prawdziwe?

Rich spojrzął na Gail.

Nie zauważyła. Trzymała w ręce ciężki złoty pierścień. Na jego wewnętrznej i zewnętrznej części wygrawerowane były litery lub symbole języka, których nie potrafiła odczytać.

Ale знаła kogoś, kto potrafi.

- Shane ma taki pierścień - oznajmiła, wążąc złoto w dłoni. - Przynajmniej podobny z zewnątrz. Nigdy go nie ściąga, więc nie wiem, co jest w środku.

- Skąd to wytrzasnąłeś? - spytał Rich. Firenze poczuł się nieswojo. Zesztywniał.

- Po prostu dostałem.

- Jeszcze raz - nie dawał za wygraną Rich.

- Facet...

- Postaraj się bardziej.

Firenze spojrzął Richowi w oczy. Były równie zimne jak jego głos. Chciał odpowiedzi i będzie drażył tak długo, aż je zdobędzie. Firenze był wkurzony na cały świat, a na głupiego siostrzeńca w szczególności. Choć Cesarowi brakowało piątej klepki, należał do rodziny. Matka Firenze'a zamieniłaby jego życie w piekło, gdyby wciągnął jej wnuka w zabójstwo nędznego właściciela lombardu.

- A co cię to obchodzi? - warknął w końcu. - Nie każę ci kupować tych cholernych gratów. Daję tylko szansę zrobienia Tannahilla. Tego właśnie chciałeś, prawda?

Zapadła pełna napięcia cisza. Rich stłumił przekleństwo i znów spojrzął na złoto. Jasne, że zależało mu na skórze Tannahilla.

Ale nie tylko.

- Chcę się upewnić, że to nie blef - odparł Rich.

- Masz moje słowo.

Wargi Gail zadrżały po odpowiedzi Firenze'a, ale Rich tego nie dostrzegł. Był w paskudnym nastroju. Nawet myśl o tym, że Złoty Chłopiec zostanie przyskrzyniony w gmachu sądu, nie wywołała uśmiechu na jego ponurej twarzy.

- I chcę mieć przykrywkę, gdyby gliny zaczęły mi zadawać pytania - oznajmił.

Firenze wzruszył ramionami.

- A o co tu pytać? Nie podam twojego nazwiska. Ja tylko pozwalam ci spojrzeć na złoto, żeby mieć pewność, że właśnie o tego rodzaju rzeczy chodzi Tannahillowi.

- Nie podoba mi się to stwierdził i jednocześnie prychnął. - Mów, skąd masz złoto albo nie będzie interesu. Nie kupuję kota w worku.

Firenze'owi podskoczyło ciśnienie, twarz mu poczerwieniała. Nienawidził, kiedy mu przypominano, że to nie on gra pierwsze skrzypce.

- Mój siostrzeniec dostał je od przyjaciela przyjaciela.

- Którego siostrzeniec?

- Cesar.

- Ten, który napadł na Złote Runo? - spytała Gail, odciągając od Richa uwagę rozwścieczonego Firenze'a.

Skrzywił się.

- Tak.

- Gdzie on teraz jest? - spytała.

- Chłodzi się na jeziorze, dopóki go nie wyeksportujemy. Nienawidzi rodzinnego jachtu, ale ma pecha.

Gail powstrzymała uśmiech. Ku rozpaczy mężczyzny kobiety Firenze'ów kochały wielki jacht, ale oni woleliby raczej utknąć w mrowisku, niż spędzić weekend na jeziorze. Robili to mimo wszystko, przynajmniej raz do roku, jak każdy, kto coś znaczył w Las Vegas. Jubel Firenze'ów czwartego lipca był tak słynny, jak halloweenowe przyjęcie Gail.

Firenze spojrzął na Richa.

- Bierzesz czy nie?

- Zastanawiam się.

- Masz czas do jutra. Później możesz mnie pytać o złoto, a ja nic nie będę wiedział. - Firenze rzucił Richowi przeszywające spojrzenie.

-Rozczarowujesz mnie. Chciałeś mieć Tannahilla na tacy, ja ci go daję, a ty się wycofujesz.

- Co za to chcesz? - spytał Rich.

- Większą część kasy z pralni.

- Ile?

- Dwa razy tyle.

Rich znów spojrzął na złoto.

- To komu obetniemy?

- Temu, kogo tu nie ma.

Rich po chwili odwrócił się do Firenze'a.

- Dobra robota, John. Kiedy wszystko ustawię, zadzwonię i ktoś odbierze złoto. Za kilka godzin, nie dłużej.

To w końcu je bierzesz? - spytała Gail.

- Byłbym głupi, gdybym nie wziął. Za to chyba dostanę złotą gwiazdę w papierach u federalnych.

Na pewno na jakiś czas przestaną wtykać nos w moje sprawy. Będą zbyt zajęci Tannahillem.

Gail miała niepewną minę.

- O co chodzi? - spytał ją Firenze.

- Wydaje mi się, że on jest za sprytny, żeby dać się złapać na anonimowy telefon.

- Nie będzie anonimowy - oznajmił Richard. Rzucił Firenze'owi spojrzenie sugerujące, żeby zastanowił się nad bardziej konkretnym wyjaśnieniem niż „przyjaciół przyjaciele”. - Od kogo Cesar to dostał?

Firenze nie był głupi.

- Od suki zwanej Cherelle Faulkner.

- Tej, która trzyma się z kuratorką Tannahilla? - spytał Rich, jakby jeszcze nie znał graczy.

- Tak podają moje źródła.

- W takim razie wiadomość będzie od Cherelle. - Rich spojrzął na Gail. - Wchodzisz w to?

Wzruszyła ramionami.

- Tak, to sprytnie zagranie. Ale Vegas bez niego na pewno nie będzie już takie samo.

- Bez kogo? - spytał Firenze.

- Bez Shane'a Tannahilla.

Rozdział 54

Las Vegas 5

listopada, wczesny ranek

Risa powoli budziła się ze snu, w którym leżała naga na brzuchu na tropikalnej plaży. Czuła na języku smak morza, a nieopodal słyszała szum fal. Uśmiechnęła się, zanurzając głębiej we śnie i... poczuła Shane'a. Szybko otworzyła oczy.

- Zawsze budzisz się tak gwałtownie? - spytał głębokim, rozbawionym głosem.

Był nagi jak ona. To, co we śnie wydawało jej się piaskiem, w rzeczywistości okazało się warstwą ciemnych włosów na ciepłej skórze. Uderzenie fal o brzeg ze snu to miarowe bicie jego serca pod jej policzkiem.

Słownawy smak był prawdziwy. Oblizła wargi i stwierdziła, że lubi smak Shane'a o poranku. Ogarnęło ją pożądanie. Shane wydał się jeszcze bardziej pociągający niż wtedy, gdy zasypiali złączeni jak żywe puzzle.

- Nigdy nie miałam takiego budzika - powiedziała, kęsając go, smakując, liżąc. Rozkoszując się jego pobudzonym członkiem. - Inaczej chyba cały czas chciałam się tylko budzić.

Przesunął palcami wzdłuż jej bioder, odnajdując wilgotny jedwab i kobiecość. Wzdychając z wyczekiwania i rozkoszy, uniósł ją na siebie i wypełnił powolnym, intensywnym pchnięciem. Jęknęła. Poruszał się wolno, ale stanowczo, a ona odpowiadała mu delikatnym, płynnym ruchem bioder, który wzmagał przyjemność. Choć oboje drżeli od wstrzymywanej ekstazy, poruszali się spokojnie jak we śnie.

Kiedy nie mogła znieść więcej, wyprężyła się i zadrżała pod wpływem fali niewysłowionej rozkoszy. Jego uśmiech był tak radosny, jak ulga, którą przyniosła jej bliskość. Kiedy leżała na nim bez sił i tchu, obrócił ją na plecy i znów zaczął się poruszać. Powoli. Mocno. Otworzyła oczy, oszołomiona przyjemnymi doznaniem, znanymi, ale też płomiennie nowymi. Uniosła się, biorąc więcej. Dając więcej.

Tym razem jednocześnie zostali oślepieni gorącą ciemnością, która miała smak i zapach intymności.

Risa odzyskała miarowy oddech, wtuliła się w Shane'a. Delikatnie muskała go językiem, zaspokajając pragnienie smakowania kochanka.

On, głaszcząc ją po plecach, spełniał swoją potrzebę czucia ciepła kochanki. Zaczynała znów odpływać w sen, kiedy zadzwonił telefon.

- Kochanie? - jęknęła.

- Tak?

- Rozbij go.

- Raczej rozbiję głowę idiotcie, który podał mój numer wewnętrzny wbrew zakazowi.

Zaczęła się spod niego wysuwać, ale zacisnął wokół niej ręce. Razem z Risą przysunął się do aparatu i wcisnął guzik konferencyjny.

- Czego? - mruknął.

Mężczyzna po drugiej stronie mówił szybko, rzucając jedno z trzech magicznych nazwisk.

- Pani Cherelle Faulkner zostawiła pilną wiadomość dla pani Sheridan. Jedynie pan wie, gdzie może podziewać się pani Sheridan, więc pomyślałam, że należy od razu przekazać to panu.

Risa zeszywniała i sięgnęła po telefon. Nie wysilając się zbyt, chwycił jej rękę i przytrzymał.

- Jeszcze nie - szepnął. - Z jakiego numeru dzwoniła? - odezwał się na tyle głośno, żeby dźwięk dotarł do telefonu.

- Był zastrzeżony, proszę pana.

- Hm, mogłem się domyślić. Chwileczkę. - Uwolnił dłoń Risy, wcisnął przycisk wstrzymania. - Chciałabyś porozmawiać na osobności? - spytał.

Zamknęła oczy i pokręciła głową. Pocałował ją w oczy.

- Dziękuję - wyszeptał.

- Za co?

- Za zaufanie.

Uśmiechając się drwiąco, spojrzała na ich splecione ciała.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, głupotą byłoby ci nie ufać.

- Są różne rodzaje bliskości. I zaufania. - Spojrzała w jego zielone oczy.

- Ufam, że nie skrzywdzisz Cherelle.

- Jeśli uda mi się tego uniknąć, nie skrzywdzę, bo zraniłbym ciebie. Ale jeśli znów wystawi cię na linię ognia... - Nie dokończył. Nie musiał. Delikatne drzenie mięśni jego twarzy powiedziało wszystko. - Walczę o to, co jest dla mnie ważne. Ty jesteś ważna, Riso.

- Ty też. Boże, to mnie przeraża. - Wzięła głęboki oddech. - Jak to się stało?

Uśmiechnął się krzywo.

- Chyba oboje przestaliśmy biec.

- Tak. - Pocałowała jego zarośniętą twarz i odblokowała przycisk wstrzymania. - Słucham, Sheridan. - Nie mogła nic poradzić na to, że jej głos nie był surowy, tylko ochrypy i drżący. - Co to za wiadomość?

- Dzień dobry, pani Sheridan. Wiadomość została odebrana i zapisana ze znakiem „pilne”. Chce pani, żebym ją otworzył?

- Nie. - Zawahała się, po czym wyjawiała recepcjoniście to, czego wszyscy w Złotym Runie już się domyślali: że Shane i jego kuratorka byli parą. - Proszę dostarczyć ją na prywatny adres pana Tannahilla.

- Oczywiście, pani Sheridan.

Risa zakończyła rozmowę i niechętnie odsunęła się od Shane'a. Zebrała pogniecione ubranie, ściągnięte gorączkowo w nocy, potem ciśnięte na podłogę przy łóżku.

- W łazience jest szlafrok - mruknął, przyglądając się jej z leniwym męskim pożądaniem.

- Przestań się uśmiechać. - Czowała się tak, jakby każdy dodatkowy kilogram jej piersi i bioder wysyłał neonową informację, że jest zbędny.

- Chyba nie umiem, kochanie. Twój widok sprawia mężczyźnie radość. Tyle kobiety to wiele radości.

Podniosła wzrok, zobaczyła w jego oczach ponure skupienie i wiedziała, że mówi poważnie.

- A ja myślałam, że lubisz wysuszone na wiór modelki.

Włożyła stanik i poprawiła go od niechcenia. Shane'owi aż dech zaparło.

- Dlaczego, do licha, tak myślałaś?

Słyszając jego ochrypy głos, przerwała wkładanie bielizny. Wpatrywał się w ciemną koronkę. A jego podniecenie rosnęło z każdą chwilą. Zmierzyła go wzrokiem. Było się czemu przyglądać.

- Zamknij oczy - powiedziała w końcu.

- Czemu?

- Wstydzę się.

Uśmiechnął się lekko. Przyciągnął Risę do łóżka i zanurzył twarz w jej udach.

- Dobra, teraz cię nie widzę.

Od dotyku jego języka zmiękły jej kolana. Wsunęła palce w jego krótkie, zmierzwiłone włosy. Zamierzała go odepchnąć.

A przyciągnęła go bliżej.

Rozległ się melodyjny dźwięk dzwonka u drzwi.

- Czy on się, do cholery, teleportował? - burknął Shane.

- Chyba skorzystał z twojej osobistej windy. - Jej głos był tak samo szorstki, jak zarost Shane'a pieszczący jej uda i tak gorący, jak jego język.

- Czasami pilni pracownicy są jak wrzód na dupie - stwierdził i zanurzył się w niej głębiej. Zadrżała.

Dzwonek zadzwieczał ponownie.

- Cholera. - Kusząco podciągnął zębami jej majtki, potem odwrócił się na bok i włączył przycisk interkomu. - Dziękuję za ekspresowe dostarczenie przesyłki. Proszę wsunąć kopertę pod drzwi. Risa wzięła głęboki oddech i pobiegła do łazienki, zanim zdążyłaby zmienić zdanie i opaść na niego jak gorący deszcz. Chwyliła szlafrok z delikatnego czarnego jedwabiu, dwa razy na nią za duży.

Ruszała się szybko, ale goniec był szybszy. Kiedy dotarła do drzwi, gładka kremowa koperta z wypukłym złotym logo Złotego Runa już leżała przy wejściu. Koperta miała stempel z czerwonym napisem: „Bardzo pilne”.

Risa otworzyła ją i przeczytała wiadomość.

„Jeśli Shane Tannahill chce sześć sztuk celtyckiego złota, powiedz mu, żeby przyniósł dwieście tysięcy dolarów w studolarowych banknotach na parking Water Stop o siódmej dziś rano. Jeśli przyjdzie z kimś oprócz ciebie, nigdy więcej nie zobaczy tych sześciu złotych przedmiotów. Są inni kupcy w Vegas”.

- Cholera. Byłam pewna, że jest ich więcej.

- Do mnie mówisz? - spytał Shane z sypialni.

- Tylko jeśli masz na sobie ubranie.

- Nie marnowałam czasu. I tak byś je ze mnie zdarła.

- Chciałabym. - Spojrzała na zegarek. Była szósta trzydzieści siedem. - Następnym razem, obiecuję. Co to jest Water Stop?

Shane wszedł bosy do salonu, zapinając dzinsy.

- Seksklub z automatami do gier w centrum miasta.

Spojrzała na niego i odwróciła wzrok. Ten mężczyzna był chodzącym zaproszeniem do grzechu, a ona nie miała czasu nawet na to, żeby upajać się jego widokiem. Wsunęła mu wiadomość do ręki i zniknęła w łazience.

- O tej godzinie parking powinien być pusty, więc bez problemu ich zobaczymy - zawołała.

Przeczytał wiadomość jednym spojrzeniem i poczuł skurecz żołądka.

- Dam ci znać, jak poszło.

Stanąła w drzwiach z rękami na biodrach.

- Jak to: dasz mi znać?

- Zgadnij. - Minął ją i wyjął świeżą koszulę z szafy. Pospieszenie wciągnęła spodnie i strzepnęła wymiętą bluzkę.

- Czekaj! Skąd wiesz, że to nie podstęp?

- Nie wiem. - Wskoczył w buty. - Dlatego właśnie zostajesz.

- Ale...

- Czasami lepiej działać w pojedynkę. Energicznie zawiązał sznurowadła adidasów. - To właśnie jedna z tych sytuacji. Zostajesz tu.

- Wsadź sobie gdzieś swoje polecenie. Już dla ciebie nie pracuję!

- Zadzwoń do Nialla. Powie ci to samo.

Bez słowa podeszła i wybrała prywatny numer Nialla. Faks przeszedł, zanim Shane zdążył dobiec do sejfu i położyć rękę na skanerze.

- Co jest, Shane?

- To Risa.

Niall się uśmiechnął. Może przestaną ze sobą walczyć, skoro spędzili noc w jednym łóżku.

- Witaj, skarbie. Co tam?

- Cherelle ma sześć sztuk złota, które chce sprzedać Shane'owi za dwieście tysięcy dolarów w gotówce na parkingu klubu Water Stop. Zostało dwadzieścia jeden minut.

- Już jadę.

Zanim Niall skończył mówić, Shane przełączył telefon na połączenie konferencyjne.

- Nie rób sobie kłopotu - powiedział. - To zamknięta impreza. Nie masz zaproszenia.

- Co z tego? Na wiele imprez wchodziłem bez zaproszenia.

- Jak pojawisz się na tej, sześć sztuk cennego celtyckiego złota przepadnie na zawsze. Dana nie będzie szczęśliwa. Kupuj, sprzedawaj, wyceniaj, chroń - zacytował Shane motto Rarities Unlimited.

- Dobra. Będę się kręcił z tyłu, żeby nikt się nie denerwował. Riso, słyszysz mnie?

- Tak.

- Dobra. Masz tam zostać.

- Ale...

- To rozkaz - przerwał Niall jej sprzeciw. - Nie jesteś wyszkolona, więc byłabyś tylko przeszkodą, jeśli okaże się, że to podpucha. Lapstrake cię popilnuje.

- Brednie! Znam Cherelle. A wy nie. Mogę...

- Albo słuchasz, albo szukaj innego pracodawcy - uciął Niall. - Shane, wysłałam do twojego pokoju Iana. Spotkamy się na dole za dwie minuty. Masz dość gotówki?

- Jestem właścicielem kasyna. Jak sądzisz?

- Sądzę, że chyba prowadzę niewłaściwy interes.

Rozdział 55

Las Vegas

5 listopada, wczesny ranek

Shane jechał do Water Stop, na przemian śledząc drogę i patrząc w lusterka, a w uszach pobrzmiwało mu wspomnienie złości Risy. Nie zazdrościł Ianowi najbliższych dwóch godzin.

Ta kobieta okazywała pasję nie tylko pod względem zmysłowym.

Był dwie przecznice od Water Stop i jak do tej pory nie zauważył żadnego ogona. Wyglądało na to, że absolutnie nikt się nim nie interesuje. Niall już był na miejscu. Shane ostatni raz zerknął w lusterka, wziął komórkę i wcisnął ponownie wybieranie, czekając na światłach.

Niall odebrał natychmiast.

- Na parkingu jest ze trzydzieści samochodów. W jednym siedzi samotna kobieta. Zdążyła już odprawić trzech mężczyzn, którzy kolejno do niej podchodzili.

- Jaki to samochód?

- Stary bronco. Nie widzę rejestracji.

- Wygląda dobrze. - Mimo to Shane miał złe przeczucia. Intuicja wysyłała mu sygnały alarmowe.

- Ona jeździ bronco.

- Ale stąd na pewno nie wygląda na blondynkę z dużymi cyckami.

- Cherelle lubi zmiany.

Niall mruknął.

- Nie podoba mi się to, chłopie. Jestem po drugiej stronie ulicy. Będziesz sam z dużą gotówką.

Na parkingu stoją furgonetki i przyczepy kempingowe. Zanim zdąży zrobić dwa kroki, ktoś może wyskoczyć i cię napaść.

Shane'owi też to się nie podobało, ale nie widział innego rozwiązania, chyba że odpuściłby sobie

celtyckie skarby. A tego nie chciał. Mogły się okazać bezcenne. Były złotą ikoną dawno minionego czasu i kultury, która nigdy już się nie odrodzi.

Warto ryzykować, żeby je ocalić.

- Bywało już gorzej powiedział Shane. - Poza tym mam na sobie kamizelkę kuloodporną.

- Kamizelka gówno da, jak ci strzelą w łeb.

- Umiesz podnieść na duchu jak nikt.

- Dana powtarza mi to codziennie.

- Jeszcze jedna przecznica. Daj znać, jak mnie zobaczysz.

Zapadła cisza na dziesięć sekund.

- Dobra, mam cię - odezwał się Niall. - Widzisz bronco?

- Tak. Ale ciebie nie.

- I o to chodzi. Pamiętaj, jakby zrobiło się gorąco, ratuj najpierw siebie. Ja zajmę się resztą.

- Nie sądzę, żeby to był podstęp.

- Obyś się nie mylił. Jak tam twój kark?

- Czuję go - przyznał. - Ale nie z powodu kradzieży.

- To czego?

- Nie wiem.

- Jasna cholera. - Niall był najwyraźniej zde gustowany. - Ty i Erik North jesteście siebie warci.

Od żadnego z was nie można się dowiedzieć niczego sensownego.

Shane ciągle się uśmiechał, kiedy wjeżdżał na teren Water Stop. Przejechał obok bronco i powoli okrążył parking. Poza tym, że swędziało go kark, nic się nie działo. Poczł się lepiej. Dookoła było mnóstwo dziwek, półprofesjonalistek ubijających interesy na tyłach przyczep i tłum napa-
lonych kolesiów. Wychodzili z klubu i rozglądali się za jakąś parkingową akcją. Przy tylu
świadcach żaden oszust nie odważyłby się na zbrojny napad.

Chyba że był tak głupi jak Socks. Ale to nie on dzwonił, tylko Cherelle Faulkner.

Kiedy Shane parkował obok bronco, zastanawiał się, czy dziewczyna jest z tym draniem.

Przyszło mu to do głowy, ale szybko odpędził tę myśl.

Risa słyszała, co Socks mówił o Cherelle, i nie wyglądało na to, że się lubią.

Gdy tylko wysiadł z samochodu z małą walizką, z bronco wysiadła kobieta.

Nie była to Cherelle Faulkner.

Rozdział 56

Las Vegas

5 listopada, 7.00 rano

Zagryzając wargi, Cherelle usiadła na środku niepościelonego łóżka i gapiała się w telewizor.

Obejrzała już całą serię wiadomości promocyjnych i reklam drażetek miętowych, „podniecaczy”
i porad dla amatorów hazardu. Wcześniej pokazano Socksa z bronią w Złotym Runie.

Informowano, że policja zidentyfikowała go jako Cesara Firenze'a Maręeza, siostrzeńca
dyrektora naczelnego i współwłaściciela Rzymskiego Cyrku, Johna Firenze'a, który współpracuje
z lokalnymi władzami w poszukiwaniu swojego krewnego. Nie mówiono jednak nic o jego
ujęciu i aresztowaniu.

- Cholera jasna - powiedziała do siebie Cherelle.

Przeczesała palcami włosy, żeby nie widzieć delikatnego drżenia dłoni. Potrzebowała działki. I
to bardzo. Nie, nie jest uzależniona.

Po prostu akurat teraz chciała wziąć.

Problem w tym, że nie będzie miała forsy na działkę, jeśli znowu nie zgarnie puli, nie sprzeda tyłka na rogu ulicy albo Socks nie zostanie aresztowany, żeby mogła spokojnie opylić złoto.

- Ilu policjantów trzeba, żeby znaleźć jednego głupiego dupka?

Telewizja zaczęła pokazywać kobiety sędziujące w konkursie Mikołaj w Bikini. Miały wytapirowane włosy i cycki jak rakiety, których prawdopodobnie używały, żeby sprawdzić, czy facet ma pod swoim wielkim brzuchem działający sprzęt.

- Wy głupie suki! Dajcie mi wiadomości! Powiedzcie, że gliny go mają!

Ktoś w pokoju obok zaczął walić w ścianę, rycząc: „Cholera, zamknij się!”

Cherelle zerwała się z łóżka jak tygrysica i zamierzała rzucić lampą w ścianę. Powstrzymała ją tylko to, że lampa była przybita do szafki nocnej. Przeklinając, szarpała stojak, dopóki nie zsiniały jej palce. W lustrze toaletki uchwyciła swoje odbicie. W pierwszej chwili nie rozpoznała kobiety z bladą, spoconą twarzą i rozczochranymi włosami. Zorientowała się dopiero po chwili. Jezu drogi. Wyglądam jak opętana wiedźma. To nie ja!

Przestała ciągnąć lampę. Starannie przygładziła włosy i opanowała oddech.

- W porządku, laleczko. Będzie dobrze. Weź porządny prysznic. Zrób sobie kawy. Zjedz coś. Może piwko albo dwa. Jeśli do tej pory nie złapali tego pieprzonego dupka, zdążył wyjechać z miasta i już nie musisz się martwić.

Na jej słowa zareagował jedynie poważny mężczyzna w średnim wieku, który w telewizji przekonywał, że jej seksualne problemy się skończyły. Żadnych recept. Żadnych preparatów chemicznych. Sama Matka Natura...

Z prysznica zaczęła lecieć woda, zmywając z Cherelle wszystko poza palącą potrzebą, żeby sprzedać złoto i zdobyć działkę.

Chociaż malutką.

Tyle tylko, żeby odegnać głód.

Rozdział 57

Las Vegas

5 listopada, 7.00 rano

Jak tylko Shane zorientował się, że kobieta nie jest Cherelle, zamknął walizkę pełną pieniędzy w bagażniku. Odwróciłby się i odjechał, ale im bliżej podchodził do bronco, tym bardziej jego odczucia przypominały te, których zaznał w domu Virgila.

Tyle że były silniejsze.

Prawie tak silne jak wtedy, gdy wziął do ręki pierwszy przedmiot od Smith-White'a. Czas wirował jak dym na silnym wietrze, a on stał w dębowej jaskini, z blaskiem księżyca na twarzy i masywnym złotym nożem w dłoniach.

- Złoto dopiero, jak zobaczę pieniądze - powtórzyła kobieta chyba po raz szósty.

Chociaż była ubrana jak dziwka, w czarną spódnicę sięgającą ledwie za tyłek i rozpiętą do połowy prześwitującą bluzkę, wiedział, że nie należy do świata kobiet sprzedających swoje ciało. Nie potrafił powiedzieć, skąd miał tę pewność.

- Po pierwsze, nie jest pani Cherelle - powiedział Shane. - Po drugie, bronco ma rejestrację z wypożyczalni w Nevadzie. Te dwa fakty są przeciwko pani. Dopóki nie zobaczę złota, pani nie zobaczy pieniędzy. - Spojrzał na zegarek. - Za pięćdziesiąt sekund odjeżdżam.

- Są inni kupcy na...

- Czterdzieści pięć - przerwał jej spokojnie. Słyszał to już od niej wcześniej. Za pierwszym razem nie zrobiło to na nim wrażenia. A za piątym stało się męczące.

Kamizelka kuloodporna uwierała go w różnych miejscach.

Kobieta spojrzała w jego nieruchome zielone oczy i odkryła to, o czym wcześniej się przekonało wielu innych - Shane Tannahill nie oddaje niczego, jeśli nie ma ochoty. Pozostaje wziąć karty, które on rozdaje, albo wypaść z gry.

Klnąc pod nosem, odwróciła się w butach na dziesięciocentymetrowych koturnach i ruszyła do samochodu, mocno kołysząc biodrami. Otworzyła skrzypiące drzwi bagażnika, sięgnęła do środka i uchyliła pokrywę małej walizki.

- Dobra, szefie - zawołała. - Rusz tyłek i spójrz.

Shane z beznamiętną miną powoli sięgnął do kieszeni po rękawiczki. Nie spodziewał się, że kobieta tak uparcie nie będzie chciała pokazać przedmiotów, więc zaczął się w końcu zastanawiać, czy nie jest to jakieś oszustwo. Gdyby nie pobudzone nerwy, które przypominały mu o złocie zmarłego człowieka, dawno odjechałby z parkingu.

Zastanawiał się, czy policja już znalazła zwłoki Virgila. Jeśli tak, nie podano tego w wiadomościach Vegas. Cóż, w końcu codziennie umiera wielu starych ludzi. Pewnie ciało jest w takim stanie, że nie uda się stwierdzić, czy Virgil zmarł śmiercią naturalną, czy ktoś go zepchnął w otchłań śmierci.

- Idziesz? - spytała.

Shane od niechcenia włożył rękawiczki, przeszedł kilka kroków i zajrzał do bagażnika.

Na czerwonym aksamicie złoto błyszczało jak latarnia.

Kobieta zaczęła się przysuwać. Shane się odsunął.

- Zrób mi miejsce. Myślisz, że zamierzam to ukraść i zwiąć?

Kobieta zawahała się, potem odeszła dalej o kilka kroków. Zmierzyła wzrokiem cały parking i znów utkwiała spojrzenie w Shanie.

Stanął inaczej, żeby mieć na oku zarówno złoto, jak i kobietę. Teraz bez trudu ktoś mógłby go zaatakować, ale największe niebezpieczeństwo będzie mu groziło, kiedy paserka zobaczy pieniądze. Jeśli na parkingu czekają jej wspólnicy, to właśnie wtedy go napadną.

Choć Shane z całych sił pragnął rozkoszować się pięknem artefaktów jak smakiem wytwornego wina, brał do ręki każdy z nich jedynie na kilka chwil. Celtycki torques był wspaniały, ciężki i biła od niego moc. Dwie brosze wyglądały równie olśniewająco, jak ta, którą kupił od Smitha-White'a. Każda posiadała moc. Figurki były związane z kultem płodności. Złoty fallus i imponująco silny byk.

I pierścień jak ten, który nosił Shane.

Wiedział, że pasowałby na palec Risy. Idealnie. Zebrał w sobie wszystkie siły, żeby go odłożyć.

Drżącymi dłońmi zapiął walizkę i się odsunął.

- Skąd to masz?

Roześmiała się drwiąco.

- A jak myślisz?

- Nie wiem. Dlatego pytam.

- Od Cherelle. Jak się chce legalnego towaru, to nie kupuje się gówna na parkingach.

Shane bez słowa podszedł do swojego samochodu, przekręcił kluczyk w klapie bagażnika i otworzył walizkę. Była pełna plików używanych studolarówek. Skinął dłonią na kobietę i odsunął się, żeby zrobić jej miejsce.

Schyliła się i sprawdziła pięć losowo wybranych plików jak ktoś, kto jest przyzwyczajony do liczenia grubych pieniędzy. Później wyjęła walizkę i odwróciła się do Shane'a.

- Chyba wszystko w porządku - stwierdziła.

Shane przełożył walizkę z bronco do swojego bagażnika. Kiedy zamykał klapę, kobieta chwyciła broń z kieszeni drzwi samochodu i wycelowała w Shane'a.

- FBI, Tannahill. - Pokazała plakietkę. - Jest pan aresztowany za posiadanie kradzionej własności.

Rozdział 58

Las Vegas

5 listopada, popołudnie

Cherelle wlała już w siebie tyle piwa, że każdy następny łyk miał posmak jodyny. Przed telewizorem walały się pogniecione puszki. Choć rzucała nimi w ekran, dziennikarze nadal milczeli na temat ujęcia Cesara „Socksa” Firenze'a Marqueza.

Zawahała się, spojrzała gniewnie na numer Gail Silverado i doszła do wniosku, że Socks na pewno wyjechał z miasta. A nawet jeśli nie, był zbyt głupi, żeby znaleźć kogoś tak sprytnego jak ona. Musiała tylko zamienić złoto na gotówkę, na zawsze strzepnąć z siebie pył tego straconego miasta i znaleźć nowe miejsce, gdzie lustra nie pokazują dziwactw.

Po dziesięciu minutach i rozmowie z pięcioma asystentami udało jej się połączyć z samą królową.

- Pani Silverado, słyszałam, że lubi pani uprzedzać Shane'a Tannahilla w kupnie złota.

- Zależy jakiego.

- Sama może się pani przekonać wieczorem. Siedemnaście sztuk.

- Będzie tam Shane?

- Przyjdzie jego kuratorka. - Cherelle się uśmiechnęła. - To babskie spotkanie.

- I kto jeszcze?

- Tylko panie dwie. I ja.

- A kim pani jest? - spytała Gail, tonem jednocześnie poirytowanym i pełnym zainteresowania.

- Kimś, kto ma walizkę pełną świetnego celtyckiego złota. Minimalna wartość to milion w gotówce, w używanych banknotach.

Gail parsknęła śmiechem.

- Ostro pani zagrywa. Proszę zostawić numer. Zadzwoń, jak skonsultuję się z moim bankiem.

- Nie, to ja zadzwonię za godzinę. Jak pani nie przyjdzie, Tannahill dostanie wszystko.

Rozdział 59

Las Vegas

5 listopada, popołudnie

Drzwi gabinetu otworzył sam Rich Morrison. Pocałował Gail w lekko wypudrowany policzek.

- Cudownie, że wpadłaś z niespodzianką dla mojej żony - powiedział ze względu na swoją sekretarkę, która stała jeszcze w progu przyległego biura.

- To wyjątkowa okazja - rzuciła swobodnie Gail, odwzajemniając pocałunek.

Drzwi zamknęły się za nią z łoskotem.

- Założę się, że połowa Vegas plotkuje, że mamy romans. - Położyła pudełko z cukierkami w złotej folii na fotel.

- Więc połowa Vegas ma rację. Ta druga połowa. Śmiejąc się, zrobiła krok do tyłu.

- Dwadzieścia minut temu zadzwoniła do mnie kobieta. Ma siedemnaście sztuk celtyckiego złota do sprzedania, mnie albo Shane'owi Tannahillowi. Chce milion. W używanych banknotach. Rich uniósł brwi.

- Interesujące. Przedstawiła się?

- A jak myślisz?

- Nie.

- Mogę wyłożyć połowę, nie budząc podejrzeń moich inwestorów - ciągnęła Gail. - Ale nie więcej. Shane spokojnie zapłaci dwa razy tyle i jeszcze da napiwek. Chcesz go aż tak, żeby wydać pół miliona własnych pieniędzy?

- Tak.

- Szybka decyzja. Nie zadzwonisz nawet do swoich ludzi od finansów?

- Chcą tutaj prac co roku osiemset milionów dolarów. Uszczkniemy sobie dziesięć procent. Jesteś dobra w liczbach. Zajmij się matematyką.

- Zgoda, dla nich pół bańki to grosze. Ale nie dla mnie. Potrzebuję pieniędzy na wieczór.

- Wczesny czy późny?

- Powiedziała, że zadzwoni odnośnie szczegółów.

- Przyślę kogoś, jak tylko spakują forszę. Używane banknoty, tak?

- Byłabym bardzo zadowolona. Uśmiechnął się.

- Dostaniesz pieniądze najdalej za dwie godziny. Coś jeszcze? Spojrzała na niego z ukosa spod grubych rzęs.

- A co masz?

- Mniej czasu niż ty, żeby się nacieszyć życiem. - Uśmiechnął się ponuro. - Cholera, Silver...

Weź tabletkę i zamienisz się w nastolatka. - Niełatwo znaleźć nową żonę.

- Zwłaszcza z politycznymi koneksjami, których potrzebujesz.

- Zgadza się - przyznał.

- Zostaniesz naszym kolejnym gubernatorem?

- Wolałbym pozycję z większą władzą.

- Senatorem? Pokręcił głową.

- No dalej, Rich. Chyba nie chcesz kandydować na prezydenta, co?

- Za bardzo lubię Nevadę. Chyba doskonale się sprawdziłbym jako prezes Zarządu Kontroli Gier, nie sądzisz?

Zagwizdała.

- A możesz zająć się sprawdzaniem pochodzenia pieniędzy?

- Jasne.

- No to lis będzie pilnował kurnika... - Wybuchnęła głośnym śmiechem.

Zamykając za sobą drzwi jego gabinetu, ciągle się śmiała.

Rozdział 60

Las Vegas

5 listopada, popołudnie

Na środku stołu, na wymiętych serwetkach, leżało sześć złotych przedmiotów, lśniących zamkniętą w nich historią i ludzkimi marzeniami. Shane odczuwał ich bliskość jak niesłyszalne westchnięcie, oddech delikatnie owiewający jego skórę.

W kajdankach, razem ze złotymi przedmiotami, czekał w budynku władz trzy kilometry od Złotego Runa w zupełnie obcym świecie. Umeblowanie przypominało futurystyczną poczekalnię: stalowe ramy, stalowo-niebieskie wysłużone obicia krzeseł, metalowy stół konferencyjny, w rogu umywalka i plastikowy kosz na śmieci do połowy wypełniony papierowymi kubkami po kawie. Żadnego dywanu, telefonu, komputera ani okien.

Dwoje ludzi - odmówili podania swoich nazwisk i numerów legitymacji - usiłowało wymusić na nim, żeby oddał cztery złote przedmioty nabyte wcześniej. Twierdzili, że też zostały skradzione, jak te sześć, za których kupno aresztowano go dziś rano.

Shane doszedł do wniosku, że Rarities, poszukując źródła pochodzenia przedmiotów, przyciąga różne rekiny, ale zignorował pytania i pytających, którzy w końcu poddali się i wyszli. Byli tylko pionkami. Ludzie z prawdziwą władzą mieli się dopiero pojawić. Wiedział o tym, nawet jeśli ci dwoje nie wiedzieli.

W końcu, niestety zbyt późno, zrozumiał cały plan. Teraz pozostawało mu jedynie ocenić straty i pogodzić się z nimi, ale tak, żeby nie musiał pozbywać się złota.

Jego prawnicy na pewno robią piekło każdemu w tym budynku, kto jest w stanie go uwolnić. Inni wiszą na telefonie i nękają prawników w Waszyngtonie, którzy z kolei przycisną każdego wpływowego urzędnika rządowego.

Ponieważ nie przedstawiono Shane'owi żadnych zarzutów, prawnicy nie mogli zacząć działać. Według jedyne go istniejącego dokumentu, przyszedł do budynku „dobrowolnie”. Zresztą inaczej zostałby oficjalnie aresztowany i zamknięty w celi.

Drzwi się otworzyły. Do pokoju wkroczyła drobna kobieta z czarnymi włosami i przenikliwymi czarnymi oczami. Ruszała się jak tygrysica. I jak tygrysica była zarówno niebezpieczna, jak i piękna. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Chociaż nie miała plakietki z nazwiskiem, doskonale wiedział, kim ona jest.

- Witam, April Joy - odezwał się Shane. - Zastanawiałem się, czy zjawi się pani osobiście.

April rzuciła mu spojrzenie drapieżnika oceniającego ofiarę. Tym samym dała mu do zrozumienia, że powinien żałować, iż nie została na Zachodnim Wybrzeżu. Założyła sobie ręce na piersiach, oparła się o drzwi i po prostu przyglądała mu się przez chwilę.

- Byłoby znacznie prościej, gdyby zgodził się pan współpracować ze mną za pierwszym razem, kiedy się skontaktowaliśmy - stwierdziła.

- W kwestii złota? - Znał odpowiedź, ale chciał usłyszeć ją z ust April. Przegapił zbyt wiele rzeczy, ogarnięty obsesją zbliżającego się pokazu Złota Druidów.

I obsesją na punkcie Risy.

April zbyła kwestię złota machnięciem drobnej dłoni.

- Obchodzi mnie wyłącznie pralnia Czerwonego Feniksa. Bingo.

Shane palcem wskazującym dotknął złotego pierścienia leżącego na środku stołu. Inskrypcje na zewnętrznej stronie były wołaniem do bogów - raczej nordyckich, nie walijskich - o ochronę wojownika. Symbole wewnętrzne, typowo celtyckie, mówiły w milczeniu o bogach, którzy składali się, by słuchać króla druidów. Jego własny pierścień miał na zewnątrz symbole oghram, a wewnątrz celtyckie. Założyłby się o swoje życie, że oba pierścienie należały kiedyś do ludzi posiadających moc ziemskich bogów.

- Agenci, którzy mnie ujęli, byli zainteresowani złotem - zauważył Shane.

- Ich problem. Mnie to nie obchodzi, chyba że Brytyjczycy podniosą alarm, żeby je odesłać. Jeśli FBI postanowi przekazać sprawę do mojego departamentu, na pewno dowie się pan o tym ode mnie i wtedy wyciągnę je choćby spod ziemi.

Uśmiechnął się krzywo.

- W to nie wątpię.

- To dlaczego jest pan takim dupkiem?

Tym razem uśmiechnął się szeroko, ukazując białe zęby, co wcale nie złagodziło kamiennego spojrzenia jego zielonych oczu.

- Nauczyłem się tego u ojca na kolanach.

- Jeśli myśli pan, że uratuje swój tyłek, powołując się na Merita, to gruba pomyłka. Samotnie pływa pan w gównie. Zadzwoniliśmy do pańskiego ojca grzecznościowo, ale powiedział, że pan gra fair i więcej nie chciał o tym słyszeć.

- Cały tatuś.

April przechyliła głowę. W ciągu kilkunastu lat pracy w różnych departamentach FBI zajmowała się już kilkoma cwaniakami, którzy mieli się za największych twardzieli. Zanim z nimi skończyła, zmieniali się w chłopców szukających mamusi. Chciała mieć nadzieję, że równie łatwo pójdzie jej z Shane'em Tannahillem.

Ale doświadczenie mówiło jej, że niestety, będzie inaczej. Spojrzała na zegarek, wymruczała kilka zdań i postanowiła, że oszczędzi wszystkim czas. Spojrzała na złoto, potem na Shane'a.

- Pracuje pan dla Rarities?

- Zawsze działałam na własny rachunek.

Czarne oczy się zmrużyły.

- Dobra, twardy chłopiec. Czy to Rarities pracuje dla pana w sprawie złota?

- A czemu to panią interesuje?

- Gdyby choć w jednej dziesiątej był pan tak nieciekawym jak pańska reputacja, Dana Gaynor nie tknęłaby pana nawet językami ognia. Jeśli chodzi o głównych klientów, jest niesamowicie wybredną suką.

Tym razem uśmiech Shane'a było widać nawet w jego oczach.

- To prawda. Podobno kilka razy nawet deptała po piętach FBI.

April czekała.

Z kieszeni zielonej wiatrówki wyciągnął złote pióro i zaczął obracać je między palcami.

Oparła się o ścianę i nadal czekała.

Odgłos złota ocierającego się o złoto. Cisza. Odgłos. Cisza.

- Właściwie - odezwał się po chwili - nie ma pani na mnie żadnego haka. - Odgłos. - Żeby udowodnić, że przyjmowałem kradzione przedmioty, musi pani najpierw dowieść, że zostały skradzione. A w tym tkwi duży problem.

- Wygląda na to, że jest pan tego zupełnie pewien.

Odgłos.

- Jestem.

- A pan nie sądzi, że zostały skradzione?

- Kiedy? W zeszłym roku? Sto lat temu? Tysiąc? Dwa tysiące?

- Nad tym niech łamią sobie głowę prawnicy. A tymczasem może pan mi pomóc albo posiedzieć w więzieniu, kiedy wszyscy inni będą się dobrze bawić.

- Wyjdę, zanim pani zdąży wrócić na Zachodnie Wybrzeże.

- Za złoto, owszem. Ale za pranie brudnych pieniędzy? Oj, ciężka sprawa. Trochę to potrwa.

Kieruję międzywydziałowymi siłami, które pracują nad ukróceniem procederu.

- Więc o to chodzi FBI.

Pokazała fragment równych, białych zębów.

- Nie piorę pieniędzy - wyjaśnił.

- Też tak sądziłam. Ale pewien ptaszek wyćwierkał mi do ucha sekret, więc poszłam do sędziego i dostałam świstek, że mogę sprawdzić każdy bajt w komputerach pańskiego kasyna.

- Zapraszam.

April uśmiechnęła się szerzej. Wyglądała na jeszcze bardziej groźną i stanowczą.

- Dana powiedziała, że to właśnie usłyszę. Więc przypuszczam, że pan i ja dobijemy małego targu. Pokaże mi pan komputery bez nakazu rewizji. Jeśli jest pan czysty, zwracam honor, wolność i daję prawnikom wolną rękę. Jeśli nie jest pan czysty, ukryję dowody pod warunkiem, że pomoże mi pan zastawić pułapkę i w elekcie zamknąć pralnię Czerwonego Feniksa, zanim zacznie działać w Vegas na pełnych obrotach.

Shane nie zastanawiał się dwóch sekund, żeby postawić swoje warunki.

- Wychodzę stąd teraz. I zabieram złoto. Bez dyskusji.

April się to nie spodobało, ale spodziewała się tego. Odsunęła się od drzwi i chwyciła kłamkę.

- W porządku. Chodźmy.

- Nie tak szybko.

Odwróciła się gwałtownie, aż jej jagodowy żakiet załopotał w powietrzu.

- Co?

- Skoro jestem tak ofiarnym i pomocnym obywatelem, który nawet nie piśnie słowa skargi na bezprawne aresztowanie, wydaje mi się, że FBI powinno mi się odwdzięczyć.

- Złotym medalem? Obiadem w Różanym Ogrodzie, przy którym służby specjalne będą podawać panu sól?

- Nic aż tak wyszukanego. Chcę tylko, żeby FBI stanęło po mojej stronie, jeśli trzeba będzie tłumaczyć Brytyjczykom, że dopóki nie udowodnią, że złoto zostało im skradzione „w czasie obowiązywania międzynarodowego prawa ochrony antyków”, nie mogą oczekiwać ode mnie, że oddam im warte miliony dolarów celtyckie złoto tylko dlatego, że jestem bardzo miłym facetem.

- A jeśli tego dowiodą?

- Jest ich.

- Zrobię, co będę mogła. Ale nie daję żadnych gwarancji, Tannahill. Zabytkowe przedmioty są punktem zapalnym międzynarodowej dyplomacji.

Posłał jej rozbawiony uśmiech.

- Tak pani uważa?

- Owszem. - Uśmiechnęła się mimowolnie i pokręciła głową. - Gdybym nie znała dobrze Dany, pomyślałabym, że swoją męską klientelę dobiera według rozmiaru barków i szerokości uśmiechów.

Shane się roześmiał.

- Prawdopodobnie aresztowałyby mnie pani, gdybym powiedział, dlaczego moim zdaniem FBI wysyła panią do facetów.

Spuściła gęste czarne rzęsy i posłała mu bardzo kobiecy uśmiech.

- Gdybym wiedziała, że to podejście na pana zadziała...

- Nie zadziałałoby. Potrafię oceniać, nie dotykając.

- Tak. To samo powiedziały te trzy kobiety, które pana mijały.

Uniósł brwi.

- Trzy? Kiedy?

- Jezu, nawet pan nie zauważył. Będą zrozpaczone. - April, kręcąc głową, otworzyła drzwi. - Proszę przodem.

Rozdział 61

Las Vegas

5 listopada, późne popołudnie

- Na pewno nie widzieliście żadnego złotego przedmiotu? - pytała kategorycznie Dana Gaynor, spoglądając to na Nialla, to na Risę. - Nawet kątem oka?

Niall nieufnie przyglądał się ciemnowłosej kobiecie, która jak burza wtargnęła bez uprzedzenia do Złotego Runa i zażądała w recepcji, by zaprowadzono ją do S.K. Nialla. Dana prawie nigdy nie traciła panowania nad sobą, ale teraz najwyraźniej niewiele brakowało. Jej drobne i bardzo kobiece ciało wibrowało od uwięzionej w nim energii. Niall zrelacjonował już historię Shane'a, złota i FBI więcej niż raz, ale znał Dane zbyt dobrze, żeby o tym przypominać.

Ona naprawdę nienawidziła tracić cennych przedmiotów. Gdyby w tej chwili znalazła jakiś cel, zaczęłaby strzelać.

- Nie - powiedział Niall. - Widziałem tylko, jak Shane wsadza głowę do bronco.

- Jasna cholera - prychnęła Dana. - To skąd wiemy, że są prawdziwe? Może to od początku była podpucha, a my latamy za podstawionym złotem jak poparzeni.

Risa się nie odezwała. Przechadzała się bez przerwy między swoim salonem a sypialnią. Przy każdym kroku przypominała sobie słowa pełne złości, którymi zarzuciła Shane'a, zanim wyszedł. Wszystko by odszczekała, gdyby tylko mogła się do niego przytulić.

Zakładając, że pozwoliliby jej po tym, jak zmieszała go z błotem.

Odważne założenie.

- Skoro kupił złoto, znaczy, że jest prawdziwe - stwierdziła Risa. Dana pokręciła głową.

- Sprawiasz wrażenie pewnej.

- Bo nie mam wątpliwości.

- Skoro jest tak dobry, po co zatrudnia ciebie?

- Nie zatrudnia. Pracuję dla ciebie - odparowała Risa. - I dlatego ja jestem tutaj, a Shane siedzi w więzieniu. - Gwałtownie uniosła dłoń. - Przepraszam, to nie twoja wina. - Wzdrygnęła się spazmatycznie. - Shane ma intuicję co do niektórych przedmiotów. Ja mogę mu tylko potwierdzić ich oryginalność, ale decyzję kupna podejmuje sam.

- Tajemnicze odczucia? - Dana popatrzyła z ukosa na Nialla.

Risa potarła rękę.

- Można to tak nazwać. - Obróciła się i znów zaczęła nerwowo przechadzać się po mieszkaniu. - Cholera. Co robią ci wszyscy prawnicy? Zapraszają FBI na dziesięciodaniowy obiad, żeby omówić co jest, a co nie jest prowokacją?

Niall objął ją ramieniem, kiedy przechodziła obok niego. Usta, od których niejeden mężczyzna nie mógł oderwać wzroku, były blade, wąskie i zacięte.

- Spokojnie, kochanie. Nie pogrążą jedyne go syna Bastarda Merita. FBI ostro pogrywa, a to znaczy, że czegoś chcą od Shane'a. Prawnicy robią, co mogą, żeby go uwolnić.

- Ale to nie wystarczy! - Powstrzymała łzy wściekłości. Nie cierpiała uczucia bezradności. - Boże, nie rozumiecie? To ja ściągnęłam Cherelle do Złotego Runa. To moja...

- Shane jest dużym chłopcem - przerwał Ian. Opierał się o framugę drzwi kuchennych i popijał kawę. - Znał zasady gry, zanim wziął karty do ręki.

Risa podeszła do Iana. To co, że miał rację. I tak zaraz mu powie, co myśli o bezużytecznych gorylach, którzy zamiast chronić faceta, dopuszczają, żeby wylądował w więzieniu.

Zanim jednak zdążyła wyrzucić z siebie pierwsze słowo tyrady, zadzwonił telefon. Doskoczyła do aparatu.

- Uff. Jestem uratowany. - Ian uśmiechnął się i pociągnął łyk kawy. Risa rzuciła mu przenikliwe spojrzenie i odebrała połączenie.

- Słucham, Sheridan.

- Cześć, malutka. Mam dla ciebie kilka takich sztuk złota, że oczy wyjdą ci na wierzch.

- Cherelle?

Ian szybko przemierzył pokój i włączył nagrywarke, którą zainstalował w telefonie.

- Tak, to ja, twoja mamusia. Cieszę się, że Socks nic ci nie zrobił. Ten chłopak ma złośliwą naturę.

- Mogłaś mi powiedzieć, że dajesz wszystkim naokoło klucz do mieszkania.

- Nikomu nie dawałam. Musiałam gdzieś zgubić. Czy gliny dorwały tego przygłupa?

- Nie wiem.

- Kurczę.

Po drugiej stronie linii Cherelle zagryzła policzek od środka i się skrzywiła. Miała już rany od gryzienia wewnętrznej strony ust. Piwo, które wypijała, trochę złagodziło głód kokainowy, ale niewystarczająco. Ciągle miała nadzieję, że zobaczy w telewizji Socksa zakutego w kajdanki, szybko sprzeda złoto i wyjedzie z Vegas w cholerę.

Ale nic z tego.

Musiała więc postarać się sama.

- Jest interes. Mam siedemnaście złotych przedmiotów.

Risa wstrzymała oddech.

- Oprócz tych sześciu, które dziś sprzedadaś?

- Niczego nie sprzedawałam. Pewnie Socks opylił złoto Tima. Co za dupek. Założę się, że nie dostał ani centa. Tak jak za pierwsze cztery.

Risa zmusiła się, żeby rozluźnić dłoń, którą zacisnęła w pięść.

- Nie sprzedadaś dziś sześciu sztuk złota?

- Już mówiłam. Socks sprzedał. A może nawet sam Tim. Nie wiem. Jego matka nie odbiera telefonu, więc nie mam pojęcia, co się z nim stało. Ale się nie przejmuj. Najlepsze sztuki zatrzymałam dla ciebie, malutka.

- Biorąc pod uwagę to, co dzieje się z ludźmi, którzy dotykają tego złota, nie jestem pewna, czy rzeczywiście wyświadczasz mi przysługę.

- Nie chcesz go? - spytała Cherelle.

Ostry ton jej głosu mówił o wiele więcej niż krótkie pytanie. Risa usłyszała w nim zmartwienie i rozpacz, która zdradzała potworny stan Cherelle. Risa pragnęła biec jej na pomoc, a jednocześnie miała ochotę wrzeszczeć na przyjaciółkę, że beztrąsko rozwalala jej życie w gruzy.

- Nie widziałam złota - odparła Risa. - Jak mogę stwierdzić, czy je chcę?

- Jest lepsze niż wszystko, co dostałaś do tej pory. Bankowo. Twoja mamuska nie doradziłaby ci źle, prawda?

Kuszający głos Cherelle przypominał Risie czasy, kiedy przyjaciółka wciągała ją w kradzieże batoników z pobliskiego sklepu. Była wtedy dzieckiem i kierowało nią przekonanie, że dobrzy przyjaciele zawsze sobie pomagają, bez względu na wszystko. Teraz była dorosła i część tego układu - „bez względu na wszystko”¹ - zaczynała ją drażnić.

- Ile żądasz za złoto? - spytała.

Cherelle zdążyła się nad tym porządnie zastanowić. Marzyła o tej chwili. Naciąganie Silverado było niemal tak przyjemne, jak haj po kokainie. Choć nikt inny o tym nie wiedział, szykowała się mała aukcja. Po której lady Cherelle Faulkner odejdzie bogatsza o trzy miliony dolarów.

- Dwa miliony - rzuciła. - W gotówce. W nieznakowanych, używanych banknotach. Mogą być pięćdziesiątki i setki. Kilka dwudziestek też. Drobniejsze sobie zatrzymaj.

Risa spojrzała na Dane.

- Dwa miliony w nieznakowanych dwudziestkach, pięćdziesiątkach i setkach? To kupa forsy!

Dana skinęła głową.

- I tak masz tanio, malutka. Sama mówiłaś, złoto jest warte dwa razy tyle, jak nie więcej. Jestem

przecież twoją mamusią. Nie zrobiłabym ci krzywdy.

Jeśli złoto okazałoby się lepsze niż to, które Shane kupił od Smith--White'a, dwa miliony rzeczywiście było dobrą ceną.

Jeśli.

- Milion - powiedziała chłodno Risa.

- Jeden! - Głos Cherelle był drżący. - O czym ty, do cholery, mówisz? Jest warte...

- Tyle, ile ktoś ci za nie zapłaci - dokończyła Risa. - Ja damę milion w gotówce, w nieznakowanych banknotach.

- Gail Silverado wyklada dwa - odparowała szybko Cherelle. - Chyba po prostu zobaczę, kto przyniesie więcej kasy i...

- Gail Silverado? - przerwała jej Risa. - A co ona ma z tym wspólnego?

Dana się nachmurzyła. Niall też.

- Chodzi jej o to samo, o co twojemu szefowi - oznajmiła Cherelle. - O złoto.

Risa z goryczą zastanawiała się, czy Cherelle również Silverado mówi „malutka”.

- I kto jeszcze bierze w tym udział?

- Tylko wy dwie.

- Tylko my dwie - powtórzyła Risa, żeby usłyszeli to pozostali.

Dana skinęła głową, przyjmując do wiadomości fakt, że jest konkurencja, ale ograniczona. A jednak. Wolałaby tego uniknąć niemal tak samo, jak kolejnego podstępu.

- Dobrze - mruknęła Risa. - Ale muszę zobaczyć złoto, zanim przyniosę pieniądze.

Niall uśmiechnął się szeroko i posłał jej całusa.

- Silverado nie stawiała warunków - poinformowała Cherelle.

- Pewnie chce cię orznąć i wszystko jej jedno, co to za złoto. Mnie nie.

Oparta o ścianę Cherelle roześmiała się, czknęła i znów się roześmiała. Risa była tak łatwym przeciwnikiem, że prawie nie miała żadnej przyjemności w oszukiwaniu przyjaciółki. Silverado wyśmiałaby jej dwa miliony dolców, ale nie Risa. Ona po prostu uwierzy we wszystko i zjawi się z walizką pełną pieniędzy.

Śmiech zamarł Cherelle w gardle razem ze łzami, które przełknęła.

- Moje maleństwo - odezwała się po chwili. - Takie uczciwe. Powinnaś zostać zakonnica, ale chyba nawet sam Bóg byłby dla ciebie za ostrym facetem.

Twarz Risy się napięła. Cherelle sprawiała wrażenie pijanej albo naćpanej, albo jedno i drugie. Z pewnością targały nią wszelkie możliwe uczucia - rozpacz, złość, euforia, a teraz pogarda dla przyjaciółki za to, jaka była i jaka jest. Risa chciała zauważyć, że ta „naiwnie uczciwa” żyje lepiej niż cwana oszustka, ale nie zrobiła tego. Cherelle, z którą rozmawiała, niewiele przypominała dawną przyjaciółkę z dzieciństwa.

I tej dorosłej Cherelle Risa wolałaby nie znać.

- Gdzie i kiedy? - spytała.

- Wczorajem. Zobaczysz złoto i dasz mi forszę. Takie są warunki. Nie chcę zostać wyrolowana.

- Wczorajem? - Risa spojrzała na Dane. - Nie wiem, czy uda mi się tak szybko zdobyć pieniądze.

Dana spojrzała na Nialla.

Skinął głową. Jego praca częściowo polegała na tym, żeby zabezpieczać dla Rarities wielomilionową gotówkę na wypadek nagłych okazji kupna. Podobnie jak kasyno Shane'a, Rarities posiadała więcej gotówki niż dziewięćdziesiąt dziewięć na sto banków.

- Dobrze. Wczorajem - zgodziła się Risa.

- Zadzwoń za kilka godzin i powiem ci gdzie. Przynieś kupę kasy. Będzie aukcja jak za dawnych czasów. - Wybuchnęła dzikim, niepohamowanym śmiechem. - Bogatszy zgarbie więcej.

- Cherelle... - zaczęła Risa, zastanawiając się, o co chodzi. Cherelle nie przestawała mówić ochryplym, ale niewzruszonym głosem.

- I przyjdź sama, skarbie. Jak przyprowadzisz kogoś ze sobą, wyjdę tylnymi drzwiami i nigdy więcej nie zobaczysz tego złota. Twój szef nie będzie zadowolony.

- Nie mogę jechać sama w środku nocy z samochodem pełnym... - Zorientowała się, że mówi do siebie. Z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

- Nie pojedziesz sama - oznajmili jednocześnie Niall i Ian. Risa rzuciła im spojrzenie mówiące, że będzie robić, co chce i kiedy chce.

- To pieniądze Rarities - zauważył Niall. - Mówię, że sama nie pojedziesz.

- Pieniądze da Złote Runo - oznajmił stojący w drzwiach Shane. - I Risa nigdzie nie ruszy się sama.

Risa doskoczyła do drzwi. Shane odsunął się i wprowadził do środka piękną Azjatkę.

- Chyba zna pani wszystkich obecnych oprócz Risy - powiedział.

- Risa Sheridan. April Joy.

Risie wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się zorientować, że są kłopoty. Nawet jeśli nie domyśliłaby się tego sama, zmarszczki, które pojawiły się dookoła oczu i ust Iana, zdradzały wszystko.

Shane wyglądał jeszcze bardziej posępnie.

- Witam, April Joy - powiedziała Risa. - Czy jest mi bardzo miło panią poznać?

Usta agentki uniosły się w dziwnym, szczerym uśmiechu.

- Pewnie nie, ale może będzie miała pani szczęście.

Ian zaśmiał się głucho.

Rozdział 62

Las Vegas

5 listopada, późne popołudnie

Risa zrobiła kilka kroków w stronę Shane'a i przystanęła. Miał taki wyraz twarzy, jakby była dla niego obca. Albo niewidzialna. Nie wiedziała, czy jest wściekły na nią, czy na cały świat. Biorąc pod uwagę obecność April Joy, pewnie wszystko naraz.

Mimo to Risę aż świerzyły dłonie, by poczuć ciepło i ciało kochanka, upewnić się, że wszystko w porządku.

- Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam - powiedziała. - Nic ci nie jest?

Spojrzał na nią z ukosa i wyciągnął dłoń. Chwyliła ją natychmiast. Shane pociągnął Risę do siebie i ukrył twarz w jej włosach. Objęła go i się przytuliła.

- Tak się o ciebie martwiłam - wyszeptła mu w kark. - Dlaczego nie chciałeś mi pozwolić, żebym z tobą pojechała?

Odsunął się i spojrzał w jej błyszczące, rozpalone oczy.

- Doprowadzisz mnie do szaleństwa.

Zamrugnęła.

- Bo nie panuję nad sobą?

- Bo chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, że ktoś mógł wpakować ci kulkę, a ja do końca życia żałowałbym, że nie trafił we mnie.

- Ja też nie chcę, żeby ktoś cię zranił.

- Nie mówię o ranach. Mówię o śmierci. - Shane spojrział na Dane. - Złoto jest zamknięte w sejfie w kasynie.

- Dzięki Bogu. - Dana uśmiechnęła się z rozkoszą. - Mamy dziesięć, a zdobędziemy jeszcze siedemnaście.

- Siedemnaście? - Shane szybko zastanawiał się, jaką część rozmowy opuścił, zanim stanął w drzwiach. - Kto? Gdzie? Kiedy?

- Chelle - powiedziała Risa. - A co do tego: gdzie i kiedy, czekamy na wiadomość.

- Na razie - zwrócił się Niall do Iana - wpadnij do Najśmielszego Marzenia.

- Z prywatnego garażu jest tylko jedno wyjście - dodał Shane. - Gail Silverado jeździ białym mercedesem albo wożą ją białą limuzyną. Numery rejestracyjne zna moja ochrona.

Niall uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli Silverado dostanie telefon przed nami, jedź za nią i daj nam znać - polecił Ianowi.

Ochroniarz skinął głową, chwycił ciemną kurtkę z oparcia krzesła i przeszedł obok April, nawet na nianie patrząc.

Ona spojrzała na niego wzrokiem sugerującym, że tych dwoje kiedyś coś łączyło.

- Jaka stawka jest w tej grze? - spytał Shane Nialla.

- Dwa miliony w gotówce - opowiedział. - Proponuję studolarówki. Inaczej zmarnujemy kupę czasu, pakując to w coś, co zdoła unieść kobieta.

- Nie ma problemu - oznajmił Shane. - Zajmę się tym.

April uniosła wąskie czarne brwi.

- Nic dziwnego, że Czerwony Feniks nie może się doczekać, żeby położyć łapy na Vegas. W jednym kasynie jednego dnia obracacie większą gotówką niż Bank Centralny przez tydzień. Niall posłał April złowrogie spojrzenie, ale się nie odezwał. Był pod wrażeniem jej zdolności, co znaczyło, że na gruncie zawodowym chciał mieć z nią jak najmniej do czynienia. Drażnienie tej tygrysicy było prostą drogą do tego, żeby zostać poartym.

- Trzymam pod ręką minimum pięć milionów w gotówce - oznajmił Shane. - Niektóre grube ryby stronią od robienia przelewów, a nikt nie lubi czeków. Ci, którzy płacą gotówką, później też dostają gotówkę. Jak wwożą lub wywożą pieniądze z różnych krajów, to już ich sprawa. Ja muszę martwić się tylko, żeby mieć pod ręką dość gotówki, by zapłacić za to, co oferują.

- Coraz lepiej. - Uśmiech April przeraziłby każde dziecko. - Zastanawiam się, jak smakuje Czerwony Feniks ubity i usmażony.

- Najpierw musi sobie pani tę kolację upolować - zauważyła Dana.

- Zrobi to za mnie Tannahill.

Dana rzuciła Shane'owi badawcze spojrzenie.

- Czemu zmieniłeś zdanie?

- Nie zmieniłem. Pani Joy dzieli skórę na niedźwiedziu, który jeszcze nie jest schwytyany, zabity, wybebeszony, poćwiartowany i usmażony.

- O rany - mruknęła Risa. - Zaraz skończę w łazience.

April zachichotała.

- Jak pani na niego wpłynęła? - spytała Dana.

- Och, Tannahill jest równie rozsądny, jak przystojny - odparła April. - Ale żeby zyskać jego uwagę, trzeba mu najpierw przytrzeć nosa. Jak każdemu mężczyźnie.

Risa rzuciła Shane'owi zakłopotane spojrzenie. Pocałował ją delikatnie.

- Ma nakaz rewizji, który mógłby jej pozwolić...

- Cholera, żadne „mógłby” - ucięła April. - Nie bajeruję profesjonalisty. Nakaz jest prawdziwy. Shane nie przejął się, że mu przerwano.

- ...przeszukać komputery Tannahill Inc. A że jestem patriotą, ubiłem interes z FBI.

- O Boże! - zawołał Niall. - Wcale mi się to nie podoba.

Dana też się nie uśmiechała.

- Jaki interes? - spytała Shane'a.

- Jeśli pani Joy znajdzie dowody, że piorę brudne pieniądze, pomogę jej wymyślić sposób na Czerwonego Feniksa.

Dana spojrzała na April.

- Jest pani pewna, że coś znajdzie.

April tylko się uśmiechnęła.

- Dlaczego? - spytała Dana.

- A pani nie uważa, że on pierze brudne pieniądze dla Czerwonego Feniksa?

- Nie.

- Ja też nie. Ale jestem przekonana, że ktoś szykuje mu potężny, twardy upadek. - Uśmiechnęła się, ukazując białe zęby. - Z tego punktu widzenia tak naprawdę wyświadczam panu Tannahillovi przysługę.

- Kto szykuje upadek? - spytał Niall.

Risa spojrzała na minę przyjaciela i poczuła ucisk w żołądku. Słyszała od innych, że Niall potrafi być bezwzględny bydlakiem, ale nigdy tak naprawdę w to nie wierzyła.

Teraz już tak.

- Naprawdę chce pan listę osób, które z radością powiesiłyby Złotego Chłopca za tyłek razem z wędzającymi się szynkami?

- Nie. Chcę pani opinii, kto zamierza podstawić Shane'owi nogę.

- Czerwony Feniks. - Spojrzała na Shane'a przepaścistymi czarnymi oczami. - Mają kilku naprawdę dobrych hakerów, wyszkolonych przez samego Bastarda Merita. Jak tam pańskie zabezpieczenia komputerowe, Złoty Chłopcze? Poradzą sobie ze wzmożonymi wysiłkami specja?

Rozdział 63

Las Vegas

5 listopada, późne popołudnie

April Joy przyglądała się, jak Shane obsługuje swój komputer. Siedem osobnych monitorów wyświetlało różne zestawienia. Ósmy pokazywał rachunki w postaci trójwymiarowego wykresu, który obracał się i zmieniał w hipnotycznym rytmie.

- Co to za program? - April wskazała kolorowy graf. Shane nie oderwał się od pracy przy komputerze.

- Mój.

- Pan go napisał?

- Tak.

- To dobrze, że panu ufam. - Przeciągnęła się z gracją osoby, która przynajmniej godzinę dziennie spędza na ćwiczeniu różnych form walki wręcz.

-Mógłby pan skasować dowody i nigdy bym się o tym nie dowiedziała.

- Owszem, mógłbym. Ale tego nie zrobię.

- Dlaczego? Przejął się pan swoim zadaniem patriotycznym?

Roześmiał się głośno, wpatrując się intensywnie w skomplikowany wykres. Nie podobało mu się to, co widział. Najwyraźniej powinien poświęcać więcej czasu na sprawdzanie danych dotyczących kasyna.

- Jeśli ktoś wchodził na konto kasyna, chcę to wiedzieć - wyjaśnił. - A później dowiem się, jak to zrobił. A później...

- Skopie pan kilka tyłków?

- Zostawię to pani śmiercionośnym stópkom.

Uśmiechnęła się. Nie spotkała zbyt wielu mężczyzn, których nie onieśmiała inteligencją i zabójczymi umiejętnościami.

- Na pewno jest pan zadowolony ze swojej seksownej pani kurator?

- Owszem.

- Jak coś nie wypali, proszę mi dać znać.

Rzucił jej krótkie spojrzenie z ukosa.

- Wszystko wypali.

- Tak, sama się domyśliłam. Jak zawsze - powiedziała, ziewając. Dobrzy są zajęci, a źli nie są dobrzy. - Ma pan tu gdzieś czajnik z kawą?

- Nazywa się telefon. Obsługa hotelowa numer 01. Niech przyniosą kawę dla dwóch osób i coś do jedzenia.

- Co?

Palce Shane'a szalały na klawiaturze, wpisując nowe komendy. Odchylił się i przysunął do innego komputera.

- Wiedzą, co lubię. A dla siebie proszę zamówić, co pani chce.

- Sushi - powiedziała.

- Proszę porozmawiać z Noratakim. To nasz najlepszy kucharz sushi.

April chciała odpowiedzieć, ale zorientowała się, że jej nie słucha.

Był pochłonięty obsługą kolejnego programu. Wykres na ekranie ulegał ciągłym zmianom, które na niej robiły wrażenie wyszukanych form artystycznych, ale nie miała zielonego pojęcia, co znaczą. Dla niej mógł to być równie dobrze trójwymiarowy program rzeźbiarski.

Marszcząc brwi, wybrała numer 01 i zamówiła kawę, jedzenie dla Shane'a i dla siebie zestaw sushi.

Odłożyła telefon i po prostu stała, przyglądając się pracy właściciela kasyna. Rządowi specjaliści komputerowi uprzedzali ją, że Tannahill zalicza się do najlepszych programistów i hakerów swojego pokolenia, ale nie miał ochoty zajmować się tym zawodowo, więc prawdopodobnie wyszedł z wprawy. Zastanawiała się, czy to prawda, czy może Shane nie odczuwał potrzeby prezentowania swoich zdolności wszystkim dookoła.

- Cholera - syknął Shane. Pochylił się i wpisał instrukcje specjalnego programu do załatwienia hakerów, jeśli wykryłyby ich ślady w swoim sprzęcie.

April miała ochotę spytać, co się stało. Mina Tannahilla sugerowała jednak, że lepiej z tym poczekać. Jego wściekłość parzyła jak zimny lód.

Minutę później Shane wcisnął „enter” i odsunął się od komputera. Wykres na monitorze ciągle się zmieniał. Shane spojrzał na trójwymiarową grafikę z niesmakiem i się odwrócił. Nie musiał widzieć więcej.

- I co? - spytała.

Shane zerknął na ekran komputera, na którym uruchomił swój najnowszy program, i stwierdził, że może przekazać April dobrą wiadomość. Dobrą dla niej. Dla niego na pewno nie.

- Jestem właścicielem niezwykle dochodowego kasyna - oznajmił w końcu.

- To znaczy?

- Moje automaty nieustannie zarabiają więcej, niż powinny, mimo strat związanych z naprawą w zeszłym tygodniu. Zamiast typowego spadku jesiennego przy stołach, wszystko kręci się coraz lepiej. Jednak nie jest to dziwne na tyle, żeby uruchomiły się alarmy. Kilka procent tu, kilka

więcej tam. Szybko się mnożą. Ponieważ moje programy nadzorcze napisane są z myślą, żeby wychwytywać stałe, podejrzane straty, a nie zyski, nie uruchomił się żaden alarm.

April w skupieniu przyglądała się Shane'owi ciemnymi oczami. Nie odezwała się słowem.

- Ja to im ułatwiłem, kimkolwiek są, bo nie zmieniałem zabezpieczeń co kilka tygodni - dodał. -

Byłem zbyt zajęty polowaniem na celtyckie złoto.

I Risą, ale tego nie dodał, bo uznał, że April nie musi o tym wiedzieć.

- Proszę dalej - zachęciła April.

- Ktoś włamał się do mojego systemu. Zamiast mnie oskubać, jak to zwykle bywa, dodawał pieniądze na moje rachunki. Miliony dolarów, których pochodzenia nie jestem w stanie wytłumaczyć, ale zostały już zgłoszone do Urzędu Kontroli Gier.

- Konkluzja?

- Wygląda na to, że ma pani faceta piorącego brudne pieniądze.

Powstrzymane emocje Shane'a sprawiły, że się odezwała. Zgadzał się jej pomóc, ale nie dawał za wygraną. Był zły. A nawet wściekły. Jednak w jego oczach widziała błysk zwycięstwa, którego nie rozumiała.

A to, czego nie rozumiała, przyprawiało ją o nerwowość.

- No, proszę dokończyć - ponagliła.

- Czy któryś z ekspertów komputerowych FBI zastawił na mnie pułapkę?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- I lepiej, żeby to nie byli oni. - Shane rzucił okiem na uruchomiony program i uśmiechnął się, widząc na ekranie napis „operacja zakończona”. - Bo właśnie zniszczyłem komuś strasznie drogą zabawkę.

Rozdział 64

Las Vegas

5 listopada, wieczór

Gail Silverado, Rich Morrison i Carl Firenze już nie siedzieli przy stole z kolacją, który przywieziono do gabinetu Gail. Resztki kaczki, steków i krewetek stygły na porzuconych talerzach. Tylko Carl był na tyle głodny, że pochłonął wszystko, co zamówił. Gail i tak nigdy nie jadła dużo. Rich skubnął jeszcze trochę kaczki, dopił wino i spojrzał na telefon.

Teraz we trójkę pili kawę w części konferencyjnej gabinetu Gail. Rich miał kawę z prądem. Gail i Carl pili zwykłą, bez alkoholu. Nie chcieli być otumanieni, niosąc milion dolarów w gotówce. Nikt nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Pieniądze zostały już przeliczone i spakowane w dwie walizki, które zmieściłyby się jako bagaż podręczny w schowku samolotu.

Wszyscy czekali, aż odezwie się telefon z recepcji, łącząc rozmowę z prywatnym numerem Gail.

- Pani Silverado - odezwał się Carl, odstawiając kawę. - Na pewno nie uda mi się odwieść pani od tego pomysłu?

Podskoczyła, wyrwana z rozmyślań. Westchnęła.

- Ciągle się zastanawiam - przyznała.

- To myśl intensywniej - powiedział Rich. - Bo nie podoba mi się to, co ja myślę.

- O czym ty mówisz? - spytała Gail. - To ty tak chciałeś...

- Zmieniłem zdanie. Owszem, byłoby fajnie, gdybyś zeznawała przeciwko Tannahillowi jako naoczny świadek jego nielegalnej działalności. Kuszący kąsek jak wisienka na cieście. - Rich wzruszył ramionami. - Ale po co komu wisienka? I tak go mamy. Nie ma sensu ryzykować.

Zanim Gail zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę drżącą dłonią.

- Tak? - odezwała się.

- Oj, to słowo uwielbiam - powiedziała Cherelle. - Jesteś gotowa, żeby kupić kilka złotych zabawek?

Gail spojrzała na dwóch mężczyzn. Carl zdążył już wstać i odruchowo poprawiał krawat.

- Oczywiście.

- Motel Midas. Wiesz, gdzie to jest?

Gail zawahała się i przełknęła z trudem ślinę.

- Tak.

- Pokój 121. Za dwadzieścia minut.

Połączenie zostało przerwane.

Gail odłożyła słuchawkę i pomyślała o tym, że czeka ją wyprawa po ciemku z milionem dolarów.

- I? - zagadnął Rich.

- Motel Midas, pokój 121 - powtórzyła Gail. Popatrzyła na swoje dłonie. - Chyba mimo wszystko się napiję.

Rozdział 65

Las Vegas

5 listopada, wieczór

Nikt nie spoglądał na telefon.

Wszyscy czekali, kiedy zadzwoni.

Nikt nie mówił o tym, że robi się coraz później, a Cherelle jeszcze się nie skontaktowała.

Ale na szczęście Ian, który z kilkoma ochroniarzami ze Złotego Runa śledził Gail Silverado, też nie dzwonił. Gail była nadal w swoim kasynie i czekała tak samo, jak oni.

Niall włożył Risie okulary, poprawił je i przyjrzał się efektowi.

- Kiedyś staniesz się uroczą, drobniutką staruszką.

Diana prychnęła.

Risa zignorowała oboje. Starła się nie patrzeć na Shane'a. Nie odezwał się do niej słowem, odkąd wszedł do apartamentu, zobaczył, że szykują dla niej specjalny sprzęt elektroniczny i został poinformowany przez Dane, że Risa jedzie po złoto.

Sama.

„Tylko w ten sposób możemy mieć pewność, że wyjątkowo cenne dziedzictwo kulturalne ludzkości nie zniknie na zawsze na czarnym rynku”.

Niall, który zwykle stawał po stronie Shane'a, tym razem poparł Dane.

„Słuchaj, chłopie, ty Risę zwolniłeś. Rarities może wyłożyć pieniądze, jeśli się wycofasz, i guzik ci do tego wszystkiego. Jedzie sama. Pogódź się z tym”.

Koniec dyskusji.

Risa spojrzała niepewnie na Shane'a, zastanawiając się, jak wielka złość kryje się pod jego milczeniem. Ogromna, sądząc po napięciu mięśni jego twarzy. Znowu bawił się swoim złotym piórem, patrząc w próżnię zielonymi oczami. I myślał, myślał, myślał.

To jeszcze bardziej ją denerwowało niż czekanie na sygnał telefonu stojącego na stoliku obok. Przy kuchennym stole Dana kończyła jeść kolację homara, filet mignon, ziemniaki okraszone karygodną ilością tłuszczu, chleb, warzywa na maśle, sałatkę z sosem i deser. Gdyby Risa nie lubiła Dany tak bardzo, nienawidziłaby jej za niewiarygodną przemianę materii, która pozwalała

tej małej kobietce jeść wszystko i nie przytyć ani grama. Risa skrzywiła się na samą myśl o tym, jak wyglądałyby jej biodra po takim jedzeniu.

- Dobra. - Niall odsunął się od Risy. - Gotowe. Pamiętaj, żeby włączyć kamerę stereo, zagryzasz złotą koronkę, którą założyliśmy ci na lewy tylny ząb trzonowy. Krótko do niskiej rozdzielczości. Ciągły nacisk do wyższej rozdzielczości. Możesz pomieścić dwieście ujęć na niższej rozdzielczości. Dwadzieścia na wyższej. Co ty na to?

Spojrzała na luźną czarną koszulę i czarne dżinsy, które miała na sobie. Czarna „bielizna” pod spodem drażniła ją i kłuła.

- Pasuje lepiej niż kamizelka kuloodporna, którą mi załatwiłeś. Ten, kto nosił ją poprzednio, był co najmniej dwa rozmiary mniejszy w tyłku.

- Nie narzekaj. Masz końcówkę cyngla na zębie?

Risa delikatnie dotknęła językiem koronki.

Nie mogła się powstrzymać, żeby się nie bawić aparatem, który założył kilka minut wcześniej.

- Mam. Ale dziwnie się czuję.

- A jak okulary? Uwierają albo boli cię od nich głowa?

- Tak. Głowa mnie pobolewa za każdym razem, jak spoglądam w dół.

- To nie patrz w dół - powiedzieli jednocześnie Dana i Niall. - Traktuj je jak okulary do czytania - wyjaśniał dalej Niall. - Ogniskowa jest tak ustawiona, że obraz każdego przedmiotu w zasięgu wzroku znajduje się w obiektywie kamery.

- Pamiętaj o tym - wtrąciła Dana, oblizując widelczyk od deseru. - Jeśli dziś wszystko się schrzani, jedynym śladem po kilku przedmiotach o międzynarodowym znaczeniu będzie tych kilka obrazów, które złapiesz kamerą.

Zanim Risa zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Wyciągnęła rękę, ale Shane był szybszy.

Nie podniósł jednak słuchawki, ale nie pozwolił podnieść jej Risie.

- Gdybym to ja miał iść sam z dwoma milionami dolarów w gotówce, jak by ci się to podobało? - spytał.

Dzwonek telefonu. Zamrugła.

- Byłabym co najmniej tak wściekła, jak ty w tej chwili.

Dzwonek telefonu.

- Mimo że wiesz, że poradziłbym sobie nawet bez broni?

Dzwonek telefonu.

- Strach ma wielkie oczy - szepnęła. Podniósł słuchawkę i podał Risie.

- Halo? - odezwała się szybko.

- Co się tak ociągasz z odbieraniem, małeńka?

- Liczyłam pieniądze. Cherelle się roześmiała.

- Dwa miliony?

- Tak. Gdzie i kiedy?

- Za piętnaście minut. W motelu Midas.

Shane ruszył do drzwi.

- W motelu Midas? - Risa spojrzała na Dane i posłuchała polecenia: grać na zwłokę. - Nigdy o nim nie słyszałam. Gdzie to jest?

Dana na drugiej stronie listy zakupów zaczęła zapisywać Risie wskazówki, które ona miała powtórzyć głośno, bez pośpiechu.

- Dobrze - powiedziała w końcu Risa. - Powtórzę, żeby się upewnić. - Powoli przeczytała zapiski z kartki, którą podała jej Dana. - Będę tam tak szybko, jak mi się uda.

- Sama - przypomniała Cherelle.

Risa pomyślała o Shanie i zastanawiała się, czy Niallowi uda się powstrzymać go przed

wyważeniem drzwi u Cherelle.

- Akurat to podoba mi się najmniej.

- A to pech. Tylko mnie nie wkurz. Całe życie czekałam na tę chwilę. I nic mi nie stanie na drodze. Słyszysz, maleńka?

- Tak, ale...

Cherelle już się rozłączyła.

Rozdział 66

Las Vegas

5 listopada, wieczór

Socks przeleciał pilotem kodowane kanały, potem wrócił na pasmo reklamowe. Był zmęczony czekaniem na telefon. Przynajmniej ruszył się z nudnego jachtu wuja, zacumowanego w jednej z nudnych przystani jeziora Mead pod nudnym zimowym słońcem. Po kilku pierwszych godzinach zaczęła go nudzić nawet kolekcja kaset z filmami porno, którą znalazł.

W końcu kazano mu wracać do Vegas i zameldować się w motelu Lucky Sun jako Ed Hutach.

Nie zadawał żadnych pytań. Wsiadł do wypożyczonego samochodu, żałując, że nie jest to jego jaskrawofioletowe maleństwo, i ruszył do Vegas. A teraz znów tkwił beczynn timer. Gdyby nie to, że czekanie miało być nagrodzone pieniędzmi i zdechłą suką, ruszyłby tyłek z motelu i wybrał się na długą przejażdżkę po mieście.

Ale szansa na zarobienie kupy szmalu, nawet do spółki z Cherelle, była zbyt kusząca, żeby ją sobie odpuścić. Kokaina poczeka. Kociaki też nie uciekną. Ma randkę z milionem dolarów. Broń, którą wcześniej ukrył w pokoju motelowym, trzymał teraz za paskiem. Była słodka i ciężka.

Naładowana, półautomatyczna, gotowa na imprezę. Potrzebował tylko adresu.

Zadzwoił telefon.

Socks podniósł słuchawkę, posłuchał i się uśmiechnął.

Czas na zabawę.

Rozdział 67

Las Vegas

5 listopada, noc

Shane jechał powoli aleją Strip. Morze kolorowych świateł zalewało przednią szybę samochodu. Nie zauważał wspaniałego blasku. Liczyło się tylko to, żeby Risa była bezpieczna.

Niall rozglądał się na boki oczami tak ciemnymi jak dno studni.

- Co będzie, jeśli stracimy złoto?

- Przeżyję wszystko, o ile nie stracimy Risy.

- Właśnie tak myślałem. Dana też. - Niall się uśmiechnął. - Powiedziała, że nie będziesz stał z boku. A potem kazała mi trzymać się ciebie jak świeże gówno buta.

Shane milczał.

- Nie będę wchodził ci w paradę, chłopie.

- Rób, co musisz.

Niall się skrzywił. Pracował z tyloma grupami komando, że bez trudu wyczuł, w jakim stanie jest Shane.

Mężczyźni ogarnięci zimną wściekłością są najbardziej niebezpieczni.

- Jeśli mi zdradzisz, co planujesz, mogę ci pomóc - powiedział Niall. Cisza.

Neony, budynki i inne samochody tworzyły tęczową rzekę. Shane przejechał na dwóch skrzyżowaniach na żółtym świetle, a na trzecim na czerwonym. Nie dlatego, że był beztroski, ale chciał być szybki.

- Zamierzam załatwić Cherelle, zanim Risa zdąży tam dojechać - odezwał się w końcu. - Chcesz pomóc, świetnie. Przeszkodzić? Też dobrze. Tak czy siak, załatwię Cherelle.

- Co zrobisz? Wyważysz drzwi?

- Jeśli będę musiał.

- A jeśli ma broń?

- Ja też mam.

- Myślisz, że to ona zabiła właściciela lombardu? - spytał Niall.

- Raczej ktoś inny.

- Socks?

- Prawdopodobnie. Z policyjnego opisu wynika, że ma cholernie niskie IQ i jest narwany.

Shane wyłączył światła i skręcił we wjazd do motelu Midas. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze sześć minut. Sięgnął do portfela, wyjął kilka dwudziestek i podał je Niallowi.

- Mnie może rozpoznać recepcjonista - wyjaśnił. - Pieprzeni fotoreporterzy.

- Wszystko przez tę twoją ładną buźkę.

Shane nie zwrócił na niego uwagi.

- Możesz się dowiedzieć, czy któryś z pokoi obok 121 jest wolny?

- Poczekasz tu na mnie?

- W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

Niall pognął prosto do biura.

Shane natychmiast wysiadł z samochodu i przeszedł wzdłuż skrzydła motelu. Biorąc pod uwagę pusty parking i liczbę ciemnych okien, motel Midas był na najlepszej drodze do bankructwa.

W pokoju przyległym do 121 z prawej strony świeciło się światło. W pokoju po lewej - nie.

Zamek w drzwiach był starego typu. Jednym słowem, prosty. Shane wyjął z portfela kartę kredytową, wsunął ją między drzwi a futrynę i otworzył.

Kiedy Niall dotarł do pokoju, zasłony były już zaciągnięte, światła zapalone, a telewizja głośno opowiadała na temat najnowszych trendów mody - jaskrawej prześwitującej bieli noszonej na czarnym body. Drzwi wychodzące na parking pozostawały lekko uchylone. Może trzeba będzie szybko wychodzić.

Zajął się wewnętrznymi drzwiami, które prowadziły do pokoju 121. Zamek okazał się o wiele bardziej skomplikowany niż ten przy wejściowych drzwiach.

- Odsuń się, chłopie.

Obejrzał się przez ramię. Niall w jednej ręce trzymał lewarek, a w drugiej pęk wytrychów. Shane zrobił mu miejsce.

- Nie zauważyłem żadnej dobrej kryjówki na dworze - odezwał się Shane. - A ty?

- Dlatego tu jestem. Nie mamy za wiele czasu. Dana i Risa pojawią się za dwie minuty.

- Skąd wiesz?

- Połączenie komórkowe.

Po raz pierwszy Shane zauważył przezroczysty zausznik i przewód, którym Niall był połączony ze swoim telefonem komórkowym w tylnej kieszeni.

- Dana informuje cię o wszystkim na bieżąco?
- Niezupełnie. Po prostu ustawiła telefon na najwyższą czułość i wsadziła do kieszeni kurtki. -
Boże, proszę cię, żeby zabrała też broń, dodał w milczeniu. Dana nienawidziła broni, ale zadbał o
to, żeby wiedziała, jak jej używać. - Jasny szlag!
Zmienił wytrych i znów zabrał się do roboty.
Shane stał z boku frontowego okna i wypatrywał świateł samochodu wjeżdżającego na parking.

Rozdział 68

Las Vegas **5 listopada, noc**

W prawo na skrzyżowaniu za następnymi światłami - powiedziała Dana.

Risa spojrzała w lusterka i zatrzymała samochód na żółtym świetle.

- Widzisz kogoś? - spytała Dana.

- Nie.

Telefon komórkowy Dany zabrzączał cicho. Natychmiast odebrała.

- Dana. Szybko - rzuciła.

- Tu Ian. Silverado się nie ruszyła.

- Dobra. To znaczy, że będziemy pierwsi. Swój telefon oddam Risie, więc nie dzwoń.

- OK. Przyjechać?

- Zostań z Silverado.

Dana się rozłączyła.

Risa rozejrzała się na boki.

- Dlaczego mam wziąć twój telefon?

- Jest połączony z Niallem - wyjaśniła Dana, wciskając klawisze. - Dzięki temu będziemy
wiedzieć, co się z tobą dzieje. Umiesz obchodzić się z bronią?

- Nie.

- A znasz techniki obrony?

- Nie.

- Jak tylko ta zadyma się skończy, zgłosisz się do Nialla na przeszkolenie. Nie pozwolę, żeby moi
pracownicy nie potrafili się bronić, kiedy praca stawia ich w sytuacjach takich, jak ta.

Risa wypuściła powoli powietrze - nie zamierzała się kłócić. W tej chwili kilka drobnych
niemiłych sztuczek, które znała z dzieciństwa, nie wydawało się odpowiednią ochroną przed
Socksem czy tym, kto zabił O'Connera i Cline'a.

Spojrzała na zegarek, po cichu modląc się, żeby już zabłyśło zielone światło. W końcu się
doczekała.

- Ile mamy czasu?

- Pięć minut.

Dana spojrzała na mapę, którą wydrukowała z Internetu.

- Zdążymy, nawet jeśli trafimy na kilka czerwonych świateł. Skręć w lewo za rogiem. Za półtora
kilometra po prawej stronie powinien stać motel.

Risa skręciła w lewo.

Nikt za nią nie skręcił.

Im bardziej zbliżały się do motelu, tym mniejszy był ruch uliczny. Bogata, migocząca aleja Strip
jak magnes wyciągała wszystkie pieniądze z tej części Vegas. Wiele firm przeniosło się na Strip.

Reszta zaczęła podupadać.

- Kiedy skręcisz do motelu, znajdź pokój i zaparkuj jak najbliżej wejścia. Wyłącz światła i zostaw włączony silnik. Jak wyjdiesz po pieniądze, nie zobaczysz mnie, ale będę za kierownicą. Jeśli nie spodoba ci się to, co zastaniesz w pokoju, natychmiast wychodź. Jasne?

- A co ze złotem?

Dana liczyła na to, że wszystkimi złotymi przedmiotami zajmie się Niall, ale przypuszczała, że Risa nie chciałaby tego usłyszeć. Ani tego, że Dana nie wspomniała o krótszej drodze do motelu. Mieli piętnaście minut, Niall będzie potrzebował każdej sekundy na realizację swoich nieobliczalnych, ale praktycznych pomysłów.

- Cherelle znajdziemy później - dodała Dana.

Risa zacisnęła, potem rozluźniła palce na kierownicy. Ton głosu Dany nie pozostawiał wątpliwości co do tego, jakie szanse ma Cherelle, by uciec Rarities.

- Dobrze - powiedziała Risa. - Ty się zajmij złotem, a ja w razie czego zwieję. - Jeśli będę mogła.

- Muszę przyznać, że zaczynam odczuwać brak szkolenia samoobrony.

- Z tego, co zauważyłam na kasecie z kasyna, masz wielkie szanse, żeby zostać jedną z najlepszych na kursie.

- Prędkość? - spytała drwiąco Risa.

- Mózg. Nigdy nie przestajesz myśleć.

- Widocznie zimny pot naoliwia umysł.

Dana się roześmiała.

- Niallowi się to spodoba.

- To dobrze. Mnie się nie podobało.

Złota neonowa korona reklamująca motel Midas wyrosła po prawej stronie drogi jak brudny, szczerbaty uśmiech. Risie zaczęło łomotać serce. Czuła, jak adrenalina rozpala jej krew - kolory stały się jeszcze wyraźniejsze, żywsze, a każdy dźwięk tak ostry jak brzęk tłuczonego szkła.

-Pamiętaj - powiedziała Dana, wślizgując się pod siedzenie. - Jeśli to pułapka, zapomnij o złocie i uciekaj.

Rozdział 69

Las Vegas

5 listopada, noc

Shane nie zwracał sobie głowy wypytywaniem, jak idzie. Nieprzerwany potok wyrzucanych szeptem przekleństw mówił mu, że Niall jeszcze nie uporał się z problemami. Jedne z łączących drzwi były otwarte. Drugie nie.

Kamienne zielone oczy spoglądały to na zawiasy opornych drzwi, to na lewarek u stóp Nialla i znowu na parking przez szparę w zasłonach. Oczywiście, mogą wyjąć drzwi z zawiasami w kilka sekund. Ale narobiliby hałasu. Lepiej otworzyć te cholerne drzwi tak, żeby zaskoczył Cherelle. Samochód, który właśnie wjechał na wstecznym, zatrzymał się na parkingu. Światła auta zgasły.

- Są - oznajmił Shane. Niall mruknął.

- Jaki jest plan? - spytał Shane.

- Risa wchodzi do środka, orientuje się w sytuacji i jeśli coś się jej nie spodoba... niech szlag trafi wszystkich techników z obsługi, ten pieprzony zamek powinien być naoliwiony!... wraca po pieniądze do samochodu i znika w cholerę.

W odpowiedzi Shane wyjął niebieskostatową broń. Położył rękę na wejściowych drzwiach,

gotowy, by je wyważyć.

- Mów mi kiedy.

Rozdział 70

Las Vegas

5 listopada, noc

Cherelle zrywała się na równe nogi za każdym razem, kiedy na parkingu pojawiały się światła. Motel najwidoczniej wynajmował pokoje na pół godziny, dlatego więcej samochodów wjeżdżało i wyjeżdżało, niż zostawało na całą noc.

-No dalej! Minęło dwadzieścia minut, na miłość boską. Gdzie jesteś, Silverado? Gdzie ta cała słodka kaska?

Cherelle tak strasznie pragnęła pieniędzy, że już prawie je czuła. Przechodząc koło komody, wzięła kolejne ciepłe piwo w pokoju nie było lodówki. W jej lepkich palcach puszka wydawała się niemal gorąca, krucha jak życie.

Ta myśl sprawiła, że Cherelle przystanęła. Doszła do wniosku, że powinna poczekać z kolejnym piwem. Co prawda czuła się zupełnie trzeźwa, ale piła za szybko.

Zagryzając dolną wargę, odstawiła puszkę.

Przy kolejnym okrążeniu pokoju wzięła ją znowu i pociągnęła wieczko tak gwałtownie, że na palce połała się piana. Zlizwała ją z dłoni i poczuła smak podobny do potu i sików, ale wiedziała, że alkohol trochę ukoji nerwy.

Przez zaciągnięte zasłony wdarły się smugi światła. Wstrzymała oddech i czekała. Z pokoju obok dochodziły odgłosy jakichś zawodów sportowych - fale radości mieszały się z okrzykami rozczarowania. Sąsiad w pokoju po drugiej stronie usiłował przelecieć jedną z pracujących dziewczyn, ponaglany jej gardłowymi jękami, wywołanymi nadzieją na sowity napiwek. Samochód zawrócił na drugą stronę parkingu.

Kolejny entuzjastyczny ryk kibiców zagłuszył odgłosy namiętności. Jednak łomotanie zagłówek o ścianę nie ustawało. Przez chwilę Cherelle współczuła biednej dziwce, która wzięła sobie klienta podobnego do wiertarki udarowej. Ze wszystkich kutasów, ci byli najgorsi. Lepiej trafiać na szybkich strzelców.

Cherelle z początku wydawało się, że pukanie, które słyszy, jest dalszym ciągiem seksu w pokoju obok. Później dotarło do niej, że ktoś puka do jej drzwi.

- Kto tam?

- Risa.

- Chwileczkę.

Wyjrzała przez zamazaną dziurkę, ale nikogo nie zobaczyła. Zostawiła łańcuch i przez szparę upewniła się, że Risa jest sama. Po chwili otworzyła drzwi. Jak tylko Risa znalazła się w środku, Cherelle przekręciła klucz w zamku.

Risa szybko rozejrzała się po pokoju. Nie zastała nikogo oprócz Cherelle. Złote przedmioty były porozrzucane na łóżku. Podeszła na tyle blisko, żeby mieć w zasięgu wzroku najpierw jeden, potem kolejny i robiła im zdjęcia tak szybko, jak tylko mogła. Oświetlenie było okropne. I dobrze, przynajmniej miała argument, żeby sprawdzić łazienkę, tak jak kazała Dana.

- Potrzebne mi lepsze światło - oznajmiła.

- Cholera. Może zobacz w toalecie. Światło nad szafką jest dosyć dobre.

Risa na chybił trafił chwyciła złote przedmioty, minęła łóżko i weszła do małego aneksu, który

po jednej stronie miał kilka wieszaków, a po drugiej umywalkę. Łazienka znajdowała się tuż za nim. Risa rozejrzała się szybko. Toaleta. Wanna z prysznicem. Nic szczególnego.

Opuściła łokciem klapę sedesu, rozłożyła złote przedmioty...

I zabrakło jej tchu. Sztylet i pochwa lśniły blaskiem starożytnego złota. Torques ze złotych łańcuchów, od których biła władza jak żar od ognia. Maski boga spoglądająca spoza czasu na ciemną ludzką duszę. Widok złota hipnotyzował. Risa musiała się powstrzymać z całych sił, by nie odpłynąć w zamierzchną przeszłość, gdzie złoto druidów było jądrem śmierci i odrodzenia. Z trudem odwróciła się do przyjaciółki. Stojąc na początku aneksu, Cherelle miała oko zarówno na drzwi wejściowe, jak i na Risa.

Risa widziała tylko Cherelle, która przyglądała jej się chłodnym wzrokiem, surowym i wyrachowanym. Czujnym. Nie było sensu starać się wzruszyć to, co pod twardą skorupą zostało z dawnej przyjaciółki. Cherelle, którą pamiętała Risa, zniknęła.

Jedynie, co zostało, to złoto i pieniądze.

- Dziwne - powiedziała Risa. - Tyle złota, a ty nie masz nawet broni.

- Mózg to najlepsza broń.

- A gdzie Gail?

- Kto pierwszy, ten lepszy. Wygrałaś. Masz pieniądze?

Drzwi wejściowe otworzyły się do środka, padły strzały, pękły szyby.

Cherelle doskoczyła do Risy i padła na kolana, tryskając krwią.

- Maleńka... Co się stało? - Pokręciła głową. - Nie dam się wykołować. Jestem za sprytna.

Rozdział 71

Las Vegas

5 listopada, noc

Shane wybiegł na parking, zanim półautomatyczna broń napastnika wystrzeliła drugi i trzeci raz. Kiedy zobaczył masywną postać w drzwiach pokoju Cherelle, ustawił pistolet i położył palec na spust.

Nie zdążył strzelić, bo o ułamek sekundy wyprzedziła go kula z drugiej strony parkingu. Ramię napastnika podskoczyło, a on sam wpadł do pokoju Cherelle. Kolejny strzał zakręcił nim. A trzeci - powalił na podłogę.

Zarówno Niall, jak i Shane namierzali, skąd mignęły ostanie błyski lufy. Każdy wystrzelił po dwa razy w urywanym staccato. Dał się słyszeć ochryply krzyk, po którym rozległ się odgłos czegoś upadającego na ziemię. Niall, z bronią w gotowości, przebiegł zygzakiem przez parking. Shane długim susem wskoczył do pokoju Cherelle.

- Riso!

- Tutaj. Szybko!

Wykopał broń z luźnych palców napastnika i pognał tam, skąd dochodził głos Risy. Kiedy znalazł się w małym aneksie, prowadzącym do łazienki, serce podskoczyło mu i zamarło.

Wszędzie było pełno krwi.

A na środku sporej kałuży - Risa i Cherelle.

Ukląkł przy Risie.

- Gdzie jesteś ranna?

- Pomóż Cherelle!

- Gdzie jesteś ranna?

- To nie ja, to Cherefle. O Jezu!

Gdyby Shane już nie klęczał, na kolana powaliłoby go uczucie ulgi.

- Zaraz zobaczę.

- Nie możemy jej tak zostawić, bardzo krwawi. - Łzy zostawiły ślady na zbryzganych krwią policzkach Risy. - Cherefle! Cherefle, słyszysz mnie?

Shane zobaczył to, z czym Risa nie potrafiła się pogodzić: krew Cherefle już nie pulsowała. Ciało było bezwładne. Delikatnie, czubkami palców zamknął blade powieki wytrzeszczonych oczu.

Risa krzyknęła przeraźliwie.

W pokoju Niall zdierał z napastnika kominiarkę.

- To nasz stary znajomy Socks. Martwy. Co z Risą?

- Nic jej nie jest - odpowiedział Shane.

- A Cherefle?

- Nie żyje.

Shane odsunął Risę od ciała przyjaciółki.

- A co z tym z parkingu? - spytał.

- Biały mężczyzna, między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Wygląda bardziej na dyrektora niż zabijakę.

- Martwy?

- Powinien przeżyć.

- Zaraz wracam - powiedział Shane do Risy. Skinęła głową ociężale.

Mężczyźni wybiegli z pokoju. Za chwilę na pewno pojawią się tu gliny.

Dana już stała przy drugim napastniku. W jej dłoni lśniła broń. Skierowała na jego twarz latarkę i włączyła.

- Poznajesz go? - spytała Shane'a.

- Rich Morrison.

Z oddali, ze wszystkich stron dały się słyszeć odgłosy syren. Zaraz tu będą.

- Bierz pieniądze - krzyknął Shane do Dany. - Mówimy, że złoto trafiło w nasze ręce przed śmiercią Cherefle.

- Chodźmy do pokoju - powiedziała Dana. - Musimy uzgodnić resztę naszej wersji. To będzie cholernie długa noc.

Rozdział 72

Las Vegas

7 listopada, popołudnie

April Joy weszła do gabinetu Shane'a i spojrzała na pięć mocno wyczerpanych osób. Wiedziała, jak się czują. Ona też przeżyła długą, ciężką noc i jeszcze gorszy ranek.

Kofeina nie mogła zastąpić snu.

- Wydaje mi się, że to całkiem dobrze oddaje pojęcie ogólnego burdelu - odezwała się.

Niall i Dana obserwowali April, zastanawiając się, czy wyjaśni, o co jej chodzi. Wiedzieli, że błyskotliwa, bezwzględna pani Joy zawsze trzymała asa w rękawie.

- Co powiedziała Gail? - spytał Shane.

Nie spodziewał się, że Silverado zmieniła swoją oficjalną wersję, ale musiał mieć pewność, zanim zacznie pertraktować z bardzo ostrą April Joy. Wcześniej rozmawiał z Gail na osobności: albo mu pomoże, albo on ją pogrąży. Mógł to zrobić.

Ale co ważniejsze, Gail wiedziała, że tym razem Shane nie popuści.

- To samo, co mówiła wcześniej - odparła April. - Odebrała telefon. Ale stchórzyła.

- Ja mogę to potwierdzić - wtrącił Ian. - Nie wychodziła z budynku. Całą noc spędziła w kasynie. Rozmawiała z klientami. Wszystko jest nagrane na wideo.

Shane zaczął bawić się swoim piórem, skuwką o czubek. Złoto pobrzękiwało w ciszy.

- Z kim rozmawiała Gail od razu po tym, jak postanowiła się wycofać? - spytała April.

- Z Morrisonem i Firenze'em.

- Carlem czy Johnem?

- Carlem. Zabrał gotówkę Gail z powrotem do sejfu. Morrison wyszedł, prawdopodobnie, żeby schować swoje pieniądze.

Brzęk.

- Z kim rozmawiał Carl o spotkaniu? - spytał Shane.

- Z Gail.

- I z nikim więcej?

- Nie - powiedziała April. Brzęk.

April spojrzała na Risę.

- Jest pani pewna, że Cherelle nie wezwałaby Socksa na pomoc?

- Tak. Nie ufała mu. I nie bez powodu. Nie dał jej szans. Po prostu wszedł i zaczął strzelać.

Brzęk.

Shane wolną ręką pogłaskał Risę po ciemnych włosach. Westchnęła przeciągle i spojrzała na swoje dłonie, jakby spodziewała się, że zobaczy na nich jasną tętniczą krew.

- A co z Timem Setonem? - spytała szeptem Risa. - Znalazł się?

- Nie - powiedziała April.

- Jeśli ilość krwi, jaką zostawił na schodach swojej matki, może być wskazówką... - wtrącił Ian - ... to nie był w stanie utrzymać ciężkiej broni na tyle długo, żeby posłać kilka kulek w swojego kumpla Socksa. Prawnicy Morrisona mogą krzyczeć, co tylko chcą. Wszystko wskazuje na niego. Kiedy to sobie uświadomi, zacznie mówić.

Brzęk.

- Spokojnie - zwróciła się April do Iana. - Prawnicy Morrisona robią ze swojego klienta bohatera, który zabił mordercę bezbronnej kobiety.

- Nawet jeśli to przełknę, nie dławiąc się na śmierć... - odezwała się Dana - ... przede wszystkim, co Morrison tam robił?

Brzęk.

April uśmiechnęła się chłodno.

- Martwił się, że Gail jednak zmieni zdanie i wybierze się po złoto. Pojechał więc do motelu na wszelki wypadek. A później na scenę wkroczył Socks i zaczął strzelać. Morrison wycelował w niego trzy razy, potem został postrzelony przez dwóch wrywnych prostaków, którzy nie mieli pojęcia, o co chodzi.

Brzęk.

Pióro błysnęło i zniknęło w kieszeni Shane'a.

- Mamy dwa niezależne problemy - stwierdził. - Złoto druidów i pranie pieniędzy. Wciągnęli w to mnie, Gail i Morrisona. Jest w tym logika.

- Jaka? - spytała zjadliwie April. Ton jej głosu mówił, że uważa to za jedną wielką bzdurę.

- Tego, co powiem, nie można oficjalnie dowieść, bo wszyscy zamieszani są nieżywi albo zniknęli - odparł Shane.

April czekała bez ruchu.

- W zeszłym tygodniu w Sedonie został zamordowany Virgil O'Conner - mówił dalej Shane. -

Wcześniej, w tym czasie albo później złoto druidów zostało skradzione przez Cherelle, Socksa, a może Tima Setona.

- Co to ma do rzeczy? - spytała ostro April.

- O'Conner wierzył w związki z duchami zmarłych - wyjaśniła Risa. - Cherelle i Tim przedstawili się jako medium. Do tego... w wynajętym pokoju Cherelle niedaleko Sedony znaleźliśmy trzy drewniane skrzynie z imieniem i adresem O'Connera. Jesteśmy przekonani, chociaż nie potrafimy tego dowieść, że pochodziły z jego domu.

April zakodowała sobie w głowie nazwisko Virgila O'Connera. Risa mocniej splotła swoje dłonie z dłońmi Shane'a. Za każdym razem kiedy zamykała oczy, widziała Cherelle i dużo krwi.

- DNA z danych Tima odpowiada DNA krwi pozostawionej na podłodze Joeya Cline'a - ciągnął Shane.

- Skąd pan to wie? - April była wyraźnie zaskoczona.

Nie odpowiedział. Nie zamierzał informować o swoich zdolnościach, dzięki którym złamał kilka zabezpieczeń komputerowych, ani o tym, że przeglądał policyjne pliki. Właściwie włamania dokonał Faktoid, guru komputerowy, pracujący dla Rarities Unlimited. Ale o tym April też nie musiała wiedzieć.

- Proszę przyjąć to za pewnik - zasugerował Niall. April nie spuszczała wzroku z Shane'a.

- Słucham.

- We krwi były dwa rodzaje odcisków palców - powiedział. - Jedne zostawił Seton. Kiedy policja je zbada, zapewne okaże się, że drugie są Socksa.

- Więc?

- Obaj próbowali opchnąć skradzione złote przedmioty - wyjaśniła Risa. - Apotem zabili wspólniczkę.

- Cline tuż przed śmiercią przekazał złoto Shapiro - ciągnął Shane.

- Może pan tego dowieść? - spytała April.

- Cline nie przechowywał dowodów kupna-sprzedazy, a Shapiro zarzeka się, że jego pliki komputerowe uległy zniszczeniu - wyjaśnił Shane.

Zmrużyła czarne oczy.

- Słucham dalej.

- Pozostaje więc pytanie, dlaczego Morrison czekał na parkingu, żeby ustrzelić Socksa.

- Nie nabierze się pan na wersję o walecznym rycerzu? - spytała April.

- A pani?

- Nie, chyba że nie będę miała wyjścia.

- Kolejnym pytaniem jest to, dlaczego limuzyna zawiozła Mirandę i jej podziurawionego jak sito syna w nocy do miejsca, gdzie zajęto się chłopakiem w tajemnicy przed policją. - Shane spojrzał na lana. - Dostałeś się do jej domu?

Ochroniarz skinął głową.

- Chylę przed tobą czoło, Tannahill. Trafiłeś za pierwszym razem.

- Co? - April spojrzała na lana jak tygrysica. - Proszę to z siebie wydusić.

Ian uśmiechnął się chłodno i spokojnie.

- Ja mam coś, czego chce pani - powiedział Shane do April. - Pani ma coś, czego ja chcę. To tradycyjna podstawa do zrobienia interesu.

Nie tracąc ani sekundy, zmieniła front i odwróciła się plecami do lana.

- Co ja takiego mam, co pan chce?

- Złoto druidów.

- A pan ma dla mnie...?

- Mafię Czerwonego Feniksa. Podaną na tacy. Interesuje to panią?

- Proszę, do rzeczy.

Shane spojrział na Dane.

- Pani Joy robiła interesy z wieloma osobami - powiedziała Dana. - Dotrzymuje słowa.

- Umowa stoi? - spytał.

- Jak się pan dowiedział, że FBI już przejęło złoto z motelowego pokoju Faulkner? - spytała od niechcenia April, myśląc z prędkością światła.

Shane nie odpowiedział.

I właściwie nie oczekiwała tego.

- Dopilnuję, żeby dostał pan złoto. Co z tą mafią?

- Gail Silverado będzie zaprzeczać temu do ostatniego tchu, ale w końcu wyznała mi, że to Rich Morrison nakazał zrobić mnie w pranie brudnych pieniędzy. Morrison jest powiązany z Czerwonym Feniksem. Jeśli dostanie się pani do jego komputerów, zakładam się, że znajdzie pani jego ślady w wielu nielegalnych operacjach finansowych. Ja wiem, że to ludzie Czerwonego Feniksa włamali się do mojego systemu i obracali pieniędzmi na rachunkach, których nigdy nie założyłem.

Zapadła cisza na długość jednego oddechu, dwóch, trzech.

- Interesujące - wymruczała April. - O ile to prawda.

- Proszę porozmawiać z Mirandą Seton. Zadzwoiła do Shamrocka, kiedy jej syn pojawił się zakrwawiony w domu.

- Od jak dawna pan o tym wiedział? - spytała kategorycznie April.

- Od chwili, kiedy kazałem Ianowi pojechać do domu Seton i założyć podsłuch wyjaśnił Shane. - Ostatni telefon, jaki wykonała, był do Shamrocka. Potem natychmiast pojawiła się czarna limuzyna, która zabrała ją i syna.

- Proszę dalej.

- Wystarczyło pobieżne sprawdzenie faktów, żeby przekonać się, że z Mirandy taka sama wdowa, jak i ze mnie powiedział Shane. Od urodzenia syna nie pracuje, a na konto regularnie otrzymuje spore kwoty, których pochodzenia jeszcze nie ustaliłem. Założyłbym się, że ojcem Tima Setona, jak również źródłem pieniędzy Mirandy, był Morrison. Oczywiście może pani podważyć całą tę teorię albo wykorzystać to, czego nie musi pani udowadniać jako podstawę, by z bohaterskiego Morrisona zrobić wtyczkę, która będzie kablowała FBI na Czerwonego Feniksa. I jeśli potrzebuje pani pomocy w opracowaniu tej wersji zdarzeń, to proszę się udać do Mirandy Seton. Intuicja mi podpowiada, że ta kobieta coś ma na swojego dawnego kochanka.

Przez chwilę panowała pełna wyczekiwania cisza. Później April uśmiechnęła się do Shane'a.

- Podoba mi się pański tok myślenia. - Jestem przerażony.

- Akurat - odparowała. - Mamy układ, Tannahill.

Rozdział 73

Las Vegas

19 listopada, wieczór

Złote ostrze sztyletu było takiej długości, jak dłoń Shane'a. Całą jego powierzchnię zdobiły starożytne symbole, które zaczynały się okręgiem słońca, a kończyły chrześcijańskim krzyżem. Risa trzymała złotą pochwę z olśniewającą czerwoną inkrustacją, ułożoną w trzyczęściowy wzór. Oryginalnie wzór tworzyły perły, ale pozostały po nich jedynie niewielkie wgniecenia w złocie.

Sztylet był najnowszy z przedmiotów, bo perły weszły do łask dopiero po tym, jak Brytanię zajęli Rzymianie.

- Jaka szkoda, że perły są zbyt delikatne, żeby przetrwać wieki - odezwała się Risa.

- Łzy księżycy - powiedział łagodnie Shane. Niezależnie od tego, czy ziemia jest wilgotna, czy sucha, szybko się niszczą.

Ale mam i dobrą wiadomość. Resztki ziemi, które znaleźliśmy w głębszych liniach każdego przedmiotu, są takie same. Wszystkie siedemnaście sztuk pochodzi z tego samego znaleziska.

- Prawdziwą dobrą wiadomością jest to, że było za mało ziemi, żeby zakopać przedmioty, nawet koło domu O'Connera.

Risa zacisnęła usta. Wspomnienie O'Connera przywodziło na myśl jego zabójczynię - Cherelle Faulkner. Risa nie chciała w to wierzyć nawet teraz, ale musiała. Miranda Seton nie miała żadnego powodu, by okłamywać federalnych w obronie swojego syna. Tim był już martwy. Jak Cherelle. I Socks.

Jeśli Mirandę dręczyły wyrzuty sumienia, że szantażem zmusiła byłego kochanka, żeby zabił Socksa, to ich nie okazywała.

- Istnieje pewne podobieństwo z przekrojem ziem brytyjskich - ciągnął Shane. - Ale tylko podobieństwo. Nic więcej, choćby nie wiem jak naginać fakty.

- A Brytyjczycy - dodała kpiąco Risa - chcieliby naginać wszystko, co się da, żeby dostać artefakty w swoje ręce. Na ich nieszczęście, krzemionka jest bardzo popularnym rodzajem gleby. Znaczącyby cokolwiek tylko wtedy, gdyby nie było jej na tych przedmiotach.

- Dziwisz się Brytyjczynom, że chwytają się wszystkiego, czego mogą? - spytał Shane z chytrym uśmiechem. - Ja nie.

- Ja też nie. I cieszę się, że zgodziłeś się oddać złoto do zbadania do Muzeum Brytyjskiego.

- Ale po Nowym Roku.

Ostrze wśliznęło się do pochwy z ledwie słyszalnym szmerem.

Wziął osłonę z dłoni Risy. Wstrzymała oddech. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do tego, że jest kochanką Shane'a. Było to dla niej tak samo zdumiewające, jak fakt, że w sylwestra zostanie jego żoną i założy na palec celtycki pierścień, równie stary jak ten, który nosił Shane.

- Myślisz, że Niall dotarł do jakichś krewnych Virigila O'Connera? - spytała chropawym głosem Risa.

- Wątpię. O'Conner nie miał żony. Ani rodzeństwa. Nawet przyrodniego. - Shane odłożył miecz do gabloty z wieloma zamkami i alarmami, których nie dostrzegało się gołym okiem. - Poza tym oprócz poszlak nie dysponujemy żadnymi dowodami na to, że O'Conner posiadał złoto od początku.

- Ale przecież złoto było w jego domu.

- Tego możemy się tylko domyślać. A w sądzie domysły się nie przydają.

- Wiemy, że Virgil w czasie II wojny światowej został wysłany do bazy powietrznej w Wielkiej Brytanii - ciągnęła. - Niall ma dokumenty z jego służby.

Shane skinął głową i wziął do ręki zgięty totemiczny przedmiot, który zdaniem Risy był odpowiednikiem biskupiego pastorału - masywne złote insygnium ceremoniału. Wewnątrz złota znajdowało się dębowe drewno. Po badaniu węglem ustalono jego pochodzenie na IV wiek.

- Więc przyjmujemy, że O'Conner znalazł złoto w czasie zamieszania po zwycięstwie aliantów w Europie - powiedział Shane.

- Wykopał je w Walii. Czuję to - przyznała szybko. - Nie mam żadnych racjonalnych dowodów. Shane, uśmiechając się, dotknął jej ust swoimi.

- Później przesłał je statkiem do domu razem z innymi swoimi rzeczami w skrzyniach po

amunicji. Nikt nie sprawdzał żołnierzy. Tak się cholernie cieszyliśmy, że wracają.

Pomyślała o Cherule, która nigdy już nie wróci.

- Przestań, kochanie. - Pocałował ją znowu. - Zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś. Nie możesz uchronić ludzi przed ich własnymi błędami.

Risa wdychała jego ciepły zapach.

- Czy ty naprawdę czytasz w myślach?

- Tylko w twoich. Masz wszystko mówiące oczy. I usta. Powinien być na to paragraf.

Jej uśmiech zbladł.

- Powinien być paragraf na to, żeby morderstwo nikomu nie uchodziło płazem.

Odsunął od niej usta.

- Mówisz o Morrisonie?

- Tak.

- Poniósł konsekwencje.

- Naprawdę? - odparowała. - Najpierw nasłał na Cherule Socksa, a później go zabił. Teraz jest wielkim bohaterem. Poczytaj sobie gazety!

- Prawnicy Morrisona wyciągnęli go warunkowo, będzie wykonywał prace społeczne. Jest donosicielem rządowym i co wieczór poci się w łóżku na myśl, że rano znów zobaczy April Joy. A pewnego dnia, w niedalekiej przyszłości, stanie twarzą w twarz z mafią Czerwonego Feniksa, którą zdradził bez namysłu. I już po nim.

Na widok uśmiechu Shane'a Risa ucieszyła się, że jest jego kochanką, a nie wrogiem.

- A tymczasem...

- Tak? - spytała.

- Musimy zaplanować ślub.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Nie pamiętam, żebym przyjęła oświadczyzny.

- Ale ja czytam w myślach, zapomniałaś?

Pomyślała o swojej wcześniejszej wizji, w której Shane jako celtycki wojownik miał na sobie niebieskie malowidła i niewiele więcej.

- Przyjmę je oficjalnie teraz, ale pod warunkiem że do ołtarza pójdziesz w złocie druidów.

Wyglądał na rozbawionego i niepewnego jednocześnie.

- Chodzi ci o niebieskie malunki?

- Malunki zależą od ciebie. Strój nie.

- W takim razie zaprosimy świadków.